

Maggie Stiefvater

Wyścig śmierci

Spis treści

Dedykacja

Prolog. Dziewięć lat wcześniej

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozdział dwudziesty drugi

Rozdział dwudziesty trzeci

Rozdział dwudziesty czwarty

Rozdział dwudziesty piąty

Rozdział dwudziesty szósty

Rozdział dwudziesty siódmy

Rozdział dwudziesty ósmy

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Rozdział trzydziesty

Rozdział trzydziesty pierwszy

Rozdział trzydziesty drugi

Rozdział trzydziesty trzeci

Rozdział trzydziesty czwarty

Rozdział trzydziesty piąty

Rozdział trzydziesty szósty

Rozdział trzydziesty siódmy

Rozdział trzydziesty ósmy

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Rozdział czterdziesty

Rozdział czterdziesty pierwszy

Rozdział czterdziesty drugi

Rozdział czterdziesty trzeci

Rozdział czterdziesty czwarty

Rozdział czterdziesty piąty

Rozdział czterdziesty szósty

Rozdział czterdziesty siódmy

Rozdział czterdziesty ósmy

Rozdział czterdziesty dziewiąty

Rozdział pięćdziesiąty

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Rozdział pięćdziesiąty drugi

Rozdział pięćdziesiąty trzeci

Rozdział pięćdziesiąty czwarty

Rozdział pięćdziesiąty piąty

Rozdział pięćdziesiąty szósty

Rozdział pięćdziesiąty siódmy

Rozdział pięćdziesiąty ósmy

Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty

Rozdział sześćdziesiąty

Rozdział sześćdziesiąty pierwszy

Rozdział sześćdziesiąty drugi

Rozdział sześćdziesiąty trzeci

Rozdział sześćdziesiąty czwarty

Rozdział sześćdziesiąty piąty

Rozdział sześćdziesiąty szósty

Od autorki

Podziękowania

Przypisy

Dla Marian, która widzi konie w swoich snach

Prolog.

Dziewięć lat wcześniej

Sean

Jest pierwszy dzień listopada, więc ktoś dzisiaj umrze.

Lodowate jesienne morze nawet w najjaśniejszym blasku słońca mieni się kolorami nocy: granatem, czernią, brązem.

Przyglądam się, jak niezliczone końskie kopyta wybijają na piasku coraz to nowe wzory.

Konie wypuszczone na plażę, na szlak pomiędzy czarną wodą a kredowymi klifami. Wprawdzie nigdy nie jest tutaj *bezpiecznie*, ale też w żaden inny dzień przebywanie na piasku nie wiąże się z takim ryzykiem jak dziś, w czasie wyścigu.

O tej porze roku żyję i oddycham plażą. Pieką mnie policzki podrażnione piaskiem niesionym przez wiatr. Od powstrzymywania ważącego tonę konia bolą mnie ramiona. Nie pamiętam, jak to jest, kiedy człowiekowi jest ciepło, co to znaczy przespać całą noc i jak brzmi moje imię, gdy ktoś je zwyczajnie wypowiada, zamiast krzyczeć z oddali.

Czuję, że żyję pełnią życia.

Kiedy schodzimy z ojcem z klifu, zatrzymuje mnie ktoś z obsługi wyścigu.

– Seanie Kendrick, masz dopiero dziesięć lat. Jeszcze tego nie odkryłeś, ale można umrzeć na wiele ciekawszych sposobów, niż spacerując po tej plaży.

Ojciec zawraca i bierze urzędnika za ramię, jakby ten był niespokojnym koniem. Po krótkiej wymianie zdań na temat ograniczeń wiekowych podczas wyścigu mój tato wygrywa.

– Jeśli pana syn zginie – mówi strażnik – będzie to wyłącznie pana wina.

Ojciec nawet mu nie odpowiada, po prostu odprowadza swojego ogiera *uisce*¹.

Kiedy schodzimy w kierunku wody, potracają i popychają nas ludzie i zwierzęta. W pewnym momencie prześlizguję się przed koniem, który właśnie stanął dęba, szarpiąc swojego jeźdźcę na końcu uwiąz. Cały i zdrowy staje twarzą do morza. Z pozostałych stron otaczają mnie *eich uisce* – konie wodne o umaszczeniu w każdym z kolorów kamieni na plaży: czarnym, czerwonym, złotym, białym, kości słoniowej, siwym i niebieskim. Mężczyźni wieszają im przy uzdach czerwone frędzle i stokrotki dla ochrony przed niebezpieczeństwami ciemnego listopadowego morza, ale ja nie powierzyłbym swojego życia garstce kwiatków. W zeszłym roku koń wodny obwieszony kwiatami i dzwonekami odgryzł pewnemu mężczyźnie pół ramienia.

To nie są zwykłe konie. Możesz je okrywać talizmanami, trzymać z dala od morza, ale dziś, na plaży, nie odwracaj się do nich plecami.

Niektóre toczą z pyska pianę, a ona przypomina morską kipieli – ukrywa zęby, które później bezlitośnie rozszarpują ludzi.

Konie są piękne i śmiercionośne, w równym stopniu kochają nas i nienawidzą.

Ojciec wysłał mnie do innego pracownika obsługi po czaprak i opaskę na ramię. Kolor czapraka pozwala widzom na klifach rozpoznać jeźdźcę, ale w przypadku mojego ojca to zbyt cenne – tak błyszcząca, czerwona sierść ma tylko jego ogier.

– Ach, Kendrick – pracownik obsługi wymawia nazwisko mojego taty i moje. – Dla niego oczywiście mamy czerwony czaprak.

Kiedy wracam do ojca, jakiś jeździec woła do mnie:

– Ho, Seanie Kendrick! – Nieznajomy jest mały i żyłasty, a jego twarz wygląda jak

wyrzeźbiona w skale. – Piękny dzień na wyścigi, prawda?

Czuję się zaszczycony, że pozdrowiono mnie jak dorosłego. Jakbym był jednym z jeźdźców. Kiwamy do siebie głowami, a potem on odwraca się do swojego konia, aby skończyć go siodłać. Jego małe siodło wyścigowe jest ręcznie tłoczone; kiedy jeździec podnosi tybinkę, żeby ostatecznie dociągnąć popręg, widzę wypalone na skórzanym pasie słowa: *Nasi umarli piją morską wodę*.

Serce tłucze mi się w piersi, kiedy podaję czaprak ojcu. Tato też wydaje się zdenerwowany. Chciałbym móc wystartować zamiast niego.

Siebie jestem pewien.

Czerwony ogier *uisce* jest niespokojny, parska, strzyże uszami, niecierpliwi się. Jest dziś narowisty. Będzie szybki. Szybki i trudny do utrzymania.

Ojciec oddaje mi wodze, aby założyć ogierowi czerwony czaprak i siodło. Oblizuję zęby – czuję na nich smak soli – i przyglądam się ojcu, który zawiązuje na ramieniu opaskę w kolorze czapraka. Obserwuję tatę co roku – zawsze zawiązuje ją pewną ręką, ale nie dzisiaj. Dzisiaj jego palce są nieporadne, a ja wiem, że boi się czerwonego *each uisce*.

Dosiadałem go, tego samego konia. Pędziłem smagany wiatrem, wstrząsany uderzeniami kopyt o ziemię. Morze spryskiwało nam nogi, byliśmy niezmordowani.

Nachylam się i rysuję palcem okrąg nad okiem ogiera, przeciwnie do ruchu wskazówek zegara. Jednocześnie szepczę do jego ucha pokrytego miękką sierścią.

– Sean! – Ojciec traci panowanie nad sobą. Łeb konia unosi się tak szybko, że omal mnie nie uderza. – Na litość boską, co robisz przy jego pysku? Czy on wygląda, jakby był najedzony? Uważasz, że byłbyś przystojny bez połowy twarzy?

Ale ja tylko zaglądam w kwadratową żrenicę ogiera, a on zerka na mnie, odwracając nieco głowę. Mam nadzieję, że zapamięta, o co go prosiłem: „Nie zjedz mojego ojca”.

Ojciec odchrząkuje i mówi:

– Myślę, że powinieneś już wracać na górę. Chodź tutaj... – Klepie mnie czule po ramieniu, a potem dosiada konia.

Na grzbiecie czerwonego ogiera wydaje się mały i ciemny. Jego ręce są już zajęte wodzami, stara się utrzymać w miejscu *each uisce*. Skręca wędzidło w pysku zwierzęcia; patrzę, jak koń potrząsa głową. Ja zrobiłbym to inaczej, ale to nie ja siedzę w siodle.

Chcę przestrzec ojca, żeby uważał, bo ogier ucieka na prawo, kiedy jest przestraszony, i według mnie lepiej widzi lewym okiem, ale zamiast tego mówię:

– Do zobaczenia po wszystkim.

Kiwamy do siebie głowami jak obcy – nieprzećwiczone i niezręczne pożegnanie.

Obserwuję wyścig z klifów. Nagle siwy *each uisce* chwyta za ramię, a potem za pierś mojego ojca.

Na chwilę fale przestają atakować brzeg, mewy nad nami przestają trzepotać skrzydłami, a powietrze z drobinkami piasku zatrzymuje się w moich płucach.

Wtedy siwy koń wodny zwleka ojca z jego niepewnego miejsca na grzbiecie czerwonego ogiera.

Nie może jednak utrzymać go w zębach. Ojciec upada na piasek, pokiereszowany, jeszcze zanim dosięgną go kopyta. Był na drugiej pozycji, więc podczas następnej, niekończącej się minuty przebiegają po nim pozostałe konie. Potem widać już tylko długą, czarnoszarłatną smugę w spienionych wodach przyływu. Czerwony ogier okrąży ją i choć budzi się w nim głodny morski stwór, pamięta o mojej prośbie. Nie pożera szczątków. Zanurza się w wodzie. Żaden odcień czerwieni nie może się równać z kolorem morza tamtego dnia.

Rzadko myślę o ciele ojca wśród czerwieniejących fal przyboju. Zapamiętałem go takim,

jaki był przed wyścigiem. Przestraszony.
Nie popełnię tego samego błędu.

Rozdział pierwszy

Puck

Ludzie mówią, że beze mnie moi bracia by zginęli, ale w rzeczywistości to ja nie przetrwałabym bez nich.

Zazwyczaj, jeżeli pytacie kogokolwiek na wyspie, gdzie mieszka, odpowiada on coś w rodzaju: „W okolicy Skarmouth”. Albo: „Po przeciwnej stronie Thisby. Po skalistej stronie”. Albo: „Rzut kamieniem od Tholla”. Ale nie ja. Pamiętam, jak kiedyś, gdy byłam mała, pewien stary farmer, tak zniszczony wiatrem, że wyglądał, jakby został wykopany z darni, zapytał mnie:

– Skąd jesteś, dziewczynko?

A ja, ściskając pomarszczoną dłoń ojca, odpowiedziałam głosem zbyt donośnym i śmiałym jak na małą piegowatą osóbkę:

– Z Connolly House.

On zapytał:

– A to co znowu?

A ja odparłam:

– To tam, gdzie mieszkamy my, Connolly. Bo ja właśnie jestem jedną z nich.

A później – wciąż jeszcze trochę mi wstyd, że tak powiedziałam, gdyż pokazuje to ciemną stronę mojego charakteru – dodałam:

– A ty nie.

I właśnie tak się sprawy mają. Są Connolly, a dopiero potem reszta świata, chociaż kiedy mieszka się na Thisby, reszta świata nie jest taka znowu duża. Aż do ubiegłej jesieni naszą rodzinę stanowili: ja, mój młodszy brat Finn, mój starszy brat Gabe i nasi rodzice. Byliśmy dość spokojną rodziną. Finn na okrągło składał różne rzeczy i rozkładał je z powrotem, a niewykorzystane części trzymał w pudle pod swoim łóżkiem. Gabe jest sześć lat starszy ode mnie. Nigdy nie był duszą towarzystwa. Może oszczędzał siły na rośnięcie. Gdy miał trzynaście lat, mierzył dwa metry. Tata grywał na koncertynie, kiedy bywał w domu, a mama każdego wieczoru dokonywała cudownego rozmnożenia chleba i ryb, choć wtedy gdy jeszcze z nami była, nie zdawałam sobie sprawy, co to był za cud.

Nie chodzi o to, że byliśmy nieprzyjaźnie nastawieni do pozostałych mieszkańców wyspy. Po prostu bardziej przyjacielsko odnosiliśmy się do siebie nawzajem. Bycie Connollym stało na pierwszym miejscu. To była jedyna zasada. Można było zranić czyjeś uczucia, pod warunkiem że nie były to uczucia Connolly’ego.

Jest połowa października. Jak wszystkie jesienne dni na wyspie i ten zaczyna się chłodem, ale im wyżej wspina się słońce, tym robi się cieplej i bardziej kolorowo. Biorę zgrzebło i szczotkę, zbieram kurz z żółtobrazowej sierści Dove, aż rozgrzewają mi się palce. Kiedy ją siodłam, ona jest czysta, a ja brudna. To moja klacz i moja najlepsza przyjaciółka. Wciąż się obawiam, że przydarzy jej się coś złego, a tak bardzo ją kocham.

Gdy dopinam popręg, Dove przyciska nos do mojego boku, skubie mnie nieśmiało, a potem szybko odsuwa łeb; ona też mnie kocha. Nie mogę jeździć za długo, wkrótce będę musiała wrócić i pomóc Finnowi piec ciasteczka. Sprzedajemy je do okolicznych sklepów. Maluję też dzbanki do herbaty dla turystów, a ponieważ zbliżają się wyścigi, zamówień mam więcej niż pod dostatkiem. Po zawodach goście ze stałego łądu nie pojawiają się aż do wiosny. Ocean staje się po prostu za bardzo nieprzewidywalny, kiedy jest zimno. Gabe’a nie będzie przez cały dzień, pracuje w hotelu w Skarmouth, przygotowując pokoje dla widzów wyścigu. Sieroty

na Thisby nie mają łatwo. Trzeba ciężko pracować, żeby związać koniec z końcem.

Właściwie nie zdawałam sobie sprawy, jak mała to wysepka, dopóki parę lat temu nie zaczęłam czytać czasopism. Choć ja tego nie odczuwam, w rzeczywistości Thisby jest maleńka: cztery tysiące osób na wystającej z morza skalistej grani, kilka godzin od stałego lądu. Tylko klify, konie, owce i wąskie drogi wijące się wśród bezdrzewnych pól w kierunku Skarmouth, największego miasta na wyspie. Prawda jest taka, że dopóki nie zna się nic innego, ta wyspa człowiekowi wystarcza.

Ja właściwie znam inne miejsca. A ona i tak mi w zupełności wystarcza.

Dosiadam więc Dove i ruszam. Marzną mi palce u nóg – buty do chodzenia po padoku nie chronią przed zimnem. W zaparkowanym na podjeździe morrisie siedzi Finn i starannie zakleja czarną taśmą rozdarcie na siedzeniu pasażera. Dziura jest dziełem Puffin, kotki, która zamieszkuje stajnię Dove. Finn nauczy się przynajmniej nie zostawiać odsuniętych szyb. Udaje zirytowanego, że musi to naprawić, ale ja wiem, że w rzeczywistości się z tego cieszy. Okazywanie zbytniego zadowolenia jest niezgodne z zasadami Finna.

Gdy Finn widzi mnie na grzbiecie Dove, robi zabawną minę. Kiedyś, przed wydarzeniami z ubiegłego roku, ta mina zamieniłaby się w chytry uśmieszek – mój brat przekreśliłby kluczyk, dodał gazu i rozpoczęlibyśmy wyścig: ja na grzbiecie Dove, on w samochodzie (nie przejmowaliśmy się tym, że Finn był za młody, żeby prowadzić auto, o wiele za młody... to nie miało znaczenia, bo kto miałby nas zatrzymać). Więc pędziliśmy – ja przez pola, on po drogach. Ten, kto ostatni dojechał na plażę, musiał przez tydzień ścielić łóżko tego drugiego.

Nie ścigaliśmy się już od roku. Odkąd nasi rodzice zginęli na łodzi.

Zataczamy z Dove niewielkie kręgi na podwórku. Niecierpliwi się, jest tak pełna energii, że nie może się skoncentrować, a ja zbyt zmarznięta, żeby ją obłaskawić. Ona chce galopować.

Słyszę ryk silnika morrisa. Zawracamy w samą porę, żeby dostrzec samochód ruszający wąską drogą wśród kłębow gęstych spalin. Po chwili dobiega mnie okrzyk.

Finn wystawia głowę przez okno. Błada twarz wyłaniająca się spod zakurzonych włosów, uśmiech odsłaniający wszystkie zęby.

– Czekasz na zaproszenie? – woła. Potem chowa się z powrotem do samochodu, a silnik znowu wyje, kiedy Finn zmienia bieg.

– Och, no dobra – mruczę, bardziej do siebie niż do niego. Klacz strzyże uszami w moją stronę, a potem stawia je na sztorc, drżące, zwrócone w kierunku drogi. Poranek jest burzliwy i chłodny. Dove tylko czeka na sygnał. Ściskam łydkami jej boki i cmokam.

Klacz zrywa się do galopu i gna za Finnem, wykopując kopytami półksiężyc na piachu.

Trasa, którą jedzie mój brat, nie jest tajemnicą – Finn musi trzymać się drogi, a ma do wyboru jedynie główny trakt biegnący koło naszego domu w kierunku Skarmouth, wijący się po szachownicy pól otoczonych kamiennymi murkami i żywopłotami. Nie ma sensu jechać za Finnem. Poznaje, w którym miejscu się znajduje, po tumanie kurzu nad serpentyną. Klacz i ja gnamy przez pola. Dove jest nieduża – żaden z koni urodzonych na wyspie nie jest wysoki, bo i trawa nie rośnie tu zbyt bujna – ale to odważna klacz i świetnie sobie radzi z przeszkodami. Więc jeśli tylko wyczujemy stabilne podłoże, możemy do woli skakać przez żywopłoty.

Ścinamy pierwszy zakręt, płosząc kilka owiec.

– Przepraszam! – rzucam do nich przez ramię.

Ominąwszy stado, zbliżamy się do następnego żywopłotu; Dove musi szybko zrobić zwrot, żeby pokonać przeszkodę. Odrzuciłam wodze w najgorszym możliwym momencie, ale przynajmniej nie szarpie jej pyska. Klacz podciąga nogi wysoko pod siebie i ratuje nas obie przed groźnym upadkiem. Kiedy, cwałując, zostawiamy żywopłot w tyle, znowu chwytam wodze i poklepuję ją po szyi w uznaniu dla jej wyczynu, a ona kładzie uszy na znak, że dziękuje za

komplement.

Potem płyniemy po czymś, co kiedyś było pastwiskiem, a teraz zmieniło się w porośnięte krzakami wrzosowisko czekające na wypalenie. Morris wciąż ma nad nami pewną przewagę, widać jego ciemny kształt i tuman kurzu. Nie przejmuję się tym, że prowadzi. Żeby dostać się na plażę samochodem, trzeba przejechać przez miasto, gdzie droga skręca pod kątem prostym i chodzą po niej piesi. Alternatywą pozostaje okrążenie Skarmouth, ale w ten sposób traci się kilka minut. Tak czy owak powinniśmy zdążyć odrobić straty.

Słyszę, że Morris zwalnia, jakby Finn się wahał, a potem śmiga w stronę miasta. Ja mogę pojechać drogą wokół Skarmouth, unikając skoków, albo kluczyć po obrzeżach, przeskakując przez ogródki na tyłach domów i ryzykując, że Gabe zobaczy mnie z hotelu.

Już sobie wyobrażam moment, w którym jako pierwsze wpadamy z Dove na plażę.

Postanawiam zaryzykować, że Gabe mnie dojrzy. Od ostatniego razu minęło już sporo czasu, więc zrzędlawe starsze panie nie powinny się skarżyć na konia cwałującego przez ich ogródki. W każdym razie dopóki nie stratujemy czegoś cennego.

– No dalej, Dove – szepczę. Klacz przecina drogę i kieruje się ku przerwie w żywopłocie. Domy wyglądają tu, jakby wyrosły ze skały, a pełne gratów ogródki na ich tyłach przypominają bezkształtną masę doczepioną do budynków. Dalej rozciąga się lita skała, po której żaden koń nie powinien cwałować. Pozostaje nam pokonać jeszcze parę metrów i minąć hotel po drugiej stronie.

Mam nadzieję, że wszyscy są pochłonięci pracą na przystani albo w kuchni. Wpadamy do ogródków, w pierwszym ledwo omijając taczki, w drugim grządki ziół. W trzecim zostajemy obszczekane przez rozwścieczonego teriera. Potem, sama nie wiem jak, przeskakujemy starą pustą wannę w ostatnim ogródku i pędzimy drogą w kierunku hotelu.

Oczywiście jest tam Gabe i natychmiast mnie zauważa.

Potężną miotłą zamiata alejkę przed wejściem. Hotel za jego plecami to posępna konstrukcja porośnięta bluszczem, którego gałązki zostały równo przycięte, żeby nie zasłaniały okien o jasnobłękitnych parapetach. Budynek rzuca niebieskawy cień na kamienną alejkę, którą zamiata Gabe. W brązowej wiatrówce, ciasnej w ramionach, wydaje się wysoki i dorosły. Rudoblond włosy opadają mu na kark. Są trochę za długie, ale i tak niezły z niego przystojniak. Czuję gwałtowny przypływ dumy, że jest moim bratem. Przerywa pracę, opiera się na trzonku miotły i patrzy, jak cwałuję na Dove.

– Nie złość się! – krzyczę do niego.

Uśmiech przebiega po jednej stronie jego twarzy, nie sięgając drugiej. Komuś, kto nie zna jego prawdziwego uśmiechu, mogłoby się w tej chwili wydawać, że Gabe jest radosny. To smutne, ale przyzwyczaiałam się do tego grymasu. Nauczyłam się czekać, aż jego prawdziwy uśmiech powróci. Nie zdawałam sobie sprawy, że aby tak się stało, trzeba będzie dołożyć starań.

Kiedy chodnik się kończy i pod kopytami mamy trawę, znowu popędzam Dove do galopu. Tutaj teren jest miękki, piaszczysty. Zaczyna gwałtownie opadać w kierunku plaży, a droga między wzgórzami i wydrami staje się coraz węższa. Nie wiem, czy Finn nas wyprzedził, czy został w tyle. Zrobiło się stromo, więc zwalniam i pokonuję ten odcinek klusem. Na koniec klacz zeskakuje niezdarnie ze zbocza i lądujemy na poziomie morza. Gdy okrążamy ostatnią skarpe, wydaję pomruk irytacji: Morris już stoi zaparkowany w miejscu, gdzie trawa spotyka się z piaskiem. W powietrzu wisi jeszcze zapach spalin, uwięziony między wydrami.

– I tak świetnie się spisałaś – szepczę do Dove, poklepując ją. Choć ledwo dyszy, parska przeciągle. Uważa, że to był udany wyścig.

Finn stoi w otwartych drzwiach. Jednym ramieniem opiera się o dach, drugim – o drzwi. Patrzy w morze, ale kiedy Dove znowu parska, odwraca się w moją stronę, osłaniając oczy.

Widzę, że jest przejęty, więc trącam Dove, żeby podeszła do samochodu. Wypuszczam wodze, żeby mogła się paść, ale klacz nie opuszcza łba. Ona też kieruje spojrzenie na ocean, od którego dzieli nas jakieś sto metrów.

– Co jest? – pytam. Czuję, że robi mi się niedobrze.

Podążam za wzrokiem Finna. Dostrzegam tylko szary łeb wynurzający się z morskiej piany. Jest tak daleko i tak zbliżony kolorem do wzburzonego oceanu, że byłabym skłonna wziąć go za wytwór swojej wyobraźni. Ale oczy Finna nie byłyby takie wielkie, gdyby nie miał tej pewności. Łeb wyłania się znowu. Tym razem widać ciemne nozdrza, tak rozszerzone, że dostrzegam w nich odcień czerwieni, nawet z tej odległości. Za nimi wznosi się reszta łba, szyja, karbowana grzywa przyklejona do skóry słoną wodą, a potem potężny grzbiet, błyszczący i mokry. Koń wodny gwałtownie wynurza się z oceanu i daje ogromnego susa, jakby wzbierające fale przypląwu były trudną do pokonania przeszkodą.

Finn wzdyga się, kiedy *each uisce* rusza galopem plażą w naszym kierunku. Opieram rękę na łokciu brata i zastygam w bezruchu, chociaż serce wali mi młotem.

– Nie ruszaj się, błagam – szepczę. – Nie-ruszaj-nieru-szaj-nie-ruszaj.

W myślach chwytam się tego, co nam wielokrotnie powtarzano – że konie wodne uwielbiają ruchomy cel, że kochają pogoń. Przypominam sobie listę powodów, dla których nas nie zaatakują: stoimy nieruchomo, z dala od wody, obok morrissa, a przecież te stworzenia nie znoszą metalu.

Rzeczywiście, koń wodny mija nas galopem, nie zwalniając. Widzę, jak Finn przełyka ślinę, na chudej szyi podskakuje mu jabłko Adama. Stwór jest tak autentyczny, że trudno powstrzymać dreszcz, dopóki nie znika w oceanie.

Znowu tutaj są.

Oto, co się dzieje każdej jesieni. Moi rodzice nie interesowali się wyścigami, ale ja i tak wiedziałam, jak to wygląda. Im bliżej listopada, tym więcej koni wyłania się z morza. Mieszkańcy wyspy, którzy zamierzają wziąć udział w Wyścigu Skorpiona w następnym roku, urządzają wtedy wielkie zbiorowe polowania na *eich uisce*. To zawsze jest niebezpieczne, bo te zwierzęta są głodne i jeszcze wyraźnie słyszą zew morza. Pojawienie się nowych koni to również znak dla tych, którzy startują w tegorocznym wyścigu, że powinni zacząć układać zwierzęta schwyte w poprzednich latach – względnie uległe, w każdym razie dopóki zapach jesiennego morza nie obudzi drzemiącej w nich magii.

Znowu tutaj są.

Przez cały październik, aż do pierwszego listopada, wyspa dzieli się na rejony bezpieczne i niebezpieczne. Jeśli nie jest się jednym z jeźdźców, lepiej trzymać się z daleka od *eich uisce*, bo te zwierzęta łatwo wpadają w furję.

Rodzice bardzo się starali chronić nas przed światem koni wodnych, ale utrzymanie nas w nieświadomości było niemożliwe. Nasi przyjaciele nie pojawili się w szkole po tym, jak w nocy koń wodny zabił ich psa. Tata musiał omijać psujące się szczątki na drodze do Skarmouth – ślad po walce konia wodnego z lądowym. Dzwony kościoła Świętego Kolumbana w środku dnia wzywały na pogrzeb rybaka, który został zniecałkowany na brzegu.

Finnowi i mnie nie trzeba było powtarzać, jak niebezpieczne są te bestie. Wiedzieliśmy. Przekonywaliśmy się o tym codziennie.

– Daj spokój – mówię.

Kiedy mój brat patrzy w morze, prostując szczupłe ramiona, wygląda jak mały chłopiec, choć w rzeczywistości wkroczył już w ten dziwny okres pomiędzy dzieciństwem a męskością. Chciałabym ochronić go przed żalem, który przyniesie listopad. A przecież tak naprawdę nie chodzi o smutek tego listopada, który nadchodzi, lecz tego, który dawno minął.

Finn nie odpowiada. Po prostu daje nura do morrisa, nie patrząc na mnie, zatrzaskuje drzwi. To już jest zły dzień. I to zanim Gabe wrócił do domu.

Rozdział drugi

Sean

Beech Gratton, syn rzeźnika, właśnie zabił krowę i nalewa dla mnie krew do wiadra, kiedy docierają do nas nowiny. Stoimy na podwórzu za sklepem ojca Beecha. Odgłos kroków na kamieniach podkreśla nasze milczenie. Dzień jest piękny i chłodny, a ja stoję niespokojnie, przestępując z nogi na nogę. Kamienie na podwórku są nierówne, powypychane korzeniami nieobecnych już drzew i poznaczone brązowoczarnymi plamami, smugami i strumykami.

– Beech, słyszałeś już? Konie się wyłaniają – mówi Thomas Gratton do syna, wychylając się przez otwarte drzwi swojego sklepu. Rusza przez podwórze, ale na mój widok zatrzymuje się w pół kroku.

– Seanie Kendrick, nie wiedziałem, że tu jesteś.

Nie odzywam się, a Beech mruczy:

– Wpadł do nas, gdy usłyszał, że zarzynam krowę. – Wskazuje na pozbawiony głowy i kończyn korpus zawieszony na trójnożnym drewnianym stojaku. Ziemia spływa krwią w miejscu, gdzie Beech nie podstawił wiadra. Łeb krowy leży kawałek dalej, na końcu podwórka. Usta Thomasa Grattona poruszają się, jakby chciał skomentować poczynania Beecha, ale nie robi tego. Thisby to wysepka gęsto zaludniona przez synów, którzy zawiedli oczekiwania ojców.

– Słyszałeś, Kendrick? – pyta Thomas Gratton. – To dlatego jesteś tutaj zamiast na grzbiecie konia?

Jestem tu dlatego, że nowi ludzie, których zatrudnił Malvern do karmienia koni, są w najlepszym razie tchórzliwi, a w najgorszym – niekompetentni. Dają zwierzętom kiepskie siano i jeszcze gorsze kawałki mięsa. Nie ma porządnej krwi dla *eich uisce* – jakby stajenni mieli nadzieję, że jeśli będą je traktowali jak zwyczajne konie, to one się w nie zamienią. Krótka mówiąc, jestem tu, bo jeżeli chcę, żeby wszystko zostało zrobione jak należy, muszę to zrobić sam. Ale na pytanie Thomasa Grattona odpowiadam tylko:

– Nie słyszałem.

Beech przyjaźnie klepie martwą krowę po karku, wymachując wiadrem. Nie patrzy na ojca.

– Od kogo się dowiedziałeś? – rzuca.

Nie obchodzi mnie właściwie odpowiedź na jego pytanie, nie ma dla mnie znaczenia, kto co słyszał albo kto zobaczył, liczy się tylko to, że *eich uisce* wynurzają się z morza. Czuję w kościach, że to prawda. To dlatego jestem taki podenerwowany. To dlatego Corr grzebie kopytami pod drzwiami swojego boksu, a ja źle sypiam.

– Dzieciaki Connollych widziały jednego – mówi Thomas Gratton.

Beech mruczy coś i znowu klepie krowę, bardziej dla podkreślenia swoich słów niż z jakiegoś praktycznego powodu. Historia Connollych budzi bodaj największe współczucie spośród wszystkich opowieści, jakie Thisby ma do zaoferowania: troje dzieci rybaka jednego dnia podwójnie osieroconych za sprawą *each uisce*. Na Thisby jest mnóstwo samotnych matek, których mężowie zaginęli nocą. Zwykle padają ofiarą dzikiego konia wodnego albo pokus stałego ładu. Tak samo wielu jest samotnych ojców, których żony zostały pochwycone na brzegu przez niespodziewanie wyłaniające się z wody zęby albo porwane przez turystów z wypchanymi portfelami. Ale stracić jednocześnie oboje rodziców – to nie zdarza się codziennie. Moja historia – ojciec na cmentarzu, matka na stałym łądzie – jest wystarczająco pospolita, żeby już dawno ją

zapomniano. Nie mam nic przeciwko temu. Istnieją zdecydowanie lepsze rzeczy, z których można być znanym.

Thomas Gratton patrzy bez słowa, jak Beech podaje mi wiadro i zaczyna niezbyt starannie rozbierać krowę. Nie sędzę, żeby istniał jakiś elegancki sposób rozbierania mięsa, ale gdyby istniał, tak by raczej nie wyglądał. Przez kilka długich chwil patrzę, jak Beech wycina poszarpane linie, od czasu do czasu coś do siebie mrużąc. Możliwe, że próbuje nucić jakąś piosenkę. Stoję oszołomiony jego zachowaniem – pełnym lekceważeniem dla powierzonej mu pracy, brakiem szacunku i dziecinną przyjemnością, jaką Beech czerpie z wykonywania pracy byle jak. Thomas Gratton i ja wymieniamy spojrzenia.

– Uczył się rozbierania mięsa od swojej matki, nie ode mnie – mówi. Właściwie się nie uśmiecham, ale on i tak wydaje się zadowolony ze swojej odpowiedzi.

– Jeżeli nie podoba ci się, jak to robię – odparł Beech, nie podnosząc wzroku – to tak się składa, że wolałbym być teraz w pubie. A ten nóż pasuje i do twojej ręki.

Thomas Gratton wydaje donośny charkot, pochodzący gdzieś spomiędzy jego nosa i górnej części ust. Dla mnie ten dźwięk całkowicie tłumaczy pomruki Beecha. Thomas odwraca się plecami do syna i przygląda się czerwonym dachówkom na jednym z otaczających podwórze budynków.

– Więc w tym roku też pewnie będziesz startował w wyścigu – rzuca.

Beech zupełnie nie reaguje. Jego ojciec oczywiście mówi do mnie.

– Tak sędzę – odpowiadam.

Thomas Gratton nie odzywa się od razu, po prostu nadal wpatruje się w dachówki zabarwione wieczornym słońcem na jaskrawy pomarańczowoczerwony kolor.

– Spodziewam się, że Malvern właśnie tego od ciebie oczekuje?

Pracuję w stajni Malverna, odkąd skończyłem trzynaście lat. Niektórzy mówią, że dostałem tę pracę z litości, ale to nieprawda. Źródło utrzymania Malvernów bije pod dachem ich stajni – eksportują konie na stały ład – i nie poszliby na żaden kompromis w kwestiach z tym związanych, w szczególności zaś nie pozwoliliby sobie na tak ludzkie uczucia jak litość. Spędziłem u Malverna wystarczająco dużo czasu, żeby wiedzieć, że Grattonowie mają go w nosie. Wiem też, że Thomas Gratton oczekuje, że powiem coś, co pozwoliłoby mu jeszcze bardziej pogardzać Benjaminem Malvernem. Więc najpierw czekam dłuższą chwilę, aż milczenie rozproszy sens jego pytania, a potem odpowiadam przy akompaniamencie grzechoczącego uchwytu od wiadra:

– Rozliczę się pod koniec tygodnia.

Thomas Gratton śmieje się łagodnie.

– Jesteś najstarszym dziewiętnastolatkiem, jakiego w życiu spotkałem, Seanie Kendrick.

Nie odpowiadam, bo prawdopodobnie ma rację. Prosi, żebym uregulował rachunek jak zwykle w piątek, a Beech wydaje pożegnalny pomruk, kiedy opuszczam podwórze.

Czeka mnie jeszcze dzisiaj przyprowadzenie kucyków z pastwiska, dobór odpowiedniej paszy dla koni i problem ogrzania mojego maleńkiego mieszkanca wieczorem, ale zamiast o przyziemnych sprawach myślę o nowinach, które przyniósł Thomas Gratton. Stoję na twardej ziemi, ale część mnie jest już na dole, na plaży. Krew szybciej krąży w moich żyłach. Czuję, że żyję.

Rozdział trzeci

Puck

Tego wieczoru Gabe łamie naszą jedyną zasadę.

Podchodzę do kwestii kolacji trochę na skróty, bo nie dysponujemy niczym poza suszoną fasolą, której już wszyscy mamy naprawdę dość. Piekę ciasto z jabłkami, z którego jestem dumna. Finn denerwuje mnie, bo siedzi całe popołudnie w ogrodzie. Majstruje przy jakiejś sędziwej pile łańcuchowej. Mówi, że ktoś mu ją dał, ale prawdopodobnie zabrał ją ze śmietnika, żeby wymontować zębatki. Jestem zła, bo zostałam sama w domu i przez to czuję, że powinnam posprzątać, a wcale mi się nie chce. Trzaskam szufladami i szafkami, przetrząsam zawartość nieustannie zagraconego zlewu, ale Finn albo mnie nie słyszy, albo udaje, że nie słyszy.

Wreszcie, zanim słońce całkowicie znika za wzniesieniami na zachodzie, stoję w kuchennych drzwiach i patrzę znacząco na Finna. Czekam, aż podniesie wzrok i coś do mnie powie. On pochyla się nad piłą, która leży rozmontowana na części. Wszystkie elementy są równiutko ułożone na piasku podwórza. Sweter Gabe'a, który Finn ma na sobie, wciąż jest na niego za duży, choć nosi go już od kilku lat. Rękawy są zwinięte w równiutkie bransoletki. Ciemne, zmierzwione włosy Finna tworzą koguci ogon. Wygląda jak sierota i to mnie irytuje.

– Zechcesz wejść do środka, póki ciasto jeszcze pamięta, że było ciepłe? – Wiem, że to brzmi opryskliwie, ale mam to gdzieś.

Finn odpowiada, nie podnosząc wzroku:

– Za minutę.

Wcale nie zamierza przyjść za minutę i ja to wiem.

– Sama wszystko zjem – mówię.

Chłopak nie reaguje, pochłonięty tajemnicą piły. Myślę, tylko przez chwilę, że nienawidzę braci. Nigdy do nich nie dociera, kiedy coś jest dla ciebie ważne, troszczą się wyłącznie o własne sprawy.

Już mam powiedzieć coś, czego potem mogłabym się wstydzić, kiedy w zapadającym zmierzchu dostrzegam Gabe'a. Idzie, prowadząc rower. Żadne z nas nie mówi mu „cześć”, kiedy otwiera furtkę, wpycha rower na podwórze i z powrotem ją zamyka. Finn, dlatego że jest egocentryczny, a ja – ponieważ jestem zła na Finna.

Gabe odstawia rower do przybudówki na tyłach domu, podchodzi i staje za Finnem. Ściąga czapkę i wpycha ją pod pachę. Stoi z założonymi rękami, bez słowa obserwując poczynania brata. Nie jestem pewna, czy w resztkach niebieskawego światła wieczoru Gabe w ogóle jest w stanie dostrzec, co takiego młodszy brat wypatroszył, ale Finn obraca odrobinę cielsko piły, żeby chłopak mógł je zobaczyć. To najwyraźniej dostarcza Gabe'owi wszystkich potrzebnych informacji, ponieważ kiedy Finn, unosząc podbródek, zerka na niego, starszy brat tylko lekko kiwa głową.

To, jak porozumiewają się bez słów, jednocześnie mnie urzeka i doprowadza do furii.

– Jest ciasto z jabłkami – mówię. – Jeszcze ciepłe.

Gabe wyjmuje czapkę spod pachy i pyta:

– Co jest na kolację?

– Ciasto z jabłkami – powtarza za mną siedzący na ziemi Finn.

– I piła łańcuchowa – dodaję. – Finn zrobił do placka świetną piłę łańcuchową.

– Ciasto z jabłkami jest okej – rzuca Gabe, ale w jego głosie słychać zmęczenie. – Puck², nie zostawiaj otwartych drzwi. Zimno leci.

Cofam się, żeby mógł wejść do domu. Kiedy wchodzi, czuję zapach ryb. Nie znoszę, kiedy Beringerowie każą mu czyścić ryby. Śmierdzi nimi w całym domu.

Gabe przystaje w drzwiach. Przygląda się swojej dłoni opartej o futrynę na wysokości głowy, jakby badał swoje palce albo łuszcząc się czerwoną farbę pod nimi. Ma nieobecny wyraz twarzy, wydaje się obcy. Nagle mam ochotę go uściskać, tak jak kiedyś, gdy byłam mała.

– Finn – mówi cicho. – Kiedy skończysz, muszę porozmawiać z tobą i z Kate.

Finn podnosi głowę, zaskoczony, ale Gabe już znika w pokoju, który wciąż dzieli z bratem, chociaż sypialnia rodziców stoi pusta. Prośba Gabe'a albo to, że nazwał mnie moim prawdziwym imieniem, przyciągnęło uwagę Finna tak, jak nie zdołało tego zrobić moje ciasto z jabłkami. Zaczyna szybko zbierać części i wrzucać je do wysłużonego kartonowego pudła.

Denerwuję się, gdy czekam, aż Gabe wyłoni się ze swojego pokoju. Kuchnia zamienia się w to samo małe żółte miejsce, jakim bywa zwykle wieczorami, kiedy skurczy się pod naporem panujących na zewnątrz ciemności. W pośpiechu zmywam trzy talerze od kompletu i kroję po dużym kawałku ciasta dla każdego z nas; największy dla Gabe'a. Stawiając je na stole – trzy samotne talerze tam, gdzie kiedyś było pięć – zaczynam odczuwać przygnębienie, więc zajmuję się parzeniem herbaty miętowej. Gdy ustawiam i przestawiam filiżanki, przychodzi mi do głowy, ponieważ, że herbata miętowa i ciasto z jabłkami niekoniecznie do siebie pasują.

Finn już myje ręce, co może potrwać wieki. Cierpliwie, z niezwykłą starannością i w milczeniu namydla dłońe kostką kremowego mydła, pamiętając o miejscach między palcami i pocierając każdą z linii. Kontynuuje tę czynność, kiedy wyłania się Gabe: w czystym ubraniu, choć nadal śmierdzący rybą.

– Jak miło – mówi starszy brat, odsuwając sobie krzesło, a ja odczuwam ulgę, że wszystko jest w porządku, wszystko będzie dobrze. – Mięta tak ładnie pachnie po dzisiejszym dniu.

Zastanawiam się, co mama i tata powiedzieliby do niego w tej chwili. Z jakiegoś powodu różnica wieku między nami akurat w tym momencie wydaje mi się przepaścią.

– Myślałam, że każą ci dzisiaj przygotowywać pokoje w hotelu na przyjazd turystów.

– Brakowało ludzi na przystani – mówi Gabe. – A Beringer wie, że jestem szybszy od Josepha.

Joseph jest synem Beringera, zbyt leniwym, żeby cokolwiek robić szybko. Gabe powiedział kiedyś, że dostał pracę dzięki Josephowi. Ale jakoś nie potrafię tego docenić; dla mnie Joseph jest dupkiem, skoro przez niego mój brat śmierdzi rybą.

Gabe trzyma filiżankę, ale nie pije herbaty. Finn wciąż myje ręce. Siadam na swoim miejscu. Gabe odczekuje chwilę, a potem woła:

– Finn, wystarczy, dobrze?

Chłopak poświęca jeszcze minutę na opłukanie rąk, a potem zakręca kran i siada naprzeciwko mnie.

– Jak sądzicie, czy trzeba się modlić, jeśli to tylko ciasto z jabłkami?

– I piła łańcuchowa – dodaję.

– Boże, dzięki ci za to ciasto i piłę łańcuchową Finna – mówi Gabe. – Teraz dobrze?

– Dla mnie czy dla Boga? – pytam.

– Bogu jest zawsze dobrze – mówi Finn. – To Puck trzeba ciągle zadowalać.

Według mnie to stwierdzenie jest rażąco niesprawiedliwe, ale nie daję się sprowokować. Zerkam na Gabe'a, który wpatruje się w swój talerz.

– No więc? – pytam.

Słyszę, jak Dove rzy na zewnątrz, tam gdzie pastwisko łączy się z podwórzem. Chciałaby dostać swoją garstkę ziarna. Finn patrzy na Gabe'a, który wciąż siedzi ze wzrokiem wbitym

w talerz i ugniata palcami ciasto, jakby sprawdzał jego konsystencję. Nagle zdają sobie sprawę, jak bardzo cięży mi świadomość przypadającej jutro rocznicy śmierci rodziców. Dotąd jakoś nawet nie przyszło mi do głowy, że cichego, rzetelnego Gabe'a też może przerażać ten powoli skradający się cień.

Gabe nie podnosi wzroku. Mówi po prostu:

– Opuszczam wyspę.

Finn rzuca bratu zdumione spojrzenie.

– Co?

Siedzę oniemiała. Czuję się tak, jakby Gabe powiedział coś w obcym języku i mój mózg musiał najpierw przetłumaczyć jego wypowiedź, żebym mogła ją zrozumieć. Nie jestem w stanie wydusić z siebie ani jednego słowa.

– Opuszczam wyspę – powtarza Gabe. Tym razem brzmi to bardziej stanowczo i wiarygodnie, chociaż wciąż na nas nie patrzy.

Finnowi pierwszemu udaje się wypowiedzieć zdanie:

– Co zrobimy ze wszystkimi rzeczami?

– Co z Dove? – dodaję.

– To ja opuszczam wyspę – mówi Gabe.

Finn wygląda, jakby brat go spoliczkował. Wysuwam podbródek i próbuję spojrzeć Gabe'owi w oczy.

– Zamierzasz wyjechać bez nas? – Wtedy mój umysł wynajduje wymówkę, logiczne wytłumaczenie, które czym prędzej podsuwam Gabe'owi. – Więc nie jedziesz na długo. Jedziesz tylko na... – Kręcę głową. Nie mam pojęcia, na jak długo miałby jechać.

Gabe wreszcie podnosi głowę.

– Wyprowadzam się.

Finn naprzeciwko mnie kurczowo trzyma się stołu. Zaciśnięte na drewnianym blacie palce bieleją mu na końcach, jednocześnie czerwieniejąc w stawach. Nie sądzę, żeby zdawał sobie z tego sprawę.

– Kiedy? – pytam.

– Za dwa tygodnie. – Puffin miauczy u jego stóp, ociera pyszczek o jego nogę i o krzesło, ale Gabe nie patrzy pod stół ani nie dostrzega obecności kotki. – Obiecałem Beringerowi, że tyle jeszcze zostanę.

– Beringerowi? – powtarzam za nim z niedowierzaniem – Obiecałeś *Beringerowi*, że tyle zostaniesz? A co z nami? Co się stanie z *nami*?

Nie patrzy na mnie. Próbuję sobie wyobrazić nasze życie bez zarobków jednej osoby i z jeszcze jednym pustym łóżkiem.

– Nie możesz jechać – mówię. – Nie możesz wyjechać tak szybko. – Serce tłucze mi się w piersi, muszę dziwnie zaciskać szczękę, żeby nie dzwonić zębami.

Twarz Gabe'a pozostaje niezmienną. Wiem, że potem na pewno będę tego żałowała, ale przychodzi mi do głowy tylko jedna rzecz.

– Startuję w wyścigach – oznajmiam. Tak po prostu.

Teraz cała uwaga braci skupia się wyłącznie na mnie.

Policzki mnie pieką tak, jakbym nachylała się nad gorącym piecem.

– Och, daj spokój, Kate – mówi Gabe, ale jego głos nie jest tak pewny, jak powinien być. Mimo woli w jakimś stopniu mi wierzy.

Zanim powiem coś jeszcze, muszę to przemyśleć i zastanowić się, czy sama sobie wierzę. Myślę o dzisiejszym poranku, o wietrze szarpiącym mi włosy, o Dove w galopie. O dniu po wyścigach, o krwawych śladach na piasku w tej części plaży, do której nie sięga jeszcze ocean.

Myślę o ostatnich łodziach odpływających z Thisby przed zimą i o Gabie na pokładzie jednej z nich. Mogłabym to zrobić, gdyby było trzeba.

– Słyszalesz, co mówią w mieście? Konie się wyłaniają. Jutro zaczynają się treningi. – Jestem dumna, że mój głos brzmi pewnie.

Twarz Gabe'a się porusza, jakby coś mówił, nie otwierając ust. Wiem, że analizuje teraz możliwe kontrargumenty. Gdzieś w głębi serca chcę, żeby powiedział: „Nie możesz tego zrobić”, żebym ja mogła zapytać: „Dlaczego?”, i żeby on musiał zdać sobie sprawę, że nie może odpowiedzieć: „Bo nie możesz zostawić Finna samego”. A teraz nie może po prostu zapytać: „Dlaczego?”, bo wtedy on musiałby mi odpowiedzieć na to samo pytanie. Powinnam być teraz bardzo usatysfakcjonowana i zadowolona z siebie, bo naprawdę trudno jest sprawić, żeby Gabe zaniemówił. Jednak moje serce gwałtownie przyspiesza, a wraz z jego cichym puk, puk, puk pojawia się iskierka nadziei, że jeżeli ja zrezygnuję z wyścigu, Gabe powie, że zostanie.

Ale on mówi po chwili:

– W porządku. Zostanę do wyścigu. – Wygląda, jakby był zły. – Na pewno nie dłużej, bo potem łodzie przestaną kursować aż do wiosny. Robisz coś naprawdę głupiego, Kate.

Jest na mnie wściekły, ale mam to w nosie. Liczy się tylko to, że zostanie jeszcze odrobinę dłużej.

– Cóż, wygląda na to, że jeśli wygram, pieniądze z nagrody będą nam faktycznie potrzebne. – Staram się, żeby moje słowa brzmiały tak dorośle, a zarazem obojętnie, jak to tylko możliwe, ale myślę o tym, że może jeśli wygram, to on nie będzie musiał wyjeżdżać. A potem wstaję od stołu i odkładam talerz i filiżankę do zlewu, jakby to był zwykły wieczór. Idę do swojego pokoju, zamykam drzwi i nakrywam głowę poduszką, żeby nikt mnie nie słyszał.

– Egoistyczny dupek – szepczę w ukryciu.

I wybucham płaczem.

Rozdział czwarty

Sean

Śni mi się morze.

Właściwie śni mi się noc, kiedy złapałem Corra, ale słyszę szum morza. Stara ludowa mądrość głosi, że *eich uisce* schwywane nocą są szybsze i silniejsze. We śnie jest trzecia nad ranem, a ja kucam na kamieniu u podstawy klifu, jakiś kilometr od piaszczystej plaży. Morze wyłobiło w kredzie niszę, której sklepienie znajduje się jakieś trzysta metrów nad moją głową, więc otulają mnie białe ściany. Powinno być ciemno, bo nie sięga tu światło księżyca, ale odbija je ocean i blada skała, więc widzę wystarczająco dobrze, żeby nie potknąć się na chropowatych, pokrytych wodorostami głazach. Kamień pod moimi stopami ma więcej wspólnego z dnem morza niż z jego brzegiem. Muszę uważać, żeby nie stracić równowagi na jego śliskiej powierzchni.

Nasłuchuję.

Jest zimno. W półmroku staram się wychwycić dźwięk niebędący zwykłym szumem morza. Woda podnosi się szybko i cicho, nadchodzi przypyływ i za godzinę woda zaleje tę niby-jaskinię, sięgając powyżej poziomu mojej głowy. Nasłuchuję plusku, impetu wynurzającego się na powierzchnię kopyta, czegokolwiek, co świadczyłoby o tym, że wyłania się *each uisce*. Stukot oznaczałby, że już po mnie.

Ale wokół panuje dziwna cisza, nie słychać nic: żadnych morskich ptaków, okrzyków chłopców na brzegu, silnika łodzi w oddali. Bezlitosny wiatr odnajduje mnie pod skałą. Wytrącony z równowagi jego niespodziewaną siłą, rozczapierzonymi palcami chwytam ściany. Pośpiesznie zabieram rękę – wapień pokryty jest krwistoczerwonymi galaretkami, które skrzą się i lśnią w świetle księżyca. Ojciec mówił, że są zupełnie nieszkodliwe. Nie wierzę w to. Nic nie jest zupełnie nieszkodliwe.

Przypyływ zakrada się między kamienie. Dłoń mi krwawi.

Nagle słyszę dźwięk przypominający miauczenie kociaka albo płacz niemowlęcia i zastygam w bezruchu. Tu, na plaży, nie ma kociąt ani niemowląt. Jesteśmy tylko ja i konie. Brian Carroll powiedział mi, że kiedy spędza noc na morzu, słyszy czasem konie nawołujące się pod wodą i że przypomina to pieśń wielorybów, wdowi lament albo chichot.

Zaglądam do najgłębszej szczeliny między skałami. Woda podniosła się znacznie. Jak długo tu stoję? Głazy przede mną zamieniły się w błyszczące skaliste garby ledwo wystające z czarnej wody. Nic nie złapałem, ale nie mogę tu dłużej zostać – jeśli chcę zdążyć, pora zacząć się wspinać na oślizgłe od wodorostów kamienie.

Patrzę na swoją dłoń. Jej wnętrzem płynie gruba strużka krwi. Zalewa wgłębienie między kośćmi przedramienia, wzbiera, puchnie, kapie bezgłośnie do wody. Później ręka na pewno będzie bolała. Przyglądam się wodzie, w której znika moja krew. Poruszam się bezgłośnie. W jaskini panuje cisza.

Oglądam się i widzę konia.

Jest tak blisko, że czuję jego słońą woń, ciepło jego mokrej skóry. Tak blisko, że mogę spojrzeć mu w oczy i zobaczyć rozszerzoną kwadratową źrenicę. Jego oddech pachnie krwią.

I wtedy mnie budzą.

To Brian i Jonathan Carrollowie. Na ich twarzach maluje się troska. U Briana dość zwyczajnie: zmarszczone brwi, ściągnięte usta. U Jonathana przybiera formę przepraszającego uśmiechu, który co kilka sekund zmienia kształt. Brian jest w moim wieku; znam go z przystani.

Obaj w pracy mamy do czynienia z wodą i łączą nas wspólne wspomnienia, chociaż nie jesteśmy przyjaciółmi. Jonathan jest jego bratem. Chodzi za nim krok w krok, a nawet śledzi jego myśli.

– Kendrick – mówi Brian. – Obudziłeś się?

Teraz tak. Leżę na pryczy, jakbym był do niej przywiązany, i nic nie mówię.

– Przepraszam, że cię budzimy, stary – dodaje wyraźnie skruszony Jonathan.

– Potrzebna nam twoja pomoc – odzywa się Brian. Wprawdzie teraz, w środku nocy, nie darzę chłopaka szczególną sympatią, ale nic do niego nie mam. Mówi to, co myśli. – Nie mamy wyjścia. Mutt wpakował się w niezłe kłopoty. Zachciało mu się zacząć na *each uisce* i dostał to, czego chciał, ale chyba nie jest zadowolony.

– Zabije ich – mówi Jonathan. Wygląda, jakby się cieszył, że udało mu się wygłosić coś tak oczywistego, zanim zdążył zrobić to Brian.

– Ich? – powtarzam jak echo. Jest zimno. Już nie śpię.

– Mutta i kilku jego kumpli – tłumaczy Brian. – Wszyscy się za to wzięli i niby złapali konia wodnego, ale ani nie potrafią go tu przyprowadzić, ani wypuścić.

Siadam na pryczy. Nie żywię ciepłych uczuć do Mutta – Matthew Malverna, nieślubnego syna mojego szefa – i do żadnego ze stajennych, którzy truchtają za nim służalczo, lecz nie mogę zostawić bez pomocy zwierzęcia zaplątanego w jakąś kretyńską pułapkę, którą zbudowali na plaży.

– Ty jesteś ten od koni – oznajmia Brian. – Jeżeli wrócimy bez ciebie, ktoś zginie.

Wrócimy. W końcu rozumiem ich miny. Brali w tym udział i zdają sobie sprawę, co sobie teraz o nich myślę.

Nic nie mówię. Wstaję z łóżka, wciągam stary sweter i sięgam po ubrudzoną czarno-niebieską kurtkę ze wszystkim, co trzymam w jej kieszeniach. Wskazuję szybko głową na drzwi, a oni przebierają nogami jak bekasy na plaży, Jonathan szarpie za klamkę, a Brian pierwszy wychodzi ze stajni.

Zimny wiatr wpycha ręce do kieszeni mojej kurtki jak głodna żywa istota. Niebo nad Skarmouth jest ciemnorude od świateł ulicznych latarni, ale gdzie indziej ma kolor atramentu. Wąziutki sierp księżycy sprawi, że nad oceanem będzie trochę jaśniej, lecz niewiele. Ruszamy przez pola, najkrótszą i najmniej wymagającą drogą na plażę. Nie ma tu nic, tylko kamienie i owce, ale o jedne i drugie łatwo się przewrócić.

– Latarka – mówię.

Brian włącza latarkę i podaje mi ją. Kręcę głową. Ręce będę musiał mieć wolne. Jonathan próbuje dotrzymać nam kroku; promień światła błyska szaleńczo przy każdym jego potknięciu. Przypomina mi się, jak moja matka udawała, że pisze na ścianie snopem światła latarki, gdy w czasie burzy nie było prądu.

– Jak daleko od brzegu? – pytam. Za kilka godzin zacznie się przytyw i jeżeli są w jego zasięgu, to następny *each uisce* będzie najmniejszym z ich zmartwień.

– Niedaleko, stary – dyszy Brian. Nie jest w złej formie, lecz forsowny marsz pozbawia go tchu. Gdyby nie ich miny, kiedy mnie budzili, zatrzymałbym się, żeby mógł złapać oddech.

Właśnie dostrzegam obniżenie terenu między wzgórzami i szczelinę, którą biegnie ścieżka na plażę – w tym miejscu ziemia jest ciemniejsza od nieba – a potem słyszę krzyk. Wiatr niesie go w naszym kierunku. Jest piskliwy, cienki i urywany. Nie da się stwierdzić, czy to głos człowieka, czy zwierzęcia. Włosy jeżą mi się na karku, ale lekceważę to ostrzeżenie i zaczynam biec.

Brian zostaje w tyle – chyba nie ma już siły – i wyczuwam, że Jonathan jest rozdarty. Nie może się zdecydować, czy zostać z Brianem, czy iść ze mną.

– Potrzebna mi latarka! – krzyczę do niego przez ramię. Wiatr rwie moje słowa i chociaż

Jonathan mi odpowiada, nie słyszę, co mówi. Wypadam z kręgu słabego światła jego latarki w ciemność, potykając się i ześlizgując ze stromego zbocza na plażę. Przez krótką chwilę wydaje mi się, że w tym mroku nie dam rady posuwać się dalej naprzód, ale po kilku krokach dostrzegam w dole miotające się światła latarek. Za nimi widać morze oświetlone nikłym blaskiem księżyca.

Wiatr porywa dźwięk w przeciwnym kierunku, więc nawet kiedy jestem już prawie na miejscu, postacie na plaży wydają się nieme. Ich walka wygląda dość składowie, dopóki nie podchodzę całkiem blisko. To czterej mężczyźni, którzy schwytali siwego konia wodnego, zakładając mu liny na szyję i na jedną z tylnych nóg, zaraz nad kopytem. Ciągną za nie i odskakują na przemian, a zwierzę rzuca się na nich i wycofuje, ale tak czy inaczej, ich położenie jest kiepskie i dobrze o tym wiedzą. Złapali tygrysa za ogon, a potem zorientowali się, że ogon jest długi, a więc mogą ich dosięgnąć szczęki niezwykle groźnego drapieżnika.

– Kendrick! – krzyczy ktoś. Nie widzę kto. – Gdzie jest Brian?

– Sean Kendrick?! – woła ktoś inny i wiem, że to Mutt. Trzyma linę owiniętą wokół szyi konia. Poznaje go po budowie ciała, po szerokich ramionach i grubej szyi, która jest jednocześnie brodą. – Kto poszedł po tego łajdaka? Wracaj do łóżka, koński rzeźnik, panuję nad sytuacją!

Panuje nad tym koniem mniej więcej tak, jak kuter rybacki kontroluje morze. Teraz widzę, że drugą linę trzyma Padgett, starszy mężczyzna, który powinien mieć na tyle rozumu, żeby nie powierzać swojego życia Muttowi. W krótkiej przerwie między podmuchami wiatru dobiega mnie jakiś niewyraźny dźwięk. Oglądam się i pod skalistą ścianą w miejscu, gdzie klif spotyka się z plażą, dostrzegam innego kumpla Mutta. Leży skulony, trzymając się za rękę. Wygląda na złamaną. Dźwięk, który słyszałem, był jego jękiem.

– Spadaj stąd, Kendrick! – wrzeszczy Mutt.

Zakładam ręce i czekam. Koń na chwilę przestaje się wrywać. Na tle jasnej kredy klifów widzę drżące ciemne sznury, które go przytrzymują. Zwierzę zaczyna się męczyć, ale tamci również. Umięśnione ramiona Mutta trzęsą się wraz z linami. Pozostali mężczyźni skradają się dokoła, rozkładając na piasku pętle ze sznura w nadziei, że *each uisce* stanie w którejś z nich. Ktoś, kto nie zna koni wodnych, mógłby pomyśleć, że to zwierzę o falujących bokach jest już pokonane. Ale ja widzę jego odrzuconą do tyłu głowę, która upodabnia go raczej do drapieżnego ptaka niż konia, i wiem, że za chwilę sprawy przyjmą paskudny obrót.

– Mutt – mówię. Nawet nie odwraca głowy, ale przynajmniej spróbowałem.

Lina przywiązana do pęciny konia nagle się napręży, kiedy *each uisce* rzuca się na Mutta. Spada na mnie piasek i drobne kamyki spod jego wierzgających kopyt. Powietrze przeszywają krzyki. Padgett zwija i napręży swoją linę, aby odciągnąć konia. Mutta zbyt pochłania troska o własny tyłek, żeby odwzajemnić tę przysługę. Sznur wokół szyi zwierzęcia nagle wiotczeje i koń korzysta z okazji, żeby cofnąć się w kierunku Padgetta, ryjąc kopytami okręgi w piasku. A potem *each uisce* rzuca się na Padgetta i zatapia zęby w jego ramieniu. Staje dęba i opuszcza na niego przednie nogi. Trudno pojąć, dlaczego Padgett nie przewraca się pod tym ciężarem... To nacisk konia na jego ramiona przez krótką chwilę utrzymuje go w pionie. Potem *each uisce* osuwa się na kolana, miażdżąc Padgetta swoim cielskiem.

Teraz Mutt podciąga linę obwiązaną wokół szyi konia, ale za słabo, za późno, zresztą, jakie może mieć szanse sam przeciwko koniowi wodnemu?

Padgett bardziej przypomina teraz mięso niż człowieka. Słyszę, jak ktoś płaczliwie woła:

– Kendrick!

Podchodzę bliżej, spluwam na palce lewej dłoni i chwytam grzywę konia wodnego zaraz za uszami. Drugą ręką wyciągam z kieszeni płaszcz czerwona wstążkę i przyciskam ją do końskiego nosa. Zwierzę szarpie się, ale mój uchwyt na jego czaszce i szyi jest pewny. Szepczę

do jego ucha i koń cofa się chwiejnie. Próbując odzyskać równowagę, wbija kopyto w ciało Padgetta. Padgett to nie mój kłopot. Mój problem polega na tym, że mam tutaj uwiązane na sznurku ważące tonę dzikie stworzenie, które pokiereszowało już dwóch ludzi, i muszę je odciągnąć od pozostałych, dopóki jestem w stanie je utrzymać.

– Nie waż się pozwolić mu uciec! – woła Mutt. – Nie po tym wszystkim! Masz mi go sprowadzić do stajni. Nie pozwól, żeby wszystko poszło na marne.

Chciałbym mu powiedzieć, że to jest koń wodny, a nie pies, i że wyprowadzenie go w głąb łądu, z dala od słonej, prawie listopadowej wody to sztuczka, której nie mam teraz ochoty próbować. Ale nie chcę głośnym krzykiem dodatkowo przypominać zwierzęciu, że jestem tuż obok.

– Rób to, co musisz zrobić, Kendrick! – krzyczy Brian, któremu wreszcie udało się tu dotrzeć.

– Nie waż się wypuścić tego konia – powtarza Mutt.

Samo wydostanie ich wszystkich z tej opresji byłoby wyczynem. Samo doprowadzenie konia do brzegu i wypuszczenie go do oceanu w takiej odległości, żeby zdążyli bezpiecznie uciec, byłoby imponujące. Tylko że ja mógłbym zrobić coś więcej i oni wszyscy to wiedzą. Najlepiej z nich wie o tym Mutt Malvern.

Nie zważając na niego, szepczę do końskiego ucha, przywołuję go głosem morza, jednocześnie wycofując się z zasięgu latarek. Jeden krok dalej od nich wszystkich, jeden krok w stronę oceanu. Przyływ wlewa mi wodę do buta. Siwy koń drży. Odwracam się, żeby spojrzeć na Mutta, i wtedy wypuszczam konia.

Rozdział piąty

Puck

Choć nie czuję, że spałam, rano mam posklejane powieki, a pościel wygląda, jakby rył w niej kret. Niebo za oknem jest błękitne prawie jak w dzień, dlatego uznaję, że nie ma znaczenia, która jest godzina, skoro i tak już się obudziłam. Dość długo stoję, drżąc w swojej koszulce do spania – tej, której ramiączka trochę drapią, ale którą i tak wkładam, bo uszyła ją mama – i kontempluję zawartość komody. Nie mogę się zdecydować, w co się ubrać na plażę. Nie wiem, czy będzie mi zimno, kiedy już trochę pojeżdżę, i nie wiem, czy chcę być ubrana jak dziewczyna, bo pewnie będzie tam Joseph Beringer, który zawsze się na mnie gapi i głupkowato rechocze.

Wpatrując się w swoje ubrania, staram się powstrzymać od górnolotnych myśli w rodzaju: „Będę pamiętała ten dzień do końca życia”.

Wreszcie wkładam to samo co zwykle – wygodne brązowe spodnie i gruby ciemnozielony sweter, który babcia zrobiła na drutach dla mojej mamy. Lubię myśleć o tym, że mama go nosiła, że ma on swoją historię. Patrzę w pokryte plamkami lustro i robię groźną minę. Spogląda na mnie piegowata twarz o prostych brwiach i niebieskich oczach. Niechlujna, zagniewana osoba. Wyciągam jeszcze z kucyka kosmyk włosów. Wolałabym nie przypominać dziewczyny, którą byłam, dorastając. Chciałabym być kimś, kto nie wzbudzi na plaży powszechnej wesołości. Lecz to nie działa. Mam za dużo piegów. Z powrotem zagarniam włosy w koński ogon.

Finn już nie śpi, stoi w kuchni przy zlewie. Ma na sobie ten sam sweter co wczoraj i wygląda jak człowiek, który w nocy się skurczył i teraz tonie we własnym ubraniu. W powietrzu unosi się jakiś ostry zapach, prawie ładny: coś jakby węgiel – przypieczony stek albo grzanka. Po chwili zaczyna jednak przypominać swąd palonego papieru i włosów.

– Gabe już wstał? – pytam. Zaglądam niepewnie do szafki, żeby uniknąć wzroku Finna. Nie jestem pewna, czy mam w ogóle ochotę rozmawiać. Po zajrzeniu do szafki nie jestem też pewna, czy mam ochotę jeść.

– Już pojechał do hotelu – mówi Finn. – Ja... tutaj...

I stawia na stole kubek z wystającą łyżeczką, cały wysmarowany czymś, co jest w środku, w sposób, który gwarantuje, że na stole zostanie mokre kółko. Dopiero teraz dociera do mnie, że w kubku jest gorące kakao, bo unosi się nad nim para.

– Sam zrobiłeś?

Finn zerka na mnie.

– Nie, Święty Antoni przyniósł mi w nocy. Czuł się naprawdę dotknięty, że nie dałem ci tego od razu.

Jestem zszokowana zarówno powrotem humoru Finna, jak i tym, co dla mnie przygotował. Dostrzegam porzucone na kuchennym blacie naczynia, których użył do przygotowania kakao, i teraz już jestem pewna, że źródłem zapachu, który wisi w powietrzu, jest wylane na gorący palnik mleko, ale wobec intencji Finna to nie ma najmniejszego znaczenia. Nagle zupełnie tracę zaufanie do swojej dolnej wargi, więc zaciskam na niej zęby, dopóki się nie uspokoi. Kiedy Finn z własnym kubkiem kakao siada po przeciwnej stronie stołu, wszystko jest już pod kontrolą.

– Dzięki – mówię, a chłopak wydaje się zmieszany. Mama mawiała, że Finn jest jak złośliwy duszek; nie lubi, gdy mu się dziękuję. – Przepraszam – dodaję.

– Posoliłem – rzuca Finn, jakby chciał mi uniemożliwić okazanie mu wdzięczności.

Próbuję. Kakao jest smaczne. Jeżeli jest w nim sól, nie wyczuwam jej smaku wśród pływających wysepek częściowo rozpuszczonego proszku. Grudki przyjemnie rozplývają mi się w ustach. Nie pamiętam, żeby Finn kiedykolwiek w swoim życiu robił kakao. Myślę, że najwyżej patrzył, jak ja je robię.

– Nie czuję soli.

– Sól – tłumaczy mi Finn – sprawia, że kakao staje się słodsze.

Pomyśl, że coś, co nie jest słodkie, mogłoby sprawić, że coś innego będzie słodsze, wydaje mi się strasznie głupi, ale daję temu spokój. Mieszam kakao i rozgniatam kilka grudek na ścianie kubka.

Finn wie, że mu nie wierzę.

– Zapytaj u Palssona. Widziałem, jak robią muffinki czekoladowe. Z solą.

– Nie powiedziałam, że ci nie wierzę! W ogóle nic nie powiedziałam.

Rozgniatam łyżeczką grudki we własnym kubku.

– Wiem, że nie powiedziałas.

Nie pyta, jak długo mnie dzisiaj nie będzie ani skąd mam zamiar wziąć konia na wyścig, nie wspomina też o wyjeździe Gabe'a. Nie mogę się zdecydować, czy sama wolę o tym nie mówić, czy to może fakt, że on o tym nie mówi, doprowadza mnie do szału. Wypijamy do końca kakao, siorbiąc głośno, a potem wstaję, żeby odstawić swój kubek do zlewu.

– Myślę, że nie będzie mnie prawie cały dzień.

Finn odstawia swój kubek obok mojego. Ma poważną minę. Jego chuda szyja wystaje żółtawo ze zbyt dużego swetra. Wskazuje na blat za moimi plecami. W rumowisku naczyń leży rozkrojone jabłko, z jednej strony oblepione okruchami z blatu.

– To dla Dove. Chcę dzisiaj jechać z tobą.

– Nie możesz – mówię, nawet nie zastanawiając się, jakie uczucia budzą we mnie jego słowa.

– Nie codziennie – dodaje Finn. – Tylko dzisiaj. Tylko pierwszego dnia.

Staczam wewnętrzną walkę: wizja dumnej, samotnej Kate pojawiającej się na plaży kontra wizja mnie w towarzystwie jednego z braci, który z boku obserwuje, jak sobie radzę.

– No dobrze. Niech będzie.

Finn sięga po czapkę. Ja biorę swoją. Obie zrobiłam sama na drutach; moja jest w biało-brązowe wzorki w dwóch odcieniach brązu, Finna jest czerwono-biała. Wyszły trochę krzywe, ale rozmiar jest dobry.

Stoimy w czapkach na środku kuchennego pobjowiska. Przez chwilę widzę to pomieszczenie tak, jak mógłby je widzieć ktoś obcy: jakby wszystko, co znajduje się wokół Finna, wyczołgało się z paszczy odpływu w zlewie. Widok jest katastrofalny, my wyglądamy katastrofalnie. Nic dziwnego, że Gabe chce wyjechać.

– Chodźmy – mówię.

Rozdział szósty

Sean

Pierwszego dnia Gorry przyszedł na plażę wcześniej niż wszyscy, żeby wypróbować srokata klacz, którą niedawno schwytał. Jest tak przekonany, że będę ją chciał kupić dla Malverna, że wycenił ją jak dwa konie. Niebo ma ciemnoniebieski kolor, charakterystyczny dla pogodnego wczesnego poranka, właśnie zaczyna się odpływ. W rękawiczkach bez palców kostnieją mi ręce. Przyglądam się, jak Gorry prowadzi przede mną klacz w tę i z powrotem. Jej kopyta zostawiają pierwsze ślady na plaży. Odpływ wygładził piasek, zmywając dowody nieudolnych poczynań Mutta ostatniej nocy.

Klacz robi duże wrażenie. Wśród *eich uisce* spotyka się wszystkie maści typowe dla koni lądowych, ale podobnie jak konie lądowe wodne najczęściej są gniade albo kasztanowe. Rzadziej zdarzają się ciemnobrązowe, palomino, kare lub siwe. Srokaty jest prawdziwą rzadkością. Ta klacz ma tyle samo sierści białej i czarnej: białe chmurki na czarnym tle. Ale wyścigu nie wygrywa się szpanerskimi kolorami.

Klacz porusza się nie najgorzej. Ma silne nogi. To typowe dla koni wodnych. Niewzruszony obserwuję krążące nad nami czarne kormorany o sylwetkach przypominających małe smoki.

Gorry podprowadza zwierzę bliżej. Wskakuję na jej grzbiet i zerkam w dół na Gorry'ego.

– Jest najszybszym *each uisce*, jakiego w życiu dosiędziesz – mówi zachrypniętym głosem.

Corr jest zdecydowanie najszybszym *each uisce*, jakiego dotąd dosiadałem.

Od srokatej czuć miedzią i gnijącymi wodorostami. Kieruje na mnie oko, które płacze wodą morską. Nie podoba mi się – wije się i trudno ją utrzymać – ale może po prostu przywykłem do Corra.

– Wypróbuj ją – proponuje Gorry. – Powiedz mi, czy jesteś w stanie znaleźć szybszego konia.

Dosiadam jej i staram się wsłuchać w rytm jej serca, wyczuć jej naturę. Pozwalam jej klusować. Z położonymi uszami drobi po twardym piasku w kierunku wody. Wyjmuję kawałki żelaza ukryte w rękawach i zataczam nimi kręgi na jej kłębie w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, w miejscu, gdzie ma łatę w kształcie serca. Klacz drży i wykręca się pod wpływem mojego dotyku. Nie podoba mi się nietypowe dla konia pochylenie jej głowy ani to, że w ogóle nie stawia uszu. Jedno i drugie świadczy o tym, że nie można jej ufać. W każdym razie ja ufam jej mniej niż innym koniom.

Gorry zachęca mnie do galopu. Żebym poczuł jej prędkość. Wątpię, czy jej galop może zrekompensować to, jak porusza się klusem. Ale popuszczam wodze i trącam jej boki.

Zrywa się jak rybołów nurkujący po rybę. Prędkość zapiera dech w piersiach. Tyle że cały, całutki czas myśli o wodzie, ciągnie w kierunku morza. I znowu ten wijący się, śliski ruch. Bardziej przypomina morskiego potwora niż konia, nawet teraz, nawet kiedy zbliża się listopad, nawet na suchym lądzie. Nawet kiedy szepczę jej do ucha słowa, na które reaguje Corr.

Ale rzeczywiście jest szybka, właściwie polyka przestrzeń. Mijamy zatoczkę, za którą po kilku sekundach skończy się równy teren. Prędkość uderza we mnie jak morska fala w kredowe klify na Thisby. Nie biorę pod uwagę możliwości, żeby ta klacz była szybsza niż Corr, ale z pewnością mu dorównuje. Zresztą, skąd mogę wiedzieć, skoro jego tu nie ma?

Teren robi się skalisty. Kiedy ściągam wodze, srokata przysiada na zadzie i unosi

przednie nogi, drapieźnie kłapiąc zębami.

Ni stąd, ni zowąd zaczynam czuć, że klacz obezwładniająco pachnie morzem. Nie plażą, co większość ludzi uważa za zapach morza, nie wodorostami ani solą, ale czymś, co można poczuć tylko po zanurzeniu głowy, z płucami pełnymi oceanu, gdy właściwie oddycha się wodą. Żelazo nie działa i teraz gnamy w kierunku wody.

Zaplatam srokatej grzywę, wiązę supły po trzy i po siedem. Jednocześnie śpiewam jej do ucha, a drugą ręką prowadzę ją, zataczając coraz mniejsze okręgi, coraz dalej od wody. Niczego nie mogę być pewien.

Kiedy pędzimy po piasku, zaczyna mnie podstępnie wzywać jej magia. Dotykam jej ciała bardzo niewielką powierzchnią skóry – tylko mój nadgarstek ociera się gdzieś o jej szyję. Nogi mam bezpiecznie ukryte w butach. Ale i tak słyszę bicie jej serca. Usypia moją czujność. Woła mnie, chce, żebym towarzyszył jej w morzu. Gdyby nie doświadczenie zdobyte w ciągu dziesięciu lat ujeżdżania dziesiątek koni wodnych, nie wiem, czy nie pozwoliłbym się jej ponieść. Tym razem udaje mi się obronić przed tą obezwładniającą siłą.

Nie bez trudu.

Wszystko we mnie krzyczy, żebym zaniechał walki i razem z nią gnał do wody.

Trójki.

Siódemki.

Żelazo w dłoni.

– Nie uda ci się mnie utopić – szepczę.

Mam wrażenie, że zatrzymanie i sprowadzenie jej z powrotem do Gorry'ego trwa kilka minut. W rzeczywistości to prawdopodobnie tylko sekundy. Przez cały czas czuję, że jej szyja próbuje mi się wysliznąć, a zęby wciąż są obnażone w sposób, w jaki nie wystawiłby ich żaden koń lądowy. Drży.

Trudno będzie zapomnieć jej prędkość.

– A nie mówiłem, że to najszybsze stworzenie, jakiego dosiędziesz? – pyta Gorry.

Ześlizguję się z grzbietu srokatej i podaję mu wodze. Bierze je z zagadkowym wyrazem twarzy.

– Ta klacz kogoś zabije.

– Oj tam zaraz – protestuje Gorry. – Wszystkie *eich uisce* kogoś zabiły.

– Ja nie wziąłbym jej za darmo – mówię, chociaż gdzieś w głębi serca chciałbym ją mieć.

– Z pewnością ktoś inny ją kupi – stwierdza Gorry. – A wtedy będzie ci żal.

– Że ktoś inny zginie? Wypuść ją. Odwracam się, a Gorry woła do moich pleców:

– Jest szybsza od twojego czerwonego ogiera!

– Wypuść ją – powtarzam, nie odwracając się. Wiem jednak, że tego nie zrobi.

Rozdział siódmy

Puck

Nie spodziewałam się, że to będzie takie okropne.

Na plaży są już chyba wszyscy mężczyźni mieszkający na wyspie, tak to przynajmniej wygląda. Finn przekonał mnie, żeby jechać morrisem, który natychmiast się zepsuł, więc dotarliśmy ostatni. Przed nami rozciągają się dwa morza: daleki ocean głębokiego błękitu i kłębiąca się masa koni i ludzi. Nie ma tu ani jednej dziewczyny, chyba że zaliczę do nich Tommy'ego Falka, bo ma takie śliczne usta. Ludzie robią tysiąc razy więcej szumu niż ocean. Nie wiem, jak mogą się tam ruszać i oddychać, nie mówiąc o trenowaniu. Wszyscy krzyczą na konie i na siebie nawzajem. To jest jak jedna wielka kłótnia, tylko nie wiadomo, kto ma pretensje do kogo.

Finn i ja stoimy u wylotu długiej, stromej ścieżki prowadzącej na plażę. Ziemia pod naszymi stopami jest zryta kopytami, pełno tu powyrywanych kawałków darni. Finn marszczy brwi, przyglądając się zbiorowisku ludzi i zwierząt na dole. Mój wzrok przyciąga koń galopujący odległym odcinkiem opuszczonej przez odpływ plaży. Jest czerwony jak świeża krew, z ciemną przygarbioną figurką na grzbiecie. Jego kopyta co kilka kroków uderzają fale, rozpryskując wodę.

Widok tego zwierzęcia galopującego z zapierającą dech prędkością jest tak zdumiewająco piękny, że aż kluje mnie w oczy.

– Tamten wygląda jak dwa konie sklezione razem – mówi Finn.

Odrywam wzrok od czerwonego rumaka i patrzę na plażę u stóp klifu.

– Bo jest srokaty – wyjaśniam. Klacz, którą wskazuje, jest czarna, nakrapiana dużymi śnieżnobiałymi łatami. Na kłębie ma małą plamkę, która wygląda jak krwawiące serce. Oddala się od pozostałych prowadzona przez karłowatego człowieczka w meloniku.

– Bo jest srokaty – przedrzeźnia mnie Finn.

Trzepię go po głowie i szukam wzrokiem jeźdźca na czerwonym koniu, ale już go nie ma. Czuję się dziwnie podenerwowana.

– Chyba powinniśmy zejść na plażę – mówię.

– Czy wszyscy tam dzisiaj są? – pyta Finn.

– Na to wygląda.

– Skąd weźmiesz konia?

Nie bardzo wiem, co odpowiedzieć, dlatego pytanie Finna mnie irytuje. Robię się jeszcze bardziej rozdrażniona, kiedy zauważam, że oboje stoimy dokładnie w takiej samej pozycji, więc albo ja stoję tak jak mój brat, albo on stoi tak jak ja. Wyjmuję ręce z kieszeni i warczę:

– A co to, zgaduj-zgadula?

Usta i brwi Finna rozciągają się w dwie równoległe linie. To jego popisowa mina, chociaż nie bardzo wiadomo, co ma oznaczać. Kiedy był mały, mama z powodu tego grymasu nazywała go żabą. Teraz, gdy już czasami się goli, nie przypomina płaza tak bardzo jak kiedyś.

Mój brat robi swoją żabią minę i wślizguje się w tłum. Mam zamiar pójść za nim, kiedy nagle jakiś przeszywający lament sprawia, że nie mogę się ruszyć.

To srokata klacz. Jest w pewnej odległości od pozostałych, patrzy na nich albo na morze. Odrzuciła głowę do tyłu i wydaje dźwięk, który nie przypomina rżenia. To krzyk.

Jej głos jest bardziej donośny niż wiatr, szum fal, zgiełk krzątających się ludzi. Unosi się ponad innymi odgłosami. To lament pradawnych drapieźników. Tysiące mil morskich dzieli go

od wszelkich dźwięków, które mógłby wydać z siebie zwykły koń.

To jest potworne.

Mogę myśleć tylko o jednym: czy to taki głos słyszeli moi rodzice jako ostatni?

Jeśli natychmiast nie zejść na plażę, może nie starczyć mi odwagi. Wiem o tym. Czuję to. Moje nogi przypominają wodorosty. Drzę tak mocno, że prawie skręcam kostkę, wpadając w dziurę wybitą przez końskie kopyto. Oddycham z ulgą, kiedy łaciata klacz przestaje wyc, ale gdy schodzimy, nie da się ukryć, że *eich uisce* nawet zapachem różnią się od prawdziwych koni. Dove pachnie delikatnie sianem, trawą i melasą. *Eich uisce* cuchną mięsem, solą, odpadami i rybami.

Staram się oddychać przez usta i myśleć o czymś innym. Pod nogami płaczą się niepilnowane przez nikogo psy. Konie wymachują kopytami, a ludzie spluwają na ziemię, tak jakby wierzyli, że to ochroni jeźdźców. Są bardziej rozjuszeni niż teriery u rzeźnika. Cieszę się, że Finn zniknął w tłumie, bo czułabym się okropnie, gdyby mnie oglądał w stanie takiego oszołomienia.

Prawda jest taka, że nie bardzo wiem, skąd wziąć konia na wyścig, nie mając gotówki. Moja wiedza na temat tych zawodów pochodzi z czasów, kiedy wszyscy chłopcy w szkole chwalili się, że gdy dorosną, wystartują w Wyścigu Skorpiona. W rzeczywistości żaden z nich tego nie zrobił, na ogół po prostu wyjeżdżali na stały ląd albo zostawali farmerami, ale ich ówczesne wielkie plany są teraz dla mnie pewnego rodzaju źródłem informacji. Szczególnie że mój dom był jednym z niewielu, w których nie interesowano się wyścigami.

– Dziewczyno! – rzuca człowiek przytrzymujący dereszowatego konia. Zwierzę grzebie kopytami i szarpie się, jakby galopowało w miejscu. – Patrz pod nogi!

Spoglądam na ziemię, ale i tak dopiero po chwili dostrzegam narysowany na piasku okrąg, przecięty śladem moich butów. Wyskakuję z niego.

– Zostaw to! – krzyczy facet, kiedy próbuję odtworzyć okrąg. Dereszowaty ciągnie go w stronę przerwy w linii. Cofam się i znowu na mnie wrzeszcza – dwóch mężczyzn niesie chłopca z krwawiącą raną na głowie. Chłopiec przeklina. Odwracam się gwałtownie i potykam o zaniechanego, bezpańskiego psa.

– Niech cię cholera! – rzucam do psa tylko dlatego, że on mi nie odpowie.

– Puck Connolly!

To Tommy Falk ze swoimi ślicznymi ustami.

– Co tutaj robisz?

Wydaje mi się, że to właśnie powiedział. Głosy innych ludzi zagłuszają większość jego słów, a wiatr kradnie resztę.

– Szukam meloników – mówię. Czarne meloniki mają wyróżniać dealerów. Na pozostałej części wyspy kogoś, kto nosi melonik, nazywa się handlarzem, od handlarzy koni, i nie jest to pochlebne określenie. Meloniki czasem wkładają też chłopcy, którzy chcą wyglądać na buntowników. Najczęściej jednak wyglądają jak kretyni.

– Nie słyszę! – krzyczy Tommy.

Ale wiem, że słyszał. Tylko nie wierzy własnym uszom. W każdym razie nie ma znaczenia, czy Tommy jest głuchy jak pień, czy nie, bo dostrzegam melonik na głowie karłowatego człowieczka, który wcześniej trzymał łaciata klacz.

– Dziękuję! – wołam do Tommy'ego, chociaż właściwie wcale mi nie pomógł.

Zostawiam go za sobą i lawiruję w tłumie w kierunku karła. Z bliska nie wydaje się tak niski, za to wygląda, jakby kilka razy solidnie oberwał cegłą w twarz: dwa razy dla jej spłaszczenia i co najmniej raz na dokładkę.

Widzę, że z kimś się kłóci.

– Sean Kendrick – rzuca handlarz. Nazwisko brzmi znajomo, szczególnie wypowiedziane tym pogardliwym tonem. Karzeł w meloniku ma niepasujący do swej postury, podszyty dymem papierosowym głos, a słowa poprzedza twardym „h”. – He. Woda morska uderza mu do głowy. To co on takiego wygaduje o moich koniach?

– Nie chciałbym tego powtarzać – odpowiada uprzejmie jego rozmówca.

To doktor Halsal z błyszczącymi czarnymi włosami rozdzielonymi z boku równym przedziałkiem. Lubię pana Halsala. Jest bardzo rozsądny. To krępy, zadbany mężczyzna, który bardziej przypomina naszkicowaną postać z portretu niż osobę z krwi i kości. Kiedy miałam sześć lat, chciałam wyjść za niego za mąż.

– Jest szalony jak ocean – mówi handlarz w meloniku. – Chodź, pan, jak jej dosiędziesz, będziesz pan chciał ją kupić.

– Tak czy owak – stwierdza doktor Halsal – obawiam się, że będę musiał dać za wygraną.

– Jest szybka jak diabeł – przekonuje karzeł, ale doktor już się odwraca, a jego plecy nie słuchają handlarza.

– Przepraszam – mówię, a mój głos wydaje mi się bardzo cienki. Karzeł się odwraca. Jego niedopasowana twarz wygląda przerażająco, kiedy jest zirytowany. Próbuję zebrać myśli i sformułować poważnie brzmiące pytanie. – Czy zawiera pan kwinty?

Kwinta to kolejna rzecz, o której dowiedziałam się od kolegów marzycieli. To zakład, coś w rodzaju hazardu. Czasami handlarz pozwala wziąć konia za darmo pod warunkiem, że dostanie cztery piąte wygranej w wyścigu, czyli niewiele, chyba że mówimy o pierwszym miejscu. Wtedy można sobie za to kupić całą wyspę. No, w każdym razie większą część Skarmouth – tę, która nie jest własnością Benjamina Malverna.

Karzeł spogląda na mnie i odpowiada:

– Nie. – Widzę jednak, że myśli: „Nie dla ciebie”.

Wewnątrz trochę się trzęsę, bo dotąd jakoś nie przyszło mi do głowy, że spotkam się z odmową. Czy aż tylu ludzi chce dosiadać *eich uisce*, że handlarze mogą być wybredni? Słyszę własne słowa:

– Dobrze. Czy mogę prosić o wskazanie kogoś, kto się tym zajmuje – i dodaję pośpiesznie – proszę pana? – bo tata powiedział kiedyś, że zwrot „proszę pana” zmienia oprycha w dżentelmena.

Gnom na to:

– Meloniki. Ich się pytaj.

Czasem oprych pozostaje oprychem. Gdybym była młodsza, naplułabym mu na buty, ale mama oduczyła mnie tego zwyczaju z pomocą niebieskiego stołeczka przy umywalce i dużej ilości mydła, którą dokładnie wymyła mi buzię, mówiąc, że jeśli wpadł mi tam jakiś paproch, nie będę musiała więcej pluć, żeby się go pozbyć, bo już na pewno go nie ma.

Więc tylko odchodzę bez podziękowania – był jeszcze mniej pomocny niż śliczny Tommy Falk – i dalej toruję sobie drogę przez tłum w poszukiwaniu następnego melonika; skutek jednak jest ten sam. Wszyscy od razu odmawiają rudowłosej dziewczynie. Jeden marszczy brwi, kolejny się śmieje, a jeszcze inny nawet nie czeka, aż skończę zdanie.

Zbliża się pora lunchu i mój żołądek zaczyna warczeć. Jacyś ludzie sprzedają jeźdźcom jedzenie, ale wszystko jest drogie, w dodatku mam wrażenie, że śmierdzi krwią i zepsutą rybą. Nie ma śladu Finna. Na plażę zaczyna wkradać się przyływ i ci mniej odważni już ją opuścili. Wycofuję się pod ścianę klifu i stoję plecami do kredowej skały, rozczapierzając palce na jej zimnej powierzchni. Jakiś metr nad moją głową kończy się ciemniejsza część skały. To poziom, do którego za kilka godzin podniesie się woda. Widzę siebie, jak stoję w tym miejscu i czekam, aż pochłonie mnie ocean.

Czuję pieczenie pod powiekami, do oczu napływają mi łzy gniewu. Najgorsze jest to, że w pewnym sensie cieszę się z takiego obrotu spraw. Te przerażające potwory nie mają nic wspólnego z Dove i nie potrafię sobie nawet wyobrazić, że dosiadam jednego z nich, nie mówiąc już o zaprowadzeniu go do domu i uczeniu go przez miesiąc, żeby jadł drogie krwiste mięso, a nie mnie. Czasem dzieci łapią latem ważki, przywiązują im nitki tuż za oczami i trzymają je jak domowe zwierzątka. Ci mężczyźni ze swoimi *eich uisce* przypominają takie ważki na nitkach. Konie ciągną ich w tę i z powrotem, jakby nic nie ważyli. Nie chcę myśleć, co te stworzenia mogłyby zrobić ze mną.

Patrzę w morze. Przy brzegu woda jest turkusowa w miejscach, gdzie powpadały do niej bloki skały kredowej, i czarna tam, gdzie głązy porastają ciemnobrązowe krasnorosty. Za tą wielką wodą znajdują się miasta, w których zniknie Gabe. Wiem, że nigdy więcej go nie zobaczymy. I nie będzie wcale pocieszające, że żyje gdzieś tam daleko. Jego wyjazd stanie się dla nas dokładnie tak samo straszny jak śmierć rodziców.

Mama mówiła, że pewne rzeczy nie dzieją się bez powodu, że czasami przeszkody są po to, żeby powstrzymać nas przed popełnianiem głupstw. Często mi to powtarzała. Ale kiedy powiedziała to samo Gabe'owi, tata wytłumaczył mu, że czasami to po prostu znak, że trzeba się bardziej postarać.

Biorę głęboki oddech i ruszam w kierunku jedyne go faceta w meloniku, który nie unika mojego wzroku. Karła. Został mu już tylko jeden koń: srokata klacz, która wcześniej krzyczała.

– Hej, ty! – woła, gdy już mam go minąć.

– Chyba musimy porozmawiać – mówię. Czuję, że wyglądam nieprzyjaźnie i nieporządnie. Cały urok, jakim dysponowałam na początku, znikł.

– Z ust mi to wyjął. Właśnie się zwijam. Ja nie chcę tu jutro wracać, a ty chcesz mieć *each uisce*, prawda? Ile za nią dasz?

Pierwsza moja myśl to: „Hm, ile właściwie mam?”. Potem idę po rozum do głowy i przypominam sobie jego wcześniejszą niechęć do współpracy.

– Nie mogę zapłacić od razu – odpowiadam. Muszę się tego trzymać. Jeżeli Gabe zostawi nas samych, to nie zanoszą się na to, żeby w najbliższym czasie nasza sytuacja miała się poprawić.

– Interesuje mnie kwinta.

– Ta klacz jest wyjątkowa – zachwala gnom. – W tej chwili to najszybsze stworzenie na wyspie. – Odsuwa się tak, żebym mogła ją obejrzeć. Zwrócić się denerwuje, wokół nosa przez ogłowie ma przewleczone łańcuch. Jest zabójczo piękne i gigantyczne. Mam wrażenie, że musiałabym ustawić dwie Dove jedną na drugiej i dosiąść tej na górze, żeby móc spojrzeć srokatej w jej dzikie oczy. Cuchnie jak zwłoki wyrzucone na brzeg w czasie sztormu.

Nagle klacz spostrzega psa, który biega wolno po plaży. W jej wzroku jest coś bardzo niepokojącego.

– W takim razie chętnie pan na nią postawi – mówię. Jestem rozdrażniona, ale staram się, by mój głos brzmiał profesjonalnie. Ciężko jest walczyć o to, by być traktowanym jak równy partner w negocjacjach, kiedy myśl o dobieciu targu przyprawia człowieka o mdłości.

– Nie mam ochoty przyjeżdżać tu drugi raz po zapłatę – stwierdza handlarz.

Zakładam ręce. Udaję, że jestem Gabe'em. On potrafi być niewzruszony i wyglądać, jakby mu nie zależało, podczas gdy w rzeczywistości jest zupełnie odwrotnie. Staram się zdobyć na maksymalnie znudzony ton.

– Albo mówi pan prawdę, albo nie. Jeżeli ona jest najszybszym czworonożnym stworzeniem na wyspie, to dlaczego pan wątpi, że jej start w wyścigu przyniesie więcej niż cena, którą mógłby pan za nią dostać?

Karzeł przeszywa mnie wzrokiem.

– To nie do niej nie mam zaufania.

Patrzę na niego spode łba.

– To samo sobie właśnie myślałam.

Nagle zaczyna się śmiać.

– W takim razie wsiadaj – rzuca. – Zobaczmy, jak ci z nią pójdzie. – Wskazuje głową na piasek. Leży na nim siodło z uniesionym łękiem.

Biorę głęboki wdech i staram się wymazać z pamięci jej wcześniejszy krzyk. Próbuję zapomnieć, jak zginęli moi rodzice. Muszę myśleć o Gabie i wyrazie jego twarzy, kiedy mówił, że wyjeżdża. Mam wrażenie, że drżą mi ręce, choć w rzeczywistości są nieruchome.

Dam radę.

Rozdział ósmy

Puck

Handlarz podprowadza klacz do jednego z porośniętych krasnorostami głazów, żebym mogła go użyć jako podestu do wsiadania. Zwierzę kręci się w kółko, nigdy nie jest wystarczająco blisko kamienia. Nie przestaje patrzeć na psa, który biega wokół nas zainteresowany czymś śniadaniem porzuconym w pobliżu kopyt srokatej. Zimny wiatr owiewa mi szyję, w palcach u stóp nie mam czucia, jakby zmieniły się w kamyki.

– Spokojniejsza już nie będzie – irytuje się handlarz. – Wsiadasz czy nie?

Zaciskam pięści, żeby nie zdradziło mnie drżenie rąk. Potrafię myśleć jedynie o masywnych zębach wciągających do oceanu moich rodziców. Nawet nie strach mnie powstrzymuje, tylko myśl, że obserwują mnie z miejsca, w którym teraz są. Czy widzą z nieba tę plażę? Może klify zasłaniają im widok? Co by powiedzieli na to, co robię? Jak zareagowałiby na moją decyzję? Drwili z wyścigów, konie wodne zabiły ich w ich łodzi, a teraz ja próbuję dotrzeć jednego z nich i wystartować w wyścigu.

Mogę sobie wyobrazić tatę z małą półkolistą zmarszczką na górnej wardze, która robiła mu się, kiedy był zdegustowany albo rozczarowany.

Klacz odrzuca głowę, sprawiając, że karzeł trzymający uwiąz prawie unosi się nad ziemię.

Musi być inne wyjście. Musi istnieć sposób, żeby uniknąć jazdy na tym koniu. Ale jak mam bez niego wystartować w wyścigu?

Wtedy dostrzegam Finna, który nagle pojawił się obok kamienia, na którym balansuję. Nic nie mówi. Patrzy na mnie i cały czas szczypie się po ramionach. Myślę, że robi to bezwiednie.

– Przestań – zwracam się do niego. Chyba już podjęłam decyzję.

– Dziewczyno! – rzuca handlarz. – Teraz!

Mięśnie klaczy drżą pod jej skórą.

To nie dla mnie.

– Przepraszam – mówię. – Zmieniłam zdanie.

Widzę jeszcze, jak srokata przewraca oczami, a potem wszystko się rozmywa. Obok przewala się fala czerni i bieli, coś mnie spycha z kamienia. Głośno sapię, uderzając plecami o ziemię. Czuję, że jedna strona mojej twarzy robi się ciepła i mokra. Nad sobą widzę klacz, która stoi dęba, słyszę krzyk i równocześnie dociera do mnie, że wilgoć na moim policzku to krew, ale nie moja. Pochodzi z czegoś, co łaciata trzyma w zębach.

Wytaczam się spod zasięgu kopyt, ocieram twarz, próbuję stanąć prosto. Złapać oddech. Odzyskać wzrok. Klacz przysiada na zadzie i potrząsa ciemnym łupem.

Rozrywa go, przytrzymując kopytem. Na piasku rozlewa się kałuża krwi.

Wołam Finna.

Koń kładzie uszy i rzuca we mnie częścią swojej ofiary. Wydaję z siebie jakiś nieartykułowany dźwięk, ni to krzyk, ni to szloch, i odskakuję przed nadlatującym krwawym strzępem. Wypada z niego coś żylastego jakby macki meduzy. Chciałabym tylko upaść na kolana i o niczym nie myśleć.

Leżący przede mną kawał mięsa jest pokryty krótką ciemną sierścią, posklejaną krwią i piaskiem. Ledwo można rozpoznać, co to jest. Boję się, że wymiotuję.

To pies.

Ludzie krzyczą: „Sean Kendrick!”, a ja wołam: „Finn!”, i mój brat pojawia się obok. Wygląda jak kopia dziwacznych rzeźb przy wejściu do kościoła w Skarmouth – małych starych ludzików z wielkimi wyłupiastymi oczami.

– Myślałem...

Wiem, bo ja też tak myślałam.

– Proszę cię, nie jedź na niej – mówi gorączkowo Finn. Właściwie nie mogę sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz o coś mnie prosił takim błagalnym tonem. – Nie jedź na żadnym z tych koni.

– Nie pojedę – odpowiadam. – Pojadę na Dove.

Rozdział dziewiąty

Sean

Pod wieczór, kiedy przypływ już dawno przepędził wszystkich w głąb łądu, przyprowadzam Corra na plażę. Przed sobą mamy nasze gigantyczne cienie. O tej porze roku o piątej zapada już zmierzch i piasek robi się zimny. Zostawiam siodło i buty przy pochylni dla łodzi, na zasypywanej miękkim piaskiem trawie. Oczy Corra są zwrócone na ocean, który powoli zaczyna się cofać.

Odciskamy ślady na wygładzonym przez odpływ twardym piachu. Pod bosymi stopami wydaje się lodowaty, szczególnie kiedy pod moim ciężarem wypływa z niego zimna woda. To prawdziwa ulga dla pokrytej pęcherzami skóry.

Koniec pierwszego, ciągnącego się w nieskończoność dnia. Plaża zebrała swoje żniwo. Jakiś chłopak spadł z konia i rozbił głowę o głaz. Jakiś mężczyzna dorobił się rany, która wyglądała groźnie, ale nie okazała się na tyle poważna, żeby nie mógł jej wyleczyć kufel piwa i kilka godzin snu. A potem był jeszcze ten pies. Nie dziwi mnie, że padł ofiarą łaciatej klaczy.

Podsumowując, bywało gorzej.

Dziś wieczorem u Grattona zacznie się rejestracja zawodników. Podam swoje nazwisko i imię Corra, chociaż to czysta formalność. Potem zacznie się szalony tydzień. Niezdecydowani miejscowi i turyści będą sprawdzali swoje konie, żeby się przekonać, czy starczy im odwagi: aby naprawdę startować albo żeby dosiąść konia, którego wybrali. Zwierzęta będą kupowane, sprzedawane, zamieniane. Ludzie będą się stawali właścicielami, jeźdźcami, faworytami. Dla mnie to frustrujący okres. Za dużo negocjacji, za mało treningów. Zawsze czuję ulgę, kiedy kończy się ten pierwszy tydzień i jeźdźcy muszą oficjalnie zadeklarować swoje wierzchowce podczas Festiwalu Skorpiona.

To wtedy naprawdę zaczyna się życie.

Corr podnosi głowę, strzyże uszami, wygina szyję, jakby kokietował morze, którego śpiew staje się coraz bardziej donośny, w miarę jak słońce zbliża się do znaku Skorpiona. Szepczę do Corra i ciągnę uwiąz. Chcę, żeby słuchał mnie, a nie pieśni tej potężnej wody. Obserwuję jego oczy, uszy, linię ciała, aby zobaczyć, czy głos dziś zwycięży: mój czy oceanu.

Odwraca do mnie głowę tak szybko, że błyskawicznie wyciągam z kieszeni żelazny pręt. Ale to nie był atak, chciał tylko przyjrzeć mi się swoim zdrowym okiem.

Ufam Corrowi bardziej niż któremukolwiek innemu koniowi wodnemu. W ogóle nie powinienem mu ufać.

Jego szyja jest miękka, chociaż skóra wokół oczu napięta. Wbiegamy do wody. Gwałtownie wydecham powietrze, kiedy lodowata fala podkrada się niepostrzeżenie aż do moich kostek. Obserwuję Corra uważnie, chcę widzieć, co może działać magia wirująca wokół jego kopyt. Drży, ale nie pręży się; robiliśmy to już wcześniej, a miesiąc dopiero się zaczął. Nabieram w dłoń morską wodę i polewam jego bark, przyciskając usta do jego skóry i szepcząc. Stoi spokojnie, więc ja także stoję razem z nim, pozwalając zapiaszczonym falom obejmować moje zmęczone stopy.

Corr, czerwony jak zachód słońca, patrzy na ocean. Znajdujemy się na wschodnim brzegu wyspy, więc możemy obserwować nadejście nocy. W wodzie odbija się obraz nieba, nasze cienie kładą się na jej powierzchni, zmieniają kolory wraz z grzywami fal i morską pianą. Kiedy patrzę na cień Corra, widzę eleganckiego olbrzyma. Gdy spoglądam na swój, pierwszy raz w życiu dostrzegam postać ojca. Miał trochę bardziej przygarbione ramiona, jakby wечно kulił się

z zimna. I dłuższe włosy. Ale bez wątpienia tam jest, zawsze z podniesioną głową. Jeździec, nawet kiedy stoi na ziemi.

Tracę czujność i nie reaguję, gdy Corr się porusza i odchodzi. Zanim zdaję sobie sprawę, co się dzieje, prawie staje dęba, ale zaraz potem opuszcza kopyta z powrotem w to samo miejsce, wzbijając ścianę wody, która zalewa mi twarz. W ustach mam sól. Corr strzyże do mnie uszami, wyginając szyję.

Po raz pierwszy od wielu dni parskam śmiechem. W odpowiedzi Corr otrzepuje głowę i szyję jak mokry pies. Cofam się parę kroków, on idzie za mną, a wtedy ja rozpryskuję wodę nogą. Corr się wzdryga, wygląda na głęboko urażonego, a potem przebiera kopytami, żeby opryskać mnie. Miotamy się to w jedną, to w drugą stronę, on goni mnie, następnie ja jego. Nigdy nie staję do niego plecami. Później on udaje, że pije wodę i odrzuca głowę, naśladując obrzydzenie. Nabieram wody w dłoń, jakbym chciał się jej napić, ale jedynie ochlapuję nią Corra.

W końcu dostaję zadyszki, stopy mam obolałe od kamyków leżących na dnie, a woda jest tak zimna, że nie mogę już w niej wytrzymać. Podchodzę do Corra, a on opuszcza głowę, przyciskając czoło do mojej piersi. Czuję jego ciepło przez mokrą koszulę. Gładzę palcem skórę za jego uszami, żeby go uspokoić, i przesuwam ręką po jego grzywie, żeby uspokoić siebie.

Z niewielkiej odległości dociera do mnie stłumiony plusk. To może być ryba, chociaż musiałaby być naprawdę sporych rozmiarów, abym mógł ją usłyszeć wśród fal. Patrzę w ciemniejące morze.

Mam wrażenie, że to jednak nie ryba, i Corr jest tego samego zdania. Znowu patrzy na horyzont. Drży. Zaczynam wycofywać się z wody, ale dopiero po chwili udaje mi się przekonać go, żeby szedł za mną. Powoli stawia jeden krok, potem drugi. Kiedy fale już go nie dosięgają, zatrzymuje się na sztywnych nogach. Ogląda się na morze, podnosi głowę i szczyrzy zęby.

Szarpię ostro za uwiąz i zanim zdąży wydobyć z siebie głos, przyciskam żelazo do jego piersi. Nie będzie śpiewał ich pieśni, dopóki jest w moich rękach.

Kiedy wspinam się z powrotem po pochylni, dostrzegam jakieś postacie na drodze do Skarmouth. Stoją na krawędzi, w miejscu, gdzie klif styka się z niebem, czarne na czerwonym tle. Chociaż znajdują się daleko, bez trudu rozpoznaję Mutt Malverna. Ich pozy świadczą o zainteresowaniu moimi postępami, więc jestem nieufny, idąc w ich stronę.

Wkrótce przekonuję się, że Mutt Malvern nasikał mi do butów.

Teraz się ze mnie śmieją. Nie zrobię Muttowi przyjemności i nie okażę obrzydzenia. Wyrzepuję tylko buty – chociaż szkoda plaży na jego mocz – związuję je sznurowadłami, przewieszam przez siodło na grzbiecie Corra i pnę się w górę. Jest już prawie ciemno, ale czeka mnie jeszcze sporo pracy. Przed dziesiątą muszę być u Grattona. Przede mną wciąż rozciąga się dzień, choć powoli nikaący w ciemności.

Idziemy w głąb ładu.

Buty śmierdzą moczem.

Rozdział dziesiąty

Puck

Od bardzo dawna nie byłam w Skarmouth po zmroku. Czuję się trochę tak jak wtedy, kiedy tata ogolił głowę. Odkąd pamiętałam, miał ciemne loki, które w pewnym sensie przypominały mnie – tata wstawał rano i starał się je przekonać, żeby zachowywały się tak, jak on chce, a potem one robiły mniej więcej to, co same chciały. W każdym razie gdy miałam siedem lat, któregoś dnia tata wrócił z portu, ogolony. Kiedy zobaczyłam, jak wchodzi do domu i całuje w usta moją mamę, rozplakałam się, bo myślałam, że to ktoś obcy.

Podobne uczucia wzbudza we mnie Skarmouth. Po zmierzchu zmienia się w całkowicie inne miasteczko niż to, które znałam przez całe życie, i w najbliższej przyszłości raczej nie pozwolę mu całować się w usta. Noc pomalowała wszystko na granatowo. Budynki naciskają na siebie nawzajem. Oparte o skały, spoglądają w dół na czarne nabrzeże. Latarnie uliczne mają lśniące aureole, po kablach telefonicznych pełzną papierowe lampiony. Przypominają lampki choinkowe albo świetliki lecące spiralną chmurą ku niewyraźnym konturom kościoła Świętego Kolumbana nad miastem. Pod ścianami budynków stoją setki rowerów, wzdłuż ulic parkuje więcej samochodów, niż sądziłam, że jeździ po całej wyspie. W ich szybach odbijają się światła uliczne, a ze środka wysiadają nieznajomi mężczyźni. Z rowerów zeskakują ledwo znani mi chłopcy. Tyłu ludzi widywałam na ulicach Skarmouth tylko w dni targowe.

Jest w tym coś magicznego i przerażającego zarazem. Czuję się zagubiona, a przecież to tylko Skarmouth. Nie mogę sobie wyobrazić Gabe'a na stałym lądzie.

– Puck Connolly! – Rozpoznaję głos Josepha Beringera. – Już po dobranocce!

Podjeżdżam jak najbliżej sklepu rzeźnika i opieram rower Finna o metalową balustradę, która ma chronić przechodniów przed upadkiem na rozciągające się poniżej nabrzeże, chyba że komuś jest to absolutnie pisane. Morze ma dzisiaj dziwny rybi zapach. Zerkam w dół w poszukiwaniu kutrów rybackich, które można by za to winić, ale nie ma tam nic poza czarną wodą i odbijającymi się w niej światłami – z morza patrzy na mnie drugie Skarmouth.

Joseph czymś tam się jeszcze przechwala, ale nie zwracam na to uwagi. W jakimś sensie cieszę się, że on tu jest i robi za prostaka, bo jest tak nieodłącznym elementem miejscowego folkloru, że wszystko wydaje się dzięki niemu mniej obce.

Nagle Joseph mocno ciągnie za mój koński ogon, aż odskakuje mi głowa. Obracam się do niego gwałtownie z rękami na biodrach. Przed sobą mam pryszczatą twarz z za dużym uśmiechem i blond czupryną. Z jego ust wydobywa się donośne „uuuuu”, jakby był pod wrażeniem, że na niego patrzę.

Zastanawiam się, jak to złośliwie skomentować, ale przepelnia mnie irytacja, że coś, co mogło bawić jedenastolatka, nadal śmieszy siedemnastoletniego chłopaka. Więc rzucam tylko z wściekłością:

– Nie mam dzisiaj czasu na twoje wygłupy!

To wprawdzie zawsze aktualne, lecz dziś bardziej niż zwykle. Muszę zgłosić swój udział w wyścigu. Ponieważ się spieszyłam, Finn łaskawie zgodził się nakarmić za mnie Dove. Kiedy wychodziłam, wpatrywał się w wiadro, jakby w życiu nie widział tak skomplikowanego wynalazku.

Joseph ciągle marudzi, że powinnam już spać. Gdy uczepli się jakiegoś tematu, musi zajeździć go na śmierć. Jedno jest pewne: przy nim nie trzeba się martwić, że przegapi się jakąś subtelność. Ignoruję go i pędzę do sklepu Grattona, rzeźnika. Kiedy patrzę na mijanych po

drodze ludzi, wśród których są już pierwsi turyści, przypominam sobie, jak mama mawiała, że Festiwal Skorpiona jest potrzebny, bo bez niego nasza wysepka byłaby zupełnie wymarła.

Cóż, dzisiaj Thisby rzeczywiście żyje.

U Grattona panuje tumult, tłum wylewa się na chodnik. Ciężko się dopchać do drzwi. Nie powiedziałabym, że w Skarmouth ludzie są nieuprzejmi, ale piwo sprawia, że głuchną. Wnętrze sklepu aż wrze od hałasu, wzdłuż ścian ciągnie się kolejka. Sufit wisi jakoś nisko i przytłacza gołymi belkami tuż nad głową. Nigdy nie widziałam tu tylu ludzi. Trzeba przyznać, że jest w tym jakaś koszmarna logika. Sklep rzeźnika jest nieoficjalnym centrum wyścigów, bo tu właśnie wszyscy jeźdźcy kupują mięso.

Poza mną.

Pod ścianą naprzeciwko od razu dostrzegam Thomasa Grattona, który krzyczy coś do czyjegoś ucha. Jego żona Peg stoi za ladą z kawałkiem kredy w dłoni. Uśmiecha się do kogoś, z kim rozmawia. Thomas może i jest właścicielem tego miejsca, ale – jak mawiał tata – rządzi tutaj Peg. Wszyscy mężczyźni w Skarmouth są w niej zakochani. To dlatego – twierdził tata – że wiedzą, że Peg potrafiłaby równiutko wykroić każdemu z nich serce. Cóż, z pewnością nie z powodu jej wyglądu.

Staję w kolejce do Peg, która zapisuje kredą na tablicy nazwiska jeźdźców. Jestem za mężczyzną w kapeluszu i ciemnoniebieskiej kurtce, tak wysokim, że jego plecy zasłaniają mi wszystko. Czuję się jak dziecko stawiające pierwsze kroki w pomieszczeniu pełnym dyndających haków na mięso. Thomas Gratton ryczy do tłumu, żeby nie palić w sklepie, a mężczyźni odrykują ze śmiechem, że Thomas nie może sprzedać ani kęsa wędzonego mięsa, czy coś w tym guście.

Zaczynam się czuć niepewnie, jakbym nie była przekonana, czy w ogóle powinnam stać w tej kolejce. Ludzie chyba mi się przyglądają. Przy ladzie robią zakłady. Może popełniam błąd, może to nie ma nic wspólnego ze startem w wyścigu. Może nawet nie pozwolą mi się zgłosić ze względu na Dove. Jedynym plusem jest to, że zgubiłam Josepha Beringera.

Wyglądam zza giganta przede mną, żeby przeczytać, co jest napisane na tablicy. Na samej górze znajduje się nagłówek: „DŽOKEJE”, a obok, po prawej: „EICH”. Przy „DŽOKEJACH” ktoś małymi literkami dopisał „mięso”. Poniżej zaczynają się nazwiska. Pod „DŽOKEJAMI” figuruje więcej pozycji niż pod „EICH”. Mam ochotę zapytać człowieka-górę przede mną, dlaczego tak jest. Zastanawiam się, czy Joseph to wie. Zastanawiam się też, czy Gabe wrócił do domu. I jeszcze, czy Finnowi udało się rozpracować działanie wiadra. Zasadniczo o niczym nie jestem w stanie myśleć zbyt długo.

I wtedy go dostrzegam. Ciemnowłosego chłopaka, ulepionego z innej gliny niż wszyscy. Jest drugi w kolejce, stoi z założonymi rękami przy samej ladzie, milczący, nieruchomy, ubrany w niebiesko-czarną kurtkę. Jakoś tu nie pasuje; ze swoim surowym wyrazem twarzy, postawionym kołnierzem i rozwianymi włosami wydaje się dziki. Nikomu się nie przygląda, ale też od nikogo nie odwraca wzroku, patrzy w ziemię i widać, że myślami jest daleko, daleko od sklepu rzeźnika. Wszyscy pozostali tłoczą się i rozpychają łokciami, ale nikt nie popycha jego, chociaż nie wydaje się też, żeby go unikali. Zupełnie jakby był gdzie indziej niż my wszyscy.

– Puck Connolly – nagle odzywa się ktoś za moimi plecami. Odwracam się i widzę starszego mężczyznę, który nie stoi w kolejce, tylko przygląda się stojącym. Nazywa się chyba Reilly albo Thurber, albo jakoś jeszcze inaczej. To stary przyjaciel mojego ojca, jeden z tych, którzy są wystarczająco starzy, żeby jakoś się nazywać, ale jego nazwisko nigdy nie było mi do niczego potrzebne. Jest wysuszony i pomarszczony; jego zmarszczki są tak głębokie, że mewy mogłyby zakładać w nich gniazda. – Co tutaj robisz w taki wieczór?

– Wtykam nos w nie swoje sprawy – odpowiadam, bo to jest odpowiedź, z którą ciężko

polemizować. Znowu patrzę na tamtego chłopaka przy ladzie. Odwraca głowę tak, że widzę teraz jego profil. Nagle uświadamiam sobie, że znam go z plaży: to on dosiadał czerwonego ogiera. Coś w wyrazie jego twarzy i zwichrzonych włosach sprawia, że moje serce zaczyna bić szybciej.

– Puck Connolly – powtarza stary człowiek. – Nie patrz tak na niego.

Nie mogę przepuścić okazji.

– Kto to jest?

– Boże, toż to Sean Kendrick – mówi stary, a ja unoszę brwi, jakbym prawie sobie przypominała to nazwisko. Jak jakiś rozdział z historii, którego człowiek wprawdzie uczył się w szkole, lecz właściwie nie czuje potrzeby sobie go przypominać. – Nikt nie ma takiej ręki do koni jak on. Co roku startuje i po mojemu to znowu wygra. Zawsze wygrywa. Ale stoi jedną nogą na brzegu, a drugą w morzu. Trzymaj się od niego z daleka.

– Jasne – odpowiadam, chociaż w tej chwili nie bardzo wiem, co właściwie miałyby oznaczać „z daleka”. Zerkam jeszcze raz na chłopaka, przyklejam etykietkę. Sean Kendrick. Właśnie podchodzi do lady, a Peg uśmiecha się do niego promiennie. Zbyt promiennie, uważam, trochę tak, jakby dowodziła swoich racji. Nie słyszę, co mówi, lecz nie mogę przestać patrzeć, jak on pochyla się w jej stronę i coś dyskretnie pokazuje. Podnosi w górę dwa palce, a potem dwukrotnie przyciska je do blatu, jakby liczył. Z pewnością nie jest zakochany w Peg Gratton. Ciekawe, czy to dlatego, że nie wie, że ona mogłaby równiutko wyciąć jego serce, czy może wie, ale ta świadomość po prostu nie robi na nim wrażenia.

Peg odwraca się z kawałkiem kredy w dłoni i sięga do samej góry tablicy. Teraz widzę, że wolne miejsce tuż pod słowem „DŹOKEJE” musiało być zostawione celowo, bo ona bez wahania wpisuje „Sean Kendrick” u samej góry, nad pozostałymi. Kiedy kończy pisać, w tłumie rozbrzmiewa kilka okrzyków. Sean Kendrick nie uśmiecha się, ale widzę, że kiwa do niej głową.

Ktoś odciąga go na bok, żeby porozmawiać, i kolejka się przesuwa. Jestem teraz o krok bliżej. Moje wnętrzości wykonują krótki taniec. Kolejny krok do przodu. Zastanawiam się, czy to nerwy, czy ciepło tych wszystkich ciał sprawia, że kręci mi się w głowie. Kolejny krok.

Kiedy mężczyzna przede mną zawiera zakład, mój żołądek zamienia się w niespokojny ocean; to chyba nerwy. A potem moja kolej.

Peg uśmiecha się do mnie tak, jak uśmiecha się do każdego. Nie wygląda przerażająco. Wygląda zwyczajnie i przyjaźnie.

– Witaj, kochanie, czego ci trzeba? Też wybrałaś sobie wieczór, żeby tu przyjść.

Myśli, że przyszedłam kupić mięso. Czuję ciepło na policzkach. Staram się, żeby moje słowa brzmiały stanowczo i pewnie.

– Właściwie to chciałabym zgłosić udział w wyścigu.

Uśmiech Peg pozostaje na swoim miejscu, ale wygląda jak rysunek, który ktoś powiesił na jej twarzy. Jej usta są całkowicie nieruchome, a oczy rozbiegane – zupełnie nie pasują do obrazka.

– Twój brat powiedział, że mam ci na to nie pozwolić. Chciał, żebym znalazła zasadę, która uniemożliwi ci start – odparła szczerze.

Oczywiście ma na myśli Gabe'a. Mój żołądek podskakuje w zupełnie nowy sposób. Próbuję nie wyglądać na zdesperowaną. Nachylam się nad poplamionym krwią blatem. A zaraz potem zdaję sobie sprawę, że Peg od początku wiedziała, po co przyszedłam, a jednak zadała mi to pierwsze pytanie. Co oznacza, że powinnam zmienić swoje zdanie o niej, ale nie mogę, bo ona wciąż wygląda tak zwyczajnie i przyjaźnie.

– Nie ma takiej zasady, prawda? Nie ma powodu, dla którego nie mogłabym startować.

– Nie ma takiej zasady i oczywiście mu to powiedziałam. Lecz... – Jej uśmiech znika i nagle potrafię sobie wyobrazić, jak wycina mi serce, zdecydowanie, fachowo, nie zwracając

uwagi na krew – co pomyśleliby o tym twoi rodzice? Czy sądzisz, że wyraziliby na to zgodę? Przemysłałaś swoją decyzję? Ludzie giną w tym wyścigu, kochanie. Jestem całym sercem za kobietami, ale to nie jest zabawa dla kobiety.

Z jakiegoś powodu jej słowa irytują mnie bardziej niż wszystko, co już na ten temat usłyszałam. Nawet nie mają związku ze sprawą. Rzucam jej wściekle spojrzenie, które ćwiczyłam przed lustrem.

– Przemysłałam to. Chcę zgłosić swój udział. Proszę.

Patrzy na mnie przez kolejną sekundę, a ja nie pozwalam swojej twarzy na zmianę wyrazu. Potem ona wzdycha, bierze kredę i odwraca się do tablicy. Zaczyna pisać „P”. Ściera literę dłonią. Zerka na mnie.

– Nie pamiętam twojego prawdziwego imienia, kochanie. Jak ono brzmi?

– Kate – mówię i czuję, że wszyscy w Skarmouth nagle patrzą na moje plecy. – Kate Connolly.

Są chwile, które zostają w pamięci na całe życie, są też takie, które spodziewamy się zapamiętać, jednak tak się nie dzieje. Ale kiedy Peg Gratton wypisuje moje nazwisko kredą na tablicy, nie mam wątpliwości, że nigdy nie zapomnę tego widoku.

Peg odwraca się, unosząc brew.

– A imię twojego konia?

– Dove – odpowiadam. Wypada to za cicho. Muszę powtórzyć.

Zapisuje, nie zadając pytań, bo w końcu dlaczego miałyby wątpić, że Dove to *each uisce*?

Zagryzam wargę. Peg czeka.

– Pięćdziesiąt, Puck – mówi. – Tyle wynosi wpisowe.

Trochę mi słabo, gdy wydłubuję monety z kieszeni.

Przez jedną koszmarną chwilę wydaje mi się, że mi nie wystarczy, na szczęście mam jeszcze pieniądze, za które miałam kupić mąkę. Wyciągam rękę, ale nie wypuszczam monet na wyczekującą dłoń Peg.

– Chwileczkę – zaczynam. Nachylam się nad ladą i pytam ciszej: – Czy są, hm, jakieś zasady dotyczące... wierzchowców? – Jeżeli zostanę zdyskwalifikowana i stracę pięćdziesiątkę, naprawdę się rozchoruję.

– Chcesz regulamin? – pyta Peg.

Musi go poszukać. Czuję, że wszyscy wpatrują się w moje nazwisko na tablicy. Kiedy Peg podaje mi zmiętą kartkę papieru, przebiegam wzrokiem tekst na obu jej stronach. Na temat koni są tylko dwie linijki: *Dżokeje muszą zadeklarować wierzchowce podczas parady jeźdźców, która odbywa się na zakończenie Festiwalu Skorpiona. Zmiana wierzchowca po tym terminie jest zabroniona.*

Szukam dalej, ale nic więcej nie ma. Nic, co by oznaczało, że nie mogę zgłosić Dove.

Wreszcie pozwalam Peg wziąć pieniądze.

– Dziękuję – mówię.

– Chcesz to zatrzymać? – Peg wskazuje na regulamin. Nie zależy mi na tym, ale kiwam głową. – Dobrze – kończy. – Jesteś oficjalnie zapisana.

Jestem oficjalnie zapisana.

Kiedy udaje mi się dopchać do drzwi i wydostać na zewnątrz, oddecham głęboko zimnym powietrzem. Unoszący się tu wcześniej słony zapach został wyparty przez niewyraźną woń spalin, która w porównaniu z odorem potu i surowego mięsa u rzeźnika jest wprost cudowna.

Czuję się skołowana, uszczęśliwiona i przerażona. Mam wrażenie, że dokładnie widzę wszystkie wyboje na drodze, każdą plamkę rdzy na balustradzie wzdłuż nabrzeża, każdą zmarszczkę na powierzchni wody. Wszystko jest czarne – pozbawione głębi niebo i atramentowa

woda – albo maślanożółte – lampy uliczne i światło, które wylewa się z okien sklepów.

Dobiegają mnie strzępy rozmowy, która toczy się kilka metrów dalej, a po chwili rozpoznaję kurtkę Seana Kendricka. Naprzeciwko niego stoi masywny, spocony Mutt Malvern. Kilka osób przystanąło w pobliżu i widać, że nie jest to przyjacielska pogawędka.

Przypomina mi to atak szpaków na wronę. Kiedyś widziałam coś takiego na polu. Wrona za bardzo zbliżyła się do ich gniazda lub w jakiś inny sposób im się naraziła. Szpaki pikują, wrzeszczą, a wrona zwyczajnie sobie stoi, ciemna, spokojna i niewzruszona.

Scena jest bardzo podobna, tylko jej bohaterami są Sean i Mutt – dziedzic wyspiarskiej fortuny. Ślina Mutta połyskuje na butach Seana.

– Ładne buty – mówi Mutt, spoglądając na swoje dzieło, podczas gdy Sean Kendrick obserwuje twarz Mutta z tą swoją miną kogoś, kto patrzy, nie patrząc, tą samą, którą miał u rzeźnika. Jestem dziwnie przerażona i zafascynowana tym, co widzę na twarzy Mutta. Nie jest to gniew, ale coś niezwykle do niego zbliżonego.

Po dłuższej chwili Sean odwraca się, jakby miał odejść.

– Hej! – woła Mutt. Uśmiecha się, ale z pewnością nie jest to wyraz sympatii. – Tak ci się spieszy, żeby wrócić do stajni? Dostałeś za swoje czy jeszcze ci mało? – Porusza obojętnie biodrami.

Czułabym się źle z powodu prowokacji Mutta, gdybym nie widziała uśmiechu Seana. To właściwie cień uśmiechu, pojawia się może na sekundę, nawet nie poruszają się przy tym jego usta. Odrobinę mruży oczy; twarz przybiera przebiegły i protekcyjny wyraz. Zdaję sobie sprawę, że to, co widzę w ich oczach, to nienawiść, choć pod dwiema zupełnie różnymi postaciami.

– Powiedz coś, koński zwisie – prowokuje Mutt. – Podobał ci się prezent?

Ale jego pięści są zaciśnięte i chyba nie chodzi mu o to, żeby Sean coś powiedział.

Sean wciąż się nie odzywa. Wydaje się znużony i kiedy Mutt przestępuje z nogi na nogę, żeby zagrozić mu drogę, Kendrick zwyczajnie się odwraca i idzie w swoją stronę.

– Nie odchodź – warczy Mutt. Dogania Seana trzema nierównymi krokami, a kiedy nagle chwyta go za ramię swoją wielką łapą, obraca go tak łatwo, jakby Sean był dzieckiem. – Pracujesz dla mnie. Nie wolno ci tak sobie odchodzić.

Sean wkłada ręce do kieszeni kurtki.

– W rzeczy samej, panie Malvern – mówi tak zaskakująco spokojnym tonem, że doktor Halsal, który ich obserwuje, marszczy brwi i daje nura z powrotem do sklepu rzeźnika. – Co mogę dla pana zrobić?

To natychmiast zbija z tropu Mutta Malverna. Mam wrażenie, że po prostu uderzy teraz Seana Kendricka i dopiero później wymyśli naprędce jakąś odpowiedź. Jednak przychodzi mu chyba coś do głowy, bo mówi:

– Powiem ojcu, żeby cię zwolnił. Za kradzież. Nie zaprzeczaj. Miałem tego konia, Kendrick, a ty go wypuściłeś. Wylecisz za to.

Na tej wyspie niełatwo jest zarobić na życie. Nie szasta się też groźbami wyrzucenia kogoś z pracy. Chociaż nie o moje zatrudnienie tu chodzi, i tak czuję ukłucie w żołądku, takie samo jak wtedy, kiedy otwieram drzwi spiżarni i widzę jej kurczącą się zawartość.

– Naprawdę? – pyta cicho Sean. Potem następuje długa cisza, zakłócana tylko przez stłumione głosy dobiegające ze sklepu rzeźnika. – Widziałem, że startujesz w wyścigu. Ale przy twoim nazwisku nie ma konia. Dlaczego, Mutt?

Twarz Mutta robi się purpurowa.

– Myślę – ciągnie Sean i podobnie jak wcześniej jego głos jest tak cichy, że wszyscy wstrzymujemy oddech, żeby go słyszeć – że jak co roku twój ojciec czeka, aż to ja go dla ciebie

wybiorę.

– To kłamstwo – mówi Mutt. – Nie jesteś ode mnie lepszy. Mój ojciec pozwala ci wybierać dla mnie najsłabsze konie. Dostaję same chabety, a ty dosiadasz najlepszych wierzchowców w stajni. Ale w tym roku to ja pojedę na tym czerwonym ogierze. Nie pozwolę, żebyś znowu mnie wsadził na najsłabszego konia.

Otwierają się drzwi rzeźnika i staje w nich doktor Halsal, tym razem z Thomasem Grattonem, który ocenia sytuację, wycierając ręce w rzeźniczy fartuch. Ściszony głos Seana Kendricka sprawia, że kłótnia robi większe wrażenie, niż gdyby on i Mutt na siebie wrzeszczeli. Są jak senny nocny ocean pełen stłumionej siły. Przestrzeń między Seanem Kendrickiem i Muttem Malvernem wydaje się naładowana.

– Chłopcy – odzywa się Thomas Gratton i chociaż brzmi to jowialnie, widzę, że jest ostrożny. – Wydaje mi się, że na was już pora.

Jak gdyby Thomas Gratton w ogóle się nie odezwał, Sean nachyla się do Mutta i mówi:

– Od pięciu lat pilnuję, żebyś nie zginął na tej plaży. I będę to robił, dopóki twój ojciec oczekuje tego ode mnie. Pojedziesz na koniu, którego ja ci wybiorę. Zapewniam cię, że to się nie zmieni.

Odwraca się do Grattona i kiwa do niego głową. Teraz, kiedy odchodzi w głąb łądu, nagle wydaje się starszy. Mutt wykonuje obsceniczny gest w kierunku jego pleców, a widząc, że Gratton na niego patrzy, bez pośpiechu opuszcza rękę i chowa ją w kieszeni.

– Matthew – dodaje Gratton. – Robi się późno.

Doktor Halsal zerka w moją stronę. Ma zmrużone oczy, jakby sam siebie przekonywał, że widzi to, co widzi. Czym prędzej odnajduję rower Finna. Chcę zniknąć, zanim doktor zdąży cokolwiek powiedzieć. Tak czy owak, powinnam już iść. Jak zauważył Thomas Gratton, jest późno. A jutro muszę wcześniej wstać.

Z pewnością Sean Kendrick nie jest kimś, kogo zmartwienia musiałabym dzielić. Jest tylko jednym z wielu jeźdźców na plaży.

Rozdział jedenasty

Puck

Tej nocy śni mi się mama. Uczy mnie jeździć konno. Siedzę przed nią, ona mnie obejmuje – wygląda to tak, jakbyśmy były jedną istotą. Jej palce są krótkie, jak moje. Łatwo się o tym przekonać: ja zaciskam ręce na grzywie kucyka, a ona luźno trzyma wodze. Ani nie pada deszcz, ani nie świeci słońce – jak to często bywa na Thisby, pogoda jest nieokreślona. Ręce mam wilgotne od czegoś, czym poci się niebo.

– Nie denerwuj się – mówi do mnie mama. Wiatr rozwiewa nam włosy, a one łaskoczą nas po twarzach. Mają ten sam czerwonawy kolor jesiennych traw na klifach, na przemian chylących się ku ziemi i unoszących. – Kucyki z Thisby uwielbiają biegać. Ale łatwiej jest zrzucić wąsonogi ze skały niż miejscową kobietę z konia.

Wierzę jej, bo według mnie jest podobna do centaury, jakby była częścią kucyka. Niemożliwe, żeby któraś z nas spadła.

Budzę się. We śnie słyszałam trzaśnięcie drzwiami i mam wrażenie, że to właśnie mnie obudziło. Leżę, nie patrząc na nic, bo pokój jest zbyt ciemny, żebym mogła cokolwiek zobaczyć. Czekam, aż moje oczy przyzwyczają się do ciemności albo wróci sen. Ocieram łzy z policzków. Po kilku minutach zaczynam już wątpić, czy rzeczywiście coś usłyszałam.

Ale nagle czuję przerażający zapach słonej wody, a w drzwiach mojej sypialni staje Gabe. Widzę zarys jego szyi, kiedy zagląda do środka. Powtarzam w myślach w kółko: „Proszę, wejdź”. Tak bardzo bym chciała, żeby usiadł w nogach mojego łóżka, tak samo jak kiedyś, zanim zginęli rodzice, i zapytał, jak minął mi dzień. Chcę, żeby powiedział, że zmienił zdanie i właściwie nie muszę brać udziału w wyścigu. Chcę, aby mi wytłumaczył, dlaczego tak długo go nie było.

Przede wszystkim jednak chcę, żeby po prostu wszedł i usiadł.

Nie wchodzi. Bezgłośnie puka w futrynę, jakbym powiedziała coś, co go rozczarowało. Potem się odwraca. Wreszcie zasypiam. Lecz nie śni mi się już mama.

Sean

Stajnie Malverna nocą to miejsce nawiedzone. Nie spałem od siedemnastu godzin. Jeżeli chcę mieć rano plażę dla siebie, muszę wstać za następnych pięć, ale nie wracam prosto do swojego mieszkania. Zamiast tego chodzę po słabo oświetlonych korytarzach wilgotnej stajni i sprawdzam, czy stajenni nakarmili i napoili jak trzeba konie wyścigowe i pociągowe. Oczyścili z gnoju większość boksów, lecz teraz, kiedy zbliża się listopad, są zbyt tchórzliwi, aby wejść do tych kilku zajmowanych przez *eich uisce*, choć mogli to przecież zrobić, kiedy zwierzęta były ze mną na plaży. Myślę, że przyczyną tego jest nie tylko reputacja koni wodnych, ale także stajennych. W każdym razie mam tu trzy boksy, w których nie chcę zostawić zwierząt na całą noc. Teoretycznie mój czas, jako głównego trenera, jest zbyt cenny, żebym zawracał sobie głowę czyszczeniem stajni. Wolę jednak zrobić to sam, niż żeby dwaj nowi przestraszeni ludzie Malverna wykonali tę robotę źle.

Zatem czyszczę te trzy boksy. Konie wydają swoje ciche, powolne, nocne dźwięki, otaczają nas ciemne ściany, które niejedno już widziały. Wycieram podłogę w paszarni. Daję koniom wodnym mięso, chociaż są chyba teraz zbyt nerwowe, aby jeść. I cały czas wyobrażam sobie, że ta ogromna stajnia należy do mnie, a konie, którymi się opiekuję, są moją własnością, że kupy, którzy je obejrzą, będą kiwali głowami w geście uznania dla mnie, a nie dla Benjamin

Malverna.

Zresztą te stajnie nie zawsze należały do Malvernów. Trzymano w nich konie na długo przed pojawieniem się na wyspie pierwszego człowieka o nazwisku Malvern. Tylko kościół pod wezwaniem Świętego Kolumbana w Skarmouth dorównuje rozmiarem tym kamiennym budynkom, szczególnie głównej stajni. Obie budowle charakteryzują się tym samym rodzajem uduchowienia. Sklepienie stajni podtrzymują rzeźbione kolumny, przedstawiające mężczyzn o szeroko rozstawionych oczach. Na ich rękach opierają się stopy mężczyzn, których ręce z kolei wspierają stopy kolejnych i tak dalej, a u samej góry znajdują się mężczyźni z głowami koni. Tak jak w kościele, jest tu kamienne sklepienie, a pomiędzy jego żebrami – skomplikowane wizerunki zwierząt o splecionych ze sobą kończynach. Malunki małych poskręcanych postaci można znaleźć w najdziwniejszych miejscach: w rogu boks, na środku podłogi, po lewej stronie okna. Mężczyźni z kopytami zamiast dłoni i kobiety wypływające konie z mackami zamiast grzyw i ogonów.

Najbardziej imponujące malowidło zdobi ścianę na końcu głównej stajni. Przedstawia ocean i człowieka, a może zapomnianego boga głębin, który wciąga konia do wody. Ocean ma kolor krwi, koń jest równie czerwony jak woda.

Ta stajnia to stare zwierzę, najstarsze na wyspie.

Ta stajnia ma swoją historię.

Wszędzie można napotkać ślady jej poprzedniego życia. Boksy są tak wielkie, że we wszystkich z wyjątkiem trzech Malvern zamontował przegrody, żeby pomieścić więcej koni wyścigowych, które sprzedaje na stałym lądzie. Framugi są z żelaza, klamki przekręcają się w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, a nad jednym z progów widnieją czerwone runy. Podłoga dziesiątego boks, tego najbliższej klifów, jest poplamiona krwią, a na jego ścianie można dostrzec krwawe łuki przypominające grzywy morskich fal. Malvern malował tę ścianę wielokrotnie, ale kiedy poranne światło pada bezpośrednio na nią, plamy są wciąż widoczne. Jedna z nich jest odciskiem ludzkiej dłoni o palcach skierowanych w stronę klamki pobliskich drzwi.

Nie zawsze trzymano tu rasowe konie wyścigowe.

Kończę czyszczenie boksów, paszarni i wszystkie inne prace, jakie przychodzą mi do głowy, a potem gaszę światła. Mam wrażenie, że zostałem sam w ciemnym wiekowym brzuchu stajni. Jeden z *eich uisce* gdacze, inny mu odpowiada. Chociaż znam te konie, na ten dźwięk dostają gęsiej skórki. Wszystkie pozostałe zwierzęta cichną i czujnie nasłuchują.

Tak naprawdę nie chciałbym być właścicielem stajni Malverna. Nie chciałbym przyjmować bogatych kupców przyjeżdżających każdej jesieni, śledzić wyścigów i kupować rasowych koni. Nie chcę jego pieniędzy, reputacji ani możliwości przyjeżdżania na Thisby i wyjeżdżania z niej, kiedy przyjdzie mi na to ochota. Nie potrzebuję czterdziestu koni, żeby być szczęśliwym.

Jedyne, czego bym chciał, to kawałek własnego dachu nad głową, rachunek na moje nazwisko u Grattona i Hammonda i przede wszystkim – Corr.

Wspominając purpurową twarz Mutta Malverna i jego zaciśnięte pięści, pierwszy raz od dziewięciu lat zamykam drzwi swojego mieszkania na klucz. Przez długi czas leżę, słuchając, jak ocean brutalnie atakuje północno-wschodni brzeg wyspy, i myślę o łaciatej klaczy.

Kiedy wreszcie zasypiam, śnię o chwili, gdy będę mógł odwrócić się plecami do Mutta Malverna i naprawdę odejść.

Rozdział dwunasty

Puck

Poranek jest chłodny. Idę do Dove na pastwisko. Nie jest jednak aż tak zimno, żeby zamarzło błoto – przez kilka ostatnich lat temperatura bardzo rzadko spadała poniżej zera – więc ślizgam się na ciemnej mazi, tupię i zziębnięta brnę przez błotniste podwórze. Próbuję zapamiętać o tym, że się denerwuję. Prawie mi się udaje.

Wołam Dove, stukając o słupek ogrodzenia puszką po kawie pełną karmy. To niewiele. Dam jej więcej jeść, kiedy będziemy po treningu. To, co przyniosłam teraz, wystarczy, żeby ją oszukać. Z przybudówki wystaje jej ubłocony zad. Nawet nie porusza ogonem, gdy znowu uderzam puszką o płot.

Tuż przy moim łokciu rozlega się nagle głos Finna – przyprawia mnie o palpacje serca.

– Wie, że jesteś stuknięta, dlatego nie chce przyjąć.

Posyłam mu mordercze spojrzenie. Gdzieś w Skarmouth ktoś robi paszteciki z mięsem. Wiatr przynosi aż tutaj ich smakowity zapach; zaczyna mi burczeć w brzuchu. Kiszki skręcają mi się w stronę miasteczka.

– Nie jestem stuknięta. Nie powinieneś przypadkiem sprzątać kuchni?

Finn wzrusza ramionami i staje na najniższym szczeblu ogrodzenia. Wygląda, jakby nie czuł zimna.

– Dove! Dove! – woła radośnie.

Poprawia mi się nastrój, kiedy widzę, że klacz nadal nie porusza się ani o centymetr.

– Hm – mruczy mój brat – co za bezużyteczny muł. Co dzisiaj robisz?

– Zabieram ją na plażę – mówię. Dotykam nosa wierzchem dłoni. Jest zimny jak zawsze, kiedy czuję, że będę miała katar.

– Na plażę? – powtarza Finn jak echo. – Dlaczego?

Odpowiadanie mu irytuje mnie tak bardzo jak sama odpowiedź, więc wyciągam z kieszeni wełnianej kurtki regulamin wyścigu i podaję swojemu bratu. Grzechoczę puszką, gdy on rozkłada kartkę – jest poskładana w bardzo mały kwadracik, więc zajmuje to trochę czasu – i staram się nie rozczulać nad sobą. Finn czyta. Chwilę później dochodzi do punktu, który jest odpowiedzią na jego pytanie. Poznaję to po tym, że zwężają mu się usta. Na samym początku, kiedy postanowiłam wystartować na Dove, sądziłam, że będę mogła trenować z dala od plaży i pojawić się tam dopiero w dniu wyścigu. Ale regulamin, który dostałam od Peg Gratton, wyraźnie tego zabrania. Zawodnicy muszą ćwiczyć w odległości nie większej niż sto pięćdziesiąt metrów od brzegu pod groźbą dyskwalifikacji bez zwrotu wpisowego. Czuję się, jakby ta zasada została wymyślona specjalnie po to, żeby mi przeszkodzić. Chociaż rozumiem, że istnieje ku temu ważny powód. Nikt nie chce, aby z nadejściem jesieni konie wodne biegały po całej wyspie.

– Może mogłabyś ich poprosić, żeby zrobili dla ciebie wyjątek – podsuwa pomysł Finn.

– Nie chcę zwracać na siebie uwagi – odpowiadam. Gdybym poszła do ludzi z obsługi wyścigu i narobiła zamieszania wokół Dove, tak czy owak, mogliby mnie zdyskwalifikować. Mój plan wydaje się w tym momencie strasznie krótkowzroczny. A wszystko z powodu najstarszego brata, który i tak wyszedł z domu, zanim którekolwiek z nas zdążyło wstać.

Niespodziewanie dobiega nas dźwięk samochodu jadącego drogą nieopodal naszego domu.auta nigdy nie wróżą nic dobrego. Niewiele osób na wyspie je ma, a jeszcze mniej ma powód, żeby przyjeżdżać do nas. Na ogół tylko inkasenci, którzy nawet nie zdejmują czapki,

przekazując nam rachunki do zapłacenia.

Finn Waleczne Serce szybko znika, zostawiając mnie samą w obliczu tej perspektywy. Kwota się od tego nie zmienia, ale zawsze to trochę mniej boli, jeżeli nie musi się własnoręcznie odliczać pieniędzy.

Nie chodzi jednak o rachunki. To długi elegancki samochód rozmiarów naszej kuchni z okazałą maskownicą wielkości kubła na śmieci. Ma okrągłe, przyjaźnie wyglądające oczy o chromowanych brwiach; rura wydechowa zostawia za sobą białe kłęby, które skradają się za oponami. Jest czerwony, ale jego odcień nie ma nic wspólnego z kolorem ogiera, którego widziałam wczoraj na plaży. Jest tak czerwony, jak tylko można sobie wyobrazić. Czerwony jak landrynka. To czerwień, której chciałoby się spróbować albo pomalować sobie nią usta. Czerwony jak grzech, jak mawia ze smutkiem ojciec Mooneyham.

Znam to auto. Jest własnością parafii pod wezwaniem Świętego Kolumbana. Jakiś parafianin, który przyjechał ze stałego lądu i przeżył tu coś w rodzaju duchowej przemiany, pełen najlepszych intencji podarował je ojcu Mooneyhamowi z myślą o jego wizytach duszpasterskich. Ojciec Mooneyham rzeczywiście przemierza tym samochodem wyspę wzdłuż i wszerz, odwiedzając mieszkańców, udzielając chrztów, ostatniego namaszczenia i tych wszystkich sakramentów, które zwykle przyjmuje się między jednym a drugim. Ale zawsze podróżuje na siedzeniu pasażera. Jeśli nie może znaleźć nikogo, kto mógłby prowadzić, jedzie rowerem, tak jak robił to kiedyś, nieważne, że jest stary jak sam diabeł.

Trochę mi szkoda, że Finn schował się w domu, bo na pewno chętnie obejrzałby wspaniały czerwony wóz księdza. Dobrze mu tak, skoro jest tchórzem.

Nie mam nawet czasu zadać sobie pytania, po co ojciec Mooneyham tu przyjechał, bo drzwi po stronie kierowcy się otwierają i z samochodu wysiada Peg Gratton. Jej stopy są przezornie obute w ciemnozielone gumowce, na których nasze błoto nie robi żadnego wrażenia. Widzę, że ojciec Mooneyham czymś się denerwuje, ale zostaje w aucie. To Peg ma do mnie sprawę i trochę mnie to martwi.

– Puck – zaczyna. Jej krótkie kręcone włosy są rude (ich kolor nie przypomina jednak ani koloru konia na plaży, ani samochodu) i uroczo postrzępione w sposób, który przywraca mi nadzieję, że kiedyś zapanuję nad moimi własnymi. – Dzień dobry. Masz chwilę?

Mówi to w taki sposób, że nie brzmi to jak pytanie. Bardzo sprytnie. Żeby odzyskać swoją chwilę, musiałabym jej zaprzeczyć. Staram się zapamiętać tę metodę, do wykorzystania w przyszłości.

– Tak – odpowiadam, a potem dodaję, choć sporo mnie to kosztuje, bo kuchnia wygląda, jakby złośliwe duszki urządziły sobie w niej noc czarnej magii: – Napije się pani herbaty?

– Nie mogę zatrzymać ojca Mooneyhama – mówi szybko Peg. – Był tak dobry, że mnie tutaj przywiózł.

To oczywiście nie jest prawda, bo było raczej odwrotnie. Mrużę oczy i przyglądam się Peg. Widok czerwonego samochodu przypomina mi jednocześnie, że już bardzo długo nie byłam u spowiedzi i że mam sporo na sumieniu. To niezbyt miłe uczucie.

Teraz Peg się waha. Rozgląda się po podwórzu. Żałosny to widok. Raz na jakiś czas wyrwam największe chwasty spod płotu i ścian domu, ale i tak po kątach rośnie mnóstwo ciemnych liściastych intruzów. Na środku podwórka trawa walczy o byt tylko z błotem. Muszę powiedzieć Finnowi, żeby naprawił porzuconą w rogu taczkę. Ale to nie bałagan przyciąga wzrok Peg, tylko siodło, które zostawiłam na ogrodzeniu. I pełna ziarna puszka po kawie, którą trzymam w dłoni.

– Wczoraj wieczorem, przed pójściem spać, rozmawialiśmy o tobie z mężem – mówi.

Jakoś dziwnie się czuję, wyobrażając sobie ją i rumianego Thomasa Grattona razem

w łóżku, dyskutujących o mnie, jakby nie mieli ciekawszych tematów. Zastanawiam się, o czym mówią, kiedy nie rozmawiają o mnie. Może o pogodzie, o cenie szpiku kostnego albo o tym, że turyści w deszczowe dni zawsze chodzą w białych butach. Gdybym ja miała męża rzeźnika, to prowadziłabym z nim rozmowy na właśnie takie tematy. Peg niezrażona ciągnie:

– Thomas odniósł wrażenie, że zamierzasz startować na koniu lądowym. Powiedziałam, że to niemożliwe. Udział w wyścigu i bez tego jest fatalną decyzją.

– I co on na to?

– Odparł, że zdaje mu się – kontynuuje Peg, zerkając na ubłocony ogon Dove – że Connolly mają małą bułaną klacz o imieniu Dove. A ja stwierdziłam, że to, o ile dobrze pamiętam, imię, które kazałaś mi wpisać wczoraj wieczorem na tablicy.

Spokojnie trzymam puszkę z ziarnem.

– To prawda – mówię. – Jedno i drugie się zgadza.

– Tak właśnie myślałam. Więc powiedziałam mu, że przyjadę tutaj, żeby ci to odradzić. – Nie wygląda jednak na zbyt zadowoloną z siebie. Sądzę, że to prawdopodobnie jeden z tych pomysłów, które lepiej brzmią, gdy leży się w łóżku ze swoim rumianym mężem, niż kiedy stoi się w mglisty zimny poranek twarzą w twarz z prawdziwą Puck.

– Przykro mi, że jechała pani taki kawał – mówię, chociaż wcale nie jest mi przykro i na dodatek nie mam zwyczaju kłamać przed śniadaniem. – Bo nie zdoła mi pani tego odradzić.

Kładzie jedną rękę na biodrze, a drugą przyklepuje swoje kręcone włosy z tyłu głowy. Jej poza wyraża tak rozpaczliwą frustrację, że aż trochę źle się czuję, będąc jej powodem.

– Czy chodzi o pieniądze? – pyta wreszcie.

Nie jestem pewna, czy czuję się urażona, czy nie. To znaczy, tak, oczywiście potrzebujemy pieniędzy, ale musiałabym być największą kretynką na wyspie, żeby sądzić, że mam szansę wygrać z tymi ogromnymi końmi.

Na samą myśl o tym przechodzą mi ciarki po plecach, lecz jednocześnie ze wstydem zdaję sobie sprawę, że jakaś mała, maleńka część mnie, drobinka, która mogłaby się rozpuścić w filiżance albo spowodować pęcherz na pięcie, marzyła o tym. Pokonać konie, które zabiły moich rodziców, na kucyku, z którym dorastałam. Chyba jednak jestem największą kretynką na wyspie.

– To sprawa osobista – odpowiadam wyniośle.

Mama zawsze powtarzała, żeby tak mówić o kłótniach z braćmi, problemach trawiennych, miesiączce albo pieniądzech. A teraz w grę wchodzi dwie z tych czterech rzeczy, więc uważam to określenie za solidnie uzasadnione. Poza tym nie sądzę, aby Peg chciała wnikać w moje sprawy osobiste.

Pani Gratton patrzy na mnie i widzę, że próbuje czytać między wierszami.

– Myślę, że nie zdajesz sobie sprawy, w co się pakujesz. Tam toczy się prawdziwa wojna – oznajmia w końcu.

Wzruszam ramionami, ale czuję się przez to jak Finn, więc zaraz żałuję, że to zrobiłam.

– Możesz zginąć.

Teraz widzę, że chce mnie zaszokować. Lecz to najmniej szokująca rzecz, jaką mogłaby powiedzieć.

– Muszę to zrobić – przyznaję.

Ten moment wybiera sobie Dove, żeby wyłonić się z przybudówki. Jest cała ubłocona, wydaje się mała i patrzy z wyrzutem. Podchodzi do płotu i próbuje skubać siodło. Rzucam jej nienawistne spojrzenie. Ma silne mięśnie i dobrą kondycję, ale w porównaniu ze stworzeniami, które widziałam wczoraj, wygląda jak zabawka.

Peg wzdycha i kiwa głową, lecz nie do mnie. To skinienie w rodzaju: „Przynajmniej

spróbowałam”. Z trudem idzie przez błoto, siada na swoim siedzeniu i stuka butem o but, żeby nie ubrudzić pięknego czerwonego samochodu. Pocieram nos Dove. Jest mi przykro, że zawiodłam groźną Peg Gratton.

Po chwili słyszę swoje imię. Woła mnie ojciec Mooneyham. Nie wierzę, żeby Peg przekonała go, iż moja obecność na plaży ma coś wspólnego ze zbawieniem duszy. Podchodzę do okna auta bardziej z poczucia obowiązku niż z potrzeby serca.

– Kate Connolly – mówi ojciec Mooneyham.

Jest bardzo wysokim mężczyzną z kartoflami zamiast nosa, kości policzkowych i brody. Każdy kartofel jest lekko zaczerwieniony. W miejscu jabłka Adama ma jeszcze jeden kartofel. Widziałam go raz, kiedy przewrócił się na rowerze i przekrzywiła mu się koloratka. Nie był zaczerwieniony.

– Tak, proszę księdza? – odpowiadam.

Patrzy na mnie i rysuje kciukiem krzyżyk na moim czole, tak jak to robił, gdy byłam małą, w czasach, kiedy jeszcze plułam w kościele.

– Przyjdź do spowiedzi. Dawno nie byłaś.

Peg i ja czekamy, aż powie coś jeszcze. Ale on tylko zasuwa szybę i pokazuje jej, żeby wycofała auto z podwórza. Gdy odjeżdżają, dostrzegam twarz Finna rozplaszczoną na szybie sypialni. W ostatniej chwili udaje mu się popatrzeć na wspaniały samochód.

Rozdział trzynasty

Sean

Stoję na okrągłym wybiegu na terenie stajni Malverna w towarzystwie amerykańskiego kupca. Patrzymy, jak Corr biega kłusem wokół nas. Jest bladoniebieski poranek, zbyt wczesny, żeby można go było nazwać przyjemnym. Zamierzałem pójść dzisiaj na plażę wcześniej niż inni, lecz złapał mnie Malvern i napuścił na mnie kupca. Nie uważam, żeby zabranie obcego na plażę było dobrym pomysłem, więc postanowiłem lonżować Corra na wybiegu, dopóki mój gość się nie znudzi. Regulamin zabrania trenowania koni wodnych dalej niż sto pięćdziesiąt metrów od brzegu, ale ten punkt dotyczy wyłącznie treningów pod siodłem, a ja rzadko go używam. Tylko że na wybiegu można zrobić niewiele rzeczy, które pomogłyby mi przetrwać na plaży.

Corr już od dwudziestu minut biega w kółko na lonży. Amerykanin jest pełen entuzjazmu, a zarazem nabożnego skupienia. Mam wrażenie, że bardziej podziwia mnie niż Corra, ale nasze odmienne akcenty sprawiają, że odnosimy się do siebie z rezerwą.

– Niesamowita budowla. Czy to powstało specjalnie z myślą o *eich uisce*? – pyta. Ostrożnie wypowiada ostatnie słowa, lecz robi to prawidłowo.

Kiwam głową. Po przeciwnej stronie stajni znajduje się wybieg, na którym trenuję konie wyścigowe. Ma średnicę szesnastu metrów i jest ogrodzony wysokim płotem z metalowych rurek. Corr nie zniósłby zbyt długo metalu, a nawet gdyby, nikt by się nie odważył trenować *eich uisce* na manezu, który wygląda, jakby można go było zdmuchnąć. Dlatego jesteśmy teraz na tym przerażającym, niezwykłym wybiegu, który Malvern zbudował jakiś czas przed moim przybyciem. Jest wkopany dwa i pół metra w głąb wzgórza, tak że ziemia tworzy wokół niego solidną ścianę. Wchodzi się tu dębowymi drzwiami, do których prowadzi ścieżka biegnąca dnem głębokiego rowu. Konstrukcja spełnia swoje zadanie, o ile nie przyjdzie powódź.

– *Eich uisce? Each uisce?* Pogubiłem się. – Amerykanin marszczy brwi, ponieważ nie jest pewny, czy dobrze używa tych określeń.

– *Eich* to liczba mnoga. *Each* – pojedyncza.

– Przyjąłem. Tutaj nigdy nie jest się pewnym, czy akurat pada, co? – pyta. Jest bardzo przystojnym mężczyzną, dobiega czterdziestki, na głowie ma kaszkiet, do tego biały sweter w szpic i spodnie, po których wkrótce nie będzie widać, że ktoś je prasował. Niebo się poci, ale to nie jest prawdziwy deszcz. Kiedy razem z innymi pójdę na plażę, będzie już tylko wspomnieniem. – Jak długo będziesz z nim ćwiczył kłus?

Corr jest już znudzony bieganiem. Mój ojciec powiedział kiedyś, że konie wodne nie są stworzone do kłusa. Każdy koń porusza się stępem, kłusem, galopem i cwałem. Nie ma powodu, żeby szczególnie lubił którykolwiek rodzaj chodu. Ale Corr woli galopować, aż cały pokryje się pianą, niż spędzić o połowę krótszy czas na bieganiu kłusem. Moja matka stwierdziła któregoś razu, że ja też nie zostałem stworzony do jazdy kłusem, i miała rację. Kłus jest zbyt powolny, aby mógł być emocjonujący, i za bardzo trzęsie, żeby mógł sprawiać przyjemność. Bardzo się cieszę, że mogę pozwolić Corrowi biegać tak jak teraz, nie siedząc na jego grzbiecie.

W tej chwili ogier rozumie jednak, że obserwuje go ktoś obcy, więc podnosi kopyta wyżej i potrząsa grzywą trochę mocniej niż zwykle. Pozwalam mu na mały show. Zdarzają się większe wady u konia niż próżność.

Amerykanin wciąż na mnie patrzy, więc odpowiadam:

– Chcę tylko, aby był spokojniejszy. Dzisiaj znowu będzie tłok na plaży, trudno poradzić sobie z trzema końmi, które rozsadza energia.

– Jest piękny – przyznaje Amerykanin. Chce mi pochlebić i udaje mu się. – Widzę po twoim uśmiechu, że zdajesz sobie z tego sprawę.

Owszem, zdaję sobie sprawę z urody Corra.

– Przy okazji: jestem George Holly – dodaje Amerykanin. – Podałbym ci dłoń, gdybyś miał wolne ręce.

– Sean Kendrick.

– Wiem. Przyjechałem tu z twojego powodu. Powiedzieli, że bez ciebie nie ma wyścigu.

Usta same mi się wykrzywają.

– Malvern przekazał mi informację, że masz na oku jakieś roczniaki.

– Tak, po nie też przyjechałem. – Holly ociera mżawkę z brwi. – Ale po nie mógłbym wysłać pośrednika. Ile razy wygrałeś?

– Cztery.

– Cztery! Jesteś faworytem. Skarb narodowy. Może raczej regionalny. Czy Thisby ma autonomię? Dlaczego nie ścigasz się na stałym lądzie? A może się ścigas, a ja to przegapiłem. Wieści stąd docierają do nas ze sporym opóźnieniem.

George Holly o tym nie wie, ale byłem kiedyś z ojcem na stałym lądzie, na jednym z tamtejszych wyścigów. Kamizelki, kaszkiety, meloniki i laseczki, konie w wędzidłach, dżokeje w jedwabiach, tor ogrodzony białym płotem i żony wystrojone jak lalki. Po obu stronach trybun rozciągały się łagodne wzgórza. Świeciło słońce, ludzie robili zakłady, a faworyt wygrał o dwie długości. Wróciliśmy do domu i nigdy więcej tam nie pojechaliśmy.

– Nie jestem dżokejem – mówię.

Corr zaczyna do nas podchodzić, a ja odganiem go pod ścianę strzałem z bicz. Bicz nie jest wystarczająco długi, żeby mógł go dosięgnąć, lecz na końcu ma przymocowany kawałek czerwonej skóry, której trzask przypomina Corrowi, gdzie jest jego miejsce.

– Ja też nie – ogłasza wszem wobec Holly, wkładając ręce do kieszeni jak mały chłopiec. Obraca się na pięcie w ślad za okrążającym nas Correm. – Jestem jedynie miłośnikiem koni.

Teraz, kiedy się przedstawił, dokładnie wiem, kto to taki. Nie spotkałem go wcześniej osobiście, lecz znam jego pośrednika, który co roku przyjeżdża, żeby kupić jakiegoś roczniaka. Holly jest amerykańskim odpowiednikiem Malverna, właścicielem ogromnej hodowli znanej myśliwym i jeźdźcom startującym w konkursach skoków przez przeszkody. Bogaty i ekscentryczny, przyjeżdża aż na Thisby, aby wzbogacić swoją hodowlę. „Miłośnik koni” to bardzo oględnie powiedziane, ale przez to bardziej go lubię.

Powinno mi pochlebiać, że Malvern każe mi go niańczyć. Nie przestaję się jednak zastanawiać, jak trudno będzie się go pozbyć, żebym mógł iść na plażę.

– Myślisz, że Benjamin Malvern rozstałby się z tą bestią? – pyta Holly.

Przygląda się niezmordowanym krokom Corra i przypuszczam, że wyobraża go sobie na własnej ziemi.

Wstrzymuję oddech. Pierwszy raz czuję ulgę, odpowiadając na takie pytanie, chociaż kosztowało mnie to już niejedną bezsenność.

– Malvern nikomu nie sprzedaje swoich koni wodnych, zapewniam.

Poza tym wywożenie koni wodnych z wyspy jest nielegalne, ale mam wrażenie, że to nie jest argument, który powstrzymałby kogoś takiego jak Holly. Gdyby był koniem, myślę, że długo trzeba by go ganiać po tym wybiegu, żeby przestał brykać.

– Może nikt nie zaproponował mu jeszcze odpowiedniej ceny.

Zaciskam palce na lonży, aż Corr wyczuwa napięcie i strzyże do mnie uchem, wrażliwy na moje nastroje.

– Miał dobre propozycje.

A przynajmniej jedną bardzo dobrą propozycję. Wszystko, co zaoszczędziłem przez te lata, udziały we wszystkich moich wygranych. Mógłbym za to kupić dziesięć roczniaków Malverna, dziesięć dowolnych jego koni. Tylko nie tego, którego chcę.

– Pewnie wiesz, co mówisz – odpowiada Holly. – Czasem ludziom nie chodzi o pieniądze. – Jego słowa nie zdradzają intencji. To człowiek przyzwyczajony do tego, że kupuje konie i że mu ich odmawiają. Żaden scenariusz nie jest dla niego zaskoczeniem. – Bardzo mi się podoba ten ogier. Konie Malverna! Cholera!

Jest tak szczerze zachwycony wszystkim, co tu ogląda, że trudno się na niego złościć.

– Jak długo tu zostaniesz? – pytam.

– Dzień po wyścigu wsiadam na prom razem ze wszystkim, bez czego według Benjamin Malverna nie będę mógł żyć. Chcesz się do mnie przyłączyć? Znalazłoby się u mnie zajęcie dla takiego chłopaka jak ty – nie dżokeja, tylko kogoś, kim sam byś siebie nazwał.

Uśmiecham się niewyraźnie, dając mu do zrozumienia, że to nierealny pomysł.

– Widzę, jak się sprawy mają – odpowiada Holly. Wskazuje podbródkiem na Corra. – Mogę go chwilę potrzymać? Pozwoli mi?

Jest tak uprzejmy, że oddaję mu lonżę i bicz. Holly bierze je delikatnie, odruchowo rozsuwając stopy, żeby mieć lepsze oparcie. Bicz spoczywa lekko w jego prawej dłoni jak przedłużenie ramienia. Ten człowiek musiał mieć do czynienia z setkami koni.

Mimo to Corr natychmiast zaczyna go testować. Odrzuca głowę do tyłu i naciera, a Holly od razu musi trzasnąć z bicza. Corr nadal się pcha w jego stronę.

– Mocniej – mówię. Jestem gotów przejść od niego Corra, jeżeli będę musiał. – Musi strzelić.

Holly jeszcze raz trzaska z bicza, tym razem wystarczająco głośno. Corr wykręca głowę bardziej pojednawczo niż niecierpliwie, a potem znowu biegnie pod ogrodzenie. Holly uśmiecha się szeroko.

– Jak długo się tego wszystkiego uczył?

– Sześć lat.

– Potrafiłbyś to zrobić z tymi dwiema klaczami, które widziałem?

Próbowałem tego z gniadą klaczą i chociaż nie była to może całkowita klęska, nie szło za dobrze. Z pewnością tamtego dnia nie chciałbym mieć Holly'ego ani nikogo innego koło siebie na wybiegu. Nie jestem też przekonany, czy sześć lat w przypadku którejkolwiek z tych klaczy przyniosłoby takie same rezultaty jak sześć lat z Correm. Nawet po tak długim czasie nie mam pewności, czy to dlatego, że Corr rozumie mnie lepiej niż one, czy dlatego, że to ja lepiej rozumiem jego niż tamte konie.

– Kto cię tego nauczył? Na pewno nie Malvern. – Holly zerka na mnie.

Wystarczy chwila nieuwagi, zaledwie sekunda, a Corr wyskakuje spod ściany w naszym kierunku. Szybko i bezszelestnie.

Nie czekam, aż Holly zareaguje. Zabieram bicz z jego ręki i rzucam się na spotkanie z Correm, przyciskając koniec bicza do jego barku. Koń unosi kopyta, próbując się ode mnie odsunąć, ale idę za nim. Kiedy staje dęba, przykładam czerwoną skórę do jego policzka, rzucając mu wyzwanie. No dalej, przetestuj mnie, tak jak testowałeś Holly'ego.

Graliśmy już w tę grę i obaj znamy jej wynik.

Corr opuszcza kopyta na ziemię.

Holly unosi brwi. Podaje mi lonżę i wyciera dłonie o spodnie.

– Pierwszy raz za kółkiem. Przynajmniej nie owinąłem go wokół drzewa.

Nie jest nawet zbity z tropu.

– Witamy na Thisby – mówię.

Rozdział czternasty

Puck

Kiedy Peg Gratton odjeżdża, Finn i ja pakujemy się, żeby pojechać do Skarmouth. To przykre, że znowu muszę zrezygnować z dumnego, samotnego wjazdu na plażę na grzbiecie Dove, ale musimy zawieźć do miasta dzbanki do herbaty, a Morris nie chce zapalić. To niestety oznacza, że trzeba zaprząć Dove do naszego małego wózka. Wstyd, który mnie czeka, doprowadza mnie do furii, więc ładując naczynia, robię dużo hałasu.

Nagle coś przychodzi mi do głowy.

– W jaki sposób zamierzasz wrócić do domu z tym naszym pojazdem? – pytam Finna, który pracuje nad równym ułożeniem pudełek, idealnie jedno przy drugim. Jego strona wózka wygląda jak ceglany mur, ale zajmuje mu to dużo czasu. Ja nie przejmuję się, czy największe kartony są na dnie, czy na wierzchu, dopóki dobrze się trzymają. – Zabieram potem Dove na plażę, a wózek tam nie pojedzie.

– Sam go przyprowadzę, nie ma żadnego problemu – oznajmia Finn radośnie. Kładzie dwa palce na krawędzi jednego z pudełek, żeby przesunąć je zaledwie kilka milimetrów.

– *Sam?*

– Jasne – mówi Finn. – Będzie pusty. No przecież dam sobie radę, nie martw się.

Natychmiast staje mi przed oczami obraz mojego brata – wychudzony troll w gigantycznym swetrze, który idzie ze Skarmouth, ciągnąc za sobą wózek dla kucyka – i żałuję, że sama nie mogę zniknąć na stałym lądzie, gdzie nikt mnie nie zna. Ale albo się na to zgodzę, albo dotrę na plażę, kiedy już zagarnie ją przyływ. Ciągle oblepia nas mgła, lecz robi się coraz jaśniej i to mi przypomina, że czas płynie.

– Może Dory pozwoli nam zostawić pojazd na tyłach sklepu – proponuję. – Odbiorę go razem z Dove, kiedy skończymy.

Finn drapie Dove jednym palcem po zadzie, a ona tupie tylnym kopytem, jakby odganiała się od muchy.

– Dove mówi, że po przygodach z potworami morskimi nie będzie miała siły ciągnąć wózka.

– Dove mówi, że będziesz wyglądał jak idiota, ciągnąc go sam.

Finn uśmiecha się z roztargnieniem do swojej sterty pudełek z naczyniami.

– Nie przeszkadza mi to.

– Pewnie, że nie! – odburkuję.

Nie osiągamy porozumienia przed końcem załadunku, ale nie ma już czasu, więc ruszamy. Ja prowadzę Dove, a Finn idzie za wózkiem. Kotka Puffin jakiś czas kroczy za nami; brat ją przegania, lecz to tylko wzmaga jej pragnienie, żeby do nas dołączyć.

Po drodze do miasta wyczuwam niesiony wiatrem fetor gnijącego mięsa. Wymieniamy z Finnem spojrzenia. Obrzydliwe zapachy nie są obce tej wyspie – sztormy wyrzucają na plażę wielkie ryby, które gniją, w ciepłe dni psują się odpadki z połowów, zbłąkane podmuchy wiatru przynoszą wieczorami woń słonej wody i wilgoci. Ale ten smród nie pochodzi z morza. To zapach czegoś, co poniosło niezasłużoną śmierć, a teraz leży w jakimś nieodpowiednim miejscu. Nie chcę się zatrzymywać, lecz to może być człowiek. Każę Finnowi potrzymać Dove i przechodzę przez kamienny murek, żeby sprawdzić, co tak śmierdzi.

Wiatr wieje prosto na mnie – przecinając mgłę, zamiast ją rozwiać – więc stąpając między owczymi bobkami, kulę się z zimna. Cały czas żałuję, że nie mogę wysłać Finna, żeby zbadał

źródło fetoru, ale jego zaraz by zemdliło. Zresztą w sytuacjach, w których pojawia się krew, nie ma z niego żadnego pożytku. Zatem to mnie przypada w udziale przyjemność obejrzenia szczątków zwierzęcia, które kiedyś było owcą. Niewiele z niej zostało: kopyta, przycięty ogonek, kupka wnętrzości – to one tak cuchną – i porośnięta wełną czaszka, zmiażdżona i pokruszona wokół oczodołu. Resztki runa z karku owcy noszą ślady niebieskiej farby w spreju, którą oznaczone są zwierzęta ze stada Hammonda. Choć karku też zostało niewiele. Włos mi się jeży i czuję łaskotanie strachu w żołądku, chociaż wątpię, żeby sprawca tej masakry był gdzieś w pobliżu. Jak na konia wodnego, zapuścił się daleko w głąb łądu.

Wracam do Finna i Dove. Grają w grę, która polega na tym, że on klepie Dove po górnej wardze, a Dove się denerwuje. Finn podnosi wzrok, a ja mówię:

– Owca.

– Wiedziałem, że to owca.

– Może następnym razem raczysz od razu rzucić swoim wszystkowiedzącym okiem na pastwisko, żebym nie musiała włączyć w błoto tylko po to, aby popatrzeć na resztki owcy – odpowiadam.

– Nie pytałaś.

Ruszamy dalej w stronę Skarmouth.

Kierujemy się do sklepu Dory Maud, który nazywa się Fathom i Synowie bez żadnego znanego mi powodu, tym bardziej że Dory nie ma synów. Zresztą nie ma też męża. Mieszka ze swoimi dwiema siostrami, z których żadna nie nosi nazwiska Fathom ani nie ma synów, i przez okrągły rok skupuje wyroby, które potem w październiku i listopadzie sprzedaje turystom. Kiedy byłam dzieckiem, rzeczą, która najbardziej rzucała mi się w oczy u Dory, były buty, bo ciągle nosiła inne – dziwny i ekstrawagancki zwyczaj jak na Thisby. Teraz bardziej rzuca mi się w oczy, że ona i jej siostry właściwie nie używają żadnego nazwiska i to według mnie uchodziłoby za dziwny i ekstrawagancki zwyczaj właściwie wszędzie.

Sklep Fathom i Synowie znajduje się w jednym z bocznych zaułków Skarmouth, tak wąskim, że ledwo mieścimy się tam z Dove i jej wózkiem. Nie sięga tu mgła, ale też słońce, więc idziemy, dygocząc z zimna, przy akompaniamencie stukotu kopyt na kocich łbach, odbijającego się echem od murów.

Kilkoro drzwi dalej w niebieskawym cieniu poranka stoi Jonathan Carroll i rzuca owczarkowi szkockiemu kawałki ciasteczek. Obaj bracia Carrollowie mają ciemne, kręcone włosy, lecz jeden z nich ma kulę surowego ciasta zamiast mózgu, a drugi kulę surowego ciasta zamiast płuc. Raz, kiedy przyjechałam z mamą do miasta, wpadliśmy na Briana, tego z ciastem zamiast płuc. Kuczał na nabrzeżu, drżąc i z trudem chwytał powietrze. Mama powiedziała mu, żeby wypuścił całe złe powietrze, zanim spróbuje nabrać nowego. Potem zostawiła mnie, abym go przypilnowała, a sama poszła kupić mu czarną kawę. Byłam zła, bo obiecała mi cynamonowy świder u Palssona, a one bardzo szybko się kończą. Wstyd mi się robi, gdy sobie przypominam, co wtedy powiedziałam Brianowi. Że jeżeli umrze, a ja przez niego nie dostanę cynamonowego ciastka, to napluję na jego grób. Nie wiem, czy on to w ogóle pamięta, bo wydawał się bardzo skupiony na oddychaniu przez zwinięte w trąbkę dłonie. Mam nadzieję, że nie pamięta, bo jednak od tamtego czasu mój charakter znacznie się poprawił. Dzisiaj tylko *pomyślałabym* o pluciu, nie mówiłabym tego na głos.

Ale tak czy inaczej, to nie Brian, tylko Jonathan rzuca ciasteczka. Patrzy na mnie, na Dove i Finna.

– Cześć, kucyku – mówi, potwierdzając w ten sposób, że jest tym, który ma ciasto zamiast mózgu.

– Zaczekaj tu – zwracam się do Finna. – Zaczynj rozładowywać, a ja zapytam, co z tym

wózkiem.

Fathom i Synowie to ciemny, wąski sklep. Jego wnętrze przypomina korytarz nafaszerowany jak kurczę kornwalijskie. Można tu znaleźć szwarc, mydło i powidło, a wszystko oznaczone małymi etykietkami z ceną, które w przyćmionym świetle połyskują jak białe zęby. Zawsze unosi się tu cudowny zapach podsmażonego na patelni masła. Właściwie nie wiem, ile osób przychodzi do sklepu, żeby coś kupić. Myślę, że źródłem lwiej części obrotów jest rozstawiany w weekendy stragan i handel w szczyt sezonu przed wyścigami. Więc zarówno etykiety z cenami, jak i smakowity zapach masła prawdopodobnie przez większość roku są niepotrzebne.

Dzisiejszy dzień nie jest wyjątkiem. Już od progu biorę głęboki, odrobinę łapczywy wdech. Siostry jak zwykle się kłócą. Ledwo zamykam za sobą drzwi, Dory Maud wpycha mi do rąk katalog:

– Proszę. Co ty na to, Puck? Aż chce się zamawiać. – Siostry mówią do mnie Puck, a nie Kate, bo wszystkie trzy zgodnie twierdzą, że ludzie powinni być nazywani tak, jak chcą, zamiast zgadzać się na imiona nadane im po urodzeniu. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek wspominała, że wolę, aby zwracały się do mnie Puck zamiast Kate – jedno i drugie to moje imiona – ale też nie mam nic przeciwko temu.

– Ona jest splukana – rzuca lekceważąco Elizabeth, stojąca na schodach w głębi sklepu. Schody prowadzą na piętro, które siostry zamieszkują wspólnie. Nigdy tam nie byłam, choć w skrytości ducha zawsze marzyłam, żeby tam wejść. Myślę, że musi tam być dużo butów i łóżek. I masła. – Oczywiście, że jej się spodoba – dodaje Elizabeth.

Patrzę, co takiego Dory Maud włożyła mi do ręki. Ku mojemu zdziwieniu to starannie wydrukowany katalog firmy Fathom i Synowie. Kiedy przechylam dłoń, katalog otwiera się na przypadkowej stronie ze stylowymi czarno-białymi fotografiami: kobieta w robionym na drutach swetrze, para rąk w szydełkowych rękawiczkach, pozbawiona reszty ciała szyja ozdobiona jednym z tych kamiennych krzyżyków, które uwielbiają turyści. Schludne litery opisują wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Nagłówek głosi: „SIĘGNIJ PO SWOJE DZIEDZICTWO! OSZCZĘDZAJ, WYBIERAJĄC PONADCZASOWY STYL!”. Wygląda zupełnie jak jeden z tych prawdziwych katalogów przywożonych na łodziach, tylko że są w nim wszystkie rzeczy ze sklepu sióstr. Zły humor przechodzi mi jak ręką odjął.

– To niesamowite! – wołam. Przesuwam się odrobinę, bo zakurzony posążek starożytnej bogini płodności kluje mnie w ramię kamiennymi palcami. Jest w tym sklepie od zawsze. – Jak to zrobiłaś? Co za litery! Są idealne.

– Drukarz, pan Davidge, się tym zajął – odpowiada Dory Maud, zadowolona i dumna, zaglądając mi przez drugie ramię.

– Bo nasza Dory Maud zajęła się panem Davidge’em – komentuje Elizabeth ze schodów. Wciąż ma na sobie koszulę nocną, a na głowie wczorajsze wymyślne loki.

– Och, no już, wracaj do łóżka – rzuca obojętnie Dory.

Nic mnie to nie obchodzi.

Dory jest kimś, kogo mama określała jako „kobietę o mocnej budowie”, co oznacza, że od tyłu wygląda jak mężczyzna, a kiedy patrzy się z przodu, wołałoby się widzieć tył. Elizabeth jest ładniejsza, ma długie włosy koloru słomy i zadarty nos – po części za sprawą genów, a po części – charakteru. Nikt nie zwraca uwagi na wygląd trzeciej z sióstr, Annie, bo jest niewidoma.

Przerzucam kartki katalogu. Wiem, że przez to później dotrę na plażę, ale odkrywam, że mnie to cieszy.

– Czy są tu nasze dzbanki? Kto to zobaczy?

– Och, pewnie ze trzy osoby, te, które czytają ogłoszenia na końcu „The Post” – mówi

Elizabeth. Weszła dwa stopnie wyżej, ale wyraźnie nie spieszy się z powrotem do łóżka. – No i komu by się chciało czekać kilka lat na przesyłkę.

– „The Post”? Na stałym lądzie! – wykrzykuje.

Znalazłam nasze dzbanki – jest bardzo dokładny rysunek jednego z pękatyh imbryków z moimi ostami. Teraz widzę, że ilustracje wyszły spod tej samej ręki co ogłoszenia na ostatniej stronie naszej niewielkiej lokalnej gazety, ukazującej się w Skarmouth w każdą środę. Podpis głosi, że dzbanek na rysunku ma „regionalny wzór” i że to „limitowana seria”. Napisano też, że imbryki są podpisane i ponumerowane, chociaż moje nie są. Dziwnie się czuję, kiedy pomyślę, że coś, co ja pomalowałam, popłynie za ocean beze mnie. Wskazuję na informację o podpisach i pytam:

– Co to jest?

Dory Maud znowu zerka.

– Dzięki temu nabiorą wartości. Podpisanie i ponumerowanie ich zajmie ci najwyżej chwilę. Chodź, napij się herbaty. Elizabeth zaraz przestanie gderać. Gdzie jest twój brat?

– Nie mogę zostać – przyznaję z żalem. – Muszę... zabieram Dove na plażę. Czy Finn mógłby zostawić wózek na tyłach sklepu, kiedy skończy rozładowywać dzbanki? – wyrzucam z siebie słowa jednym ciągiem, żeby uniknąć pytań, ale siostry i tak nie zwróciły uwagi na to, co powiedziałam, więc niepotrzebnie się przejmowałam. Dory Maud otwiera drzwi i natyka się na Finna trzymającego na rękach Puffin, która widocznie jednak śledziła nas całą drogę do Skarmouth.

– Mam nadzieję, że lubisz smak ubóstwa duszonego w pustym garnku – mówi Elizabeth.

– Za sam druk zapłaciłaś jak za zboże, a czy pomyślałaś, ile będzie kosztowało wysłanie tych katalogów na stały ląd?

– Katalog jest płatny – tłumaczy cierpliwie Dory. – To jest napisane w tym samym ogłoszeniu, które widziałyście niecałą godzinę temu. Gdybyś patrzyła na to, co ci pokazuję, nie gadałabyś głupot. Finnie Connolly, wejdź do środka. Dlaczego przyniosłaś kota? Czy Puffin też jest na sprzedaż? Czy do tego już doszło?

– Nie, proszę pani – odpowiada Finn, wchodząc do sklepu, gdzie bogini płodności dźga go prosto w pierś. Robię krok do tyłu, żeby mógł się odsunąć, bo ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję, to aby Finn nagle stał się płodny.

– Naprawdę muszę już iść – zwracam się do siostr, choć nie chcę być nieuprzejma.

– Mówiłaś, że dokąd idziesz? – pyta Dory Maud.

– Może ja też powinnam zadzwonić do pana Davidge’a – zastanawia się Elizabeth na schodach. – Co tam rachunki. Jak to się robi, siostrzyczko? „Panie Davidge, zrobi mi pan skład?”.

Dory Maud odwraca się do niej, żeby huknąć:

– Zamknij się, krowo!

Finn otwiera szeroko oczy. Puffin też. Dory Maud energicznie chwyta go za ramię i zaczyna popychać w głąb sklepu, gdzie czeka gorąca herbata.

– Pa – szepczę do niego.

Mam wyrzuty sumienia, że zostawiam go w ich szponach, ale przynajmniej rozgrzeje się trochę.

Drzwi się za mną zamykają.

Dove, która cierpliwie czeka na zewnątrz, na mój widok podnosi głowę. Jest wyprzęgnięta z wózka, ale nadal ma na sobie uprzęż. Zdecydowanie nie przypomina konia wyścigowego. Związuję na nowo włosy. Ze dwadzieścia albo trzydzieści pasemek od razu ucieka. Zdaje się, że ja też nie wyglądam na dżokeja.

Rozdział piętnasty

Sean

Na plaży jest dziewczyna.

Tu, na brzegu, wiatr porozwiewał mgłę na strzępy, więc – inaczej niż w głębi ładu – wszystko widać wyraźnie. Konie i jeźdźcy rzucają się w oczy na tle jasnego piasku. Dostrzegam każdą klamrę na uździe, każdy frędzel przy wodzach, drżenie każdej dłoni. To drugi dzień treningu, a zarazem pierwszy, który nie jest już zabawą. Cały pierwszy tydzień to wyszukany krwawy taniec, w którym o możliwościach zawodnika decyduje jego partner. Jeźdźcy sprawdzają, czy ich wierzchowce są podatne na działanie amuletów, jaka odległość od morza jest bezpieczna, jak się zabrać do nauki galopowania po linii prostej, ile mają czasu od chwili, gdy spadną z konia, do momentu, kiedy zostaną zaatakowani. Te pełne napięcia umizgi, te próby poznania siebie nawzajem nie mają jednak nic wspólnego z wyścigiem.

Z początku nie dzieje się nic nadzwyczajnego. Jedyny z braci Privett, który pozostał przy życiu, bije swojego wierzchowca szpicrutą, Hale sprzedaje amulety, które nie ratują życia, a Tommy Falk fruwa na końcu uwiązku, podczas gdy jego czarna klacz ucieka w stronę morza.

Ale jest jeszcze ta dziewczyna. Kiedy z punktu obserwacyjnego na szczycie klifów dostrzegam ją i jej bułąną klacz, dziwi mnie nie to, że jest kobietą, ale to, że jej koń brodzi w wodzie. Dzisiaj, gdy ludzie zaczynają ginąć i nikt nie chce się zbliżyć do oceanu, jej klacz brnie kłusem po kolana w wodzie. Nieustraszona.

Powoli schodzę z klifu, cały czas uważnie obserwując plażę. Wszelkie niecne zamiary, jakie mogły się dzisiaj zrodzić w głowie Corra, zostały mu z niej wybite porannym kłusem. Ale pozostałe *eich uisce* nie są ani zmęczone, ani tak ułożone jak Corr. Za każdym razem, kiedy próbują się wrywać, rozlega się dzwonienie. Przywiązałem do ich pęcin dzwonki, które przypominają mi, że w każdej chwili muszę być czujny. Bardziej narowista z klaczy ma zad przykryty czarną siatkową derką, którą odziedziczyłem po ojcu. Zrobiono ją z setek cienkich żelaznych kółeczek splecionych nićmi; to coś pośredniego między żalobnym czaprakiem a kolczugą. Mam nadzieję, że trochę jej ciąży. Czegoś takiego nigdy nie założyłbym Corrowi – byłby zirytowany i czułby się niepewnie, zresztą, za dobrze się już znamy.

Teraz, kiedy zszedłem niżej, widzę, dlaczego dziewczyna jest taka odważna. Dosiada zwykłego kucyka, jakie hoduje się na wyspie, o sierści koloru piasku, z nogami czarnymi jak mokre krasnorosty. Sądząc po brzuchu klaczy, uboga trawa porastająca Thisby w najlepszym razie napełniła jej żołądek, ale nie odżywiła jej jak należy.

Chcę wiedzieć, co ta dziewczyna robi na mojej plaży. I dlaczego nikt się tym nie zajmie. Wszystkie konie zdają sobie sprawę z jej obecności. Postawione uszy, wygięte szyje, zęby wyszczerzone w jej stronę. Oczywiście jest wśród nich srokata klacz, która wyje z głodu i tęsknoty. Powinienem był przewidzieć, że Gorry jej nie wypuści.

Słyszac głos srokatej, miejscowy kucyk kładzie ze strachu uszy. Wie, że jest tutaj mięsem, że to, co słyszy, jest wołaniem o śmierć. Dziewczyna pochyla się i uspokajająco klepie zwierzę po szyi.

Wracam niechętnie do swoich spraw. W ustach czuję smak soli; wiatr odnajduje mnie wszędzie, gdzie prowadzę swoje konie. To jeden z tych dni, kiedy nie można się rozgrzać. Znajduję w ścianie klifu szczelinę, która przywodzi mi na myśl ślad gigantycznego topora, i prowadzę do niej *eich uisce*. Gdzieś u szczytu rozpadliny rozlega się stłumiony krzyk wiatru niczym jęk umierającego. Rysuję na piasku okrąg i spluwam do środka.

Corr mnie obserwuje. Klacze obserwują ocean. Ja obserwuję dziewczynę.

Moje myśli uporczywie krążą wokół zagadki jej obecności. Otwieram skórzaną torbę i wyjmuję przygotowaną zawnazę przekąskę owiniętą woskowanym papierem. Rzucam do środka okręgu kawałki mięsa, ale konie go nie tykają. Obserwują kucyka i dziewczynę w oceanie – bardziej apetyczny posiłek.

Z torbą na ramieniu wracam do wylotu szczeliny i stoję z założonymi rękami, wypatrując dziewczyny i jej klaczy przez prześwity w kłębowisku koni i ludzi. Kucyk niczym się nie wyróżnia, zupełnie niczym. Dość ładna głowa, dość dobre kości. Wśród koni lądowych jest pięknnością. Wśród *eich uisce* jest niczym.

Dziewczyna również niczym się nie wyróżnia. Drobną, z rudymi włosami związanymi w koński ogon. Wydaje się mniej przerażona od swojego wierzchowca, ale to ona jest w większym niebezpieczeństwie.

Słyszę krzyk jednej z moich klaczy. Otwieram torbę i rzucam w jej kierunku garść soli. Podrywa głowę, gdy kilka ziaren trafia w jej pysk. Widać, że czuje do mnie urazę, ale nie ból. Patrę jej w oczy, żeby zrozumiała, że w torbie mam tego więcej. Jest gniada, bez jakichkolwiek białych śladów, co powinno oznaczać, że jest szybka, ale żeby się tego dowiedzieć, muszę ją najpierw nakłonić do biegu po w miarę prostej linii.

Odwracam się z powrotem do oceanu. Wiatr zawiewa mi piaskiem w oczy na tyle mocno, że czuję urazę, ale nie ból. Uśmiecham się ironicznie i stawiam kołnierz. Dziewczyna zatacza w wodzie okrąg. Mądrze postąpiła, wybierając to miejsce, do którego nikt się dzisiaj nie zbliży. Oczywiście nie tylko te *eich uisce* ze stajni Malverna są dla niej zagrożeniem na plaży, ale widzę, że zdaje sobie z tego sprawę. Co jakiś czas zerka w stronę nadchodzącego przypływu. Niemożliwe, żeby zdążyła w porę dostrzec polujące konie wodne – kiedy płyną pod powierzchnią wody równoległe do grzbietów fal, szybkie i ciemne, są niemal niewidoczne – równocześnie jednak nie potrafię sobie wyobrazić, że mogłaby się nie rozglądać. Śledzę wzrokiem każdy ruch – jej i kucyka.

Gdzieś niedaleko słyhać jęki jakiegoś człowieka. Został stratowany, zrzucony albo ugryziony. Jego zawrodenie kryje w sobie wyrzut albo zdziwienie. Czyżby nikt go nie uprzedził, że ten piasek rodzi ból, zasiany dawno temu i podlewany naszą krwią?

Obserwuję ręce dziewczyny na wodzach, jej pewną pozycję w siodle. Umie jeździć konno, ale na Thisby każdy to potrafi.

– Założę się, że jeszcze czegoś takiego nie widziałeś – słyszę stłumiony głos Gorry'ego. – Nie da się rozebrać kogoś wzrokiem, Seanie Kendrick.

Patrę na niego przez chwilę, jakiej trzeba, żeby zauważyć, że wciąż ma łaciatą klacz, a potem jeszcze sekundę dłużej, tak żeby on widział, że ja widzę, że wciąż ma łaciatą klacz. Dopiero wtedy odwracam wzrok z powrotem w stronę oceanu. Przed sobą mam stado walczących koni, wydających dziwne dźwięki i rzucających się na przeciwnika jak koty. Dzwonią dzwonki – ich brzmienie wypełnia przestrzeń plaży. Wszystkie *eich uisce* wokół mnie tęsknią za morzem i za pogonią.

Znowu zerka na srokatą klacz. Gorry obwiązał jej ogłowie miedzianym drutem. Taki z tego pożytek, że robi wrażenie.

– Zgłosiła się do wyścigu – mówi Gorry. Wskazuje zapalonym papierosem na dziewczynę w wodzie. – Na tym kucyku. Tak mówią.

Dym z jego papierosa męczy mnie bardziej niż wiatr. Ona chce się ścigać na tym słabo odżywionym kucyku? Za tydzień będzie po niej.

Srokatą klacz grzebie kopytem w piasku. Widzę kątem oka, jak kopie, i słyszę zgrzytanie jej zębów. Ta uzda jest jej przekleństwem, ta wyspa jej więzieniem. Wciąż cuchnie

rozkładającym się mięsem.

– Nie mogę sprzedać tej klaczy... dzięki za tamto – mówi Gorry. – Za twoją fachową opinię, ech.

Nie wiem, co mu powiedzieć. Kiedy się handluje potworami, trzeba się liczyć z potwornymi problemami.

Dzwonki znowu dzwonią, a ja rozglądam się za źródłem dźwięku. To nie moje klacze, to nie srokata. To tylko jeden koń w całym stadzie, ale słyhać w brzmieniu tych dzwonek jakieś ostrzeżenie. Niebezpieczeństwo śpiewa z wiatrem, odbija się echem od urwistych białych klifów. Jest tu dzisiaj zbyt wielu ludzi na koniach; chcą się sprawdzić, przygotować, poznać konkurencję, być najszybsi. Nie odkryli jeszcze, że to nie prędkość decyduje o tym, kto przetrwa do dnia wyścigu. Wystarczy być najszybszym spośród tych, którzy ocaleją.

Nagle rozlega się krzyk i przeraźliwe rżenie. Odwracam się i widzę, jak Jimmy Blackwell zeskakuje z siwego ogiera dokładnie w momencie, kiedy ten daje susa w spienione fale. Blackwell toczy się po piasku, w ostatniej chwili uykając przed kopytami dwóch spłoszonych klaczy. Jest zwinny i doświadczony. Przetwał z pięć Wyścigów Skorpiona.

– A ty myślałeś, że moja klacz będzie sprawiała kłopoty – mówi Gorry. Śmieje się.

Słucham, nie przestając obserwować. Blackwell jeszcze nie wyczołgał się z zasięgu kopyt narowistych klaczy.

To tylko drobna sprzeczka między trójką rozwścieczonych koni, ale widać wyszczerzone zęby i wzniesione do ataku kopyta. Jakiś mężczyzna próbuje rozdzielić *each uisce*, lecz jest zbyt niefrasobliwy. Jedno kłapnięcie tępych zębów i zostaje bez palców. Ktoś krzyczy „heeej!”, jakby poczuł potrzebę odezwania się, ale właściwie nie miał nic do powiedzenia.

Przebiegam wzrokiem po nich wszystkich, zatrzymując spojrzenie na ogierze Blackwella, który na wpół skacze, na wpół płynie, zostawiając na wodzie spieniony biały ślad. Oczy ma utkwione w tym bułanym kucyku i dziewczynie na jego grzbiecie.

Słyszę lament, a potem wyłapuję swoje nazwisko:

– Gdzie jest Kendrick?

Ktoś jest w niebezpieczeństwie.

Rzucam torbę i biegnę, zapadając się piętami głęboko w piasek. Mogę być tylko w jednym miejscu naraz, a walka na plaży przerasta moje możliwości. Bułany kucyk jest zanurzony w wodzie po brzuch, a biały ogier staje przed nim dęba, tnąc kopytami powietrze. Dziewczyna szarpie wodze, ratując siebie i swoją klacz spod kopyt, ale ląduje przy tym w lodowatej wodzie.

To właśnie było celem *each uisce*, przerażającego pegaza o rozpadających się skrzydłach z morskiej piany. Jego zęby błyskają kolorem martwego koralu, a wielki łeb uderza w dziewczynę, która próbuje wystawić głowę nad powierzchnię wody. Ogromna szczęka chwyta jej sweter z kapturem, a kopyta młóca wodę, przygotowując się do nurkowania. Jestem już w morzu, palce drętwieją mi z zimna, płynę, przeraźliwie wolno posuwając się do przodu. Dziewczyna raz po raz idzie pod wodę, a następnie próbuje się wynurzyć.

Chwytam jej pływające włosy i podpływam bliżej. Siadam na grzbiecie *each uisce* i ciągnąc za grzywę, przysuwam się bliżej łba. Nie ma czasu, żeby wodzić po jego żyłach kawałkiem żelaza albo odepchnąć go w przeciwną stronę. Nie pomoże nic, co mógłbym wyszeptać mu do ucha. Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko wyjąć z kieszeni kurtki garść czerwonych jak śmierć jagód ostrokrzewu i przycisnąć je do rozszerzonych nozdrzy.

Masywne nogi konia wodnego wierzgają spazmatycznie, dostrzegam, jak jedno z kolan odbija się od głowy dziewczyny. Nie widzę, czy udaje się jej utrzymać nad wodą, bo teraz ogier parska, w przedśmiertnych drgawkach wyrzucając z nozdrzy wodorosty, meduzy i drobinki

korala razem z czerwonymi jagodami. Kiedy tonie, mobilizuję całą swoją energię, żeby nie pójść pod wodę razem z nim.

Each uisce kłapie wielką szczęką. Nagle, jak w zwolnionym tempie, wyraźnie widzę szorstką sierść na jego pysku pokrytą kryształkami morskiej soli.

Obraz wybucha tysiącem kolorów, z których żaden nie jest kolorem nieba.

Potem wśród kakofonii dźwięków wraca mi wzrok, a z nim czucie: ręka dziewczyny wyciąga moją głowę na powierzchnię; nos mam obolały od soli. Po białym *each uisce* zostaje falująca na wodzie grzywa i cielsko, które przyływ spycha w kierunku plaży. Bułany kucyk stoi na piasku i rzy do dziewczyny. To wysoki, nerwowy dźwięk. W wodzie jest krew, na piasku też, tam, gdzie mężczyzna stracił palce. Na plaży wciąż wykrzykują moje nazwisko, chociaż nie wiem, czy chodzi o to, żebym komuś pomógł, czy aby ktoś pomógł mnie. Dziewczyna kaszle, ale nie wodą. Drży, lecz jej oczy płoną.

Zabiłem jednego z tych pięknych, śmiertcionośnych koni wodnych, które kocham, prawie zginąłem, czuję, że ogarnia mnie gorączka, jestem jednak w stanie powiedzieć tylko:

– Trzymaj swojego kuczka z dala od tej plaży.

Rozdział szesnasty

Puck

Kiedy docieram do domu, wciąż jeszcze drzę i kaszlę. Dove płoszy się na widok najmniejszego cienia, jej ruchy są gwałtowne jak u kukielki. Słyszac dźwięk zamykanej bramy, ucieka z podwiniętym ogonem w głąb wybiegu. Mam szczęście, że nie kuleje.

Zamykam oczy. Mam szczęście, że żyję.

Ogier pokonał nas w mgnieniu oka, jeszcze chwila, a na dobre znalazłabym się pod wodą.

Opieram się o bramę, czekając, aż Dove uspokoi się na tyle, żeby skubnąć siana. Nie uspokaja się. W końcu jest mi już za zimno w mokrym ubraniu. W domu odklejam kolejno wszystkie jego warstwy i zastępuję je nowymi, ale wciąż mi zimno.

Ona też mogła zginąć.

W kuchni zjadam całą pomarańczę i kromkę chleba grubo posmarowaną naszym cennym masłem. Pomarańcze są tak drogie, że normalnie uciekłabym się do jednego ze sposobów mamy, żeby jak najdłużej delektować się każdym z owoców. Z kilku pomarańczy mama upiekłaby ciasto, zrobiła masło smakowe, lukier do ciasteczek, a z tego, co zostało – marmoladę. Gdybyśmy jedli pomarańczę zwyczajnie, na surowo, podzielilibyśmy jej części między siebie.

Ale ja zjadam sama cały owoc, a kiedy kończę, przestaję się trząść. W głowie wciąż mi łomocze od uderzenia kolana *each uisce*.

Oblizuję palec wskazujący, żeby nie zmarnować ani odrobiny smaku pomarańczy, lecz czuję tylko sól z oceanu i to jeszcze bardziej mnie irytuje. Po pierwszym dniu na plaży z Dove mam piasek w każdym zagłębieniu skóry i guza na głowie.

I już pierwszego dnia trzeba było mnie ratować.

Próbuję przestać myśleć o Seanie Kendricku, ale umysł wciąż podsuwa mi wspomnienia jego twarzy o ostrych rysach i dźwięku jego głosu, zachrypniętego od słonej wody. I za każdym razem, kiedy ponownie przeżywam tamtą chwilę, czerwienię się z zażenowania.

Przesuwam ręką po czole pokrytym kryształkami soli i wzdycham.

„Trzymaj swojego kucyka z dala od tej plaży”.

Mam ochotę dać sobie spokój. Robię to tylko po to, żeby zatrzymać Gabriela na wyspie o jeden jedyny miesiąc dłużej. Co za różnica? Odkąd powiedziałam, że biorę udział w wyścigu, nawet go nie widziałam. Nagle dostrzegam głupotę swojego planu. Zamierzam zrobić z siebie idiotkę na oczach wszystkich mieszkańców wyspy, a może nawet dać się zabić razem z Dove z powodu brata, który w ogóle nie pojawia się w domu.

Myśl o wycofaniu się wywołuje mieszane uczucia – ulgę, ale też dyskomfort. Nie wyobrażam sobie ponownego pójścia na plażę. Nie wiem jednak, jak mogłabym przyznać się Gabe'owi, że zmieniłam zdanie. Trudno uwierzyć, że została mi jeszcze jakaś duma, którą można byłoby zranić, lecz tak jest.

Ktoś puka do drzwi. Nie mam czasu poprawić włosów – i tak nic nie da się z nimi zrobić. Są grube i tłuste w dotyku jak włosy zmoczone słoną wodą. Moje serce zaczyna walić młotem. Nie przychodzi mi do głowy nikt, kto mógłby zapukać do naszych drzwi w jakiejś przyjemnej sprawie.

Na progu stoi Benjamin Malvern. Wiem, że to Benjamin Malvern, ponieważ w Czarnookiej Ślicznotce na ścianie za barem wisi jego podpisane zdjęcie. Kiedyś zapytałam tatę, dlaczego ono tam jest, a on powiedział, że to dlatego, że gdy otwierano pub, Benjamin Malvern przekazał na ten cel dużo pieniędzy. Wciąż jednak nie rozumiem, dlaczego miały to

być powód, żeby wieszać sobie czyjś podpis na ścianie.

– Tu mieszka Gabriel Connolly? – pyta Malvern i wchodzi do środka.

Trzymam otwarte drzwi. Najbogatszy człowiek na Thisby stoi z założonymi rękami, błędząc wzrokiem po naszym zagraconym kuchennym blacie, siodle, które położyłam na oparciu fotela taty, przewróconym stosie drewna i kostkach torfu przy kominku. Mężczyzna ma srebrne włosy, ubrany jest w wełniany sweter w szpic i krawat. Jest brzydki, ale pachnie ładnie, a ja mam mu to za złe.

Nie zamykam drzwi. Mam wrażenie, że kiedy je zamknę, to tak jakbym zaprosiła go do środka.

– Nie ma go – mówię.

– Ach – odpowiada Malvern. Wciąż się rozgląda. – A ty jesteś jego siostrą.

– Kate Connolly – przedstawiam się i robię to najmniej przyjaźnie, jak potrafię.

– Tak. Myślę, że powinniśmy się napić herbaty.

Siada przy naszym stole.

– Panie Malvern – zaczynam stanowczo.

– Dobrze, że wiesz, kim jestem. To nam oszczędzi kłopotu. Nie chcę się wtrącać, ale na zewnątrz jest zimno, a otwarte drzwi słabo chronią przed wiatrem.

Zatrząskuję je, zamykam usta i zaczynam robić herbatę. Jestem jednocześnie obrażona i zaciekawiona.

– Co pana tu sprowadza? – pytam i od razu robi mi się strasznie przykro, że tak uprzejmie to zabrzmiało.

Malvern odrywa wzrok od mojego siodła i kieruje go na mnie. Trochę mnie to zbija z tropu. Przyglądam mu się bardzo uważnie – to tylko bogaty starszy mężczyzna, ale oczy ma mądre.

– Nieprzyjemne sprawy. – Wypowiada te słowa z nieskrywaną przyjemnością.

– Myślałam, że zatrudnia pan ludzi, którzy nieprzyjemne sprawy załatwiają za pana – bezczelnie wyrzucam z siebie. – Cukier czy mleko?

– Poproszę masło, mleko i sól.

Odwracam się do Malverna przekonana, że żartuje. Ale nie. Właściwie nie jestem pewna, czy na jego obliczu w ogóle dałoby się zobaczyć jakiejkolwiek oznaki humoru. To twarz, jaką widuje się na jednofuntowym banknocie. Podaję mężczyźnie filiżankę herbaty, solniczkę i maselniczkę. Siadając naprzeciwko, patrzę, jak odkrawa niewielki kawałek masła i wrzuca go do herbaty, dodaje pokąsną porcję soli, na koniec mleko, po czym dokładnie miesza. Na powierzchni płynu zbiera się piana. Widziałam kiedyś, jak coś podobnego wydobywało się spod krowy. Nie wierzę, że to wypije, ale on to robi.

Malvern opiera palce na brzegu filiżanki z herbatą.

– Czy to twój kucyk tam na zewnątrz?

– Koń – mówię. – Ma sto pięćdziesiąt centymetrów.

– Lepiej by sobie radziła, gdyby dostawała pożywniejszą paszę – rzuca Malvern. – Miałaby więcej energii, a mniejszy brzuch.

Oczywiście, że miałaby więcej energii, gdyby jadła lepsze siano i ziarno. Ja też miałabym więcej energii, gdybym jadła coś poza fasolą i ciastem z jabłkami, ale obie obywamy się bez frykasów z tego samego powodu.

Pijemy herbatę. Myślę o Finnie. Co by było, gdyby wrócił teraz do domu i zobaczył tego mężczyznę przy naszym kuchennym stole. Zgarniam okruchy w piramidkę za cukierniczką.

– A więc wasi rodzice nie żyją – oznajmia Benjamin Malvern.

Odstawiam swoją filiżankę.

– Panie Malvern...

– Znam już tę opowieść – przerywa mi. – Nie chcę o tym mówić. Chcę wiedzieć, co z tej historii wynikało. Co się dzieje z waszą trójką? Jest was troje, prawda? Czym się zajmujecie?

Próbuję sobie wyobrazić, jak rodzice poradziliby sobie z tą sytuacją. Zawsze zachowywali się uprzejmie i powściągliwie. Ja potrafię tylko uprzejmie.

– Radzimy sobie – mówię, skonsternowana. – Gabe pracuje w hotelu. Finn i ja chwytamy się dorywczych zajęć. Malujemy pamiątki dla turystów.

– Zarabiając akurat na herbatę – komentuje Malvern, patrząc na drzwi do kredensu. Wiem, że widział, jakie panują w nim pustki, kiedy wyjmowałam cukierniczkę.

– Radzimy sobie – powtarzam.

Malvern przetyka resztki herbaty. Jak udało mu się wypić tę mieszankę tak szybko i nie trzymając się za nos, pozostaje dla mnie tajemnicą. Następnie opiera splecione ramiona o blat stołu. Pochyliła się w moją stronę tak, że czuję zapach jego wody kolońskiej.

– Przyszedłem was eksmitować.

Przez chwilę nic to dla mnie nie znaczy, a potem zrywam się na nogi. Krew pulsuje mi w miejscu, gdzie uderzył mnie koń, jak fale przyływu. Wciąż kołacze w mojej głowie to jedno zdanie.

– Nikt nie płacił za ten dom od roku – ciągnie Malvern. – Chciałem się przekonać, kto tu mieszka. Chciałem zobaczyć wasze miny, kiedy wam o tym powiem.

W tym momencie uświadamiam sobie, że nawet na wyspie zamieszkaney przez potwory próżno szukać bardziej przerażającego niż on. Dopiero po kilkunastu sekundach udaje mi się odzyskać głos.

– Myślałam, że dom jest opłacany. Nie wiedziałam...

– Gabriel Connolly wiedział o tym od dawna – mówi Malvern. Jego głos jest całkiem spokojny. Uważnie obserwuje moją reakcję. Nie mogę uwierzyć, że poczęstowałam go herbatą.

Patrzę na niego i zaciskam usta. Chcę mieć pewność, że nie powiem czegoś, czego bym potem żałowała. Najgorsze jest poczucie zdrady. Gabe zdawał sobie sprawę, że siedzimy na tykającej bombie, i nie pisnął nawet słowa. Wreszcie wykrztuszam:

– I co widzi pan teraz na mojej twarzy? To właśnie przyszedł pan zobaczyć?

To brzmi jak wyzwanie, ale Malvern nie reaguje. Kiwa tylko nieznacznie głową.

– Tak. Tak, chyba tak. A teraz powiedz mi: co ty i twoi bracia zamierzacie zrobić, żeby zachować dom?

Kilka lat temu na wyspie pojawił się problem walk psów. Znudzeni, zapijaczeni rybacy hodowali psy, żeby skakały sobie do gardeł. W tej chwili czuję się jak jeden z takich psów. Malvern wrzucił mnie do dołu i przygląda się, co zrobię. Chce zobaczyć, czy się wycofam, czy też mam w sobie wolę walki.

Nie dam mu satysfakcji, nie zobaczy mojego podkulonego ogona. Nagle krystalizuje się moja przeszłość.

– Proszę mi dać cztery tygodnie – wypalam.

Malvern nie drąży tematu.

– Po wyścigu.

Zastanawiam się, czy myśli teraz, że jestem szalona, startując w wyścigu, że nie ma sensu czekać do końca miesiąca, że i tak nie zobaczy swoich pieniędzy, bo będę na szarym końcu albo to będzie mój koniec.

„Trzymaj swojego kucyka z dala od tej plaży”.

Kiwam głową.

– Nie masz szans – mówi Malvern, ale bez emocji. – Na tym kucyku. Dlaczego chcesz

jechać na nim?

„Na koniu”, poprawiam go w myślach.

– *Eich uisce* zabiły moich rodziców. Nie zamierzam ich dosiadać.

Mężczyzna nie uśmiecha się, lecz jego brwi się rozciągają, jakby miał taki zamiar.

– To szlachetne. A nie dlatego, że nie masz skąd wziąć konia wodnego?

– Miałam propozycję kwinty – odpowiadam. – Postanowiłam z niej nie skorzystać.

Malvern zastanawia się nad tym wszystkim.

– Prawdziwe pieniądze są tylko za pierwsze miejsce.

– Wiem – odpowiadam.

– I naprawdę spodziewasz się, że będę czekał, wierząc, że ty i ten kucyk będziecie na mecie przed wszystkimi?

Patrzę na filiżankę jego wstrętnej herbaty. Czy zwykła herbata jest dla niego za mało interesująca? Kto pije herbatę z masłem i solą? Tylko zblazowani starzy faceci, którym się wydaje, że ich wyspa to partia szachów.

– Myślę, że jest pan ciekaw, co się wydarzy. Poza tym czekał pan już dwanaście miesięcy. Jaką różnicę zrobi jeszcze jeden?

Malvern odsuwa krzesło i wstaje. Wyjmuje z kieszeni jakąś kartkę papieru, rozkłada ją i rzuca na stół. To chyba urzędowy dokument. Rozpoznaję jego podpis u dołu. I mojego ojca. Malvern mówi:

– Nie jestem hojny, Kate Connolly.

Nie odpowiadam. Przyglądamy się sobie nawzajem. Przesuwa papier dwoma palcami po stole.

– Pokaż to starszemu bratu. Wrócę po twojej śmierci.

Rozdział siedemnasty

Sean

Oni wszyscy się boją.

Siedzę na burcie łódki i obserwuję swojego podopiecznego. Na czarnym kadłubie białymi literami wypisano nazwę łodzi: „Czarna jak morze”. Za nami płynie Fundamental, obiecujący gniady żrebak wyścigowy, który na stałym lądzie osiągnie cenę kilkuset funtów. Z pewnością należy do żrebiąt, którymi Malvern będzie kusił George’a Holly’ego. Sierść Fundamentała ściemniała od wody. Żrebak parska po każdym kilku ruchach kopyt, ale nie okazuje zmęczenia. Łódź i koń powoli płyną osłoniętą zatoczką. Klify są tu pochylone jak przewrócone kostki domina. Częściowo osłaniają nas od wiatru i całkowicie od fal. Wraca do mnie odbity od wapiennych skał odgłos silnika.

Normalnie w miesiącu poprzedzającym wyścig uważałbym ten zwyczajny trening za przykrą stratę czasu. Ale po tak dziwnym poranku jak dzisiaj czuję ulgę, że mogę chwilę spokojnie posiedzieć i pozwolić, żeby mój umysł przeanalizował to, co się wydarzyło na plaży.

Próbuję poukładać galopujące myśli. Wciąż jednak nie mam pojęcia, co tej dziewczynie strzeliło do głowy.

Sprawdzam wejście do zatoczki. Daly, jeden z nowych ludzi Malverna, stoi tam i obserwuje powierzchnię wody. Przy terkotaniu silnika i falach, które wytwarzamy, nie byłbym w stanie w porę zobaczyć polującego *each uisce*. Ale zatoczki łatwo pilnować – wystarczy, że jedna osoba stoi na straży przy jej wąskim wejściu, podczas gdy druga trenuje konia. Pływanie wzmacnia mięśnie bez obciążających ćwiczeń, więc jest warte tego ryzyka. Daly ma śrutówkę, którą wprawdzie wiele nie wskóra, lecz ma również mocne płuca, dzięki którym ja powinienem zyskać dość czasu, aby wyciągnąć Fundamentała z wody.

Daly przyjechał ze stałego lądu, jest młody i nerwowy. Wolę nerwowych od pewnych siebie. Jest moją drugą parą oczu.

Fundamental wciąż płynie. Byłem przy jego narodzinach; przypominał wtedy kłębek guzowatych stawów z wielkimi oczami. Nie patrzy na mnie, skupiony wyłącznie na pływaniu. W jego żyłach płynie dostatecznie dużo krwi *each uisce*, żeby odznaczał się determinacją. Muszę go obserwować równie uważnie, jak Daly wejście do zatoczki. Gdybym nie pilnował Fundamentała, pływałby, aż utonąłby ze zmęczenia.

Jutro Malvern będzie chciał, abym przydzielił Muttowi konia. Co roku trzeciego dnia prosi mnie, żebym podjął decyzję, ale każdego roku boję się, że będzie chciał, aby Mutt dosiadał Corra.

Nie mogę znieść tej myśli.

Fundamental potrząsa głową, jakby chciał odkleić od szyi mokrą grzywę. Wychylam się, żeby się upewnić, czy się nie zmęczył. Ćwiczenia w wodzie są łagodniejsze od tych na lądzie, ale nie chcę, żeby był wyczerpany. Jacyś kupcy mają jutro przyjechać go obejrzeć.

Jestem spięty. Nie wiem dlaczego. Może to przez tę dziewczynę. Zakłóciła rutynę, której trzymałem się od lat. A może z powodu Mutta, który nasikał mi do butów. A może dlatego, że kiedy wracamy przez zatoczkę, mam wrażenie, że poziom wody jest inny, niż być powinien. Za wysoki. Na jasnym niebie widać tylko małe puszyste chmurki. Jeśli nawet zbliża się sztorm, będzie tu nie wcześniej niż za kilka dni.

A jednak nie mogę się uspokoić.

– Kendrick, Kendrick!

To niewątpliwie moje nazwisko, choć krzyk jest zagłuszony hałasem silnika.

Mam kilka sekund na ocenę sytuacji.

Daly stoi przy pochylni dla łodzi na małej plaży w kształcie półksiężyca, daleko od wejścia do zatoczki. Nie mam czasu zastanawiać się, dlaczego zszedł z posterunku. To on krzyczy.

Tam, gdzie powinien stać Daly, dostrzegam czyjąś sylwetkę. To Mutt Malvern. Obserwuje mnie. Nie... obserwuje jakiś punkt na wodzie. Ledwo widoczną wklęsłość na jej powierzchni, jakieś dziesięć metrów od nas.

Na chwilę wstrzymuję oddech.

Dobrze znam to zjawisko, tę nienaturalną bruzdę. Wygląda niepozornie, ale to właśnie dzieje się ze słoną wodą, kiedy tuż pod jej powierzchnią bardzo szybko porusza się masywne cielsko.

Nie ma czasu, żeby uciec na brzeg.

Nagle Fundamental wierzga tylnymi nogami, odrzuca głowę do tyłu.

A potem idzie pod wodę.

Mutt Malvern ciągle stoi nieruchomo w tym samym miejscu.

Skaczę do wody.

Rozdział osiemnasty

Sean

Nie pływam w wodzie. Otacza mnie krew. Wielkie krwawe cumulonimbusy. Jedną ręką odnajduję kręgosłup Fundamentalą, drugą – jagody ostrokrzewu. Przez wiele lat nie użyłem ich do zabicia konia wodnego, a teraz trzymam je w ręce drugi raz tego samego dnia.

Koń się wije, czuję zasysanie wody młóconej jego nogami. Przesuwam się, uczepony jego grzywy. Mam wrażenie, że skurczyły mi się płuca.

Nic nie widzę, a kiedy odzyskuję wzrok, mam przed sobą szeroko otwarte oko Fundamentalą, z którego wзира białko, ale on mnie nie widzi. Ciemny, śliski *each uisce* trzyma go za gardło. Krew bucha z poszarpanej rany jak para. Nogi konia wodnego równo i bez wysiłku siekają słoną wodę. Nie zwraca na mnie uwagi. Trzyma żrebaka w stalowym uścisku, a ja – małe, delikatne, obce w tym świecie stworzenie – nie stanowię dla niego żadnego zagrożenia.

Muszę zaczerpnąć powietrza, potrzebuję gwałtownego wdechu, a potem jeszcze jednego i jeszcze jednego.

Lecz przed sobą mam długie i cienkie nozdrza *each uisce*, a w ręce twarde śmiercionośne jagody. Mógłbym patrzeć, jak tonie.

Tuż obok ukazuje się brzeg rany Fundamentalą. Wspaniałe, dzielne serce żrebaka wypompowuje z niego życie w tym samym rytmie, w którym pracuje moje własne.

Nic go nie uratuje.

Widziałem, jak się rodzi. Fundamental, rzadki żrebak, tak bliski koniom wodnym, że kochał ocean tak jak ja.

W kącikach moich oczu migoczą kolory, których nie potrafię nazwać.

Muszę zostawić go za sobą.

Rozdział dziewiętnasty

Puck

Finn i ja czekamy tego wieczoru na Gabe'a. Gotuję fasolę – piekielną fasolę, mam wrażenie, że nic innego nie jemy – i gotuję się w środku, obmyślając, co mu powiem, kiedy się zjawi. Finn majstruje przy oknach, a kiedy pytam, co robi, wspomina coś o burzy. Wieczorne niebo jest czyste, nie licząc postrzępionych chmur daleko nad horyzontem, tak cienkich, że właściwie przezroczystych. Ani śladu brzydkiej pogody. Kto wie, dlaczego Finn robi którąkolwiek z rzeczy, które robi. Nie próbuję go nawet przekonywać, żeby to zostawił. Wciąż w głowie kotłują mi się myśli o tym, co się wydarzyło dzisiaj rano na plaży i później tu, w domu.

Czekamy i czekamy, najpierw duszę swoje poczucie zdrady na wolnym ogniu, potem gotuję się ze złości, a potem znowu duszę. Nie da się być na kogoś złym tak długo. Chciałabym porozmawiać z Finnem o tym, co mnie gryzie, ale nie mogę mu powiedzieć o Malvernie. Będzie się przez to tylko szczypał po ramionach i jeszcze bardziej obsesyjnie celebrował swoje higieniczne rytuały.

– Co sądzisz – pytam jak gdyby nigdy nic, obracając w kółko maselniczkę – o tym, żeby sprzedać morrisa? Z czego się śmiejesz?

Stuka na próbę w jedną z szyb.

– Nawet nie jest na chodzie.

– A gdyby *był* na chodzie?

– Mógłbym to okno jutro naprawić – mówi Finn z roztargnieniem. Dochodzę do wniosku, że szyby to tylko pretekst, żeby cały czas wyglądać przez okno. – Nie powinno tak zostać, kiedy zerwie się burza.

– Deszcz. Jasne – mówię. – Sprzedać morrisa. Co o tym myślisz?

– Cóż, to chyba zależy od tego, po co mielibyśmy go sprzedać.

– Żeby kupić Dove wartościową paszę na czas treningów – odpowiadam.

Zalega długa, dręcząca cisza przerywana tylko stukaniem palcem o szybę. Potem Finn pochyła się, żeby obejrzeć łączenie szkła z drewnem z odległości trzech centymetrów. Chyba stwierdza, że jego stan pozwala na zakończenie kontroli przeciwburzowej.

W końcu mówi:

– Czy lepsza pasza jest aż tak droga?

– A czy widziałeś, drogi Finnie, żeby gdzieś na tej wyspie rosła lucerna?

– To zależy – odpowiada rozbrajająco mój brat. – Nie wiem, jak wygląda lucerna.

– Jak wewnątrz twojej pustej głowy. Tak, jest droga. Przywozi się ją ze stałego lądu.

Trochę mi głupio, że tak go zaatakowałam. To nie na niego jestem zła, tylko na Gabe'a. Nie wyobrażam sobie, że miałabym nie porozmawiać z nim wieczorem o wizycie Malverna, a nie mogę na niego długo czekać. Muszę rano wcześniej wstać, żeby pójść na plażę.

Finn wygląda żałośnie. Czuję się okropnie. Może jest coś innego, co moglibyśmy sprzedać, na przykład te bezużyteczne kurczaki, które najczęściej i tak zdychają, zanim zdążymy je zabić na obiad. Tylko że za całe ich stado moglibyśmy kupić jedną belę siana i ani odrobiny dobrego ziarna.

– Czy dzięki temu będzie szybsza? – pyta Finn.

– Konie wyścigowe powinny być karmione jak konie wyścigowe.

Finn zerka na naszą kolację: fasolę z kawałkiem boczku darowanego nam przez Dory Maud.

– Jeżeli to konieczne.

Mówi to takim tonem, jakbym go poprosiła, żeby odpiłował sobie lewą nogę. Wiem, jak się czuje. Kocha Morrisa tak, jak ja Kocham Dove. Poza tym co mu zostanie, jeśli nie będzie miał samochodu, przy którym może majstrować? W domu jest tylko pięć okien.

– Jeżeli wygram – zaczynam – będziemy mieli dość pieniędzy, żeby odkupić go z powrotem. – Wciąż ma ponurą minę, więc dodaje: – Będziemy mieli dość pieniędzy, żeby kupić dwa. Drugi do holowania tego pierwszego, kiedy już całkiem wysiądzie.

Teraz na jego twarzy nieśmiało pojawia się uśmiech. Siedzimy ijemy fasolę z boczkiem. Bez umawiania się zjadamy resztę ciasta z jabłkami, nie zostawiając nic dla Gabe'a. Dwie osoby przy stole przeznaczonym dla pięciu. Nie wiem, jak będę mogła zasnąć z tym całym gniewem, który mam w środku. Gdzie jest Gabe?

Przypominam sobie owcę bez głowy, którą Finn i ja znaleźliśmy na drodze do Skarmouth. Skąd mam wiedzieć, czy Gabe został dłużej w pracy, a nie leży martwy na poboczu? Skąd on może wiedzieć, czy my dotarliśmy bezpiecznie do domu, a nie leżymy gdzieś martwi?

Finn pierwszy mówi to głośno.

– Właściwie jest tak, jakby już go nie było.

Rozdział dwudziesty

Sean

Tej nocy leżę w łóżku i wpatruję się w mały kwadrat nieba widoczny z okna mojego mieszkania. Niebo wydaje się płaskie, czarne i bezkresne niczym ocean. Choć już dawno zdążyłem się wysuszyć, jest mi zimno, jakbym połknął morze, a ono we mnie żyło. Ramiona mnie boją, jakbym podtrzymywał klify.

Przypominam sobie, z jaką determinacją Fundamental płynął za łodzią. Ale właściwie nie o tym myślę, lecz o jego głowie odrzuconej do tyłu, o białkach jego oczu, o tym, jak zniknął pod wodą tak wzburzoną, że nad jej powierzchnią utworzyła się mgiełka.

Ciągle nurkuję. Za każdym razem jest za ciemno, za zimno, za szybko, za późno.

Wciąż mam przed oczami Mutt Malverna, który stoi na cyplu i mnie obserwuje.

Benjamin Malvern jeszcze się nie odezwał, ale to tylko kwestia czasu.

„Kendrick!”. Głos Daly’ego, który mnie ostrzega, niestety za późno.

Nie wytrzymam w łóżku ani chwili dłużej. Wstaję. Kurtka wisi nad żelazną spiralą grzejnika, ciągle mokra i ubrudzona piaskiem. Odnajduję po ciemku spodnie i sweter i schodzę po wąskich schodach do stajni.

Trzy żarówki zainstalowane w głównym przejściu rzucają żółte koła na podłogę. Wszystko inne jest pogrążone w mroku. Za każdym razem, kiedy cichnie mój oddech, mam wrażenie, że ciemność jest wszechogarniająca. Na odgłos moich kroków konie wyścigowe i pociągowe rżą wyczekująco. Byłem przy narodzinach ich wszystkich, tak samo jak byłem przy narodzinach Fundamentała.

Przechodząc tamtędy, nie mogę nie słyszeć wydawanych przez nie dźwięków. Powoli żują siano, tupią kopytami, gdy świerzb łaskocze je w nogi. Słoma szeleści. Krzepiące odgłosy stajni.

Mijam kolejne boksy i kieruję się do ostatniego, w którym stoi Corr. Teraz, kiedy jest poza zasięgiem światła, jego sierść ma kolor starej, zaschniętej krwi. Opieram się o ścianę zagrody i zaglądam do środka. Przyglądam mu się; jego widok sprawia, że trochę mi lżej. W przeciwieństwie do koni lądowych Corr nie marudzi nad sianem przez całą noc ani nie wzdycha. Stoi na samym środku boksu w zupełnej ciszy, strzygąc uszami. W jego oczach jest coś, czego nigdy nie będą miały konie czystej krwi, coś intensywnego i drapieżnego.

Łypie na mnie lewym okiem, a potem, nasłuchując, wpatruje się w jakiś punkt za mną. Nie uspokoi się. Słyszy szum przyływu, czuje zapach końskiej krwi na moich rękach, wyczuwa moje zdenerwowanie.

Nie wiem, co Mutt Malvern robił na miejscu Daly’ego ani czy wydaje mu się, że jego przebiegły ojciec nie spyta, kto stał na cyplu, kiedy *each uisce* wpłynął do zatoki. Znowu myślę o Fundamentale, o tym, jak przewraca szeroko otwartymi oczami. Mutt gotów był go poświęcić, bo dostrzegł szansę, że pozbędzie się mnie. Szansę, że dostanie to, czego chce.

Co ja byłbym gotów poświęcić w zamian za możliwość spełnienia swoich pragnień?

– Corr – szepczę.

Uszy czerwonego ogiera natychmiast kierują się w moją stronę. Jego oczy są czarne i tajemnicze jak krople oceanu. Każdego dnia staje się bardziej niebezpieczny. Obaj jesteśmy coraz bardziej niebezpieczni.

Nie mogę znieść myśli, że Mutt Malvern mógłby zająć moje miejsce przy Corrze.

Mutt myśli, że Benjamin Malvern zwolni mnie za to, co się dzisiaj stało. Mógłbym po

prostu odejść. Myślę o satysfakcji, jaką bym wtedy czuł, o zabraniu swoich oszczędności, o zostawieniu za sobą Malvernów i wszystkiego, co do nich należy.

Corr wydaje nocny odgłos – ledwo słyszalny, zniżający się lament. Jak krzyk pod wodą. W wykonaniu Corra to latarnia wskazująca drogę. Sygnał, że czeka na odpowiedź. Moją odpowiedź.

Cmokam, a on natychmiast cichnie. Żaden z nas się nie przesuwa, ale obaj równocześnie przestępujemy z nogi na nogę. Wzdycham i on też wzdycha.

Nie mógłbym odejść bez Corra.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Puck

Po doświadczeniach poprzedniego dnia obmyślam nowy plan treningów. Mam dwa wyjścia: poranne, wysokie, śmiałe wody przyływu i możliwość spotkania z koniem wodnym wynurzającym się z głębin oceanu albo późne godziny, odpływ i gwarantowane towarzystwo koni wodnych na plaży. Ustawiam więc budzik na piątą rano. Siodłam Dove, która jeszcze niezupełnie się obudziła.

Gabe'a już nie ma. Nawet nie wiem, czy wrócił na noc do domu. W pewnym sensie cieszę się, że zdradzieckie ciemne zbrocze, którym się posuwamy, nie pozwala mi zbyt długo roztrząsać nieobecności brata.

Kiedy jesteśmy już u podstawy klifów, wciąż musimy poruszać się wolno, omijając głązy rozrzucone powyżej linii wysokiej wody. Odrobina docierającego tu światła nadaje parze wydychanej przez Dove białą, nieprzezroczystą barwę. Jest tak ciemno, że słyszę morze lepiej, niż je widzę. „Ciii, ciii” – mówi, jakbym ja była marudnym dzieckiem, a ono moją matką. Chociaż jeśli moją matką miałyby być morze, to już wolę być sierotą.

Dove jest czujna, strzyże uszami w kierunku wody, która wciąż sięga odrobinę za wysoko, żebyśmy mogły trenować jak należy. Kiedy wreszcie w całej swojej okazałości nadejdzie świt, ocean niechętnie odda kilkadziesiąt metrów twardego piasku, na którym jeźdźcy będą mogli galopować w większej odległości od wody. Teraz jednak sięga ona wysoko, spychając mnie pod ścianę klifu.

Boję się.

Przyływ, ciemność, zbliżający się listopad – i setki koni wodnych w oceanie u wybrzeży Thisby. Wiem, że na tej ciemnej plaży Dove i ja jesteśmy bezbronni. *Each uisce* może zaciąć się w wodzie choćby w tej chwili.

Słyszę łomot własnego serca. „Ciii, ciii” – uspokaja morze, ale mu nie wierzę. Poprawiam strzemiona. Dove cały czas strzyże uszami w kierunku wody. Nie dosiadam jej. Nasłuchuję oznak życia. Jest tylko ocean. Nagle połyskuje chytrym uśmiechem, który mógłby być odbiciem sinusoidalnego kręgosłupa *each uisce*.

Dove by wiedziała. Muszę jej zaufać. Wciąż nasłuchuje. Jest niezwykle czujna, lecz nie bojaźliwa. Całuję na szczęście jej zakurzony bark i dosiadam jej. Prowadzę ją tak daleko od linii wody, jak to możliwe. Kiedy za bardzo oddalamy się od brzegu, piasek zastępują kamyki i skały, po których nie da się jeździć konno. Gdy się zbytnio zbliżamy do oceanu – „ciii, ciii”.

Zaczynamy rozgrzewkę, zataczając kręgi spokojnym klusem. Staram się rozluźnić, chciałabym zapomnieć, gdzie jestem, ale nie potrafię. Każdy refleks na wodzie sprawia, że podskakuję. Całe ciało ostrzega mnie przed zagrożeniami tego czarnego oceanu. Przypomina mi się opowieść, którą na Thisby straszy się nastolatki. O zakochanych, którzy spotykali się potajemnie na brzegu i zostali wciągnięci do morza przez czyhające na nich konie wodne. Opowiadano tę historię od zawsze ku przestrodze młodzieży, towarzyszyła nam, kiedy uczyliśmy się całować. Tak naprawdę jednak nigdy nie brzmiała prawdziwie – ani w szkolnej klasie, ani powtarzana gdzieś przy okazji. Tu, na plaży, wydaje się rodzajem przyrzeczenia; staje się obietnicą.

Nie ma sensu o tym myśleć. Muszę mądrze spożytkować te minuty na brzegu. Staram się wyobrazić sobie, że jestem na górze, na błotnistym pastwisku. Przez niekończące się minuty Dove i ja ćwiczymy, klusując raz w jedną stronę, raz w drugą, a potem powtarzamy wszystko

cwałem. Co jakiś czas zatrzymuję się i nasłuchuję. Przeczesuję wzrokiem ciemność w poszukiwaniu czegoś jeszcze ciemniejszego niż ona. Dove jest już spokojna, ale ja nie mogę przestać się trząść. Z zimna i ze strachu.

Nad szczytem klifu ukazuje się nikła zapowiedź świtu. Po drugiej stronie wyspy już robi się jasno. Lecz nie na tej plaży. Skały zazdrośnie strzegą nocy, blokując każdy promień słońca, dopóki mogą.

Niedługo zjawiają się pozostali.

Zatrzymuję się i nasłuchuję. Nic. Tylko „ciii, ciii”.

Czekam i czekam, i czekam. Tylko ocean.

A potem dają Dove sygnał do galopu.

Ochoczo wrywa do przodu, zamiatając radośnie ogonem. Fale zlewają się w ciemną plamę z jednej strony, a klify – w bezkształtny szary mur z drugiej. Teraz nie słyszę już szumu fal, jedynie tętent kopyt Dove i jej dyszenie.

Kosmyki włosów wymykają mi się z końskiego ogona i furkoczą na wietrze jak cieniuteńkie bicze. Dove wierzga raz po raz, podekscytowana biegiem, a ja śmieję się do niej. Ściągamy wodze i wracamy tą samą drogą, którą przyszliśmy.

Mam wrażenie, że ktoś nas obserwuje ze szczytu urwiska, ale kiedy patrzę w górę, nikogo tam nie ma.

Podsumowuję w myślach naszą poranną pracę. Dove jest bez tchu, ja jestem bez tchu, morze się cofa. Pozostali jeźdźcy dopiero pojawią się na plaży, a my już na dzisiaj skończyliśmy.

To się może udać.

Nie wiem, jak szybkie byliśmy, ale w tej chwili to nie ma znaczenia. Na razie to jedno zwycięstwo wystarczy.

Rozdział dwudziesty drugi

Sean

O tej porze dnia na piętrze herbaciarni nie ma nikogo. Tylko ja i małe, nakryte obrusami stoliki z purpurowymi kwiatami ostu w wazonach. Pomieszczenie jest długie, wąskie i ma niski sufit, trochę jak przytulny tramwaj albo duszny kościół. Wszystko jest skąpane w delikatnym świetle przefiltrowanym przez różowe koronkowe firanki w małych oknach za moimi plecami. Ja jestem najciemniejszą plamą w tym wnętrzu.

Przy moim stoliku zjawia się Evelyn Carrick, młoda córka właściciela, i pyta, co mi podać. Nie patrzy na mnie, ale nie przeszkadza mi to, bo ja też nie patrzę na nią. Przeglądam niewielką kartę, która leży przede mną na obrusie.

W menu występują jakieś francuskie słowa. Śledzę wzrokiem ciągi nieznanymi mi wyrazów. Pozycje w języku angielskim są obszernie opisane. Gdybym chciał zamówić zwykłą herbatę, nie wiem, czybym ją rozpoznał. Dlatego na nic się nie decyduję i mówię:

– Zaczekam.

Ona się waha. Jej oczy przeskakują to w jedną, to w drugą stronę niczym u konia niepewnego, jak się zachować wobec nieznanego przedmiotu.

– Czy mam zabrać okrycie?

– Nie, dziękuję.

Moja kurtka wyschła przez noc na grzejniku, ale jest sztywna od słonej wody, poplamiona błotem i krwią. Jest na niej wypisany każdy dzień spędzony na plaży. Nie mogę sobie wyobrazić, że Evelyn dotknęłaby jej swoimi małymi, białymi dłońmi.

Evelyn, stojąc naprzeciwko mnie, robi coś skomplikowanego i chyba praktycznego z serwetką i spodeczkiem, a potem sfruwa z powrotem na dół wąskimi schodami. Słucham trzeszczenia i skrzypienia stopni przy każdym jej kroku. Wysoka i wąska kamienica, w której mieści się herbaciarnia, wciska się między sklep spożywczy a pocztę. Jest jednym z najstarszych budynków w Skarmouth i zastanawiam się, do czego służyła, zanim zaczęto podawać tu *petit pain*.

Malvern spóźnia się na spotkanie, które sam wyznaczył, spotkanie, którego spodziewałem się właśnie w tym tygodniu. Odwracam się, żeby wyjrzeć na ulicę przez zasłonięte na różowo okno. Są już pierwsi ciekawscy turyści, którzy przybyli na Festiwal Skorpiona. Słysząc, jak kilka ulic dalej ktoś ćwiczy grę na bębnach. Za kilka dni wszystkie stoliki na tym piętrze będą pełne, podobnie jak ulice. Na zakończenie festiwalu odbędzie się parada jeźdźców, w której wezmę udział. Jeśli jeszcze będę miał pracę.

Podciągam trochę mankiet, żeby zerknąć na nadgarstek. W czasie porannego treningu sztywna kurtka otarła mi skórę do krwi. Musiałem interweniować, bo między końmi wywiązała się walka. Chciałbym, aby Gorry odpuścił sobie próby sprzedania srokatej klaczy, ona ma zły wpływ na pozostałe konie.

Schody trzeszczą i skrzypią – tym razem wspina się po nich ktoś cięższy od Evelyn. Przez salę idzie Benjamin Malvern. Staje przy stoliku, czekając, aż wstanę, żeby się z nim przywitać. Malvern, który przez większość życia był człowiekiem majątnym, roztacza wokół siebie aurę zadbanej brzydoty, jak drogi koń wyścigowy z niezbyt kształtną głową. Połyskujący płaszcz, jasne spojrzenie, kartoflowaty nos nad zbyt mięsistymi ustami.

– Witaj, Seanie Kendrick – zwraca się do mnie. – Jak się miewasz?

– Znośnie.

– Jak woda w morzu? Ciepła? – żartuje. To jego sposób okazania empatii, a ja udaję, że mnie to śmieszy, aby pokazać, że doceniam swoje wynagrodzenie.

Uśmiecham się nieśmiało.

– Jak zwykle.

– Siądziemy?

Pozwalam, żeby usiadł jako pierwszy, a potem robię to samo. Bierze do ręki menu, ale go nie czyta.

– Gotowy do festiwalu? To już w najbliższy weekend.

Schody znowu trzeszczą i wchodzi Evelyn. Stawia przed Malvernem filiżankę spienionego płynu.

– Co dla pana? – pyta znowu.

– Dziękuję.

– Nie będzie nadużywał twojej gościnności, moja droga Evelyn – mówi do niej Malvern.

– Przynieś mu filiżankę herbaty.

Kiwam głową do kelnerki. Mężczyzna zachowuje się, jakby nawet nie zauważył jej odejścia.

– Nie ma sensu sobie żałować. Wystarczy, że mamy nieprzyjemne sprawy do załatwienia – tłumaczy Malvern. Pije swoją dziwną herbatę z pianką.

Siedzę w bezruchu i milczę.

– Nie jesteś człowiekiem słów, Seanie Kendrick – odzywa się znowu. Za oknem cały czas słychać bębny Skorpiona. Wznoszący się wędrowny odgłos kłóci się z miękkim różowym światłem, które nas otacza. Malvern pochyla się, opierając łokcie o stół. – Opowiadałem ci kiedyś, jak zacząłem zajmować się końmi?

Patrzę mu w oczy.

– Byłem młody, biedny, wychowałem się na wyspie. Oczywiście nie na tej wyspie. Nie miałem niczego na własność oprócz pary butów i kilku siniaków. Niedaleko naszego domu mieszkał człowiek, który sprzedawał konie. Konie rasowe i chabety, konie wytrenowane do skoków przez przeszkody i te przeznaczone do uboju. Co miesiąc odbywała się aukcja, na którą zjeżdżali się ludzie z miejsc położonych dalej niż te, które ty w swoim życiu odwiedziłeś.

Milknę tylko po to, żeby się przekonać, czy mi smutno, że wrosłem w tę wyspę. Kiedy nie znajduje tego, czego szuka, mówi dalej.

– Kupił kiedyś ogiera, złotego, jakby dotknął go Midas. Sto siedemdziesiąt, sto osiemdziesiąt centymetrów w kłębie, grzywa i ogon jak u lwa. Widzieć go na wybiegu, to wiedzieć, jak powinien wyglądać koń. Był tylko jeden problem: nikt nie mógł go dosiąść. Zrzucił czterech jeźdźców, jednego zabił, zjadał od czterech do ośmiu bel siana dziennie. Zaproponowałem temu człowiekowi, że poskromię wierzchowca, a jeśli mi się to uda, on da mi pracę, dzięki której już nigdy nie będę biedny. Handlarz koni powiedział, że nie może mi obiecać, że nigdy nie będę biedny, ale może mi zapewnić pracę, dopóki żyje. Więc założyłem uzdę temu złotemu ogierowi i opaskę na oczy zrobioną z sukienki młodej dziewczyny, a potem go dosiadłem. Galopowaliśmy po całej okolicy, on ślepy, a ja król. Kiedy przyprowadziłem go z powrotem, koń był obłaskawiony, a ja miałem pracę. Co o tym myślisz?

Patrzę na Malverna. Macza usta w swojej egzotycznej herbacie. Z miejsca, w którym siedzę, czuję, że napój pachnie masłem.

– Nie wierzę panu – odpowiadam. Gdy Malvern unosi brew, dodaję: – Nigdy nie był pan młody.

– A ja myślałem, że nie masz poczucia humoru, Seanie Kendrick. – Milknę, kiedy Evelyn stawia przede mną filiżankę. Proponuje mleko i cukier, ale ja kręcę przecząco głową.

Malvern czeka, aż dziewczyna zejdzie po schodach. Przykrywa swoją filiżankę serwetką, jakby to były zwłoki, a nie puste naczynie.

– Mój syn mówi, że zabiłeś mojego konia.

Na ustach i na piersi czuję gorący dotyk gniewu.

– Nie wyglądasz na zdziwionego – dodaje Malvern.

– Nie jestem zdziwiony – odpowiadam.

Bębny Skorpiona są teraz bliżej, grają głośniej, a ich dźwięk miesza się ze śmiechem. Rozlega się niski, szyderczy chichot, sprawiając, że ci, którym jest nie do śmiechu, marszczą brwi, jak teraz Malvern. Przekrzywia głowę, jakby widział scenę na zewnątrz wyraźniej niż swoją twarz. Bębnienie staje się miarowe jak uderzenia kopyt. Być może Malvern znowu ma przed oczami tego ogromnego złotego ogiera galopującego po polach jakiejś odległej wyspy.

– Quinn Daly powiedział mi, co widział – zaczyna Malvern. – Powiedział, że ćwiczyłeś z Fundamentalem w zatoczce. Że wydawałeś się roztargniony. Że myśлами byłeś daleko i że nie zauważyłbyś zagrożenia w wodzie.

Oczywiście, że byłem zdenerwowany. Tą rudowłosą dziewczyną na lądowym kucyku i walką rozwścieczonych klaczy. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby Malvern mnie za to zwolnił, żeby zwolnił mnie za cokolwiek, a jednocześnie wydaje mi się to zupełnie prawdopodobne. Stawiam sprawę na ostrzu noża.

Znowu patrzę mu w oczy.

– Co jeszcze mówił Quinn Daly?

– Że Matthew go zmienił i sam obserwował zatoczkę. A potem Daly zobaczył już tylko, jak Fundamental idzie pod wodę, a ty nurkujesz za nim. – Malvern splata ręce na stole. – Ale mój syn mówi co innego. Mam dwie rozbieżne relacje. Co ty masz do powiedzenia?

Zaciskam zęby. Jestem na straconej pozycji. Goniłwa myśli. Ważę słowa.

– Nie mogę przeczyć pańskiemu synowi.

– Nie musisz – odpowiada Malvern. – Twoja kurtka mówi mi, która wersja jest prawdziwa.

Obaj milkniemy.

Wreszcie odzywa się Malvern.

– Ciekaw jestem, co jest dla ciebie ważne.

Zaskakuje mnie tym pytaniem. Bywały w moim życiu osoby, przed którymi otworzyłbym serce, ale Benjamin Malvern nigdy do nich nie należał. Nie potrafię sobie wyobrazić, że zwieram mu się ze swoich pragnień, tak samo jak trudno mi sobie wyobrazić, że on zwierza mi się ze swoich.

Cały czas mi się przygląda.

– Czego właściwie chcesz od życia?

– Dachy nad głową, wodzy w dłoniach i piasku pod kopytami – rzucam bez zastanowienia. Skromna prawda w telegraficznym skrócie.

Malvern przełyka swój napój.

– Aaa, w takim razie już masz to, czego chcesz.

Nie mogę tu siedzieć i popijając herbatę, mówić mu, że to, czego chcę, to uwolnić się od niego.

– Minęło dużo czasu, odkąd obłaskawiłem tego pierwszego ogiera – stwierdza Malvern. – Nie wiem, jak wyglądałoby to z boku: droga, która mnie zaprowadziła na tę zapomnianą wysepkę, zagubioną na oceanie. Nie potrafię jej porównać z drogą Matthew, żeby odgadnąć, dokąd on zmierza.

Mutt Malvern może podążać przeróżnymi ścieżkami, ale obaj wiemy, że żadna z nich nie

prowadzi do zarządzania światowej sławy hodowlą koni.

– No cóż, Seanie. Masz już rozeznanie, jak konie pobiegną? – Malvernowi chodzi o to, który z jego *eich uisce* jest najszybszy.

– Wiedziałem to już pierwszego dnia.

Malvern się uśmiecha. To uśmiech pozbawiony sympatii, lecz jestem przekonany, że jej brak nie jest wymierzony przeciwko mnie.

– W takim razie który pobiegnie najwolniej?

– Ta gniada klacz bez białych plam – mówię od razu. Nie nadałem jej jeszcze imienia, bo czekałem, aż da się poznać. Jest narowista i szaleje za morzem. Nie biega prędko, bo nie sprawia jej przyjemności wypełnianie poleceń jeźdźca.

– A który jest najszybszy? – pyta Malvern.

Milczę przez chwilę, zanim odpowiem. Wiem, że on na tej podstawie zdecyduje, którego konia dosiądzie w tym roku Mutt. Nie chcę odpowiadać zgodnie z prawdą, ale też nie ma sensu kłamać, bo w końcu i tak Benjamin Malvern dowie się prawdy.

– Corr. Czerwony ogier.

– A który jest najbezpieczniejszy?

– Edana. Gniada z białą strzałką.

Malvern patrzy teraz na mnie. Po raz pierwszy naprawdę na mnie patrzy. Marszczy brwi, jakby dopiero mnie zauważył, chłopca, który przez kilka lat dorastał w stajni, opiekując się jego końmi, który poświęcił jego zwierzętom coś więcej niż tylko czas. Wpatruję się w swoją filiżankę, zastanawiając się, do czego Malvern zmierza.

– Dlaczego skoczyłeś do wody za Fundamentalem?

– Był pod moją opieką.

– Był pod twoją opieką, ale należał do Malverna. Do mojego syna. – Mężczyzna odsuwa krzesło i wstaje. – Matthew pojedzie na Edanie. Wypuść tę drugą gniadą klacz, chyba że twoim zdaniem do przyszłego roku się wyrobi.

Spogląda na mnie. Kręcę przecząco głową.

– Więc ją wypuść. A ty – wsuwa kilka monet pod spodek – ty pojedziesz na Corrze.

Co roku czekam, aż to powie. Co roku oddycham z ulgą, kiedy podejmuje decyzję.

Ale w tym roku czuję się tak, jakbym wciąż czekał.

Rozdział dwudziesty trzeci

Puck

Następnego dnia aż do lunchu jestem w kiepskim nastroju. Kiedy wstałam i zobaczyłam, że Gabe'a już nie ma, postanowiłam wziąć sprawy w swoje ręce i poszukać go w Skarmouth. W hotelu powiedzieli mi, że jest na przystani, na przystani – że wypłynął na łodzi, a gdy zapytałam na której, zaczęli się śmiać i odrzekli, że może na tej, na której znalazł nieopróżnioną butelkę.

Czasami nienawidzę wszystkich mężczyzn.

Po powrocie wyładowuję się na Finnie za to, że już w ogóle nie rozmawiamy z Gabe'em.

– Zamieniłem z nim kilka słów dzisiaj rano – mówi Finn. – Zanim wyszedł. O tych rybach.

Udaje mi się opanować furie, ale z wielkim trudem.

– Następnym razem poinformuj mnie łaskawie, gdy go zobaczysz. Muszę z nim koniecznie porozmawiać. O jakich rybach mówiłeś?

– Co? – pyta Finn. Uśmiecha się do staromodnego porcelanowego pieska.

– Nieważne – odpowiadam.

Zabieram Dove na plażę podczas popołudniowego przypływu. Jest zirytowana i ospała, nie w nastroju do ćwiczeń. Oczywiście w przeszłości zdarzało jej się mnóstwo takich dni, ale nigdy nie miało to znaczenia. Nie, żeby miało znaczenie dzisiaj, ale jeśli będzie taka w dniu wyjścia, mogę równie dobrze nie wstawać z łóżka.

Po powrocie do domu puszczam ją na wybieg i przerzucam przez płot wiązkę siana. To kiepskie siano z miejscowej trawy. Jakoś do tej pory zbytnio się tym nie przejmowałam. Patrzę ponuro na brzuch Dove i wchodzę do domu.

– Finn! – wołam.

Nie ma go. Mam nadzieję, że naprawia tego głupiego morrisa. Coś w tym domu powinno działać.

– Finn! – krzyczę znowu.

Bez odpowiedzi.

Pełna wyrzutów sumienia biorę stojącą na kuchennym blacie puszkę po ciastkach i grzechoczę monetami, które tam odkładamy. Przeliczam je, a potem wkładam z powrotem do naczynia. Wyobrażam sobie, co Dove mogłaby osiągnąć, gdyby była lepiej karmiona. Ponownie wyciągam pieniądze. Mogłabym za to kupić lepszą paszę najwyżej na tydzień, a my zostalibyśmy bez grosza. Odkładam monety na miejsce.

Tak czy owak, niedługo stracimy dom, chyba że coś uda mi się wykombinować.

Zaciskam pięści i wpatruję się w puszkę.

Poproszę Dory Maud, żeby wypłaciła mi zaliczkę za dzbanki do herbaty.

Zostawiam w naszej skarbonce kilka monet, a resztę wkładam do kieszeni. Bez Finna i bez morrisa, który zresztą i tak pewnie jest zepsuty, nie mam jak dostać się do sklepu rolniczego Colborne'a i Hammonda, więc idę do przybudówki po rower mamy. Sprawdzam powietrze w kołach i odjeżdżam, chwiejnie omijając dziury. Cieszę się, że prognoza pogody Finna na razie się nie sprawdziła, bo sklep jest w Hastoway, za Skarmouth. Wystarczy mi ból w łydkach; gdybym miała jeszcze do tego zmoknąć, wściekłabym się.

Jadę zwirową alejką, a potem skręcam na asfalt, zerkając przez ramię, żeby się upewnić, że nie nadjeżdża żaden samochód. Rzadko ktoś tędy jeździ, ale odkąd ojciec Mooneyham został

zepchnięty do rowu przez ciężarówkę Martina Birda, wołę być ostrożna.

Wieje wiatr od wzgórz i muszę się przechylać, aby utrzymać rower w pionie. Szosa przede mną wije się, omijając masywniejsze wzniesienia. Tata powiedział, że na początku, kiedy położyli asfalt, droga wyglądała jak blizna albo zamek błyskawiczny, tak bardzo odcinała się czernią od brązowzielonych wzniesień. Ale teraz jezdnia i namalowane na niej linie wypływały, a plamy ciemniejszego asfaltu, którym łątano dziury, sprawiają, że całkowicie wtopiła się w nierówny, kanciasty krajobraz. Nocą trzymanie się drogi jest prawdziwym wyzwaniem.

Mimo szumu wiatru dobiega mnie dźwięk silnika, więc zjeżdżam na pobocze, żeby przepuścić samochód. Lecz on, zamiast mnie minąć, zatrzymuje się. To wielka ciężarówka marki Bedford do przewozu owiec, którą prowadzi Thomas Gratton. Przód samochodu przypomina Finna, kiedy robi swoją żabią minę.

– Puck Connolly – mówi przez otwarte okno Thomas Gratton, jak zwykle zaczerwieniony na twarzy. – Dokąd na tym jedziesz?

– Do Hastoway.

Ledwo udaje mi się zsiąść z roweru, a już Gratton wrzuca go na pakę ciężarówki.

– Ja też tam jadę! – krzyczy do mnie.

Potrafię docenić szczęśliwy traf, więc czym prędzej wspinam się na siedzenie pasażera. Odsuwam jakąś puszkę, gazetę i owczarka szkockiego, żeby zrobić sobie miejsce.

– No – odzywa się Thomas Gratton, stękając z wysiłku przy wsiadaniu do ciężarówki – to musisz mi pomóc z ciasteczkami. Inaczej zjem wszystkie sam.

W trakcie podróży zjadam jedno ciastko i daję jedno jego psu. Rzucam przebiegłe spojrzenie Thomasowi Grattonowi, aby się przekonać, czy zauważył co zrobiłam, a jeśli zauważył, to czy ma coś przeciwko temu. On jednak tylko nuci coś, ściskając kierownicę, jakby mogła mu uciec. Przypominam sobie, że rozmawiał o mnie z Peg, i zastanawiam się, czy nie popełniłam błędu, dając się tutaj z nim uwięzić.

Przez chwilę jedziemy we względnej ciszy – ciężarówka rzezi, jakby silnik miał wyskoczyć spod maski, więc cisza to nie najwłaściwsze słowo. Cieszy mnie, że szoferka jest zaśmiecona papierkami od pastylek na kaszel, pustymi butelkami i ubłoconymi strzępami gazet, które kruszą się ze starości. Kiedy widzę porządek, mam wrażenie, że powinnam się zachowywać najlepiej jak potrafię. Bałagan to moje środowisko naturalne.

– Jak się miewa twój brat? – pyta Gratton.

– Który?

– Ten bohaterski, z wózkiem.

Wzdycham tak głośno, że owczarek na pocieszenie liże mnie po twarzy.

– Aaa, Finn.

– Wiesz, bardzo się stara. Myślisz, że rozgląda się za praktyką?

Praktyka u rzeźnika byłaby rewelacją.

– Nie znosi widoku krwi – mówię ze szczerym żalem.

Thomas Gratton się śmieje.

– Urodził się na niewłaściwej wyspie.

Myślę, niezbyt czule, o martwej owcy, którą oglądałam ostatnio. A także o Finnie, któremu marzy się praca u Palssona. Jeśli uda mu się załapać na praktykę gdziekolwiek, to chyba tylko w piekarni. Mógłby tam sobie solić gorące kakao. Tylko że musieliby przyjąć drugą osobę do sprzątnięcia po nim kuchni.

– Och, kogo my tu mamy? – oznajmia nagle Thomas Gratton. Dopiero po chwili dostrzegam samotną ciemną postać na poboczu. Gratton zatrzymuje ciężarówkę i opuszcza

szybę.

– Seanie Kendrick! – woła, a ja wzdrygam się na dźwięk tego nazwiska. To rzeczywiście Sean Kendrick, skulony z zimna, z postawionym kołnierzem. – Co tu robisz bez konia pod sobą?

Chłopak nie odpowiada od razu. Wyraz jego twarzy pozostaje taki, jak był, choć zachodzi w niej jakaś zmiana, jakby przestawiał się na inny bieg.

– Rozmyślam.

– A dokąd tak sobie rozmyślasz?

– Nie wiem. Do Hastoway.

– No to możesz rozmyślać w ciężarówce. Jedziemy w tym samym kierunku.

Przez chwilę przytłacza mnie niesprawiedliwość sytuacji. Człowiek proponuje mi podwiezienie, a potem okazuje się, że mam dzielić szoferkę akurat z Seanem Kendrickiem, który nie chce widzieć kucyków na plaży. Czuję się nieco lepiej, kiedy zauważam, że na mój widok Kendrick waha się, czy wsiąść do ciężarówki. Staram się wyglądać odstrasżająco. Patrzę na niego spođe łba.

Ale mina Grattona stanowi widocznie wystarczającą przeciwwagę dla mojej, bo Sean Kendrick najpierw spogląda na drogę w kierunku, z którego przyszedł, a następnie okrąża auto, żeby wsiąść z drugiej strony. Z mojej strony. Gratton otwiera drzwi i wygania psa na pakę. Zwierzak posyła nam nienawistne spojrzenie, lecz słucha swojego pana. Przesuwam się na miejsce, które wcześniej zajmował. Teraz, gdy siedzę tuż obok Grattona, czuję, że pachnie cytrynowymi pastylkami na gardło, których papierki walają się po podłodze. Cały czas rozpaczliwie zastanawiam się nad jakimś błyskotliwym komentarzem, który mogłabym wygłosić, kiedy Sean otworzy drzwi, dając mu do zrozumienia, że pamiętam, co powiedział na plaży, że nie zrobiło to na mnie wrażenia ani mnie nie przestraszyło, a także, że jestem mądrzejsza, niż mu się wydawało.

Sean Kendrick otwiera drzwi.

Patrzy na mnie. Ja spoglądam na niego.

Teraz, z bliska, jego twarz wydaje się zbyt surowa, żeby mógł być przystojny: wystające kości policzkowe, nos jak kraweędź brzytwy i ciemne brwi. Ręce ma posiniaczone i podrapane – to pewnie efekt przygód z *eich uisce*. Podobnie jak miejscowi rybacy mruży oczy, jakby cały czas patrzył w morze. Przypomina mi dzikie zwierzę. O niezbyt przyjaznym usposobieniu.

Nie odzywam się.

Kendrick wsiada do ciężarówki.

Kiedy drzwi są już zamknięte, siedzę wciśnięta między wielką nogę Thomasa Grattona, która jak sobie wyobrażam, jest równie czerwona jak pozostałe części jego ciała, i twardą nogę Seana Kendricka. Ze względu na rozmiary szoferki siedzimy bardzo blisko siebie i o ile Gratton jest ulepiony z mąki i ziemniaków, Sean jest człowiekiem z kamienia, z wyrzuconego na brzeg drewna i może odrobiny tych kolczastych ukwiałów, które też czasem można znaleźć na plaży.

Odsuwam się od niego. Wygląda przez okno.

Gratton nuci pod nosem.

Z tyłu dobiega skomlenie owczarka. Drgania silnika przekształcają je w łamiący się, przerywany gwizd.

– Mówią, że Mutt... Matthew jest trochę zdenerwowany z powodu konia, którego mu wybrałeś – Gratton z wyraźnym zadowoleniem przytacza plotkę.

Sean Kendrick patrzy na niego surowo.

– A kto mówi takie rzeczy?

Z jakiegoś powodu dziwi mnie brzmienie jego głosu, kiedy nie musi przekrzykiwać wiatru z końskiego grzbietu. Wydaje się teraz delikatniejszy. Pachnie sianem i końmi, a przez to

nawet odrobinę go lubię.

– Ooo, zły jak lichy. – Gratton kiwa głową. – Dzisiaj w sklepie wpadł w prawdziwą furję. Krzyczał, że chcesz, żeby przegrał, i że boisz się konkurencji.

– Ach, to – odpowiada chłopak z lekceważeniem. Znowu zaczyna wyglądać przez okno. Mijamy jedno z pastwisk należących do Malverna. Pasą się na nim wspaniałe klacze zarodowe.

Gratton bębni palcami o kierownicę.

– A potem oczywiście Peg wybuchła.

Sean znowu na niego patrzy. Nic nie mówi, tylko czeka. Widzę, jak jego zachowanie skłania Grattona do mówienia, zarazem dając Seanowi subtelną przewagę. Przysięgam sobie, że nauczę się stosować tę technikę.

– Przechwalał się, że gdyby dosiadał tego twojego czerwonego ogiera, to też byłby czterokrotnym zwycięzcą. Więc Peg mu powiedziała, że nie ma pojęcia o koniach, skoro wydaje mu się, że wystarczy dobry wierzchowiec, żeby wygrać wyścig. Miał pecha, bo trafił na jeden z tych dni, kiedy lepiej się do Peg nie zbliżać.

Parskam śmiechem, co przypomina Grattonowi o mojej obecności.

– Poza tym nie potrzebujesz konkurencji w osobie Mutta. Będziesz miał pełne ręce roboty z Puck.

Przysięgam sobie, że gdy tylko nadarzy się okazja, otruję Thomasa Grattona i będę patrzyła, jak kona w męczarniach.

Chciałabym zapaść się w fotel i zniknąć. Zamiast tego spoglądam na chłopaka, ale on się nie odzywa. Zwyczajnie patrzy mi w twarz, marszcząc odrobinę brwi, jakby się spodziewał, że w ten sposób pozna powody, dla których przeszkodziłam mu w treningu. Potem znowu wygląda przez okno.

Nie mogę się zdecydować, czy czuję się urażona, czy nie. Milczenie wydaje się gorsze niż powiedzenie czegoś beznadziejnego, więc pytam Grattona:

– Wspominał pan, że szukacie praktykanta?

– Tak jest.

– A co z Beechem?

– Beech po wyścigu wyjeżdża na stały ląd.

Otwieram usta ze zdziwienia, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk.

– On, Tommy Falk i twój brat Gabriel. Wyjeżdżają razem. Powinienem ci dziękować, Puck, za to, że podarowałaś nam kilka dodatkowych tygodni z Beechem. Słyszałem, że twój brat zostaje do wyścigu dlatego, że ty startujesz, i to wstrzymało ich wszystkich.

Czasami czuję się, jakby wszyscy na Thisby wiedzieli o moich sprawach więcej niż ja sama.

– To prawda – przytakuję. Z jakiegoś powodu teraz, kiedy wiem, że Gabe nie jedzie sam, jestem jeszcze bardziej wściekła na niego. – Ale Tommy też startuje w wyścigu, prawda?

– Tak, postanowił, że wystartuje, skoro i tak ma tu zostać do tego czasu.

– Martwi się pan o Beecha? – Może to nie było najdelikatniejsze pytanie, lecz nie mogę go już cofnąć.

– Och, tak to już jest na tej wyspie. Nie każdy może tu zostać, w przeciwnym razie pospadalibyśmy z klifów, czyż nie? – Jednak ton głosu Thomasa Grattona nie pasuje do jego lekkich słów. – I nie każdy uważa, że jego miejsce jest na tej wyspie. Ale ty tak chyba uważasz, mam rację, Puck?

– Nigdy bym stąd nie wyjechała – mówię ze stuprocentowym przekonaniem. – Ta wyspa jest... jak moje serce czy coś w tym rodzaju.

Na chwilę w szoferce zapada cisza. Trochę mi głupio, że byłam taka sentymentalna. Za

oknem na wodzie widać jedną z tych skalistych wysepek u wybrzeży naszej, maleńki niebieskawy ląd, za mały, żeby dało się na nim mieszkać. Jest piękny w ten niezwykle sposób, który nigdy nie powszednieje.

Milczenie się przedłuża, aż w końcu Sean Kendrick odzywa się:

– Mam jeszcze jednego konia, Kate Connolly, gdybyś jednak chciała startować na *each uisce*.

Rozdział dwudziesty czwarty

Puck

Finn przygląda mi się, skubiąc ciasteczko. Na stole powolutku rośnie kupka okruchów.

– I co? Sean Kendrick sprzeda ci konia wodnego ze stajni Malverna?

Siedzimy na zapleczu Fathom i Synowie. To klaustrofobiczne pomieszczenie otoczone półkami pełnymi brązowych pudełek. Oprócz nich mieści się tu tylko podrapany stolik, a i ten wstawiono tu z wielkim trudem. Zapach na zapleczu niewiele ma wspólnego ze smażonym masłem, bardziej przypomina stęchlą tekturę i stary ser. Kiedy byliśmy mali, mama zostawiała nas tutaj z zapasem ciasteczek i szła do sklepu pogadać z Dory Maud. Finn i ja na zmianę zgadywaliśmy, co kryje się w brązowych kartonach. Gwoździe. Petardy. Królicze łapy. Intymne części ciała niewidzialnych kochanków Dory Maud. Niezła zabawa.

– Niekoniecznie – odpowiadam, nie podnosząc głowy znad jednego z dzbanków, które podpisuję i numeruję, zbliżając do ust filiżankę herbaty, która zrobiła się już zimna. – Zamierzam go tylko obejrzeć. Tak naprawdę Sean Kendrick nie wspominał nic o sprzedaży.

Finn wciąż na mnie patrzy.

– A ja nie wspominałam, że go kupię – dodaję.

– Myślałam, że jedziesz na Dove.

„Kate Connolly”. Wygląda jak na szkolnej klasówce. Potrzebuję czegoś bardziej ozdobnego. Domalowuję zawijas przy „y”. Zdecydowanie lepiej.

– I prawdopodobnie tak zostanie – mówię. – Zamierzam go tylko obejrzeć!

Nie mam pojęcia dlaczego się czerwienię. Doprowadza mnie to do szału. Mam nadzieję, że nie widać tego w słabym świetle żarówki nad naszymi głowami.

– Zostały mi jeszcze tylko dwa dni na zmianę konia – stwierdzam. – Nie zawadzi się upewnić.

– Będziesz na paradzie jeźdźców? – pyta Finn. Teraz na mnie nie patrzy. Całkowicie pokruszył już ciasteczko i skleja okruchy w coś mniejszego, o nieregularnym kształcie.

Festiwal Skorpiona zaczyna się tydzień po pojawieniu się pierwszych koni. Byłam na nim tylko raz i nie zostaliśmy wtedy do parady jeźdźców, która jest punktem kulminacyjnym wieczoru. Uczestnicy ogłaszają podczas uroczystości imiona swoich wierzchowców, a wszyscy jak szaleni robią zakłady.

Na samą myśl o tym czuję ścisk w żołądku.

– No właśnie, będziesz? – rozlega się nagle głos Dory Maud. Ona sama stoi w przejściu, ubrana w sukienkę, która wygląda tak, jakby Dory ją ukradła. Sukienka ma sznurowane rękawy, a Dory Maud nie ma ramion do sznurowanych rękawów.

Marszczę brwi.

– Nie zamierzasz mnie chyba przekonywać, żebym zrezygnowała, co? – pytam ze złością.

– Z parady czy z wyścigu? – Dory Maud wysuwa trzecie krzesło i siada przy stole. – Nie rozumiem tylko, dlaczego taka mądra i pożyteczna dziewczyna jak ty, Puck, chce stracić tyle czasu, żeby zrobić z siebie widowisko albo dać się zabić?

Finn uśmiecha się do swojego ciasteczka.

– Mam swoje powody – odburkuję. – I nie mów mi, że moim rodzicom byłoby przykro z tego powodu. Już to słyszałam. *Wszystko* już słyszałam.

– Cały tydzień jest taka drażliwa? – Dory Maud zwraca się do Finna, a on kiwa głową. – Twojemu ojcu to by się nie podobało, ale twoja matka to był diabeł wcielony. Start w wyścigu to

chyba faktycznie jedyna rzecz, której nigdy nie spróbowała.

– Naprawdę? – Spoglądam na Dory z nadzieją, że dowiem się czegoś więcej.

– Najprawdopodobniej – odpowiada Dory Maud. – Finn, dlaczego ty to jesz? Wygląda jak karma dla kota.

– Przyniosłem z domu – wzdycha ciężko Finn. – U Palssona wykładali świderki cynamonowe.

– O, tak. – Dory Maud zaczyna skrobać na kawałku papieru. Jej pismo jest całkowicie nieczytelne. Moim zdaniem osiągnięcie takiego rezultatu kosztuje ją sporo pracy. – Nawet w niebie musieli poczuć ten zapach.

Finn robi tęskną minę.

Czuję wyrzuty sumienia z powodu sterty siana, które właśnie kupiłam. Nie jestem pewna, czy to lepsza inwestycja niż świderki cynamonowe.

– Dory Maud, czy mogłabym dostać zaliczkę na poczet następnych dzbanków? – pytam. Popycham w jej stronę dzbanek z podpisem i numerem, żeby ją przekonać o swojej niezwykłej sumienności. – Pasza dla konia jest bardzo droga.

– Nie jestem bankiem. Dam ci zaliczkę, jeżeli w piątek po południu pomożesz mi ustawić stragan na festiwal.

– Dziękuję – mówię, nie czując zbyt wiele wdzięczności.

– Nie rozumiem, dlaczego po prostu nie pojedziesz na Dove – odzywa się po chwili mój brat.

– Finn.

– Sama to powiedziałaś.

– Chciałabym mieć szansę wygrać pieniądze – wyjaśniam. – Pomyślałam, że to mogłoby pomóc, no wiesz: koń wodny w wyścigu dla koni wodnych.

– Hm – wtrąca się Dory Maud.

– Właśnie – Finn nie daje za wygraną. – Skąd wiesz, że one są szybsze?

– Daj spokój.

– No co, to ty mi mówiłaś, że one nie zawsze biegają prosto. Nie rozumiem, dlaczego teraz zmieniasz zdanie tylko dlatego, że jakiś fachowiec ci tak doradził.

Czuję, że moje policzki znowu robią się gorące.

– On nie jest jakimś fachowcem. I nic mi nie doradził. Po prostu chcę obejrzeć tego konia.

Finn tak mocno przyciska kciukiem swoją kupkę okruchów, że koniuszek jego palca robi się biały.

– Obiecałaś, że nie będziesz jechała na żadnym z tych stworów. Ze względu na mamę i tatę.

Głos mu nie drży dlatego, że słucha go Dory Maud, i dlatego, że Finn taki już jest, ale ja wyczuwam jego wzburzenie.

– Zasadami nie zapłacimy rachunków – rzucam.

– Nie nazwałbym ich zasadami, skoro możesz je sobie tak po prostu zmieniać. Z dnia na dzień. Jak... – Przerywa. Widocznie nie przychodzi mu do głowy żadne porównanie, bo wstaje i wypada z pokoju jak burza, mijając krzesło Dory Maud.

Mrugam.

– Co? C o?

Mam wrażenie, że bracia są najdziwniejszym gatunkiem zamieszkującym naszą planetę.

Dory Maud strzepuje niewidzialne okruchy ze swojej kartki i studiuje to, co na niej napisała.

– Chłopcy – mówi – kiepsko sobie radzą ze strachem.

Rozdział dwudziesty piąty

Sean

Tego wieczoru siodłam młodą klacz, Miracle³, nazwaną tak dlatego, że zaraz po przyjściu na świat w ogóle się nie ruszała i wszyscy myśleli, że urodziła się martwa.

Jestem zmęczony i wycieńczony. Coś jest nie tak z moją prawą ręką w miejscu, gdzie jeden z koni uderzył mnie dzisiaj zębami, i marzę tylko o tym, żeby wczłgać się do łóżka i zastanowić nad tym, czy moje jutrzejsze spotkanie z Kate Connolly ma sens. Ale jest tu dwóch kupców, prosto z promu, i mam im pokazać dwie młode klacze, dopóki jest jeszcze widno. Nie mam pojęcia, dlaczego nie mogą poczekać do jutra.

Kiedy wychodzę na zalane złotym światłem wieczorne podwórze, żeby spotkać się z kupcami, z zaskoczeniem stwierdzam, że druga klacz – siwa, o imieniu Sweeter – już tam jest. Ktoś jej dosiada. Od razu rozpoznaję sylwetkę Mutta Malverna i dostaję na jego widok skrętu kiszek. Obok stoi trzech mężczyzn. Patrzą na Mutta, który odwraca głowę w moją stronę. Choć jego twarz jest schowana w cieniu, wiem, że chce, żebym go rozpoznał. To, że sam pokazuje Sweeter kupującym, już jest zniewagą, lecz kiedy słyszę, że mówi, jak bardzo kocha tę klacz, potrafię myśleć tylko o chwili, gdy stał na cyplu, czekając, aż Fundamental zniknie pod wodą.

Miracle jest narowista. RzUCA się na boki, a potem zrywa się i gna przez podwórze w stronę Mutta z taką zuchwałością, że Sweeter schodzi jej z drogi. Pod naszymi nogami rozciągają się niebieskawe cienie.

– Sean Kendrick – odzywa się z zadowoleniem George Holly. Pozostali kupcy odwracają się na dźwięk mojego nazwiska. Nie rozpoznaję żadnego z nich. Widocznie jacyś nowi.

– Sean pojedzie na drugiej klaczy – oznajmia im Mutt z ojcowską miną. Uśmiecha się. – Ja nie mogę dosiadać obu jednocześnie.

Nie jestem pewien, czy jest w stanie dosiadać jednej. Nie pamiętam nawet, kiedy ostatni raz widziałem go galopującego.

Jeden z mężczyzn coś mamrocze do drugiego i Mutt nachyla się w ich stronę.

– O co chodzi? – pyta.

– Kendrick. Nazwisko brzmi znajomo.

Mutt patrzy na mnie.

– Ja tylko jeżdżę konno – rzucam.

Uśmiech George'a Holly'ego jaśnieje w ciemności.

– Pan też startuje w wyścigu? – zwraca się do mnie kupiec. Kiwam głową.

– Na czerwonym ogierze – odpowiada Holly. – Na tym, którego widzieliście wcześniej.

Mamroczą słowa uznania i pytają Mutta, którego konia on dosiada.

Chłopak zaciska szczęki. Pewnie nawet nie pamięta imienia Edany. A jednak ma na niej jechać.

Wiem, że to jest ten moment, kiedy jako lojalny pracownik Malvernów powinienem wkroczyć i dyskretnie pomóc Muttowi zachować twarz. To właśnie robiłem przez większość swojego życia i moje usta same układają się do wypowiedzenia słów, które mogłyby sprawić, że Mutt będzie jakoś wyglądał w oczach tych facetów. Słów, które przypomną klientom o hierarchii obowiązującej na podwórzu Malvernów.

Zamiast tego wypalam:

– Wybrałem dla niego gniadą klacz, Edanę. Myślę, że będą do siebie pasowali.

Zalega cisza. Mutt wbija we mnie wzrok. Jego poza przywodzi mi na myśl coś wijącego się i odrażającego. Kupcy wymieniają spojrzenia, a Holly obraca się na pięcie i odchodzi.

Widzę, jak moje słowa wpełzają Muttowi pod skórę. Czuję się jak zerwany z łańcucha.

Miracle płoszy się bez szczególnego powodu i tańczy w miejscu. Stukot jej kopyt niesie się echem po kamieniach. Patrzę na Mutta. Wyobrażam sobie, jak idzie pod wodę zamiast Fundamentała. W szczękach Corra. Ginie pod kopytami zamiast mojego ojca.

– Zaraz zajdzie słońce. Wprowadzimy klacze?

Mutt bez słowa prowadzi Sweeter.

Tor ma półtora kilometra, jest prosty jak od linijki. Konie są ożywione, wiedzą, co się szykuje. Czuję na sobie spojrzenie Mutta, a kiedy zerkam na niego, wykrzywia usta. To nie miał być wyścig Miracle i Sweeter, ale widzę, że tego nie unikniemy.

Sweeter daje susa do przodu. Miracle jest tylko o sekundę za nią, gdy popuszczam odrobinę wodze. Mknijemy po jasnej nawierzchni poprzecinanej paskami niebieskich cieni rzucanych przez słupki ogrodzenia. Powietrze świszczuje mi w uszach, zimne i bolesne. Cienie są tak wyraźne, że obie klacze unoszą kolana, ponieważ uznają je za rzeczywiste przeszkody.

Mutt ogląda się, żeby zobaczyć, jak daleko zostałem w tyle, lecz niepotrzebnie zwraca sobie głowę. Siedzimy mu na ogonie. Klacze przyspieszają, idą niemal łeb w łeb. Wiem, że są jednakowo szybkie, ale wiem też, że szybkość konia to tylko połowa sukcesu. Jeździłem po tym torze setki razy na setkach koni i wiem, gdzie zaczyna się pochyłość, gdzie ziemia jest miękka przy poręczy, a gdzie konie zwalniają i gapią się na traktor zaparkowany przy drodze. Wiem też wszystko, co trzeba, o Miracle – że może biec do utraty tchu, jeżeli się jej nie kontroluje, jak bardzo należy ją naciskać, aby utrzymać prędkość na wzniesieniu, że będę musiał pomachać odrobinę szpicrutą, żeby skupiła się na zadaniu, a nie na ciągniku.

Cała wiedza Mutta sprowadza się do bicia wierzchowca, kiedy zostaje w tyle.

Wiem, że powinienem wstrzymać Miracle. Wiem, że powinienem pozwolić Muttowi wygrać.

Czuję na sobie spojrzenia kupców.

Pochylam się i przemawiam szeptem do Miracle. Nadstawia ucho, a ja popuszczam jej wodze.

Wynik jest przesądzony.

Miracle zostawia Sweeter w tyle o jedną długość, dwie, trzy, cztery i nawet nie oddycha zbyt ciężko. Mutt grzęźnie gdzieś w miękkiej ziemi przy barierce, Sweeter porusza się wolno, jest nieuwważna.

Odwracam się, stojąc w strzemionach, i salutuję Muttowi Malvernowi szpicrutą.

Wiem, że gram w niebezpieczną grę.

– Żaden z ciebie dżokej? – mówi do mnie Holly, gdy wprowadzam Miracle z powrotem na podwórko.

– Tylko miłośnik koni – odpowiadam.

Rozdział dwudziesty szósty

Puck

Sean Kendrick powiedział, żebym przyszła się z nim spotkać na klifie okalającym zatoczkę Fell Cove, ale kiedy się tam zjawiam, jego nie ma.

Skąły nie są tutaj aż tak wysokie jak przy plaży, na której odbywają się wyścigi, nie są też tak śnieżnobiałe. Brzeg w zatoczce jest dziwnym, trudno dostępnym miejscem i kiedy Dove i mnie udaje się wreszcie zejść wąską nierówną ścieżką, okazuje się, że plaża nie nadaje się do jazdy konnej. Jest skalista i nierówna, a morze obejmuje ją ciasnym uściskiem. Nawet teraz, w czasie odpływu, tylko niecałe pięć metrów skalistego ładu dzieli mnie od rozbijających się o niego fal. Przed takimi właśnie miejscami zawsze nas ostrzegano. Z oceanu może wyłonić się koń wodny i zniknąć w nim razem z nami, zanim następna fala zdąży się rozbić o brzeg.

Nagle nabieram wątpliwości, czy przypadkiem Sean Kendrick nie wysłał mnie tutaj, żeby mi spleść figła.

Zanim jednak udaje mi się ocenić, czy to byłoby w jego stylu, i pomyśleć o nim coś paskudnego, skądś, nie wiadomo skąd, dobiega mnie odgłos kopyt. Dopiero po dłuższej chwili zdaję sobie sprawę, że zwierzę jest gdzieś nade mną. Podnoszę głowę.

Widzę galopującego rumaka, który orze kopytami torf wzdłuż krawędzi urwiska. Najpierw rozpoznaję konia, a zaraz potem jeźdźca – Seana Kendricka, pochylonego nisko nad grzbietem ogiera. Są jak jedna istota. Kiedy tętent krwistego *each uisce* rozbrzmiewa dokładnie nad moją głową, widzę, że Sean jedzie na oklep. To najbardziej niebezpieczny ze wszystkich sposobów jazdy na koniu wodnym. Skóra przy skórze, puls zrównany z pulsem – nic nie chroni jeźdźca przed magią tego przerażającego stworzenia.

Nie chcę ich podziwiać, nie mam ochoty przyznawać, że razem tworzą coś absolutnie niepowtarzalnego, lecz nic nie mogę na to poradzić. Szybkość czerwonego ogiera zapiera dech, przyprawia o dreszcz i sprawia, że moje serce przyspiesza. Myślałam, że *eich uisce*, które zobaczyłam pierwszego dnia na plaży, były szybkie, ale jeszcze nigdy nie widziałam, żeby jakiś koń poruszał się tak jak ten. Z Seanem Kendrickiem na oklep na grzbiecie. Nie ulega wątpliwości, że jest dupkiem, ale stary człowiek u rzeźnika miał rację: on ma coś w sobie. Zna swoje zwierzęta, lecz to nie wszystko.

Przypominam sobie, jak trzymałam rękę na jego twarzy, kiedy wyciągałam go na powierzchnię wody.

Zastanawiam się też, jakie to musi być uczucie tak galopować. Wyrzuty sumienia kłują mnie gdzieś pod żebrami, gdy przypominam sobie Finna i jego zasady, czy raczej moje zasady, te, które zaczęły mi się wymykać, kiedy okazało się, że stawką jest nasz dom. Chciałabym, żeby myślenie o tym nie sprawiało takiego bólu.

Wracamy na szczyt urwiska, Dove trochę bryka. Nawet wspinając się na górę, nawet po kilku dniach porządnych ćwiczeń wciąż jest podekscytowana bieganiem. Klacz macha ogonem, a mnie nieustannie dźwięczy w uszach głos Finna.

Gdy jesteśmy na drodze biegnącej krawędzią klifów, wiem już, o co zapytam Seana.

Sean

Kiedy docieram na krawędź skały, nie ma tam śladu Kate Connolly. Postanawiam jednak zaczekać kilka cennych chwil. Przywiązuję gniadą klacz, rysuję okrąg wokół niej i spluwam do środka, a potem zabieram Corra, żeby pogalopował. Jeżeli Kate się nie pokaże, przynajmniej go

rozruszam. Ma dziś na to ochotę i wrywa się do przodu. Galop cieszy go tak samo jak mnie. Nabieramy prędkości.

Żeby rozpędzić się na szczytach tych klifów, trzeba mieć serce mewy i tupet rekina. Urwisko nie jest tu tak wysokie jak przy plaży, na której odbywają się wyścigi, to fakt, ale upadek z niego byłby dokładnie tak samo śmiertelny. Z kolei dla *each uisce* zew morza jest niemal równie silny trzysta metrów nad powierzchnią wody jak trzysta metrów w głębi łądu na płaskim terenie. Niejeden runął z urwiska i roztrzaskał się o skały, choć to oceanu się obawiał.

Dla mnie jednak te niskie wzniesienia są miejscem, w którym ojciec po raz pierwszy posadził mnie na grzbiecie *each uisce*. Nie na plaży, gdzie on uczył się jeździć. Bo mój tato od niepamiętnych czasów bardziej bał się morza niż wysokości.

Dla mnie jedno i drugie jest tak samo śmiertcionośne, ale to nie jest równoznaczne ze strachem.

Kiedy zawracamy i Corr wysoko unosi kopyta, brodząc w wybujałej trawie, dostrzegam Kate Connolly, która stoi obok swojego małego bułanego kucyka. Włosy Kate są koloru jesiennej trawy na klifach. Jej twarz pokrywają piegi, które sprawiają, że na pierwszy rzut oka wydaje się znacznie młodsza. To prawie jak magia: jest rozniewanym dzieckiem i jednocześnie kimś starszym, dzikim, owocem tej lichej ziemi. Patrzy na moje rzeczy – przewrócone siodło oparte na łąku, plecak, termos, dzwoneczki – a mnie z jakiegoś powodu drażni jej spojrzenie jak niesiony wiatrem piasek na skórze.

Kate na mój widok marszczy czoło, a może jedynie mruży oczy. Nie znam jej na tyle, żeby się zorientować, jakie uczucia wyraża jej twarz w tym momencie. Czuję ten sam rodzaj niepokoju, który dręczył mnie wtedy w zatoczce. Znowu Fundamental idzie pod wodę, a ja razem z nim. Tylko że tym razem nie tonę. Wypuszczam powietrze. Oddycham.

Corr jest uradowany na widok klaczy; zamiast zwolnić i iść stępą, biegnie klusem, przebierając nogami niemal w miejscu. Drży z podniecenia. Boję się podejść do niej tak blisko, jak nakazywałyby uprzejmość, więc zmuszony jestem krzyczeć z odległości pięciu metrów, z grzbietu tańczącego Corra:

– Jak mam się do ciebie zwracać?

– Co takiego?

– Masz na imię Kate? – dopytuję.

– Słucham?

– Na tablicy u Grattona napisali Kate, ale Thomas Gratton mówił do ciebie inaczej.

– Puck – odpowiada głosem przesyconym sokiem cytrynowym. – To przezwisko.

Niektórzy ludzie tak do mnie mówią.

Nie proponuje mi, żebym został jednym z nich. Wiatr wyje nisko i przeciągle, przyciskając trawę do ziemi i płacząc koniom grzywy. Tutaj z jakiegoś powodu zawsze wyraźniej niż gdzie indziej czuć zapach ryb. Po chwili Kate dodaje:

– Myślałam, że regulamin nakazuje trenować na plaży.

Przez chwilę nie rozumiem, o co jej chodzi, a potem wyjaśniam:

– W odległości stu pięćdziesięciu metrów od brzegu.

Dostrzegam błysk zrozumienia na jej twarzy i na chwilę moja obecność staje się zbędna – Kate jest sama ze swoim objawieniem. Zerkam na zegarek.

– Gdzie jest ten drugi koń? – pyta. Bułana klacz próbuje skubać jej włosy, więc dziewczyna klepie ją po pysku, z nieobecny wyrazem twarzy. Kucyk potrząsa głową, udając niezadowolony. Taka zabawa jest możliwa tylko wtedy, gdy człowieka i konia łączy duża wzajemna zażyłość. Nabieram przez to sympatii do nich obu.

– Trochę dalej w głębi łądu.

Kate przygląda się nam.

– Czy on zawsze tak reaguje?

Corr nie przestaje się wiercić. Do tego wygina szyję. Zachowuje się naprawdę głupkowato. Na ogół ogiery *eich uisce* widzą w koniach łądowych posiłek, nie partnera, rzadko się zdarza, żeby jakaś klacz tak się spodobała ogierowi, aby robił z siebie idiotę.

– Ta klacz jest jeszcze gorsza – odpowiadam.

Kate robi minę, którą mógłbym wziąć za śmiech.

– Opowiedz mi o niej.

– Jest kapryśna, przebiegła i zakochana w oceanie – zaczynam. – Złapałem ją w czasie burzy. Wszystkie skórzane pasy, które miałem, robiły się tak śliskie od słonej wody, że nie mogłem ich utrzymać; niebo zlewało się z morzem, a zgrabiące z zimna palce odmawiały mi posłuszeństwa. Złapałem ją w sieć, którą ciągnąłem za łodzią. Mądrość ludowa głosi, że *eich uisce* schwytane w deszczu zawsze chcą pozostać mokre, ale nie wierzyłem w to, dopóki sam się nie przekonałem.

– To nie najlepiej – mówi Kate.

– Fakt.

– W takim razie, co ja tutaj robię?

Przyglądam się jej. To pytanie dręczy mnie, odkąd po raz pierwszy zobaczyłem ją na plaży.

– To jest *each uisce*, koń, który nadaje się do tego, żeby brać udział w wyścigu przeznaczonym dla *eich uisce*.

Kate ze ściągniętymi brwiami i zaciśniętymi ustami wpatruje się w krawędź klifu za moimi plecami. Jest w niej coś bezkompromisowego, jakaś porywczność, która kojarzy mi się z młodością.

– Nie zamierzam nawet brać tego pod uwagę, jeżeli nie upewnię się, że będzie lepsza niż Dove – mówi.

Dopiero po chwili milczenia zdaję sobie sprawę, że przygląda mi się, czekając na moją reakcję.

Nie jestem pewien, co chce ode mnie usłyszeć.

– Nie ma nic szybszego od *each uisce*. Kropka. – Na pewno zdaje sobie z tego wszystkiego sprawę, ale kontynuuję. – Nieważne, jaki przyjmiecie plan treningów, jakie wybierzesz ćwiczenia, okręgi w wodzie czy cokolwiek innego. One mają przewagę nad twoją klaczą pod każdym względem: siły, wzrostu. Poza tym twoja klacz żywi się trawą. *Eich uisce* żywią się krwią, Kate Connolly. Nie masz szans.

Wygląda na to, że to ją utwierdza w jej opinii, bo kiwa tylko gwałtownie głową.

– Dobra, w takim razie nie będzie ci przeszkadzało, jeśli sprawdzimy, który koń jest szybszy, prawda?

Ciekawie sformułowane zdanie. To krótkie „prawda?” znaczy, że teraz w naturalny sposób powinienem się z nią zgodzić.

– Wyścig? Ja na tej klaczy, a ty na Dove?

Kate przytakuje.

Wiatr znowu w nas uderza gwałtownym podmuchem, uspokajając wreszcie Corra, który przystaje, żeby wciągnąć powietrze w nozdrza. Czuję zapach deszczu, gdzieś bardzo daleko.

– Nie rozumiem po co.

Tylko mi się przygląda.

W stajni czekają na mnie dwa stada koni, które trzeba jeszcze zabrać na tor, żeby się wybiegały. Mam na głowie George’a Holly’ego i co najmniej dwóch innych kupców,

myszkujących po stajni w poszukiwaniu wierzchowca, który przysporzy sławy ich stadninom na stałym łądzie choćby na jeden sezon. Mam zbyt dużo do zrobienia w ciągu tych kilku godzin, które pozostały do wczesnego październikowego wieczoru. Nie mam czasu na idiotyczny wyścig *each uisce* z kucykiem, który boi się spojrzeć Corrowi w oczy.

– Nie zajmie to więcej czasu, niż gdybym chciała ją wypróbować – przekonuje Kate. – Jeśli odmówisz, to tylko dlatego że sam pomysł wydaje ci się poniżający.

I tak dochodzi do wyścigu.

Przyprowadzam gniadą klacz, zostawiwszy Corra z kawałkiem wołowego serca z mojej torby, i widzę, jak Kate poprawia strzemiona, siedząc na grzbiecie swojego kucyka, z jedną nogą podwiniętą na siodle. Coś takiego można zrobić tylko na koniu, któremu się ufa; być może nigdy nie odważy się na to na żadnym *each uisce*.

Gniada klacz kręci się pode mną i niecierpliwi. Tak samo trudno ją utrzymać jak srokatą, ale nie ma w niej tej wrogości. Raczej utopiłaby jeźdźca, niżby go zjadła.

– Gotowy? – pyta dziewczyna, chociaż myślę, że to ja powinienem zadać to pytanie. Nie widzę szans, żeby zdecydowała się na konia, którego dosiadam. – Do tamtej dużej skały?

Kiwam głową.

Przekonuję sam siebie, że to nie musi być zmarnowany czas. Jeśli potrafię sprawić, że ta gniada klacz pobiegnie równo i prosto przez najbliższe pięć minut, to jeszcze raz przemyślę to, co powiedziałem Malvernowi. Nie cierpię wypuszczać konia, w którego zainwestowałem czas, a z nią zmarnowałem go mnóstwo. Może się pomyliłem, może do przyszłego roku da się ją ułożyć. Corr potrzebował kilku lat, żeby się uspokoić.

– Czekamy na sygnał? – Kate daje susa przez pole. Gniada klacz pędzi za nią jak pocisk zamieniony w drapieżcę, a ja popuszczam jej wodze, dopóki nie doganiamy Dove. Dziewczyna trzyma w garści grube pasmo grzywy Dove i z początku wydaje mi się, że robi to po to, aby się przytrzymać, aż w końcu zdaję sobie sprawę, że inaczej długie pasma smagałyby ją po rękach i twarzy. Nie muszę się tym martwić w przypadku gniadej klaczy, bo ona prawie całkiem wytarła sobie grzywę o futrynę boksu, tęskniąc za morzem.

Konie galopują w porastającej klify trawie, oba zwinnie sobie radzą z nierównościami terenu.

Gniada klacz nawet się nie wysila. Trącam ją, żeby nabrała prędkości, aby zostawiła za sobą Dove i zakończyła wyścig. Jednak ona wygina się wokół mojej nogi, zamiast wyrwać się do przodu. Skręca w stronę krawędzi skały.

A łądowy konik oczywiście galopuje równiutko i prosto jak strzała.

Tracę kilka długich sekund, żeby opanować gniadą, ale kiedy już postanawia biec, łatwo dogania Dove.

Bułana klacz Kate dalej radośnie galopuje. Bieg sprawia jej przyjemność, ma postawione uszy, co jakiś czas bryka, podniecona, i wymachuje ogonem. Jeśli mój koń nie może się skupić na biegu, to Dove tym bardziej nie.

Dziewczyna ogląda się, a ja popędzam gniadą. Szepczę do niej, aby pokazała, co potrafi, a ona posłusznie przyspiesza. Dove nie ma szans.

Wtedy moich uszu dobiega głośnie plaśnięcie i kiedy się odwracam, widzę, że Kate uderzyła swoją klacz mocno w zad, otwartą dłonią. To pomaga jej kucykowi się skupić; Dove daje z siebie wszystko.

Ale to na nic. Żaden łądowy koń nie jest tak szybki jak *each uisce*. Wkrótce zostawiamy je w tyle. Zanim dotrzemy do skały, nasza przewaga wzrośnie do trzydziestu długości.

Gniada klacz potyka się, lecz nie traci równowagi. Ramiona mam obryzgane błotem. Zerkam ukradkiem spod łokcia, żeby zobaczyć, gdzie jest Kate. Ona i jej kucyk zostały daleko,

daleko w tyle. To wyścig pozbawiony dreszczyku. Żadnej przyjemności z tak łatwego zwycięstwa. Szczególnie jeśli nie zależy na nim koniowi.

Nagle podmuch wiatru przynosi zapach morza. Gniada traci resztki zapachu, wije się, odrzucając łeb i rozszerzając nozdrza. Szepczę do niej, rysuję litery na jej grzbiecie, ale ona się nie uspokaja.

Teraz interesuje ją tylko krawędź klifu. Wiatr niesie intensywny zapach oceanu, który mąci jej w głowie. Wyjmuję z kieszeni żelazo, przesuwam je wzdłuż jej żył, lecz to nie pomaga. Staje dęba, wymachując kopytami, a gdy mimo to trzymam się w siodle, postanawia zabrać mnie ze sobą. Jej skóra jest gorąca i napięta w miejscu, gdzie trzymam nogę. W żaden sposób nie mogę jej nakłonić, żeby odwróciła głowę.

Przed sobą mam kępki trawy, a za nimi już tylko niebo. Podciągam w górę jedną wodzę. Z koniem lądowym takie postępowanie jest ryzykowne, bo można ściągnąć go na siebie, lecz na tej klaczy to mi nie grozi. Zębami mocno trzyma wędzidło, w płucach ma morze.

Pięć metrów do krawędzi.

Mam pół uderzenia serca na podjęcie decyzji.

Rzucam się na bok, mocno uderzam ramieniem o ziemię i toczę się, aby osłabić siłę upadku. Widzę trawę koloru orzecha, potem błękit nieba, później znowu trawę. Dźwigam się na łokciu w ostatniej chwili. Widzę, jak klacz napina mięśnie i daje susa.

Podczołguję się tak blisko skraju klifu, na ile starcza mi odwagi. Nie wiem, czy potrafiłbym spokojnie patrzeć, jak *each uisce* roztrzaskuje się o skały na dole, ale też nie potrafię nie patrzeć.

Gniada klacz wydaje się tak spokojna w locie, jakby to był zwykły skok przez przeszkodę. Teraz już mniej przypomina konia, jej ciało staje się idealnie opływowe.

Odwracam wzrok.

Słyszę przerażający huk i zwierzę znika w wodzie, udaje mi się jeszcze tylko zobaczyć jego ogon.

Wzdycham i wkładam ręce do kieszeni. Nie wiadomo, czy przeżyła skok, czy nie. Tak czy owak straciłem siodło. Cieszę się, że nie było to siodło po ojcu, tamto zostało w stajni, ale to też było mi drogie. Zamówiłem je dwa lata temu, rzadko sobie pozwalałam na takie zbytki. Nie przeklinam, ale moje usta przybierają kształt odpowiedniego słowa.

Czuję na ramieniu gorący oddech. To Dove. Kate z rozwianymi włosami stoi z drugiej strony, trzymając klacz za uzdę. Dove jest zdyszana, jednak nie tak bardzo, jak mógłbym się spodziewać. Dziewczyna milczy. Patrzy przed siebie i na chwilę marszczy brwi, a potem coś pokazuje.

Podążam za jej wzrokiem i dostrzegam połyskujący ciemny grzbiet wypływającego w morze konia. Na mojej twarzy pojawia się grymas.

– Wygląda na to, że wygrałaś, Kate Connolly.

Kate klepie Dove po łopacie.

– Mów mi Puck.

Rozdział dwudziesty siódmy

Sean

Kiedy wracam do stajni, panuje w niej chaos. Połowa koni nie została na czas zaprowadzona na trening. Mettle stoi na wybiegu w pobliżu stajni, skubiąc i ssąc powoli górną deskę ogrodzenia. Edana w ogóle nie została wyprowadzona na zewnątrz, nie ma śladu Mutta. Jeżeli zdaje mu się, że rzuci w tym roku wyzwanie Corrowi i mnie podczas wyścigu, to zabiera się do tego w niewłaściwy sposób.

Cały czas czuję, jakbym o czymś zapomniał. To dlatego, że wyszedłem z dwoma wierzchowcami, a wróciłem z jednym. Nie mam gniadej, której trzeba byłoby zdjąć uprząż, ani siodła do odłożenia na miejsce.

Gdy wychodzę z powrotem na podwórze z wiadrem ubrudzonym krwią po karmieniu *each uisce*, spotykam George'a Holly'ego. Na głowie ma swój jaskrawoczerwony kaszkiet, na twarzy – uśmiech.

– Witam, panie Seanie Kendrick – odzywa się pogodnie, doganiając mnie. – Widzę, że humor wyjątkowo panu dopisuje.

– Naprawdę?

– Twoja twarz wygląda, jakby pamiętała uśmiech – mówi Holly. Zerka na moje ubranie, które z lewej strony nosi ślady bliskiego spotkania z wyspą.

Kopię kolanem włącznik pompy i zaczynam płukać wiadro nad kratką ściekową.

– Straciłem dzisiaj klacz.

– Cóż za beztroski ton. Co się stało?

– Skoczyła z klifu.

– Z klifu! Czy to normalne?

Ze stajni dobiega lament przepełniony tęsknotą za morzem. Rok temu o tej porze Mutt zajeżdżał na plaży swojego wierzchowca. Teraz podwórze bez niego wydaje się idylliczne jak błękitne niebo przed burzą. Myślę o jutrzejszym Festiwalu Skorpiona, o paradzie jeźdźców, w której w tym roku weźmie udział nie tylko Mutt, ale też szalona Kate Connolly.

Wyłączam pompę i patrzę na George'a.

– W tym roku nic nie jest normalne.

Rozdział dwudziesty ósmy

Puck

To dzień Festiwalu Skorpiona.

Jak dotąd byłam na nim tylko raz. Mama zabrała nas któregoś roku, kiedy tata pływał na łodzi. Ojciec nie pochwalał festiwalu ani wyścigu. Mawiał, że jeden mnoży chuliganów, a drugi daje tym rozrabiakom o dwie nogi więcej, niż są w stanie kontrolować. Zawsze nam się wydawało, że mama też tego nie pochwała. A jednak tamtego roku, gdy stało się jasne, że tata nie wróci do domu na noc, kazała nam wciągać czapki i płaszcze, a Gabe'owi – uruchomić morrisa (już wtedy były z tym problemy). Wtoczyliśmy się do samochodu, podekscytowani perspektywą zakazanej rozrywki. Gabe zajął upragnione miejsce z przodu, podczas gdy Finn i ja biliśmy się na tylnym siedzeniu. Mama nakrzyczała na nas i ruszyła wąską drogą do Skarmouth, pochylona nad kierownicą jak nad końskim grzbietem.

A potem – Skarmouth! Wszędzie kostiumy, bębny i śpiew. Mama kupiła nam dzwonki, wstążki i ciasteczka listopadowe, od których przez kilka dni kleiły mi się ręce. Wszędzie hałas, hałas, hałas, aż w końcu Finn, który był wówczas małym łobuziakiem, zaczął płakać. Wtedy nagle znikąd pojawiła się Dory Maud z demoniczną maską, którą założyła Finnowi. Ukryty za potworną paszczą o wyszczerzonych zębach zrobił się groźny jak mama.

Przez wszystkie lata najczęściej widywałam mamę, jak czyściła z gnoju przybudówkę Dove, szorowała garnki, malowała ceramikę albo, oparta o połać dachu, przybijała młotkiem kawałek gontu. Lecz teraz z jakiegoś powodu staje mi przed oczami mama, która razem z nami tańczy w kręgu i błyskając zębami, śpiewa listopadowe pieśni, z twarzą dziwnie oświetloną blaskiem ognia.

Po tylu latach znowu nadszedł dzień festiwalu i jeśli mamy ochotę, możemy tam iść, bo nie ma nikogo, kto by nam tego zabronił. Czuję przez to dziwną pustkę.

– Uruchomiłem silnik – mówi teraz Finn, wchodząc do domu. Przygląda się, jak ze skupieniem godnym lepszej sprawy zmywam naczynia. – Trochę to trwało, ale morris jest na chodzie.

Wierzę mu. Jest brudny i czarny od smaru.

– Wyglądasz jak półtora nieszczęścia – śmieję się z brata. – Co robisz?

Zamiast iść do łazienki się umyć, podnosi swój znoszony płaszcz, który spadł na podłogę za fotelem taty naprzeciwko kominka.

Finn pociera czoło, zostawiając na nim czarną smugę.

– Boję się zgasić silnik, bo może już nie zapalić.

– Przecież nie zostawisz go na chodzie przez całą noc.

Mój brat wkłada swoją pokraczną czapkę.

– Nie rozumiem, dlaczego mama uważała, że jesteś mądra, Puck.

– Nie uważała. Mówiła, że to Gabe jest mądry – prostuję. Kiedy kładzie rękę na drzwiach, dociera do mnie, o co mu chodzi.

– Czekaj... chcesz jechać na festiwal?

Finn odwraca się tylko i mierzy mnie wzrokiem.

– Nawet nie ma Gabe'a. Co ci przyszło do głowy? Muszę jutro wcześniej wstać.

– Musisz potwierdzić zgłoszenie do wyścigu – wyjaśnia mi Finn. – Tak jest napisane w twoim regulaminie.

Oczywiście ma rację. Nie wiem, jak mogłam o tym zapomnieć. Teraz czuję, że serce

zaczyna walić mi młotem. Do tej pory od każdego, kto mógłby komentować mój udział w wyścigu, dzieliła mnie odległość kilku metrów słonej wody. Za chwilę między mną a tymi ludźmi będzie tylko kilka kufla piwa.

Nie ma jednak innego wyjścia. I, kto wie, może będzie tam Gabe. W końcu wszyscy tam będą.

Chętnie porzucam zmywanie, żeby niechętnie odnaleźć swój zniszczony zielony płaszcz i czapkę. Finn otwiera drzwi i dopiero teraz widzę, że jest podekscytowany. Można to poznać po tym, że staje się szybszy. Zazwyczaj Finn jest powolnym stworzeniem, ale teraz już czeka na mnie za kierownicą. Na zachodzie chmury rozciągają się na różowym, ciemniejącym niebie jak szeroko rozłożone czarne dłonie. W tym świetle morris wygląda złowieszczo, ale oczy Finna błyszczą jak latarnia morska. Przypominam go sobie w przerażającej masce Dory Maud i wyobrażam sobie, że znowu jest tak szczęśliwy jak wtedy, kiedy przez kilka dni kleiły mu się palce.

– Zaczekaj – mówię i biegnę z powrotem do domu, żeby wydłubać kilka ostatnich monet z coraz szczuplejszych zapasów z puszki stojącej na kuchennym blacie. Znajdę sposób, żeby zarobić je z powrotem. Nawet jeśli w tym tygodniu mielibyśmy jeść wyłącznie ciastka listopadowe. Biegiem wracam do samochodu. Brzeg załatanej przez Finna dziury w siedzeniu wbija mi się w udo. Czuję się niezwykle podekscytowana.

– Jakie są szanse, że dojedziemy? Nie mam ochoty utknąć po zmroku w szczerym polu sam na sam z koniem wodnym, który łypie na mnie przez szybę.

– Po prostu nie włączaj ogrzewania – odpowiada Finn.

Nie chcę wiedzieć, jak go zapalił. Ostatnim razem trzeba było dwóch osób do pchania. Finn siedział wtedy za kierownicą.

– Założę się, że Gabe tam jest. Założę się, że jest na festiwalu – stwierdza z przekonaniem Finn, kiedy już podskakujemy na wybojach.

Przypominam sobie o czekającej mnie rozmowie z Gabe'em na temat grożącej nam eksmisji i czuję silne klucie w żołądku. Jeśli rzeczywiście jest na obchodach święta, nie uniknie spotkania ze mną.

– Ho, ho!

Z początku mam wrażenie, że słyszę Finna, chociaż to nie jego głos. Nie wydaje mi się też, żeby Finn kiedykolwiek w życiu powiedział „ho, ho!”. Potem dostrzegam braci Carrollów. Kroczą za nami jak dwa czarne nurzyki o świcie. Jonathan krzyknął, abyśmy ich zauważyli.

Finn natychmiast zatrzymuje podskakującego morrisa. Opuszczam szybę.

– Podrzucicie nas do miasta? – pyta Jonathan.

W odpowiedzi Finn zaciąga hamulec ręczny. Jestem zszokowana jego determinacją. Ja oczywiście też zabrałabym Carrollów, ale myślałam, że Finn jest na to zbyt nieśmiały. Dorasta za moimi plecami.

Muszę wysiąść, żeby wpuścić chłopaków. Jonathan gramoli się pierwszy, kopiąc oparcie siedzenia Finna, a Finn zerka przyjaźnie w lusterko. Brian mi dziękuje. Nie wiem, czy za podwiezienie, czy za to, że wysiadłam, aby mogli wsiąść. Samochód wydaje się tak pełen ludzi, jakby przybyło pięć osób, a nie tylko dwie.

Kiedy znowu ruszamy, Jonathan pochyla się do przodu i zaciska palce na siedzeniu kierowcy.

– Kiedy rozpalają ognisko? – zagaja rozmowę.

– Nie wiem – odpowiada Finn.

Wzdrygam się, bo czyjaś ręka chwyta za oparcie mojego fotela. Wydziela zapach ryb.

– Brywieczór, Kate. – Słyszę.

Zerkam na tę dłoń. To miła, kwadratowa dłoń, nawet jeśli czuć od niej rybami.

– Brywieczór.

Jonathan wita się z Finnem.

– Chyba w tym roku będę mógł robić zakłady. Nie wiecie, czy trzeba mieć szesnaście, czy siedemnaście lat? Żeby móc coś postawić?

– Nie-em – odpowiada Finn.

– Jesteś bezużyteczny jak cycki u knura – mówi pogodnie Jonathan i zwraca się do mnie.

– Puck, widziałem, jak wczoraj stawiałaś stragan Dory Maud. Co teraz sprzedaje? Jakież rzeczy?

Nie wiem, po co zadaje pytanie, skoro zaraz sam sobie na nie odpowiada.

Brian pochyla się w stronę przedniej szyby i mnie. Jego głos rozlega się teraz trochę bliżej. Jest miły i kanciasty, jak jego dłoń, jeden z tych dawnych miejscowych akcentów, które dobrze brzmią w rozmowach o pogodzie albo o tym, ile głuptaków siedziało na skałach danego dnia. Kiedy byłam młodsza, stawałam w łazience, bo tam było echo, i próbowałam naśladować ten akcent. Wiedziałam, że chodzi o „r” całkiem inne od tego, które wymawiają moi rodzice.

– Podobno zamierzasz startować w wyścigu. Czy to prawda?

Finn włącza światła. Jonathan nie przestaje do niego paplać. Pod cienką gazą chmur szybko zapada noc. Coś śmierdzi spalenizną. Mam nadzieję, że to nie morris.

– Prawda – rzucam.

Zamiast odpowiedzi słyszę cichy gwizd wyrażający zaskoczenie albo podziw. Brian z powrotem opiera się na swoim siedzeniu. Tymczasem Jonathan Carroll nie przerywa ożywionej konwersacji z samym sobą. Za całą zachętę do dalszej wypowiedzi wystarcza mu nieznaczne kiwanie głową Finna. Nie jestem nawet pewna, czy Finn w ogóle przytakuje, czy tylko chwieje mu się głowa, kiedy podskakujemy na wybojach. Gdy jednak droga wspina się wyżej, nawet Jonathan milknie. Stąd przez kilka minut widać ocean. Jest szary i potężny, a nad nim rozpościera się równie potężne niebo. Nawet z tej odległości widać, jak fale roztrzaskują się o skały. Choć sporo u nas pada, a burze też nie należą do rzadkości, pogoda raczej unika skrajności. Lecz w tej dzikiej kipieli jest coś, co kiepsko wpływa na samopoczucie.

– Ho, ho! – woła znowu Jonathan. – Patrzcie! Patrzcie tam! Z przodu!

Wszyscy odruchowo wyteżamy wzrok. Woda unosi się i opada, czarna, potem szaroniebieska, z marszczonym białym kołnierzem. Patrzymy na to, co wynurza się z piany: ciemna końska głowa z szeroko otwartym pyskiem. Zanim morze połknie pierwszego *each uisce*, widzimy, jak następna kasztanowa grzywa załamuje powierzchnię wody, tuż obok niej wygina się brązowy kręgosłup. Następnie wszystkie się zanurzają, a ja mam na rękach gęsią skórę.

– Dobrze być dzisiaj na lądzie – mówi Brian Carroll. Nie beztrąsko, jak powiedziałby to jego brat.

Myślę o zapachu ryb, który ze sobą przyniósł, i o tym, w jaki prosty sposób zapytał, czy startuję w wyścigu. Komuś, kto zarabia na życie, łowiąc ryby na listopadowym morzu, udział w wyścigu może nie wydawać się tak niespotykane odważną rzeczą.

– Gdybym miał złapać *each uisce*, wybrałbym kasztanowego – wyznaje Jonathan. – One zawsze wygrywają.

– Chodzi ci o to, że Sean Kendrick zawsze wygrywa – precyzuje Brian.

Jonathan wierci się na siedzeniu.

– Według mnie kasztanowe są najszybsze.

– A według mnie – upiera się Brian – to Sean Kendrick sprawia, że takie są. Poznałaś go, Kate?

Finn wydaje się rozbawiony tym „Kate”. Prawdopodobnie dlatego, że to brzmi, jakby Brian zwracał się do kogoś bardziej odpowiedzialnego niż ja.

– Taak.

Widziałam go trzy razy, odkąd zgłosiłam się do wyścigu, ale nigdy nie wyglądał, jakby miał ochotę ze mną rozmawiać. Właściwie było chyba na odwrót. Nie należy też do osób, które mówią „ho, ho!”.

– Podejrzany jakiś – stwierdza Jonathan.

– Tylko koń wodny zna zwyczaj *eich uisce* lepiej od niego – w głosie Briana Carrolla słyhać podziw. – To jeden z lepszych przyjaciół, jakich mogłabyś teraz mieć, Kate. Chociaż pewnie już to wiesz.

Wiem tylko, że Sean Kendrick jechał na oklep na czerwonym ogierze i że czekał, aż tamta klacz znajdzie się o trzy metry od przepaści, zanim z niej zeskoczył. I jeszcze że umarli są bardziej gadatliwi od niego.

– Albo Ian Privett – dodaje Jonathan. – Ma tego szybkiego jak burza siwego konia z zeszłego roku. – Wystukuje na oparciu fotela Finna rytm bębnowy Skorpiona, a potem pochyla się do przodu, żeby coś mi powiedzieć. – Ludzie w pubie robią zakłady, czy pojawisz się dzisiaj na paradzie. Gerry Old rozsiewa plotki, że nie widział cię na plaży od kilku dni i że pewnie zrezygnowałaś. Miał taką minę, jakby twierdził, że nie żyjesz, lecz to oczywiście nie jest prawda. Więc jak myślisz, Kate, warto na ciebie postawić?

Brian głośno wzdycha.

– Gdyby to miał być mój koń przeciwko twojej jadaczce, to bez szans – odpowiadam.

Brian i Finn się śmieją. Jonathan mówi, że jestem zrobiona z sików. Uznaję to za komplement.

Wyglądam przez okno. Między smugami chmur widać szybko ciemniejące niebo. Nie licząc czerwonej łuny w miejscu, gdzie przycupnęło Skarmouth, wszędzie jest czarno i tajemniczo. W ciemności nie da się już odróżnić morza od lądu. Przypominam sobie, jak pędziłyśmy rano z Dove po klifach. Jak powietrze szczypało mnie w policzki, a zapach morza sprawiał, że moje serce biło mocniej. Wiem, że powinnam być przerażona. Ale na myśl o tym, co przyniesie dzisiejszy wieczór, następny dzień i jeszcze kolejny, czuję dreszczyk emocji.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Puck

– Parada jeźdźców jest o jedenastej – oznajmia Brian Carroll. – Pewnie wiesz.

Nie wiedziałam, ale teraz wiem. Jedenasta wydaje się bardzo odległa, czeka nas kilka godzin wypełnionych hałasem festiwalu.

– Muszę poszukać swojego brata – mówię Brianowi – swojego drugiego brata.

W rzeczywistości szukam wsparcia. Stoję tu, na festiwalu jak przed laty, ale mamy nie ma obok mnie. Finn i Jonathan Carrollowie zniknęli w tłumie, zostawiając mnie z Brianem, którego płuca znam lepiej niż jego samego, i z kłębkami nerwów w żołądku.

Myślałam, że to, co powiedziałam, zabrzmiało jak pożegnanie, lecz Brian dodaje:

– No dobrze. A gdzie według ciebie on może być?

Gdybym знаła odpowiedź na to pytanie, porozmawiałabym z nim trzy dni temu. Prawda jest taka, że ostatnio nic nie wiem o swoim starszym bracie. Brian wyciąga szyję, żeby rozejrzeć się ponad tłumem, przygląda się twarzom w poszukiwaniu Gabe'a. Stoimy na początku głównej ulicy Skarmouth. Widać stąd wszystko, aż do przystani. Każdy centymetr powierzchni wypełniają ludzie. Tłum rozstępuje się tylko na chwilę daleko w dole, w pobliżu wody, gdzie przeciskają się perkusiści z bębnami Skorpiona. W powietrzu unosi się jakiś smakowity zapach, który powoduje, że z mojego żołądka wydobywa się groźny pomruk.

– Prawdopodobnie gdzieś, gdzie nie będziemy go szukać. A ty masz braci, poza Jonathanem?

– Siostry – odpowiada Brian. – Trzy.

– Gdzie teraz są?

– Na stałym lądzie.

Wypowiada te słowa tak, jakby nie miały dla niego znaczenia. Zastanawiam się, czy przestało go to boleć, czy może w ogóle nigdy go to nie zabolowało.

– A gdyby mieszkały tutaj, to gdzie byłyby dzisiaj?

– Cóż – mówi Brian powoli i z namysłem, zagłuszany przez wrzaskliwe rozmowy wokół nas. – Nabrzeże albo pub. Sprawdzimy?

Dziwnie się czuję, prowadząc z Brianem Carrollem tę rozmowę. Stoi tak blisko, że dobrze go słyszę, patrzy na mnie, wielki, kanciasty, dorosły, ze swoimi kręconymi włosami i mięśniami rybaka; nie przywykłam też, żeby ktoś miał takie spokojne spojrzenie. W głębi ducha podejrzewam, że stroi sobie żarty ze mnie, dzieciaka, podczas gdy sam jest już właściwie mężczyzną; ale potem dostrzegam swoje dłonie. To dłonie mojej mamy, nie małej dziewczynki, i wiem, że twarz też mam mamy.

Ciekawe, ile czasu jeszcze potrzeba, żebym wewnętrznie dorosła do swojego wyglądu.

– Dobrze – mówię.

Ruszamy w dół ulicy. Szerokie ramiona Briana torują mi drogę przez tłum, w którym dostrzegam sporo turystów o nieznanym twarzach. Jest w nich coś, co ich subtelnie wyróżnia, jakby należeli do innego gatunku. Ich nosy są odrobinę prostsze, oczy trochę bliżej osadzone, usta nieco węższe. Są z nami tak blisko spokrewnieni jak Dove z końmi wodnymi.

Nie ma śladu Gabe'a. Zresztą nie wierzę, że uda nam się go znaleźć wśród tych wszystkich ludzi. Brian jednak idzie dalej, w kierunku przystani.

Wszędzie hałas, hałas, hałas. Bębny i krzyki, śmiechy i śpiewy, motocykle i muzyka.

Na nabrzeżu jest odrobinę ciszej, bo z jednej strony otacza nas woda, a nie ludzie. Fale

uderzają niespokojnie o beton, bliżej niż zwykle, prawie nas dosięgając. Jest na tyle cicho, że słycać potworną wrzawę panującą wysoko na klifach.

– Co się tam dzieje? – pytam. – Rozpalili ognisko?

Brian mruży oczy, jakby był w stanie dostrzec cokolwiek poza przyklejonymi do zbocza budynkami.

– Tak. Rzucają do morza życzenia.

Wiem o tym zwyczaju tylko tyle, że ojciec Mooneyham jest mu przeciwny. Nie udało mi się wydobyć od mamy więcej informacji.

– Robiłeś to kiedyś?

– Nie, nigdy – odpowiada Brian znękanym głosem.

– O co w tym chodzi?

– Pisziesz coś węglem z ogniska na skrawku papieru, a potem rzucasz kartkę z klifu.

– Nie wygląda to na jakiś straszliwy występ.

– To klątwy, Kate. To życzenia płynące ze złej woli. Pisziesz je wspak i wrzucasz do morza.

Czuję dreszcz przerażenia. Natychmiast próbuję sobie wyobrazić, jaką klątwę ja mogłabym zawrzeć na papierze. Przybieram w myślach odpowiednią pozę i w blasku ognia ciskam do oceanu dowód swojej nikczemności.

– Jesteś dzika, Kate Connolly – wyznaje Brian. – Widzę to na twojej twarzy.

Nie wiem, czy jest w tym choćby ziarnko prawdy, ale kiedy znowu patrzę na Briana, przygląda mi się uważnie. Nagle przychodzi mi do głowy przerażająca myśl, że zamierza mnie pocałować, i cofam się o kilka kroków, nie zdając sobie sprawy, że on nawet nie drgnął. Śmieje się ze mnie miłym, bezpiecznym śmiechem. Chyba jednak jestem dzika.

– Chodź – rzuca Brian. – Zobaczmy, czy go tu nie ma.

Idziemy dalej nabrzeżem. Pod daszkami z materiału stoją sprzedawcy z przekąskami i to chyba tutaj Brian spodziewał się znaleźć Gabe'a. Handlarze nie mogą narzekać na brak klientów, jest ich naprawdę sporo, aż musimy przeciskać się przez kolejki. Brian wyciąga szyję, wypatrując mojego brata, i znowu czuję się dziwnie, że prowadzę te osobiste poszukiwania z kimś spoza naszej rodziny. Jaki Brian ma w tym interes, że spędza czas na festiwalu, szukając Gabe'a?

– Tracisz przeze mnie wieczór, a możesz się dobrze bawić – mówię. – Sama go znajdę.

Brian patrzy na mnie z góry. Mam wrażenie, że z upływem czasu robi się coraz wyższy. Kiedy znajdziemy Gabe'a, Brian będzie wysoki jak kościół Świątego Kolumbana na wzgórzu i będę potrzebowała drabiny, żeby z nim rozmawiać.

– Bawię się dobrze. Chcesz, żebym sobie poszedł?

Nie wierzę mu. Widziałam dobrą zabawę i kojarzy mi się z radością, bieganiem wokół ognia, może ze stłuczonym kolanem. Szukanie Gabe'a można od biedy uznać za interesujące, ale to z pewnością nie jest zabawa.

– Mam wyrzuty sumienia, że cię zatrzymuję.

Brian przełyka ślinę i patrzy w dal ponad tłumem, jakby wciąż szukał Gabriela.

– Ostatnia z moich sióstr wyjechała na stały łód w zeszłym roku. Normalnie byłbym tutaj z nią.

– Gabe mówi, że też wyjeżdża.

Wypowiadam te słowa szybciej, niż potrafiłabym je przemyśleć, i zupełnie nie rozumiem dlaczego. Dlaczego mówię o tym Brianowi Carrollowi, skoro tak naprawdę nie rozmawiałam o tym nawet z Finnem? Najpoważniejsze tematy, jakie zdarzyło mi się poruszyć z tym stojącym przede mną chłopakiem, dotyczyły plucia na jego niewykopany jeszcze grób, a teraz otwieram przed nim serce i rozmawiam o rodzinnych tajemnicach.

– Tak mówi – odpowiada Brian.

Mam ochotę krzyknąć: „Nam nie powiedział do ostatniej chwili!”, ale to rzeczywiście byłoby już zdradzenie rodzinnej tajemnicy, więc zamykam buzię na kłódkę. Żałuję, że tu przyjechałam. Chciałabym być w domu. Chciałabym, żeby Brian nie patrzył na mnie z coraz większej wysokości. Zakładam ręce i wsuwam dłonie pod pachy. Kiedy znajdę Gabe’a, podbiję mu oko.

Brian Carroll nie zważa na moją rozpacz.

– Wspominał, że jedzie z Tommym Falkiem i Beechem Grattonem – dodaje.

Pozwalam sobie dać upust złości.

– Oczywiście! Wszyscy o tym wiedzą! Wszyscy jadą. Ty też jedziesz na stały ląd?

– Nie – odpowiada Brian poważnie. – Mój praprapra-dziadek pomagał budować tę przystań. Nigdy nie opuszczę tego miejsca.

Mówi, jakby się z nim ożenił. Słuchając go, czuję się zmęczona i jeszcze bardziej wściekła.

– Ej! – woła Brian, jakby dopiero teraz dostrzegł moją frustrację. – Chodź, sprawdzimy w pubie. Sam się tam wybierałem. On może się tam ukrywać. W najgorszym razie trochę się ogrzejemy.

Z powrotem przedzieramy się przez tłum do Czarnookiej Ślicznotki. Drzwi budynku z pomalowanym na zielono frontem są otwarte na oścież i podparte, żeby się nie zamykały. Zawsze mnie uderzało, że wewnątrz wygląda zbyt wytwornie jak na zwykły lokal – wszędzie drewno na wysoki połysk, marszczona skóra i mosiężne okucia. Jest tu nieskazitelnie czysto i przez większość dnia zupełnie pusto. Potem, wieczorem, kiedy marynarze są już zmęczeni trzeźwością, pub wypełnia się po brzegi; przy każdym otwarciu drzwi bar wypływa hałas na ulicę i puszcza nim pawia na przystań.

Do dziś znałam pub w tym drugim wcieleniu tylko z zewnątrz. To zupełnie inny rodzaj tłoku niż ten, który panuje na ulicy. Zadymiony, za gorący, klaustrofobiczny, wypełniony krzykami, śmiechem i moim imieniem zaskakująco często pojawiającym się w rozmowach.

– Hej, czy to nasza Kate Connolly? – mówi jakiś człowiek przy drzwiach. Kilka osób, słysząc moje nazwisko, odwraca głowy w naszą stronę. Mam uczucie, że wszyscy mają więcej niż jedną parę oczu.

– Kate Connolly! – woła z zadowoleniem inny mężczyzna przy barze. Odsuwa wysoki stółek, żeby podejść bliżej. Jest rudy, z masywnym torse, czuć od niego czosnkiem i piwem. – Kura rzuca wyzwanie kogutom!

Brian niezbyt delikatnie chwyta mnie za ramię, drugą ręką pokazując salę na tyłach. A potem odwraca się do gościa przy kontuarze.

– Nie da się ukryć – mówi. – No jak, John, co myślisz o przypląwie? Znosi się na burzę?

Potrafię poznać, kiedy ktoś stara się mnie wybawić z opresji, i doceniam wysiłki Briana. Czym prędzej pcham się w głąb pubu, jak najdalej od tych zaczepiających mnie koleś. Rozglądam się po drugiej sali i w rogu dostrzegam Gabe’a. Siedzi pochylony nad kuflem piwa, jego dłoń o długich palcach wygląda jak wielki pajak na stole. Coś mówi. Nie słyszę jego głosu, ale kiedy się śmieje, mam wrażenie, że jest bardziej swobodny i zuchwały niż zazwyczaj. Ogarnia mnie gniew.

Brian nadal obstawia tyły, więc ruszam przez dym i zatrzymuję się przy krześle, na którym siedzi Gabe, tuż przy jego ramieniu. Czekam, aż mnie zauważy. Tommy Falk, wredny konspirator po drugiej stronie stolika, już mnie widzi i uśmiecha się ślicznie. Ale Gabe nadal gestykuluje.

– Gabe. – Czuję się jak dziecko, które stoi obok fotela taty i przerywa mu czytanie gazety.

Coś okropnego.

Mój brat odwraca się. Próbuję doszukać się na jego twarzy poczucia winy, lecz dochodzę do wniosku, że wcale go tam nie ma.

– Och, Puck – mówi tylko.

– Właśnie: „och, Puck”.

– Nie mogę uwierzyć, że startujesz w wyścigu – wtrąca się Tommy Falk. Stoją przed nim dwa puste kufle i wszystkie jego słowa zlewają się w jeden, wypowiedziany bez wysiłku ciąg dźwięków z „s” zamiast przerw. – Widziałem cię pierwszego dnia. Pierwsza dziewczyna na plaży. Za nas.

– Nie zachęcaj jej – odzywa się Gabe, ale jest wesoły. Czuć od niego alkoholem.

– Jesteś p i j a n y – stwierdzam.

Gabe zerka na Tommy’ego, a potem znowu na mnie.

– Nie bądź głupia, Kate. Wypiłem jedno piwo.

– Tata nie chciał, żebyś pił. Powiedziałaś mu, że nie będziesz!

– Histeryzujesz.

Nie uważam się za histeryczkę.

– Muszę z tobą porozmawiać.

– W porządku. – Gabe nie rusza się jednak. Po tym, jak siedzi, poznaję, że zgrywa mądrzejszego, bo Tommy na niego patrzy.

Nachylam się i mówię:

– Na o s o b n o ś c i.

Najbardziej rani mnie wyraz jego twarzy. Jedna brew uniesiona, jakby sobie pokpiwał z mojego zachowania.

Podnosi dłoń.

– Tu nie ma gdzie porozmawiać na osobności. Czy to nie może poczekać?

Kładę mu rękę na ramieniu i chwytam za jego koszulę.

– Nie. Dłużej już nie może. Muszę porozmawiać teraz.

– Wychodzę, Tommy. Zaraz wrócę.

– Pokaż mu, Puck! – woła Tommy, unosząc pięść.

W tej chwili pogardzam Tommym i każdą odrobiną jego urody. Nie patrząc na niego, prowadzę Gabe’a do drzwi na końcu sali. Okazuje się, że to ciasna łazienka, śmierdząca świeżym pawiem. Zamykam drzwi za Gabe’em. Chciałabym zebrać myśli, przypomnieć sobie, co właściwie zamierzałam mu powiedzieć, bo wydaje mi się, że zapomniałam wszystko, co jeszcze przed chwilą miałam na końcu języka.

– Przytulnie tu – ironizuje Gabe.

Nad umywalką wisi lusterko wielkości książki i cieszę się, że nie mogę się w nim przejrzeć.

– Gdzie byłeś?

Gabe przygląda mi się, jakbym powiedziała coś zupełnie pozbawionego sensu.

– W pracy.

– W pracy? Cały czas? Po nocach?

Gabriel przestępuje z nogi na nogę, patrzy na sufit. Jest coraz bardziej wkurzony.

– Wracałem do domu na noc. O to ci chodziło?

Nie o to mi chodziło, ale nie mogę sobie przypomnieć, co właściwie chciałam mu wykrzyknąć. Rozrzucone myśli chrzęszczą mi pod stopami. Pamiętam tylko wyraźnie pragnienie podbicia mu oka, aż w końcu, ni stąd, ni zowąd, wraca do mnie najważniejsza sprawa.

– Benjamin Malvern był u nas w tym tygodniu.

– Hm.

– Hm?! Powiedział, że zajmie dom!

– Ach.

– Ach?! Dlaczego nam nie powiedziałeś? – pytam. Czuję się okropnie, że wciąż ściskam go za ramię. Lecz jak inaczej mam być pewna, że mi się nie wymknie?

– Dlaczego? – powtarza Gabe. Zachowuje się lekceważąco. – Finn wpadłby w obłąd i zamartwiłby się na śmierć, a ty zaczęłabyś histeryzować.

– Nieprawda – burczę. Nie mam pewności, czy w tej chwili nie zachowuję się histerycznie. Wszystko, co powiedziałam, wydaje mi się logiczne, ale mam wrażenie, że niezupełnie kontroluję swój głos.

– Prawda.

– Mieliśmy prawo wiedzieć.

– I co by wam z tego przyszło? Żadne z was nie zarobiłoby pieniędzy. Jak ci się zdaje, co robię w te wszystkie noce? Staram się, jak mogę.

– Dopóki nie wyjedziesz.

Gabe patrzy na mnie i jego uśmiech znika. Zdaję sobie sprawę, jak bardzo mój brat się zmienił. Jego twarz jest pozbawiona wyrazu, oczy zmrużone na wietrze, którego nie ma. Nie mogę przemówić do uczuć Gabe'a, bo nie wiem, czy je w ogóle posiada.

– Nie można starać się bardziej. Dałem z siebie wszystko.

– To za mało – mówię.

Nagle wyswobadza rękaw z moich palców i otwiera drzwi. Do dusznego pomieszczenia wlewa się hałas i zapach pubu.

– To niedobrze. To wszystko, co mam. – Gabe zatrząskuje za sobą drzwi. Ze wszystkich sił staram się przełknąć smutek. Przechodzi tylko do połowy gardła. Próbuję zebrać myśli, trochę ochłoniąć.

Wszystko zależy wyłącznie ode mnie. Tak to w tej chwili wygląda.

Po wyjściu Gabe'a spędzam w łazience kilka długich minut z czołem opartym o framugę. Nie mogę od razu wyjść, bo Tommy Falk będzie się śmiał i powie jakiś głupi dowcip, a ja wybuchnę płaczem przy wszystkich. Nie mogę sobie na to pozwolić. Wiem, że Brian Carroll prawdopodobnie wciąż czeka na mnie w sali od frontu, i jest mi przykro z tego powodu, ale nie aż tak, żeby tam iść. Chcę się trochę uspokoić.

Nabieram powietrza. Chyba miałam nadzieję, że Gabe zmieni zdanie. Że jakoś go przekonam, aby został. Teraz jego wyjazd wydaje się nieunikniony. Czuję się, jakby już wszedł na łódź.

Wymykam się z łazienki. Tuż obok jest tylne wyjście. Przez chwilę toczę wewnętrzną walkę: wracać do głównego wyjścia, do sali, w której być może wciąż czeka Brian Carroll, mijając Gabe'a, Tommy'ego Falka i gapiących się mężczyzn, czy czmychnąć tylnymi drzwiami w ciemną uliczkę i tam lizać rany, i czekać do parady jeźdźców. Chciałabym po prostu wrócić do domu, wczołgać się do łóżka, nakryć głowę poduszką i nie wychodzić do zimy albo nawet do wiosny.

Wychodzę tylnymi drzwiami, zostawiając Briana Carrola w pubie. Gdyby dało się zjeść wstyd na kolację, przynajmniej mogłabym się nim najeść do syta.

Po wąskim kamiennym zaułku hula wiatr. Kiedy wracam do głównej ulicy, myślę z rozpaczą o gorącym kakao w domu, który nie wydaje mi się już domem. Rzeka ludzi na ulicy teraz jeszcze bardziej wezbrała, a ja zupełnie nie mam ochoty w niej pływać.

Wtedy słyszę głos Finna.

– Puck! – woła.

Chwyta niepewnie mój łokieć i nagle przychodzi mi na myśl, że Finn jest pijany. W tej chwili uwierzyłabym we wszystko, jeśli chodzi o moich braci. Oddycham z ulgą, widząc, że zatoczył się, bo został popchnięty przez kłębiący się tłum. Finn odnajduje moją lewą dłoń i kładzie na niej ciastko listopadowe, ociekające miodem, masłem i śmietankową polewą, której strużki aż się proszą, żeby je polizać. Tuż obok ktoś krzyczy jak koń wodny.

Serce bije mi szalonym rytmem.

Pozwalam, żeby polewa ściekała mi po ręce, i patrzę na Finna, którego z trudem udaje mi się rozpoznać. Zamienił się w czarnego demona z upiornym białym uśmiechem na twarzy pomalowanej węglem i kredą. Tylko usta ma różowe, bo wymyły się polewą z jego ciastka listopadowego. Na plecach niesie drewnianą dzidę, przymocowaną skórzanym rzemieniem.

– Skąd to masz?! – przekrzykuję tłum.

Finn bierze moją drugą dłoń i coś do niej wkłada. Widząc, że chcę się temu przyjrzeć, przyciska mi rękę do ciała, zasłaniając ją przed otaczającymi nas ludźmi. Mrugam na widok sporej sumy pieniędzy.

Finn nachyla się do mnie. Jego oddech jest słodki jak miód. Musiał zjeść więcej niż jedno ciastko.

– Sprzedałem morrisa.

Pośpiesznie chowam pieniądze.

– Kto ci za niego tyle dał?

– Jakaś głupia turystka. Uważała, że jest uroczy.

Uśmiecha się do mnie, błyskając krzywymi zębami na czarnej jak węgiel twarzy; czuję, że mam nogi jak z waty. Złość powoli mija.

– Pewnie uważała, że ty jesteś uroczy – śmieję się.

Uśmiech Finna znika. Jedną z zasad w kodeksie Finna zabrania wspominać o jego atrakcyjności dla płci przeciwnej. Nie jestem pewna, który to dokładnie paragraf, ale jest jakoś powiązany z tym, który zabrania mu dziękować. Wystarczy coś zbliżonego do komplementu i Finn się zacina.

– Nieważne. Dobra robota.

– Tyle tylko – mówi Finn, oblizując palce – że nie wiem, jak teraz wrócimy do domu.

Jeżeli przeżyję paradę jeźdźców, to dam radę tam nawet pofrunąć.

Czuję się coraz bardziej podekscytowana.

Rozdział trzydziesty

Sean

Przeciskam się przez tłum drepzczący ulicami Skarmouth w nierównym rytmie bębnow Skorpiona. Zimne powietrze aż piecze, gdy je wdycham. Wiatr niesie różne obce zapachy: jedzenia, które przygotowuje się jedynie w listopadzie, perfum, których używają tylko kobiety na stałym łądzie, rozgrzanej smoły, palonych śmieci, rozlanego na bruku piwa. To Skarmouth jest prymitywne i wygłodniałe, gwałtowne i nieznanne. Te same emocje, które budzi u mnie wyścig, sprawiają, że ulica pęka w szwach.

Ludzie rozpychają się łokciami. Turyści o ruchach spowolnionych przez alkohol i głosach piskliwych z podniecenia utrudniają przejście. Ale jeśli przybierze się odpowiednią pozę, nawet pijany robi człowiekowi miejsce. Z szeroko otwartymi oczami idę w stronę sklepu rzeźnika. Wypatruję Mutta Malverna. Wolę widzieć niż być widzianym, w każdym razie dopóki się nie przekonam, co on aktualnie knuje.

Słyszę szept: „Sean Kendrick”. Nie oglądam się. Wiele osób rozpoznaje moją twarz.

Nie patrzę na ludzi. Obserwuję miasto pod ich stopami. Światła uliczne zabarwiają kamienie na złoty i czerwony kolor, cienie przybierają wszystkie kolory listopadowego oceanu: czarny, brązowy i trupio siny. Rowery pod ścianami budynków wyglądają, jakby wyrzuciła je na brzeg fala, która zaraz się wycofała. Podzwaniają dzwoneczki na kostkach mijających mnie dziewczyn. Jedną z bocznych uliczek oświetla blask rozpalonego w beczce ognia, wokół którego skupili się jacyś chłopcy. Przyglądam się Skarmouth, a ono patrzy na mnie swoim dzikim wzrokiem.

Na jednej ze ścian wisi reklama stajni Malverna. *Stajnia, z której wywodzi się czterokrotny zwycięzca Wyścigu Skorpiona – głosi plakat. – Stań się właścicielem części wyścigu: aukcja źrebiąt w sobotę o godzinie siódmej.*

Wszystko w tym ogłoszeniu dotyczy mnie, ale moje nazwisko w nim nie figuruje.

Przystaję, żeby przepuścić chłopców z bębnami, którzy wyłaniają się z bocznej uliczki prowadzącej nad morze. Jest ich czternastu, wszyscy ubrani na czarno; ich entuzjazm przeważa nad talentem. Średnica bębnow dorównuje rozpiętości moich ramion, ich membrany zrobione są ze spryskanej krwią skóry. Zagłuszają mój puls swoim własnym. Za chłopakami idzie kobieta z głową konia, ubrana w tunikę koloru krwi. Za nią powiewa ogon, trudno stwierdzić, czy jest prawdziwy, czy zrobiony z liny albo skóry. Zgodnie z tradycją ma bose stopy. Nie da się rozpoznać osoby ukrytej w przebraniu.

Oto właśnie Festiwal Skorpiona.

Bębny grają, a my stoimy przyciśnięci do ścian, żeby zrobić im miejsce. Niektórzy turyści klaszczą. Miejscowi tupią. Bogini klacz z końską głową nieproporcjonalnie wielką w stosunku do reszty ciała przygląda się powoli tłumowi. Ktoś wychodzi na spotkanie pochodu i robi znak krzyża, a potem znowu, już z tyłu. Kobieta wyciąga rękę i na bruk spada deszcz maleńkich kamyków. Zgodnie z tradycją ma tego wieczoru wyrzucić jedną muszelkę, która spełni życzenie tego, kto ją złapie.

Tym razem w jej dłoni jest tylko piasek.

Pewnej nocy, wiele lat temu, kiedy stałem na ulicy razem z ojcem, popatrzyła na mnie, upuściła garść piasku i kamyków, a na ziemi przede mną zawirowała muszelka. Rzuciłem się, żeby ją złapać. Wypowiedziałem życzenie, jeszcze zanim zacisnęły się na niej moje palce.

Odwracam twarz, czekając, aż kobieta mnie minie, aż wspomnienie zblednie.

Słyszę głośny oddech, ni to ludzki, ni to koński. Oglądam się. Bogini klacz stoi dokładnie przede mną, w odległości kilku centymetrów. Wielki, stary, szary łeb przygląda mi się lewym okiem, tak jak Corr. Tylko że tu prawdziwe oko zostało zastąpione błyszczącym kawałkiem łupka, wypolerowanym tak, że wygląda, jakby mrugało i łypało niczym oko srokatej klaczy. Z tak bliska dostrzegam ciemniejsze smugi czerwieni na tunice kobiety, w miejscach, gdzie materiał się zmarszczył i wchłonął więcej krwi w swoje fałdy. Kostium jest przerażający: nawet z takiej odległości trudno powiedzieć, gdzie kończy się kobieta, a zaczyna końska głowa; nie widać też otworów, przez które kobieta patrzy. Wyobrażam sobie, że czuję na twarzy wydobywający się z nozdrzy gorący oddech. Serce zaczyna mi bić szybciej.

Znowu jestem chłopcem i patrzę na boginię klacz, która otwiera dłoń, wypuszczając kamyki i piasek. Wyspa, plaża, życie – widzę, jak to wszystko rozciąga się teraz przede mną.

Bogini klacz zniemacka chwyta mój podbródek. Spogląda na mnie łupkowym okiem. Sierść wokół niego jest zmierzwiona ze starości, od śmierci zwierzęcia minęło dużo czasu.

– Seanie Kendrick – zwraca się do mnie, a jej głos jest gardłowy, prawie nieludzki. Słyszę w nim morze. – Czy twoje życzenie się spełniło?

Nie mogę odwrócić wzroku.

– Tak, wielokrotnie.

Łupek połyskuje i migocze.

Głos znowu mnie zaskakuje.

– Czy to cię uszczęśliwiło?

To nie jest pytanie, na które miałbym gotową odpowiedź. Nie czuję się nieszczęśliwy, choć na tej wyspie szczęście nie daje obfitych plonów. Ziemia jest na to zbyt skalista, a słońce za skąpe.

– Wystarczająco.

Jej palce coraz mocniej ściskają moją szczękę. Czuję gryzący zapach krwi i widzę, że jej dłonie też są nią wysmarowane.

– Ocean zna twoje imię, Seanie Kendrick – mówi. – Wypowiedz jeszcze jedno życzenie.

Unosi rękę wyżej i rozciera krew z grzbietu dłoni na moich kościach policzkowych.

Czuję jeszcze silniejszy zapach krwi.

Potem bogini klacz odwraca się i podąża za bębnami. Znowu jest tylko kobietą z łbem martwego konia na głowie. Ale ja odczuwam dziwną pustkę. Po raz pierwszy nie pragnę jedynie zwycięstwa w wyścigu.

Nie mogę przestać myśleć o bogini klaczy, prześladuje mnie tembr jej głosu, wrażenie oddechu na skórze. W gardle czuję ogień, jakbym napił się morskiej wody. Znowu płynę przez tłum, wróciłem do realnego świata. Myśl o zwyczajnych sprawach do załatwienia u Grattona całkowicie sprowadza mnie na ziemię. Muszę się rozliczyć i złożyć kolejne zamówienie na paszę dla *eich uisce*. Ale wciąż powracam myślami do kobiety z głową konia, próbuję odgadnąć, czy jej ręce dotykały mojej twarzy. Mam wrażenie, że gdyby udało mi się ją zidentyfikować, mógłbym wypełnić pustkę, którą odczuwam. Wszystko wówczas stałoby się na powrót tylko grą w zgadywanie, czyj ochryply głos rozbrzmiewał w czaszce. Przypuszczam, że mogła to być Peg Gratton, której nieobca jest krew i która nawet z końskim łbem na głowie nie byłaby wyższa ode mnie.

Wchodzę do sklepu rzeźnika. Jak zwykle jest to najczystsze miejsce w Skarmouth, a w środku jest jasno jak w dzień. Jakimś sposobem dostały się tu dwa ptaki i kiedy trzepoczą skrzydłami, mam wrażenie, że światło migocze i przygasa.

Przeciskam się przez tłum. Nie widzę za ladą Peg Gratton, więc to ona mogła być kobietą w kostiumie konia. Jest mi lżej. Dzięki temu czuję się mniej *wywołany*.

Stoję przy ladzie, a Beech Gratton z ponurą miną przyjmuje moje zamówienie. To nie mnie nienawidzi, tylko tej pracy, która zatrzymuje go tutaj, podczas gdy on chce być tam, na festiwalu.

– Wyglądasz koszmarnie. – Beech chrząka z podziwem, a ja przypominam sobie dłoń rozsmarowującą mi krew na twarzy. – Jak sam diabeł.

Nie odpowiadam.

– Za dwadzieścia minut się stąd zmywam – mówi, chociaż go nie pytałem.

– Trzydzieści – woła Peg Gratton z zaplecza.

Czuję w ustach smak krwi. Mruga do mnie łupkowe oko. Migocze.

Beech zapisuje moje zamówienie, a ja podnoszę wzrok na tablicę za ladą. Jest na niej moje nazwisko i imię Corra, a obok nich nasze aktualne notowania: jeden do pięciu. Poniżej figurują nazwiska i notowania nowych uczestników ze stałego ładu, którzy znaleźli sobie wierzchowce w pierwszych dniach treningów. Kiedy pojawią się na plaży, nieporadni i brawurowi, zapanuje tam tłok jak pierwszego dnia. Szukam na liście Kate Connolly. Dostrzegam imię jej kucyka i jej nazwisko. Notowania czterdzieści pięć do jednego. Zastanawiam się, na ile zawdzięcza je swojemu rumakowi, a na ile płci.

Przebiegam wzrokiem listę i znajduję nazwisko Mutta, a obok imię wierzchowca, które powinno brzmieć Edana, choć nie zbliżył się do tego konia od dwóch dni. To gniada klacz z białymi łatami, którą zgodnie z moją sugestią miał przydzielić mu ojciec.

Ale przy nazwisku Mutta figuruje imię Skata. Dobre imię dla konia, twarde i krótkie. Skata to miejscowe określenie sroki. Ptaka znanego z mądrości, zamięłowania do błyszczących przedmiotów i czarno-białego upierzenia. Tylko jedno stworzenie na plaży jest czarno-białe.

Skata to srokata klacz.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Sean

Znajduję go przy jednym z ognisk.

Splątane z nocą płomienie sięgają wysoko w stronę czarnego nieba. Czuję smak dymu na języku.

– Matthew Malvern. – Mój głos brzmi jak warknięcie, wyzwanie do walki, nie bardziej przyjazne od krzyku Corra na plaży. Mutt przypomina mitycznego giganta, jego sylwetka odcina się czarno na tle ogniska. W jednej ręce trzyma węgiel, a w drugiej kartkę: zamierza ją wrzucić do morza. Jeśli nawet ma jakąś twarz, jest ukryta w mroku. – Czy wypisałeś na tej kartce życzenie czyjejś śmierci?! – wołam.

Mutt zgniata papier powoli, tak żebym mógł na nim zobaczyć swoje imię wypisane wspak. Potem pozwala mu sfrunąć z klifu i zniknąć w czerni nocy.

– Ten koń cię zabije.

Mutt kroczy dumnie w moją stronę. Jego oddech syczy jak wściekły ocean.

– Od kiedy to obchodzi cię moje bezpieczeństwo, Seanie Kendrick?

Zbliża się do mnie, aż nasze cienie zlewają się w jeden. Stoję z kamienną twarzą. Jeżeli będzie chciał się bić, zamierzam mu oddać. W mojej głowie już rozpętała się burza. Znowu widzę, jak Fundamental idzie pod wodę, wyraźnie, jakby to się działo w tej chwili.

– Może zabić kogoś innego – mówię. – A nikt nie zasługuje, żeby przez ciebie zginąć.

Ogień parzy mi skórę.

– Nie chcesz, abym na niej startował – śmieje się Mutt – bo wiesz, że jest szybsza.

Przez tyle lat robiłem, co mogłem, żeby utrzymać Mutta przy życiu ze względu na jego ojca. Wybierałem dla niego najbezpieczniejsze konie, jakie istniały, układałem je niezmordowanie, aby stały się obojętne na ocean, obserwowałem go na treningu, żeby się upewnić, że nikt mu nie wejdzie w drogę. Miałem złamane dwa zębra, choć to on powinien mieć je złamane.

A teraz sytuacja tak dalece wymknęła mi się spod kontroli, że czuję niemalże ulgę. Jeśli pojedzie na łaciatej, nie będę mógł nic dla niego zrobić.

Podnoszę ręce.

– Jak chcesz. Robiłem, co mogłem.

Kątem oka widzę jakieś postacie. Są tutaj, aby nas zaprowadzić na paradę jeźdźców. Wieczór dobiega końca, a jutro zaczną się prawdziwe treningi. Nie mogę sobie wyobrazić, że przyjdzie dzień po tej nocy. Mam wrażenie, że ona nigdy się nie skończy.

– Tak – mówi Mutt. – Robiłeś.

I odchodzi.

Rozdział trzydziesty drugi

Puck

Parada jeźdźców właściwie wcale nie jest paradą.

Jakiś człowiek krzyczy nad tłumem:

– Jeźdźcy?! Jeźdźcy! Na skałę!

Najwyraźniej chodzi mu o to, żebyśmy poszli za nim. Wciąż oczekuję, że wszystko będzie przebiegało w jakiś zorganizowany sposób, ale tak się nie dzieje. Przez chwilę, kiedy kilku uczestników wyścigu idzie w tym samym kierunku – na szczyt klifu – rzeczywiście można mówić o czymś w rodzaju parady. Tłum się rozstępuje, ja pędzę za nimi, a Finn stara się za nami nadążyć. Nikt nie robi mi miejsca, więc co chwilę wpadam twarzą na czyjeś plecy; czyjeś łokcie trafiają mnie w żebra.

Wokół panują ciemności, jedyne światło pochodzi z dwóch ognisk. Jedno płonie wysoko i gwałtownie, drugie jest mniejsze i strzela. Nie jestem pewna, co powinnam ze sobą zrobić. Ogarniają mnie różne uczucia – strach miesza się z ekscytacją.

– Kate Connolly – słyszę mało przyjazny głos. Gdy odwracam głowę, widzę tylko oczy zwrócone w inną stronę i ściągnięte brwi. Dziwnie się czuję, kiedy mówią o mnie, zamiast mówić do mnie.

Czyjaś ręka chwyta mnie za ramię. Obracam się, sycząc i prychnając, a potem dostrzegam Elizabeth, siostrę Dory Maud. Jej włosy nawet w tym nikłym świetle wydają się jasne, ubrana jest w sukienkę koloru samochodu ojca Mooneyhama. Elizabeth ma surową minę. Jej usta też pasowałyby do samochodu ojca Mooneyhama. Jestem zaskoczona, że spotykam ją tutaj. Nigdy nie widziałam jej poza straganem albo sklepem Fathom i Synowie i chyba wydawało mi się, że jeśli wkroczy do prawdziwego świata, roztopi się albo rozpadnie. Każda z sióstr ma swoje królestwo: Dory Maud najbardziej rozległe – całą wyspę, do Elizabeth należy stragan, świat Annie jest najmniejszy ze wszystkich, ogranicza się jedynie do piętra nad sklepem.

– Zabłądziłaś, prawda? Dory Maud twierdzi, że nigdy się nie gubisz, ale ja wiedziałam, że tak będzie. – Mina Elizabeth wyraża czystą pogardę.

– Wiem, dokąd idę – rzucam. – Jeszcze nigdy nie byłam na paradzie.

– Tylko mnie nie ugryź – mówi Elizabeth. – Tędy. Finn, chłopcze, łapiesz muchy? Zamknij buzię i chodź.

Wbija mi palce w ramię i prowadzi wysoko, wysoko w górę, na klif ponad plażą, na której odbywają się wyścigi. Finn truchta za nami jak niespokojny szczeniak.

– Gdzie jest Dory? – pytam.

– Uprawia hazard – warczy Elizabeth. – Oczywiście. Kiedy ja pracuję.

Nie jestem pewna, na jakiej podstawie prowadzenie mnie na szczyt urwiska można nazwać pracą, lecz jestem jej wdzięczna za pomoc. Nie wiem też, czy potrafię stworzyć sobie obraz Dory Maud, która zawiera zakłady u rzeźnika, ale gdyby nawet, nie byłaby to wizja uzasadniająca warczenie Elizabeth. Moim największym osiągnięciem jest wyobrazenie sobie Dory w Czarnookiej Ślicznotce i muszę przyznać, że idzie jej lepiej niż mnie: kroczy dumnie do baru jak mężczyzna.

Elizabeth każe mi się ocknąć i pcha mnie stanowczo na klif. Dopiero po kilku minutach przystaje, żeby się rozejrzeć. Lecz już widzę, że jesteśmy we właściwym miejscu. Poznają po nieruchomym punkcie w kłębiącym się tłumie: Sean Kendrick. Ma ciemne ubranie, ponury wyraz twarzy i patrzy w czarną noc ponad krawędzią wzniesienia. Bez wątpienia na coś czeka.

– Tam – mówię.

– Nie – odpowiada Elizabeth, podążając za moim spojrzeniem. – Tam nie idziemy. Sam wyścig jest wystarczająco niebezpieczny, nie uważasz? Tędy.

Sean odwraca głowę dokładnie w chwili, gdy Elizabeth szarpie mnie w przeciwnym kierunku i nasze spojrzenia się spotykają. Dostrzegam coś przenikliwego i niebezpiecznego w wyrazie jego twarzy. Tymczasem muszę uważać, żeby Elizabeth nie zwała mnie z nóg.

Finn maszeruje tuż obok, z rękami w kieszeniach dla ochrony przed zimnem. Zerka smętnie na Elizabeth.

Odwracam głowę i szepczę do niego:

– Pędzi, jakby gonitwa właśnie się zaczęła.

Finn się nie uśmiecha, ale śmieją się jego oczy.

W pewnym momencie Elizabeth się zatrzymuje.

– Tutaj – oznajmia.

Jesteśmy przy trzecim ognisku. Rozpalono je obok wielkiej, płaskiej skały, na której widnieją brązowe smugi. Nie od razu dociera do mnie, co to jest. To ślady bardzo dawno zaschniętej krwi, którą zbryzgany jest kamień. Na twarzy Finna maluje się napięcie. Skałę otacza tłum ludzi, którzy na coś czekają, podobnie jak Sean, i już rozpoznaję wśród nich kilku jeźdźców: doktor Halsal, Tommy Falk, Mutt Malvern, Ian Privett. Niektórzy rozmawiają i śmieją się do siebie. Byli tu już wcześniej i panuje między nimi pewna zażyłość. Nagle zaczynam źle się czuć.

– Skąd ta krew? – szepczę do Elizabeth.

– Szczeniaki – mówi. Przyłapała Iana Privetta, jak na nią patrzył i obnażał zęby w czymś na kształt uśmiechu. Chwyta mnie za ramiona i trzyma przed sobą jak tarczę. – To krew jeźdźców. Musisz tam iść i upuścić kroplę krwi na znak, że bierzesz udział w wyścigu.

Wpatruję się w kamień. Mam wrażenie, że sporo tego jak na kroplę krwi każdego jeźdźcy, nawet jeśli upuszczano je przez wiele lat.

Jakiś mężczyzna wspina się na skałę. Rozpoznaję Franka Eatona, farmera, którego znał mój ojciec. Ma na sobie jedną z tych dziwacznych tradycyjnych szarf, które lubią kupować turyści – jest przewieszona przez ramię i spięta na biodrze. W zestawieniu ze sztruksowymi spodniami wygląda dosyć kretyńsko. Z tradycyjnym kostiumem kojarzy mi się ostry zapach potu i nic nie wskazuje na to, żeby teraz to się miało zmienić. Trzymając w rękach małą miseczkę, Eaton krzyczy w tłum, który teraz odrobinę cichnie.

– Mam zaszczyt przemówić w imieniu człowieka, który nie wystartuje w wyścigu.

Eaton przechyła miseczkę i krew rozpryskuje się po skale, plamiąc mu spodnie. Chyba mu to specjalnie nie przeszkadza.

– Jeździec bez imienia – mówi. – Koń bez imienia. Jego krwią.

– Owcy – rzuca bez namysłu Elizabeth. – A może konia. Nie pamiętam.

– To barbarzyństwo. – Jestem przerażona. Finn wygląda, jakby zbierało mu się na wymioty.

Elizabeth wzrusza jednym ramieniem. Ian Privett ją obserwuje.

– Pięćdziesiąt lat temu po raz ostatni zabili tutaj człowieka. Tego, który nie brał udziału w wyścigu. Wcześniej robili to co roku.

– Dlaczego? – dopytuję.

Jej głos jest znudzony. Jeśli było jakieś uzasadnienie, ona nie jest nim zainteresowana. Stara się jednak w miarę sensownie odpowiadać na moje pytania:

– Bo mężczyźni lubią zabijać. Dobrze, że przestali. Zabrakłoby ich na wyspie.

– Bo – przerywa dobrze znany mi głos – jeśli nakarmi się wyspę krwią przed wyścigiem,

to jest szansa, że mniej jej wypije później.

Elizabeth z kwaśną miną odwraca się do Peg Gratton. Mrugam do Peg, choć z trudem ją rozpoznaję w wymyślnym przebraniu, na które składa się peleryna z ptasich piór i budzące grozę nakrycie głowy. Przypomina jednego z tych przerażających maskonurów złotoczubych, które czasami przylatują na wyspę. Nad czołem ma wielki spiczasty daszek, który wygląda jak dziób, i żółte sznurkowe frędzle, które przywodzą na myśl rogi nad uszami. Wypatruję kręconych włosów Peg, ale muszą być dokładnie ukryte pod kapeluszem.

– Nie spodziewaj się, że będą do ciebie przyjaźnie nastawieni, Puck – mówi Peg Gratton, kiedy Elizabeth nie słyszy. – Wielu uważa, że dziewczyna na plaży przynosi pecha. Nie będą wiwatowali na twój widok.

Zaciskam usta.

– Nie muszą być dla mnie uprzejmi. Chciałabym tylko, żeby mi nie wchodzili w drogę.

– To już byłaby uprzejmość – rzuca Peg i odwraca głowę. Z tym maskonurem wygląda to tak, jakby ją złapał jakiś gwałtowny skurcz. Gdybym nie była już przestraszona innymi rzeczami, które dzisiaj widziałam, ten ruch by mi wystarczył.

– Muszę iść – stwierdza.

Na skale, w miejscu, gdzie Frank Eaton rozlał krew, stoi kobieta z prawdziwym końskim łbem na głowie. Jej tunika jest zabarwiona krwią, podobnie jak dłonie. Stoi twarzą do tłumu, choć z tym wielkim łbem wygląda, jakby wpatrywała się w jakiś punkt na niebie. Mam wrażenie, że wszystko wokół faluje, czuję się rozpalona od żaru ogniska, od widoku krwi. Wydaje mi się, że śnię, a to przecież nie sen.

Wśród zgromadzonych rozlega się szum. Nie mogę wychwycić poszczególnych słów.

– Mówią, że nikt nie dostał muszelki – odzywa się Elizabeth. – Nie upuściła w tym roku muszelki.

– Muszelki?

– Która spełnia życzenie – wyjaśnia Elizabeth zniecierpliwionym tonem. – Bogini klacz co roku wyrzuca muszelkę. Gdy ją złapiesz, spełni się twoje życzenie. Prawdopodobnie upuściła ją w Skarmouth, ale byli za tępi, żeby ją znaleźć.

– Kto to jest? – pyta Finn. To pierwsza rzecz, którą powiedział od dłuższego czasu. – W tej głowie konia?

– Matka wszystkich koni. Epona. Dusza Thisby i tych klifów.

– Chodziło mi o to, kim jest ta kobieta w przebraniu? – dopytuje cierpliwie Finn.

– To ktoś, kto ma większe cycki niż ty – odpowiada Elizabeth. Oczy Finna natychmiast wędrują w kierunku piersi kobiety, a Elizabeth śmieje się piskliwie i dziko. Marszczę brwi w obronie Finnowej cnoty, a ona daje mi solidnego kuksańca. – Wołają jeźdźców.

To prawda. Kobieta z końskim łbem zniknęła, chociaż nie widziałam, żeby dokądś szła. Na jej miejscu stoi teraz Peg Gratton. Jakiś tuzin mężczyzn zgromadził się przy skale. Czekają na swoją kolej, żeby wejść na górę. W kierunku grupy nerwowo przemieszczają się następni. Zamieniam się w nieruchome zwierzątko.

Elizabeth cmoka:

– Możesz poczekać, jeśli chcesz, Puck. Wchodzą pojedynczo.

Nie mogę ufać swoim dłoniom, więc mocno zaciskam pięści. Przyglądam się uważnie, żeby zobaczyć, czego się ode mnie oczekuje. Pierwszy jeździec wchodzi po naturalnych stopniach na końcu skały. To Ian Privett, który wydaje się starszy, niż jest, z powodu włosów, które posiwiały mu, kiedy był jeszcze chłopcem. Widzę, jak idzie po kamieniach w kierunku Peg Gratton.

– Ja pojedę – mówi do niej oficjalnym tonem na tyle głośno, że dokładnie go słyszymy.

Potem wyciąga rękę, a ona nacina mu palec maleńkim ostrzem, zbyt szybkim ruchem, abym mogła dokładnie to zobaczyć. Privett trzyma rękę nad skałą. Musi z niej kapać krew, ale stoję za daleko, żeby ją dostrzec.

– Nie wygląda, jakby go to bolało.

– Ian Privett – kończy. – Penda. Własną krwią.

Peg odpowiada cicho:

– Dziękuję.

Następnie Ian schodzi z głazu i na schody wspina się kolejny jeździec, Mutt Malvern, i wszystko się powtarza. Peg nacina mu palec, a on trzyma wyciągniętą rękę, z której skapuje krew.

– Matthew Malvern. Skata. Własną krwią – mówi, spoglądając w dal ze skały, jakby szukał kogoś szczególnego wśród widzów, a jego usta układają się w coś w rodzaju antyśmiechu. W duszy cieszę się, że nie jestem jego adresatką.

Jeden po drugim jeźdźcy wchodzą na skałę, wyciągają dłonie, wypowiadają swoje nazwiska i imiona koni. Peg Gratton dziękuje im, a potem schodzą na dół. Musi ich być ze czterdziestu. Widziałam już w gazecie reportaże z wyścigu, ale w finałowej gonitwie liczba uczestników nigdy nie zbliżała się do czterdziestki. Co się z nimi wszystkimi dzieje?

Mam wrażenie, że zapach krwi dociera aż tutaj.

Jeźdźcy wciąż wspinają się na gład, żeby dać sobie naciąć palec i ogłosić, że startują w wyścigu.

Im bliższa jest chwila, kiedy sama będę musiała tam wejść, tym bardziej się trzęsę, tym bardziej jestem zdenerwowana. Jednak uświadamiam sobie również, że czekam, aż na skałę wkroczy Sean Kendrick. Nie wiem, czy to dlatego, że się z nim ścigałam, czy dlatego, że widziałam, jak stracił tamtą klacz, czy dlatego, że kazał mi się trzymać z daleka od plaży, gdy nikt inny się do mnie nie odezwał, czy tylko dlatego, że jego czerwony ogier jest najpiękniejszym koniem, jakiego w życiu widziałam – w każdym razie w jakiś nieodgadniony sposób ten tajemniczy chłopak intryguje.

Zapach krwi drażni moje nozdrza.

Sean wchodzi na skałę jako jeden z ostatnich jeźdźców. Ledwo go rozpoznaję. Na jego wystających kościach policzkowych rozsmarowana jest krew. Wygląda szokująco i niepokojąco, surowo i bezbożnie, czujnie i drapieżnie. Jak ktoś, kto wspiąłby się na tę skałę, nawet gdyby miał brodzić w prawdziwej ludzkiej krwi, nie tylko w tych kilku kropkach owczej.

Zastanawiam się nagle, co tego wieczoru robi ojciec Mooneyham – może w zaciszu kościelnych murów modli się za swoich parafian, żeby zostali przy zdrowych zmysłach i nie zatracili siebie dla pogańskiej bogini klaczy Epony? Ale też zastanawiam się, jaka bogini, gdyby nawet istniała, zadowoliliby się miseczką zwierzęcej krwi. Widziałam krew owcy, widziałam też martwego człowieka i potrafię dostrzec różnicę.

Sean Kendrick wyciąga rękę.

– Ja pojedę. – Kiedy to mówi, czuję się ciężka, jakby moje stopy wrosły w skałę, na której stoję.

Peg Gratton nacina mu palec. Właściwie wcale nie przypomina Peg Gratton, nie teraz, gdy stoi tam w blasku ogniska, z twarzą ocienioną przez dziób ptaka.

Jego głos jest ledwo słyszalny.

– Sean Kendrick. Corr. Własną krwią.

Rozlega się gromki aplauz tłumu, do którego dołącza Elizabeth, chociaż sądziłam, że jest zbyt dumna na takie reakcje. Sean nie podnosi głowy ani nie przyjmuje owacji z wdzięcznością. Wydaje mi się, że jego usta znowu się poruszają, lecz jest to tak niewyraźny ruch, że nie jestem

pewna. A potem schodzi z głazu.

– Teraz ty – mówi Elizabeth. – Na górę. Nie zapomnij, jak się nazywasz.

Choć jeszcze przed chwilą byłam zmarznięta, w tej sekundzie czuję, że płonę. Unoszę dumnie głowę i okrążam skałę, żeby na nią wejść w ślad za innymi. Wydaje się rozległa jak ocean. Chociaż z pewnością jest solidna, mam wrażenie, że się przechyla i ugina, kiedy po niej stąkam.

Wciąż powtarzam w myślach: „Ja pojedę. Własną krwią”. Nie chcę się pomylić ze zdenerwowania.

Teraz widzę oczy Peg Gratton, błyszczące i przeszywające mnie spod dziobatego kapelusza. Wydaje się groźna i potężna.

Czuję na sobie uwagę wszystkich mieszkańców Skarmouth, Thisby i wszystkich turystów, których wypuścił stały ład. Stoję dumnie wyprostowana. Będę tak samo groźna jak Peg Gratton, nawet jeżeli nie mam wielkiego ptasiego nakrycia głowy, pod którym mogłabym się ukryć. Jestem odważna. Mam swoje nazwisko, a to zawsze mi wystarczało.

Wyciągam rękę. Ciekawe, czy będzie bolało. Moje słowa rozbrzmiewają głośniejsze, niż się spodziewałam.

– Ja pojedę.

Peg unosi ostrze. Jestem gotowa. Jak do tej pory nikt się nie wzdrygnął i ja nie zamierzam być pierwsza.

– Chwileczkę! – rozlega się czyjś głos. Nie jest to głos Peg Gratton.

Obie odwracamy głowy. To Eaton w swoim przepoconym tradycyjnym stroju. Stoi u podstawy skały z głową odchyloną do tyłu, żeby nas widzieć. Wokół niego zebrała się grupa mężczyzn. Trzymają ręce w kieszeniach, a ci, którzy są jeźdźcami, wciąż ostrożnie unoszą skaleczone dłonie. Część z nich ma na sobie takie szarfy jak Eaton. Marszczą czoła.

Źle to powiedziałam. To nie była moja kolej. Może coś zrobiłam nie tak. Nie mam pomysłu, o co chodzi, ale czuję, że grunt usuwa mi się spod nóg.

– Ona nie ma prawa jechać – odzywa się Eaton. Serce chce mi wyskoczyć z piersi. Dove! Chodzi im o Dove. Powinnam była wziąć tę srokatą klacz, kiedy miałam okazję.

– Jak wyścig wyścigiem, nie brała w nim udziału żadna kobieta – oznajmia wszem wobec Eaton. – I w tym roku to się nie zmieni.

Wpatruję się w niego i w zgromadzonych mężczyzn. W ich zachowaniu jest jakaś zażyłość, braterstwo. Są jak stado kucyków skupionych na wietrze. Albo owiec wpatrujących się nieufnie w owczarka, który ma je dokądś zagonić. Ja jestem outsiderką. Kobieta.

Nie wierzę, że to właśnie może być przeszkodą dla mojego startu w wyścigu.

Czerwienię się. Mam świadomość, że obserwują mnie setki ludzi. Ale jakoś odzyskuję głos.

– Regulamin nic na ten temat nie mówi. Czytałam go. Od początku do końca.

Eaton zerka na mężczyznę obok. Ten oblizuje usta i stwierdza:

– Są prawa spisane na papierze i prawa niepisane.

Nie od razu pojmuję, co to oznacza. Nie ma zasady, która zabraniałaby startować w wyścigu kobiecie, lecz oni i tak nie zamierzają mi na to pozwolić. Zachowują się zupełnie jak Gabe, kiedy on i ja byliśmy dziećmi. Gdy tylko miałam szansę wygrać, szybko zmieniał reguły.

I tak samo jak wtedy wszystko się we mnie gotuje z poczucia niesprawiedliwości.

– W takim razie na co komu zasady na papierze?

– Niektóre rzeczy są zbyt oczywiste, żeby je zapisywać – wyjaśnia mężczyzna obok Eatona, ubrany w bardzo porządną trzyczęściowy garnitur z szarfą zamiast marynarki. Jego schludną kamizelkę, ciemnoszarą na tle białej koszuli, widzę wyraźniej niż jego twarz.

– Schodź w tej chwili – rozkazuje Eaton.

U stóp skały stoi trzeci mężczyzna i wyciąga rękę, jakby się spodziewał, że po prostu go za nią złapię i posłusznie zejść na dół.

Nie ruszam się.

– Dla mnie to nie jest oczywiste.

Eaton marszczy brwi.

– Kobiety są uosobieniem wyspy, która daje nam schronienie – zaczyna, powoli dobierając słowa. – To ważne. Ale to dzięki mężczyznom wyspa trzyma się morskiego dna i nie zostaje zniesiona na otwarte wody. Plaża nie jest miejscem dla kobiety. To odwraca naturalny porządek.

– Więc chcecie mnie zdyskwalifikować z powodu przesądu – rzucam. – Boicie się, że statki osiadą na mieliznach, jeśli kobieta wystartuje w wyścigu?

– Ach, to odwracanie kota ogonem.

– Więc chodzi o mnie. To mnie chcecie się pozbyć.

Eaton przypomina mi Gabe'a w pubie, kiedy pełen niedowierzania gapi się na tłum, pewien, że wszyscy widzą, jaka jestem nieznośna. Im dłużej na niego patrzę, tym więcej znajduję powodów, żeby go nie lubić. Czy jego żona nie uważa, że jego wielka dolna warga jest paskudna? Czy on musi rozdzielać włosy przedziałkiem, ukazując kawał skóry głowy? Czy musi ruszać podbródkiem w czasie przerw między słowami?

– Nie bierz tego osobiście. Nie o to chodzi.

– Ależ to dotyczy mnie w sposób jak najbardziej osobisty.

Teraz są wściekli. Naprawdę wściekli. Sądziłem, że po prostu zejść na dół, kiedy pogrożą mi palcem. Chcieli mieć zabawną historyjkę do opowiadania na potem, a mają kłótnię na teraz.

– Jest wiele rzeczy, którymi możesz się zająć w listopadzie, sprawiając przyjemność innym, nie tylko sobie, Kate Connolly. Nie musisz brać udziału w wyścigu.

Myślę o Benjaminie Malvernie, który pyta, siedząc przy naszym kuchennym stole, co zamierzamy zrobić, żeby zachować dom. Myślę o tym, że jeśli zejść teraz z tej skały, Gabe nie będzie miał powodu, aby odwlekać wyjazd, i bez względu na to, jak bardzo jestem na niego wściekła, nie mogę pozwolić, żeby tamta rozmowa była naszą ostatnią. Myślę o tym, jakie to byłoby uczucie wygrać z Seanem Kendrickiem dosiadającym swojego nieprzewidywalnego *each uisce*.

– Mam swoje powody – odburkuję. – Tak samo jak każdy, kto wszedł na ten głaz. To, że jestem dziewczyną, nie sprawia, że są mniej ważne.

– Kate Connolly, kogo widzisz obok siebie? – pyta Ian Privett stojący kilka metrów dalej.

– Kobieta przelewa naszą krew. Kobieta spełnia nasze życzenia. Ale krew na tej skale jest krwią wielu pokoleń mężczyzn. Nie chodzi o to, czy chcesz tutaj być, czy nie. To nie jest twoje miejsce. A teraz dość. Schodź na dół i nie zachowuj się jak dziecko.

Kim jest Ian Privett, żeby rozkazywał mi, co mam robić? To też przypomina mi Gabe'a, który każe mi przestać histeryzować, chociaż wcale nie uważam, że histeryzuję. Myślę o mamie, która uczyła mnie jazdy konnej. Gdy dosiadała konia, wydawała się jego częścią. Nie mogą mi powiedzieć, że to nie jest moje miejsce. Mogą mnie stąd sprowadzić siłą bez względu na to, co powiem, ale nie mają prawa mi mówić, że to nie jest moje miejsce.

– Zamierzam przestrzegać zasad, które dostałam – odpowiadam. – Nie będę przestrzegała czegoś, co nie zostało tam zapisane.

– Kate Connolly – mówi mężczyzna w kamizelce. – Nigdy nie było na tej plaży kobiety, a ty chcesz, żebyśmy w tym roku to zmienili? Kim jesteś, żeby o to prosić?

Jak na jakiś niewypowiedziany sygnał mężczyzna, który wyciągnął do mnie rękę, zaczyna

wchodzić po schodach. Zdejmą mnie stąd, jeśli nie zejść.

To koniec.

Nie mogę uwierzyć, że to koniec.

Nagle ktoś się odzywa:

– Ona ma rację.

Twarze wszystkich zwracają się w stronę Seana Kendricka, który stoi na uboczu z założonymi rękami.

– Życie na tej wyspie wymaga odwagi, a nie krwi – mówi. Jego twarz jest zwrócona do mnie, ale wzrok ma utkwiony w Eatonie i jego ludziach. Wśród szumu, który się teraz rozlega, słyszę łomot własnego serca.

Widzę, że rozważają jego słowa. Ich twarze są łatwe do rozszyfrowania: chcieliby go zignorować, lecz nie mogą się zdecydować, czy wolno lekceważyć poglądy kogoś, kto tyle razy oszukał śmierć podczas wyścigu.

Podobnie jak wtedy, w ciężarówce Thomasa Grattona, Sean Kendrick nic więcej nie mówi. Jego milczenie ich ośmiela, wymusza jakąś reakcję.

– I ty uważasz, że można pozwolić jej startować – zaczyna mężczyzna. – Wbrew wszystkiemu.

– Wbrew czemu? – pyta Sean. – Niech morze zdecyduje, co jest właściwe, a co nie.

Zalega dręcząco długa cisza.

– Więc niech startuje – mówi tamten. Wszyscy wokół niego kręcą głowami, ale nikt się nie odzywa. Słowo Seana obowiązuje. – Daj swojej krwi, dziewczyno.

Peg Gratton nie czeka, aż wyciągnę rękę. Podchodzi i nacina skórę na moim palcu. Zamiast bólu czuję piekące gorąco, które biegnie w górę do mojego ramienia. Na palcu pęcznieje kropla i krew zaczyna kapać swobodnie na skałę.

Czuję to samo co wtedy, kiedy w tym miejscu stał Sean Kendrick. Mam wrażenie, że moje stopy wrosły w ten kamień, są częścią wyspy, że z niej wyrosłam. Wiatr szarpie mi włosy, wyciąga ich pasma spod przytrzymującej je przepaski i smaga mnie nimi po twarzy. Powietrze pachnie oceanem, którego fale głośno i gwałtownie roztrzaskują się o skały w dole.

Podnoszę głowę i wypowiadam słowa:

– Kate Connolly. Dove. Własną krwią.

Odnajduję w tłumie Seana Kendricka. Jest odwrócony plecami, jakby zamierzał już iść, ale ogląda się przez ramię. Patrzy na mnie, a ja wytrzymuję jego wzrok. Mam wrażenie, że wszyscy w tłumie obserwują tę chwilę, jakby spojrzenie Seanowi Kendrickowi w oczy oznaczało złożenie jakiejś obietnicy albo początek czegoś, czego do końca nie rozumiem; jednak nie odwracam wzroku.

– Ich krwią, niech rozpocznie się wyścig – oznajmia Peg Gratton. Jej słowa płyną w noc i w tłum, lecz zgromadzeni nie spoglądają na nią. – Mamy jeźdźców, niech więc rozpocznie się wyścig.

Sean Kendrick patrzy mi w oczy przez kolejną sekundę, a potem odchodzi.

Trzy tygodnie do wyścigu. Wszystko zaczyna się dzisiejszej nocy. Czuję to.

Rozdział trzydziesty trzeci

Sean

Następnego ranka na wyspie panuje cisza jak makiem zasiał. Obserwując gorączkę ostatniej nocy, można by pomyśleć, że od dziś treningi rozpoczną się na poważnie, tymczasem w stajniach nie widać ruchu, drogi są puste. Bardzo mnie to cieszy, bo w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin czeka mnie sporo pracy. Spoglądam na niebo. Marszczona kołdra chmur przykrywa słońce, a poniżej ścigają się mniejsze obłoczki. Dobrze wiem, ile czasu zostało do nadejścia burzy, wystarczy mi rzut oka na ocean.

W nienaturalnej ciszy tego poranka wyprowadzam najmłodsze konie czystej krwi, żeby mogły nacieszyć się ruchem i świeżą trawą, zanim pogoda się popsuje, a potem zbieram rzeczy, które zabiorę nad brzeg. Dwa wiadra i kieszenie pełne magii, na której nie zawsze można polegać.

Kiedy już mam wyruszać, słyszę czyjś głos:

– A więc nie chodzisz do kościoła.

– Dzień dobry, panie Holly.

To, co ma na sobie, w Ameryce musi uchodzić za strój niedzielny: biały sweter w szpic, lekka kurtka, marszczone spodnie khaki. Wszystko wyprasowane. Wygląda, jakby miał za chwilę pozować do rubryki towarzyskiej jakiejś gazety ze stałego łądu.

– Dzień dobry – odpowiada Holly. Zagląda do moich wiader i cofa się, skrzywiony. Są pełne obrzydliwego końskiego łąjna i nawet ja z dużym trudem wytrzymuję ten ostry zapach. – Jezu słodki jak coca-cola, to nie do wytrzymania.

Kiedy dostrzega, że usiłuję otworzyć bramę, nie odstawiając wiader, otwiera ją, a następnie zamyka za mną uprzejmię.

– Jesteś niewierzący?

– Wierzę mniej więcej w to samo, w co oni wierzą – mówię, wskazując głową w stronę miasta i kościoła Świętego Kolumbana. – Ale nie wierzę, że można to znaleźć w tamtym budynku.

Ziemia jest miękka i lekko przesiąknięta zapachem końskiego nawozu. Wyruszam w dół w stronę brzegu, którego sięga większość pastwisk Malverna. To po przeciwnej stronie wyspy od plaży, na której odbywają się wyścigi, i choć tu również otaczają nas klify, brzegi są niższe i bardziej nieregularne, plaże niepewne, a wokół nie brakuje zakątków łatwo dostępnych dla oceanu i stworzeń, które w nim żyją.

Holly dogania mnie i wyjmuję mi z ręki jedno z wiader. Stęka pod jego ciężarem, ale nic nie mówi.

– Co robisz? – pytam.

– Szukam Boga. – Holly dostosowuje tempo do mojego. – Skoro twierdzisz, że on tam jest, rzucę okiem.

Nie jestem pewien, czy znajdzie swojego boga, pomagając mi w tej pracy, ale nie protestuję. Do klifów jest kawał drogi i przyda mi się towarzystwo. Kiedy oddaliśmy się od budynków stajni, porywy wiatru stają się coraz bardziej uciążliwe. Tu, na łąkach, jedyne ślady cywilizacji stanowią kamienne murki, którymi ogrodzone są pastwiska Malverna. Są znacznie starsze od jego stad. To Thisby, jakiej wielu już nie pamięta.

Holly idzie w milczeniu przez dobrych kilka minut. W końcu pyta:

– To co my właściwie robimy?

– Idzie burza – odpowiadam. – Daleko od brzegu morze jest już bardzo wzburzone, a to z pewnością przyciągnie na wyspę konie.

– Masz na myśli... – znowu milknie, zanim spróbuje starannie wymówić to słowo – ...*each uisce*.

Kiwam głową.

– A co je właściwie przyciągnie? Rany!

Dotarliśmy na szczyt wzniesienia, z którego widać ocean i całą okolicę. Nie brak tu niebezpieczeństw, niskie skały są spękane, a szczeliny wcinają się głęboko w zieleń: pastwisko, nagle pustka, a potem znowu pastwisko. A pod nami i za nami białe grzywy, piana i czarne głązy jak ostre zęby. Morze w ruchu, jakby przygotowywało się do czegoś, co się zdarzy wkrótce. Myślę, że jutro rozpęta się tutaj piekło. Pozwalam Holly’emu nacieszyć się widokiem, a później odpowiadam na pytanie.

– Przyciągnie je łąd. Jeżeli znajdą się w płytkich wodach wokół wyspy, będą wołały wyjść na brzeg, żeby uniknąć tych skał i prądów. A zapewniam, że nie chciałbyś spotkać na swojej drodze *each uisce*, który dopiero co wyszedł z morza.

– Bo są głodne?

Przechylałam wiadro, wylewam odrobinę ohydnej zawartości na ścieżkę i idę dalej.

– Bo są głodne, tak. Poza tym czują się niepewnie i przez to są jeszcze bardziej niebezpieczne.

– Więc wyrzucasz gównem.

– Żeby oznaczyć teren. Jeżeli tu przyjdą, chcę, żeby myślały, że spotkają Corra.

– A nie kłacze zarodowe Benjamina Malverna – kończy Holly. Pracujemy w ciszy, najpierw oznaczając łatwo dostępne miejsca położone wysoko, a potem schodząc coraz niżej. Wreszcie zostaje już tylko skalista plaża.

– Może wołałbyś zostać na górze – sugeruję.

Nie mogę zagwarantować mu bezpieczeństwa w pobliżu wody. Morze jest już wzburzone. Nie da się stwierdzić, czy gdzieś tam w dole nie czai się *each uisce*. Malvern nie byłby zachwycony, gdybym stracił jednego z jego klientów w taki sam sposób, w jaki dwa dni wcześniej straciłem konia.

Holly kiwa głową, jakby mnie rozumiał, ale kiedy zaczynam schodzić, idzie ze mną. To wymaga odwagi, za którą go szanuję. Zamieniam swoje puste wiadro na to, które niesie Holly, a on rozmasowuje sobie dłoń, w której trzymał kubek.

Tutaj, u podstawy ścieżki, brzeg w zaciszniejszych miejscach jest zasypywany kamieniami wielkości mojej pięści, bliżej wody leżą większe głązy i odłamki skał. Ocean tęsknie sięga do moich stóp. Wiatr przynosi z oddali zapach martwych stworzeń.

– Gdybym chciał złapać jeszcze jednego konia – mówię – to byłby dobry moment.

Fale przyływu znalazły drogę do płytkiej kałuży u naszych stóp i George Holly z niewiadomych powodów zamacza palce w wodzie. Kałuża jest pełna wygodnickich ukwiałów, które wyciągają macki, jeżowców, którymi można się skaleczyć, jeśli się na nie stanie, i krabów, które są za małe, żeby nadawały się na w miarę przyzwoity posiłek.

– Cieplesza, niż się spodziewałem – zauważa Holly. – Dlaczego w takim razie nie spróbujesz złapać nowego konia? Skoro straciłeś tamtego?

Prawda jest taka, że właściwie nie mam powodu łapać kolejnego *each uisce*, zwłaszcza że Mutt Malvern pojedzie na Skacie. W tej sytuacji nie ma też rzeczywiście powodu trzymać Edany.

– Nie potrzebuję nowego konia. Mam Corra.

Holly trąca kamieniem jeżowca.

– Skąd wiesz, że tam nie ma konia szybszego niż Corr? Który czeka, żeby ktoś go złapał?

Przypominam sobie srokatą i jej oszałamiającą, wprost genialną szybkość.

– Może jest. Nie muszę tego sprawdzać. Nie czuję takiej potrzeby – odpowiadam. Bo nie chodzi jedynie o wygrywanie wyścigów. Nie wiem, jak mu wytłumaczyć, że znam serce Corra lepiej niż jakiegokolwiek innej istoty, a on dobrze zna moje. – Nie potrzebuję innego konia. Tylko że...

Zamykam usta i szukam drogi do drugiego zejścia na tę trudno dostępną plażę. Wyciągam z kieszeni garść soli, pluję na nią i ciskam na początku ścieżki. Wylewam odrobinę nawozu Corra. Potem wspinam się z powrotem na górę, nie odzywając się ani słowem.

Holly podąża moim śladem i chociaż nie oglądam się za siebie, słyszę wyraźnie jego głos.

– Tylko że on nie jest twój.

Nie wiem, czy chcę o tym rozmawiać.

– Nie chodzi o to, że on nie jest mój. Chodzi o to, że on jest Benjamin Malverna.

– To nie ma sensu.

– To nie ma sensu tak samo jak wszystko na tej wyspie. – Thisby składa się z rzeczy, które są własnością Malverna, i z rzeczy, które do niego nie należą. – To działa tak: ja należę do Malverna. Ty nie.

– Aaa, więc wolność.

Przerywam pracę i oglądam się za siebie. Holly stoi na ścieżce i patrzy na mnie, zadzierając głowę. W swoim czystym swetrze i wyprasowanych spodniach wydaje się niesamowicie zadbany i cywilizowany. Lecz jego twarz jest pozbawiona wyrazu. Trudno mi sobie wyobrazić, żeby beztroski George Holly, amerykański kupiec, mógł kiedykolwiek być kimś innym niż tylko beztroskim George'em Hollym, amerykańskim kupcem, ale po raz pierwszy to nie ma znaczenia. Myślę, że niezależnie od tego, kim jest, rozumie, co czuję.

– Więc dlaczego nie kupisz od niego Corra?

Uśmiecham się nieśmiało.

Holly próbuje wyczytać odpowiedź z mojej twarzy.

– Chodzi o pieniądze? Ach, on nie chce. Nie masz go jak przycisnąć? Przecież potrzebuje cię nie tylko do tego, żebyś wygrywał dla niego wyścigi. Przepraszam. Zagalopowałem się. To nie mój interes. Chodźmy. Udawajmy, że nic nie mówiłem.

A jednak coś powiedział i nie można tego cofnąć. Prawda jest taka: przez jedenaście miesięcy w roku robię coś, co jest cenne dla Malverna, a potem przez jeden miesiąc robię coś, co jest bezcenne. Czy byłby skłonny zrezygnować z tego jednego miesiąca, aby zachować pozostałych jedenaście? Czy ja chciałbym zaryzykować?

Znowu stoimy na szczycie klifu. Holly jest biały na tle zieleni pastwisk, a ja jestem czarny. Wyrzucam resztki z wiadra, z przyjemnością rozstając się z jego zawartością, a Holly bez słowa patrzy, jak nabieram garść czystej ziemi i szepczę do niej, a następnie rozrzucam ją z powrotem dokoła.

– Magia – mówi Holly.

– A czy wędzidło ma magiczną moc?

– Wiem tylko, że kiedy ja szepczę do piasku, to on w najlepszym razie ma to gdzieś.

Przygląda się, jak powtarzam te same czynności na dwóch innych ścieżkach, które prowadzą w dół. Nie pyta, jak to robię, a ja niczego nie tłumaczę. Później, kiedy idziemy już z powrotem i cisza wydaje się długa nawet jak na niego, mówię:

– Możesz chyba powiedzieć, o czym myślisz.

– Nie, nie mogę – przyznaje się natychmiast George Holly, zadowolony, że został zachęcony do rozmowy. – Bo to dopiero byłoby mieszanie się w nie swoje sprawy. Na razie wystarczy.

Unoszę brew.

Holly trze ręce, jakby grzebał w czymś znacznie brudniejszym niż woda z kałuży.

– No dobrze. Więc co się dzieje między tobą i tą dziewczyną? Kate Connolly, tak?

Wypuszczam powietrze, wkładam wiadra jedno w drugie i ruszam drogą w stronę stajni.

– Jeżeli nie odpowiadasz na pytanie, żeby przekonać mnie, że nic, to wiedz, że ci się nie udało.

– Nie dlatego nie odpowiadam – wyznaję, gdy mnie dogania. – Nie powiedziałbym, że nic. Tyle tylko, że nie wiem, co to jest.

Widzę ją wyraźnie, jak stoi na skale obok Peg Gratton, niewzruszona wobec sprzeciwów Eatona i całej reszty komitetu wyścigu. Nie pamiętam, kiedy sam zachowałem się tak odważnie, i to powoduje, że jest mi wstyd. Problem polega na tym, że ta dziewczyna jednocześnie mnie fascynuje i odpycha: jest lustrem, w którym widzę siebie, i drzwiami do tej części wyspy, do której nie należę. Zupełnie jak wtedy, gdy bogini klacz na mnie spojrzała i zobaczyłem w jej oczach cząstkę siebie, której wcześniej nie znałem.

– Powiedziałbym ci, jak na to mówią w Ameryce – zaczyna George Holly. – Ale obawiam się, że nie będziesz chciał słuchać.

Piorunuję go wzrokiem, a on śmieje się serdecznie.

– To jest warte każdego dnia spędzonego z dala od domu – mówi. – Czy w takim razie powinienem na nią postawić?

– Powinien pan oszczędzać pieniądze na siano – mamrocze. – To będzie długa zima.

– Nie w Kalifornii. – Holly dalej się śmieje. Po odległości, z jakiej dobiega jego śmiech, poznaję, że się zatrzymał. Odwracam się.

– Chyba masz rację, Seanie Kendrick – stwierdza George Holly. Stoi twarzą do wiatru, pochylając się, żeby nie dać się przewrócić. Jego spodnie nie są już nieskazitelnie czyste, z przodu widnieją na nich ślady błota i nawozu. Wiatr zwał mu idiotyczny czerwony kaszkiet, ale on wydaje się tego nie zauważać. Bryza przeczesuje palcami jego włosy, ocean śpiewa do niego. Ta wyspa człowieka porywa, jeśli się jej na to pozwoli.

– W czym mam rację?

– Czuję tam obecność Boga.

Wycieram ręce o spodnie.

– Chciałbym to usłyszeć za dwa tygodnie, kiedy już zobaczysz trupy na plaży.

Holly nie otwiera oczu.

– Nikt mi nie powie, że Sean Kendrick nie jest optymistą. – A po chwili dodaje: – Czuję, że się uśmiechasz, nie zaprzeczaj.

Ma rację, więc nie zaprzeczam.

– I co, przyciśniesz Benjaminą Malverna w kwestii tego konia? – pyta.

Przypominam sobie, jak śmiało Kate Connolly rozmawiała z Eatonem. Wyglądała, jakby ją składano w ofierze na tej pradawnej skale. Czuję na twarzy oddech bogini Epony i zapach burzy, który ze sobą niesie.

– Tak – mówię.

Rozdział trzydziesty czwarty

Puck

Nie zwracam sobie głowy siodłaniem Dove w niedzielę po kościele. Dzisiaj po mszy wszyscy bez wyjątku dosiądą swoich *eich uisce* i myślę, że to dobra okazja, żeby dowiedzieć się czegoś o konkurencji. Może wieczorem przyprowadzę Dove na klify, ale najpierw chcę jej pozwolić najeść się drogiego siana i przywyknąć do myśli, że jest szybkim koniem.

Zostawiam Finna i Gabe'a samych w domu – Gabe uczestniczył z nami w nabożeństwie, chociaż wciąż zerkał na zegarek i wyszedł w połowie. Ojciec Mooneyham cały czas na niego patrzył, a potem spoglądał na mnie i Finna. Kazania ojca Mooneyhama są zasadniczo do wytrzymania, lecz bezwzględnie należy wytrwać do końca. Jeśli ścierpnie ci noga, nie ruszasz się. Jeżeli wypiełeś przed mszą herbatę i w drodze do Damaszku myślisz o toalecie zamiast o objawieniach, to, choćby cię cisnęło i piekło, znosisz to. Jeśli jesteś Brianem Carrollem i spędziłeś noc na morzu, odchylasz głowę do tyłu, żeby powieki ci tak strasznie nie opadały.

Nie wstajesz, żeby wyjść. A Gabe wyszedł. A potem to samo zrobił Beech Gratton. Gdyby Tommy Falk nie był za ładny, aby przyjść do kościoła, jestem pewna, że też by wyszedł.

A teraz już z pewnością muszę iść do spowiedzi, bo nie dość, że źle życzyłam własnemu bratu, to jeszcze życzyłam mu źle podczas mszy. Kiepsko się czuję ze świadomością, że jeśli umrę w ciągu najbliższych kilku godzin, to pójdę do piekła, lecz muszę wyjść, zanim zacznie się przypływ i jeźdźcy pójdą do domów.

Kiedy przychodzę na klif, to wszystko wydaje się już bardzo odległe. Wprawdzie nie mam ochoty jeździć konno, gdy wieje tak mocno, ale z przyjemnością tu posiedzę. Wspinam się więc, niosąc na plecach pakunek zrobiony z wełnianego koca, a kiedy już jestem na górze, wysypuję jego zawartość na ziemię i znajduję sobie nad urwiskiem bezpieczny punkt obserwacyjny, z którego widać trening poniżej. Owijam koc wokół ramion, upijam łyżeczek herbaty z termosu i wyjmuję jedno z ciastek listopadowych. Podgrzałam je dziś w piekarniku razem z kilkoma kamieniami, dzięki którym są teraz przyjemnie ciepłe. Wyjmuję kartkę, ołówek i stoper, który znalazł dla mnie Finn.

Czuję się zadowolona z siebie. Jeśli posiedzę tutaj wystarczająco długo, konie z pewnością odkryją swoje tajemnice. Chcę zobaczyć, jak szybko pokonują odległość, a potem sprawdzić czas Dove na tym samym dystansie. Jeśli poznam ich słabe strony, może mi to pomóc w przygotowaniach.

Siedzę od jakichś dziesięciu minut, gdy kątem oka dostrzegam ruch. Ktoś siada w odległości metra ode mnie, podciąga kolano i opiera na nim rękę.

– Poznałaś już sekret wygranej, Kate Connolly?

Rozpoznaję ten głos bez odwracania głowy; moje serce zaczyna łomotać: tump, tump, tump, a potem zamiera.

– Mówiłam, że możesz się zwracać do mnie Puck.

Sean Kendrick się nie odzywa, ale też nie wstaje. Zastanawiam się, co sobie myśli, kiedy tak siedzimy i obserwujemy konie na plaży. Wyglądają stąd zupełnie inaczej: trening wydaje się uporządkowany, cichy, zaplanowany, nie przypomina tego chaosu, który widziałam na dole. Nawet gdy dwa konie stają dęba do walki, a ich jeźdźcy robią, co mogą, żeby je rozdzielić, dźwięki są stłumione przez wiatr i odległość, a wszystko wydaje się mniejsze. Ołowiane żołnierzyki na piasku.

Patrzę, jak Ian Privett galopuje wzdłuż brzegu na siwym rumaku o imieniu Penda.

Przyciskam stoper i notuję pomiary.

– Pobiegnie szybciej niż teraz – rzuca Sean Kendrick. – Później. Teraz go nie naciska.

Nie jestem pewna, czy zachowuje się protekcyjnie, bo ja zawracam sobie głowę zapisywaniem czasu, który nie ma żadnego znaczenia, czy życzliwie dzieli się ze mną wiedzą, której inaczej bym nie zdobyła. Więc tylko poprawiam cyfry ołówkiem, dociskając go do papieru. Chcę zapytać Seana, dlaczego mnie wczoraj bronił, ale mama mówiła, że niegrzecznie jest dopominać się o komplementy. Zatem nie pytam, chociaż mam wielką ochotę to zrobić.

A to oznacza, że siedzimy jeszcze chwilę w ciszy, wiatr przeciska się przez mój koc i czapkę i przerzuca kartki w notesie. Sięgam do moich zapasów, wydaję jedno z cennych ciastek listopadowych – jeszcze ciepłe – i podaję je Seanowi.

Bierze je bez podziękowania. Lecz podziękowanie jest gdzieś w domyśle. Nie jestem pewna, jak to zrobił, bo nie patrzyłam na jego twarz, gdy je brał.

– Widzisz tę czarną klacz? – pyta po chwili. – Jest podekscytowana, bo chce się ścigać. Gdybym ja na niej jechał, trzymałbym ją tuż za liderem, żeby cały czas miała motywację. Nie spieszyłbym się z decydującym ruchem.

Obserwuję plażę ze zmarszczonym czołem, próbując dojrzeć to, co on widzi. Robi się bałagan. Próbną gonitwy i przerwane galopy. Odnajduję Tommy'ego i jego czarną klacz. Przyglądam im się przez chwilę. Jak na *each uisce* klacz ma piękne nogi, ale jej łeb odrobinę podskakuje, kiedy lewe tylne kopyto dotyka ziemi.

– Utyka trochę na lewą tylną nogę – mówię, bo muszę coś powiedzieć.

– Na prawą, chyba – zauważa Sean Kendrick, lecz potem się poprawia: – Nie, na lewą, masz rację.

Robi mi się przyjemnie, choć tylko zgodził się z czymś, co i tak już wiedziałam.

Teraz potrafię już zebrać się na odwagę.

– Dlaczego ty nie trenujesz? – pytam, studiując jego ostry profil.

Stara się śledzić wzrokiem to, co dzieje się w dole, chociaż reszta jego ciała pozostaje nieruchoma.

– Wyścig to nie tylko jazda na koniu.

– Na co patrzysz?

Między moim pytaniem a jego odpowiedzią znowu zalega straszliwie długa cisza i już zaczynam myśleć, że on w ogóle nie odpowie, a potem przychodzi mi do głowy, że może tylko pomyślałam to pytanie i tak naprawdę nie wypowiedziałam go głośno; później zastanawiam się, czy przypadkiem nie było obraźliwe, tylko że już nie pamiętam dokładnie swoich słów.

Wtedy Kendrick odzywa się:

– Chcę wiedzieć, kto się boi wody. Kto potrafi jechać prosto. Który koń mógłby rozerwać Corra na strzępy równie łatwo, jak go wyprzedzić. Chcę wiedzieć, kto nie panuje nad swoim wierzchowcem. Jak lubią biegać. Jak reagują na obecność pozostałych *eich uisce*. Który z nich wybierze wolność i nie dotrze na linię mety. Który koń kuleje na lewą tylną nogę. Chcę zobaczyć, w których miejscach w tym roku morze podmyło plażę. Chcę się dowiedzieć jak będzie wyglądał wyścig, zanim jeszcze się zacznie.

W dole rozlega się krzyk srokatej klaczy, wystarczająco głośny, żebyśmy oboje go słyszeli, nawet tutaj, na szczycie klifu. Nie mogę uwierzyć, że wczoraj żałowałam, że jej nie wzięłam. Podążam za spojrzeniem Seana.

– I pewnie myślisz, że będziesz musiał uważać na srokatą klacz.

– Owszem. I ty, i ja.

Wtedy właśnie srokata rzuca się do przodu, wzdłuż linii wody. Skręca ostro w kierunku wzburzonego morza, a potem równie szybko szarpie z powrotem w stronę klifu. Jest tak szybka,

że dobiega do końca plaży, zanim jestem w stanie pomyśleć o włączeniu stopera.

– Twój brat wyjeżdża na stały ląd – zniemacka zmienia temat Sean Kendrick.

Przez długą chwilę trzymam powietrze w ustach, aż wreszcie mówię:

– Zaraz po wyścigach. – Nie ma sensu robić z tego tajemnicy, skoro i tak wszyscy o tym wiedzą. On też słyszał, jak rozmawiałam o tym z Grattonem w ciężarówce.

– A ty z nim nie jedziesz.

Już mam odpowiedzieć: „Nie poprosił mnie o to”, ale tak czy owak, to nie jest powód. Nie jadę z nim, ponieważ tu znajduje się mój dom i w żadnym innym miejscu go nie ma.

– Nie.

– Dlaczego nie jedziesz?

To pytanie doprowadza mnie do furii.

– A dlaczego wyjazd to norma? Czy ciebie ktoś pyta, co cię tu trzyma?

– Pytają.

– No więc co?

– Niebo, piasek, morze i Corr.

To cudowna odpowiedź, która całkowicie mnie zaskakuje. Nie zdawałam sobie sprawy, że prowadzimy tak poważną rozmowę, w przeciwnym razie powiedziałabym coś mądrzejszego, kiedy on mnie o to zapytał. Poza tym jestem zaskoczona, że uwzględnił na liście swojego ogiera. Zastanawiam się, czy gdy ja mówię o Dove, ludzie słyszą w moim głosie tyle uczucia, ile ja słyszę w głosie Seana, kiedy wspomina o Corrze. Jednak trudno mi sobie wyobrazić, że można kochać potwora, nawet jeśli jest piękny. Przypominam sobie, co powiedział o Seanie Kendricku ten starszy mężczyzna u rzeźnika: „Że jedną nogą stoi na lądzie, a drugą w morzu”. Może trzeba stać jedną nogą w morzu, żeby dostrzec u *each uisce* coś więcej niż żądzę krwi.

– To ma coś wspólnego z chceniem – rzucam po chwili zastanowienia. – Mam wrażenie, że turyści zawsze czegoś chcą. Na Thisby mniej liczy się chcenie, a bardziej bycie. – Teraz, gdy to powiedziałam, uświadamiam sobie, że może mnie posądzić o brak ambicji. W porównaniu z nim muszę wyglądać na kogoś, kto do niczego nie dąży. Czuję się, jakbym była skazana na mówienie mu dokładnie tego, co myślę, bez możliwości dowiedzenia się, co on sądzi na ten temat.

Nie odzywa się. Wzrokiem śledzi konie, które przemieszczają się bezładnie po plaży i zrywają do galopu. Nagle stwierdza, nie patrząc na mnie:

– Cały czas będą się starali trzymać cię z dala od plaży. To się nie skończy na wczorajszym wieczorze.

– Nie rozumiem dlaczego.

– Kiedy ktoś startuje w wyścigu, żeby coś innym udowodnić, ludzie, których ma pokonać, są tak samo ważni jak koń, którego dosiada. – Sean nie spuszcza wzroku ze srokatej klaczy.

– Jednak tobie, Seanie Kendrick nie chodzi o to, żeby coś komuś udowodnić.

Sean wstaje, ale nie rusza się z miejsca. Patrzę na jego brudne buty. Teraz go chyba obraziłam.

– Inni ludzie nigdy nie byli dla mnie ważni, Kate Connolly. Puck Connolly.

Przechyliłam głowę, żeby na niego wreszcie spojrzeć. Koc spada mi z ramion, czapka też zsunęła mi się na wietrze. Nie mogę niczego wyczytać z jego twarzy – jego zmrużone oczy bardzo to utrudniają.

– A teraz? – pytam.

Kendrick stawia kołnierz swojej kurtki. Nie uśmiecha się, ale też nie marszczy brwi jak zwykle.

– Dzięki za ciastko.

Odchodzi, brodząc w trawie, a ja zostaję z ołówkiem przyciśniętym do papieru. Czuję, jakbym nauczyła się czegoś ważnego o zbliżającym się wyścigu, lecz nie mam pojęcia, jak to zapisać.

Rozdział trzydziesty piąty

Sean

Zaraz po powrocie do stajni idę szukać Benjamin Malverna. Mam to samo dziwaczne uczucie, że ziemia usuwa mi się spod nóg, jak wtedy, kiedy trenowałem z Fundamentalem po pierwszym spotkaniu z Puck. I tak samo jak wtedy, gdy bogini klacz kazała mi wypowiedzieć jeszcze jedno życzenie. Nie zdawałem sobie sprawy, jak niezmienna była dotąd ta wyspa. W tym roku przeistacza się w coś zupełnie innego niż to, co wcześniej znałem, do czego byłem przyzwyczajony.

Znajduję Malverna na torze w towarzystwie dwóch mężczyzn. Trzyma głowę wysuniętą do przodu jak zwykle, kiedy rozmawia ze swoimi klientami. Jakby chciał zmusić ich do kupowania. Kupcy stoją blisko siebie, wydają się zmarznięci i przemoknięci, niczym koty wyrzucone na deszcz.

Kiedy podchodzę bliżej, zauważam młodą klacz, której się przyglądają: to Mettle, bardzo obiecująca, jeśli chodzi o szybkość i charakter. Lubi wyzwania, a to zawsze lepiej, niż gdyby ich unikała.

Potem rozpoznaję w jednym z kupców George'a Holly'ego. Kiedy mnie widzi, ma minę, jakby się nagle czegoś domyślił. Mówi coś do drugiego mężczyzny, a potem do Malverna. Ten kiwa głową, uśmiecha się, ale wygląda, jakby był nieszczęśliwy. Wskazuje na dom, a Holly prowadzi drugiego handlarza w tamtym kierunku.

Gdy ich mijam, Holly wyciąga rękę:

– Sean Kendrick, tak? Dzień dobry.

Pozwalam mu uścisnąć sobie dłoń, jakbyśmy byli obcymi ludźmi, i unoszę brew pełen uznania dla jego przebiegłości. Później on i ten drugi kupiec odchodzą, zostawiając mnie z Malvernem.

Dołączam do Malverna przy ogrodzeniu toru. Przygląda się Mettle ze zmarszczonym czołem. Dosiada jej jeden ze stajennych, a ona jest opieszala i najwyraźniej w nastroju wyłącznie do zabawy. Mettle ma szczególnie brzydki pysk – brak urody i ordynarny wygląd to cechy, które z jakiegoś powodu charakteryzują najszybsze konie czystej krwi – i w tej chwili galopuje, wywijając w górę mułowatą górną wargę. Stajenny nie przywołuje jej do porządku. Nie jestem pewien, czy zwyczajnie nie wie, co ona potrafi, czy go to nie obchodzi. W każdym razie Mettle zabrała go na spacer po parku.

Wreszcie Malvern zwraca się do mnie:

– Panie Kendrick, czy ta klacz normalnie zachowuje się tak jak teraz?

Zastanawiam się nad odpowiedzią.

– Jest od Penny and Pound, po Rostraverze. – Penny and Pound to jedna z ulubionych klaczy zarodowych Malverna. Co do Rostravera, plotka głosi, że tyle razy wygrywał na stałym lądzie wyścigi z przeszkodami, że nikt nie chce się z nim ścigać.

– Pochodzenie nie gwarantuje sukcesu – mówi Malvern. Sплюwa i znowu na nią patrzy.

– W tym wypadku wystarczyło.

– Tylko teraz stroi sobie żarty z kupujących, tak?

Potrafię myśleć wyłącznie o tym, o co zamierzam go zapytać, ale to nie jest właściwy moment. Więc zamiast zadać mu pytanie, chwytam się ogrodzenia i prześlizguję pod barierką. Idę w stronę toru, gdzie stajenny – kolejny nowy, bo nikt nie godzi się na mieszkanie i wynagrodzenie stajennego zbyt długo – prowadzi Mettle dokoła, uspokajając ją. Podchodzę do

klaczy i zdecydowanym ruchem chwytam ją za uzdę.

– Ho, ho! – woła zaskoczony chłopak. Jest w moim wieku. Zdaje się, że na imię mu Barnes, ale nie jestem pewien. A może Barnes to nazwisko. – Seanie Kendrick!

Wolną ręką sięgam w górę i wyjmuję mu z dłoni szpicrutę. Nawet nie dotknąłem nią Mettle, a ona tańczy i obraca się wokół miejsca, w którym ją przytrzymuję.

– Malvern cię obserwuje. Wyprowadzisz ją jeszcze raz i nakłonisz do współpracy. Ona się z tobą drażni.

– Naciskałem ją – przekonuje Barnes.

Dotykam lekko szpicrutą stawu skokowego Mettle, a ona wrywa do przodu, jakbym ją trzepnął. Zna mój głos i czuje pewność mojego uchwytu, kiedy trzymam ją za uzdę.

– Może i naciskałeś. Ale ona ci nie uwierzyła i ja też ci nie wierzę. Bierz to z powrotem.

Barnes zabiera szpicrutę i wodze. Mettle drży, jest teraz rozochociona, powstrzymuje ją tylko mój uchwyt na uździe. Barnes zerka na mnie i widzę, że przerażają go jej możliwości, przeraża go prędkość. Byłoby dla niego lepiej, gdyby szybko to pokochał.

Puszczam jej uzdę i podnoszę drugą rękę, jakbym wciąż trzymał w niej szpicrutę, a Mettle wyskakuje zza linii startu i rzuca się do galopu. Obserwuję ją przez chwilę, żeby zobaczyć, jak Barnes sobie radzi – nie jest taki zły pomimo swojego przerażenia – i aby się upewnić, że klacz utrzyma tempo. Pojechałbym szybciej, ale i tak teraz Mettle przynajmniej się stara.

Wracam do ogrodzenia i daję nura pod barierką. Malvern śledzi wzrokiem klacz, drapiąc się po brodzie. Słyszę skrobanie paznokci po skórze.

Wkładam ręce do kieszeni. Nie potrzebuję stopera, żeby wiedzieć, że Mettle poprawiła swój czas. Milczę przez chwilę, szukając czegoś, dzięki czemu moje słowa nabiorą wagi.

– Chciałbym kupić od pana Corra.

Benjamin Malvern zerka na mnie. Jeśli jego spojrzenie wyraża cokolwiek, to wyłącznie złość. Znowu patrzy na tor. Podnosi stoper, który widocznie cały czas trzymał w ręce, i naciska, kiedy Mettle dobiega do mety.

– Panie Malvern – mówię.

– Nie lubię się powtarzać. Rozmawialiśmy już o tym. On nie jest na sprzedaż. Nie traktuj tego osobiście.

Znam oczywiście powody, dla których nie chce sprzedawać Corra. Sprzedanie go oznaczałoby utratę silnego zawodnika w Wyścigu Skorpiona. Sprzedać go to stracić najlepszą reklamę, jaką ma.

– Rozumiem, dlaczego nie chce go pan sprzedać – mówię. – Ale może zapomniał pan, jak to jest jeździć dla kogoś innego i nie mieć konia, którego można nazywać swoim własnym.

Malvern wpatruje się w stoper ze zmarszczonymi brwiami. Nie dlatego, że Mettle pobięła wolno, ale dlatego, że pobięła tak szybko.

– I powiedziałem ci już, że mogę ci sprzedać dowolnego konia czystej krwi.

– Żadnego z nich nie wychowałem. To nie ja sprawiłem, że są tym, czym są.

– One wszystkie są tym, czym są, dzięki tobie.

Patrzę na niego.

– Żaden z nich nie przyczynił się do tego, że ja jestem tym, kim jestem.

To brzmi jak jakieś niesamowite wyznanie. Otworzyłem serce przed Malvernem, żeby mógł wejrzeć w jego wnętrze. Dorastałem z Correm. Mój ojciec go dosiadał i mój ojciec go stracił, a potem ja go odnalazłem. On jest jedyną rodziną, jaką mam.

Benjamin Malvern pociera brodę swoim wielkim szorstkim kciukiem i przez chwilę myślę, że naprawdę się zastanawia. Ale potem rzuca:

- Wybierz innego konia.
- Będę trenował inne konie. Tylko to się zmieni.
- Panie Kendrick, proszę wybrać innego konia.
- Nie chcę innego konia – mówię. – Chcę Corra.

Wciąż unika mojego wzroku. Jeżeli na mnie spojrzy, myślę, że będę go miał. Krew szumi mi w uszach.

– Nie zamierzam więcej wracać do tej rozmowy – oświadcza Malvern. – On nie jest na sprzedaż.

Trzymam ręce w kieszeniach. Kiedy Malvern patrzy, jak następny koń wchodzi na tor, zaciskam pięści. Myślę o Kate Connolly, która nie wycofała się na paradzie jeźdźców. Przypominam sobie, jak Holly powiedział, że musi być coś, na czym Malvernowi zależy bardziej niż na Corrze. Słyszę głos bogini klaczy: „Wypowiedz jeszcze jedno życzenie”. Myślę nawet o Mutcie Malvernie, który ryzykuje wszystko dla sławy na tej srokatej klaczy. Zawsze mi się wydawało, że uprawiam hazard, że co roku ryzykuję życie na tej plaży, ale teraz wiem, że nigdy nie ryzykowałem czegoś, co naprawdę bałbym się stracić.

Nie chcę tego robić.

– W takim razie, panie Malvern, odchodzę – mówię bardzo cicho.

Odwraca głowę, unosząc brew.

– Co to ma być?

– Odchodzę. Dzisiaj. Proszę znaleźć innego trenera. I kogoś innego, kto pojedzie w wyścigu.

Na jego wargach pojawia się słaby uśmiech. Pogarda.

– Próbujesz mnie szantażować?

– Może pan to nazywać, jak pan chce – odpowiadam. – Proszę mi sprzedać Corra, a pojedę dla pana jeszcze w tym roku i nadal będę trenował pana konie.

Po torze sady susami gnłady wałach, oddychając niezwykle ciężko. Nie nabrał jeszcze kondycji, żeby się ścigać. Malvern pociera ręką usta. Ten ruch kojarzy mi się z Mettle.

– Przecenia pan swoje znaczenie dla tej stadniny, panie Kendrick.

Stoję z kamienną twarzą. Stoję w oceanie. Czuję, jak woda napiera na moje nogi, ale nie pozwolę jej się przesunąć.

– Myślisz, że nie znajdę nikogo innego, kto pojedzie na twoim ogierze? – pyta Malvern. Czeka na moją odpowiedź, a kiedy milczę, mówi:

– Przychodzi mi na myśl ze dwudziestu chłopców, którzy daliby się pokroić, aby go dosiąść.

Myśl o tym rani mi serce i jestem pewien, że właśnie o to mu chodzi.

Wciąż się nie odzywam.

– Cóż, to tyle. Zabierz swoje rzeczy do końca tygodnia.

Jeszcze nigdy nie musiałem być tak opanowany. Nigdy nie musiałem być tak spokojny, nieugięty i nieustraszony. Nie mogę oddychać, lecz zmuszam się, żeby wyciągnąć do niego rękę.

– Nie graj w tę grę – ostrzega Malvern, nie patrząc na mnie. – Sam ją wymyśliłem.

To koniec spotkania.

Możliwe, że już nigdy więcej nie dosiędę Corra.

Bez niego nie wiem, kim jestem.

Rozdział trzydziesty szósty

Puck

Na ogół bardziej ufam Dove niż komukolwiek innemu, ale nawet ona miewa swoje trudne dni. Nie lubi, kiedy woda sięga jej powyżej kolan, lecz to na Thisby uchodzi raczej za mądrość niż za tchórzostwo. Jako młoda klacz miała bliskie spotkanie z ciężarówką do przewozu owiec i wciąż czuje respekt przed dużymi samochodami. Łatwo zniechęca ją brzydka pogoda. Mogę jej to wszystko wybaczyć, bo sama nieczęsto muszę brnąć przez rzekę, ścigać się z ciężarówkami albo biec do Skarmouth podczas wichury.

Gdy tego popołudnia wracamy na klify, zdecydowanie chodzi o pogodę. Wicher hula nisko nad łąkami, które w cieniu ciężkich chmur nabrały głębokiego zielonego koloru. Wiatr jest tak silny, że Dove musi zwolnić. Kiedy porywy wiatru uderzają ją w pysk, płoszy się i drży. W powietrzu unosi się smród *eich uisce*. Żadna z nas nie ma ochoty spędzać tutaj tego ciemnego popołudnia.

Ale wiem, że powinniśmy zostać. Chciałabym, żeby Dove czuła się pewnie, nawet jeżeli w dniu wyścigów będzie wiało lub padało. Nie może być tym załęcznionym, nerwowym zwierzęciem, którym jest teraz.

– Spokojnie – mówię do niej, a ona strzyże uszami, aby wychwycić każdą nutę w moim głosie.

Dove, słysząc ryk wiatru, zrywa się gwałtownie i zbliża niebezpiecznie do krawędzi klifu. Przez chwilę mam przed sobą tylko grzywę zwieszającej się nad urwiskiem trawy. Czuję falowanie i zawieszenie w czasie wywołane bliskością przepaści. Potem szarpnię wodze i kopię Dove, żeby szła do przodu.

Klacz daje susa w głąb łądu, ale wciąż nie mam nad nią zupełnej kontroli; kręci się, a ja z trudem utrzymuję się w siodle.

Wykorzystuję całą wiedzę na temat jazdy konnej, którą przekazała mi matka. Wyobrażam sobie przymocowaną do mojej głowy naprężoną nić, która przechodzi przez mój kręgosłup i przytrzymuje mnie w siodle. Wyobrażam sobie, że jestem z piasku. Wyobrażam sobie, że moje stopy są kamieniami zwisającymi wzdłuż brzucha Dove, zbyt ciężkimi, żeby je przesunąć.

Udaje mi się utrzymać równowagę i zwolnić, lecz serce wali mi młotem.

Nie lubię się jej bać.

Nadjeżdża Ian Privett. Pod tym ołowianym niebem wydaje się ciemny, jakby wybierał się na pogrzeb. Jedzie na lśniącym siwym Pendzie, który ma tyle samo białych smug i cętek co szalejący ocean w dole. W odległości kilku metrów od niego jedzie Ake Palsson, syn piekarza, na kasztanowej klaczy, a z nim gniady *eich uisce*, którego dosiada Gerald Finney, jakiś dalszy krewny Iana Privetta czy ktoś w tym rodzaju. Towarzyszy im grupa hałaśliwych mężczyzn. Ci idą piechotą, targani wiatrem.

Nie przychodzi mi do głowy żaden powód, dla którego mieliby się tu pojawić tacy zdeterminowani, dopóki nie napotykam wzroku Tommy'ego Falka, jadącego za nimi klusem na swojej czarnej klaczy. W jego spojrzeniu jest ostrzeżenie.

Ake Palsson jedzie na czele. Jest podobny do swojego ojca piekarza, a to nie wróży nic dobrego. Gigantyczny Nils Palsson ma na głowie nieregularne kępki białych włosów, głębokie szczeliny zamiast oczu i wystający brzuch, który wygląda jak worek mąki. Ale zmrużone oczy Ake'a sprawiają tylko, że ich zaskakująco błękitny kolor robi jeszcze większe wrażenie; jego blond czupryna wydaje się beztraska, a nie szokująca. Jest onieśmielająco wysoki i jeśli

w przyszłości są mu pisane jakieś worki mąki, w tej chwili jego umięśniona sylwetka na to nie wskazuje. Mój ojciec zawsze lubił Ake'a. Mawiał: „Ake umie dopiąć swego”, a to komplement, bo na tej wyspie bardzo niewielu ludzi to potrafi.

Ake woła radośnie, skulony na grzbiecie swojego kasztanowego konia:

– Jak się dzisiaj miewa trzeci brat Connolly?

Rozlega się śmiech. Dopiero, kiedy cichnie, dociera do mnie, że Ake miał na myśli mnie.

Gniady koń Finneya kłapie zębami w stronę Ake'a, gdy kłusem podjeżdżają bliżej. To zwykła sprzeczka, ale Dove, słysząc trzask zębów, podskakuje.

– To żalosne, co w dzisiejszych czasach uchodzi za żart – odpowiadam. Staram się ukryć, ile wysiłku kosztuje mnie utrzymanie Dove w miejscu. Sam wiatr był wystarczająco przykry, a teraz jeszcze *eich uisce*.

– Kwestia mody – zauważa Ake. W tym świetle nie widzę jego twarzy na tyle wyraźnie, żeby móc stwierdzić, czy jego śmiech jest szczery, czy nie. – Na plaży zaczęli na ciebie mówić Kevin.

Zanim udaje mi się powstrzymać rękę, ona już odruchowo wędruje do czapki i sprawdza, czy nie uciekają mi spod niej włosy. Kiedyś, wiele lat temu, Gabe żartował, że Finn i ja wyglądamy identycznie, jeśli się spojrzy tylko na nasze twarze. Trochę mi wstyd, że tak bardzo mnie martwi ewentualne podobieństwo do chłopaka.

– Przeszabawne – mówię. – Startuję w wyścigu, więc muszę być chłopakiem.

Kiedy Ake i Finney podchodzą bliżej, pozwalam Dove na kłus po niewielkim okręgu, żeby nie było widać, że nie mogę utrzymać jej w miejscu.

Ake wzrusza ramionami, jakby nie mógł wymyślić żadnej celnej riposty. Za jego plecami gniady koń Finneya skacze do przodu i wpada na kasztanowego, który omal nie potrąca Dove. Poznają po drzeniu wodzy, że jest przerażona.

Ake się śmieje, a Finney pospiesznie stara się opanować konia.

– Dupek – rzuca Finney, naciągając niżej melonik, aby podbudować ego. Wskazuje głową w moim kierunku. – Chodź, Kevin, zobaczmy, jak sobie radzisz.

– Nie nazywaj mnie tak – odpowiadam. On i Ake okrążają mnie. Ich konie wyglądają przy Dove jak olbrzymy. Na pewno zdają sobie sprawę, że doprowadza ją to do szału. – Poza tym właśnie skończyłam.

– Chodź, nie bądź sztywniarą. Podobno nieźle wymiatasz. – Finney nie ustępuje.

– Nie mam zamiaru się teraz ścigać. – Wyszczierzam zęby w uśmiechu. – Ale popatrzę na was, chłopcy.

Ake się śmieje. Nie jest to złośliwy śmiech, ale nie jest też życzliwy.

– Tommy twierdził, że będziesz się z nami ścigać – mówi.

Odnajduję Tommy'ego za nimi. Kręci przecząco głową.

– Widocznie Tommy nie wie, co mówi – odpowiadam.

– Gdzie masz jaja? – pyta Finney.

Muszę stąd jechać. Potwornie męczy mnie myśl, że w dniu wyścigu Dove prawdopodobnie będzie musiała znieść o wiele więcej. Może być naprawdę ciężko. Lecz to na razie odległe zmartwienie. Pilniejszy problem polega na tym, że Dove cała się trzęsie i zaraz może wpaść w panikę.

– To ty twierdziłeś, że je mam, nie ja. – Zerkam za siebie, żeby sprawdzić, czy mam którąś się wycofać. Kilka kropel deszczu rozpryskuje mi się na twarzy. Najgorsze jest to, że w zachowaniu Finneya i Ake'a tak naprawdę nie ma podłości, są po prostu tacy sami jak Joseph Beringer. Tylko że Joseph Beringer nigdy nie stroi sobie ze mnie żartów, siedząc na grzbiecie masywnego *each uisce*.

– Są tu bukmacherzy – rzuca Finney, wskazując łokciem gapiów za sobą. – Nie chcesz im pokazać czegoś lepszego niż twoje czterdzieści pięć do jednego?

Finney znowu pozwala swojemu gniademu koniowi potrącić klacz Ake'a, a ona z impetem wpada na Dove. Słysząc kłapięcie zębów. Dove piszczy i staje dęba, wiatr targa jej grzywę. Trzymam się jej kurczowo. Za lewym uchem ma płytkie draśnięcie, ślad zębów konia wodnego. W ranie wzbierają kropelki krwi.

– Zróbcie mi miejsce! – krzyczę. Czuję się zrozpaczona i upokorzona brzmieniem swego głosu. To głos przerażonej dziewczynki.

Ake i Finney też zdają sobie z tego sprawę, bo twarze im się nagle zmieniają. Ake szarpie wodze tak mocno, że jego kasztanowa klacz prawie staje dęba. Finney daje kopa swojemu gniademu koniowi, który natychmiast odskakuje od Dove.

Obaj patrzą na mnie przepraszająco, zwłaszcza Ake.

Dove wystawia głowę na wiatr i rży przenikliwie. Ake dalej wycofuje swojego wierzchowca. Czuję ulgę, kiedy zwiększa się dystans między Dove a *eich uisce*, ale jednocześnie płonę ze wstydu.

Bukmacherzy w swoim punkcie obserwacyjnym kilka metrów dalej strzepują deszcz z czapek i mamrocą coś między sobą. Odchodzą, nie oglądając się na nas. Ian Privett, który przygląda mi się z grzbietu Pandy, kiwa głową na Ake'a, a potem też się odwraca.

– Na razie, Kate – mówi Ake, niezupełnie patrząc mi w oczy. Nagle zrobił się skromny. Kładzie wodze luźno, a jego kasztanowa klacz okręca się i idzie w stronę Skarmouth. Finney dotyka kapelusza i też odjeżdża.

Szczyt klifu wydaje się teraz cichy, słysząc tylko wiatr i dźwięk pojedynczych kropeł spadających na trawę wokół mnie. Nie mogę przestać wsłuchiwać się we wspomnienie własnego głosu i za każdym razem, kiedy je przywołuję, czuję się trochę mniejsza.

Tommy jest zamyślony. Przez chwilę wygląda, jakby zamierzał podjechać bliżej, ale widząc ruch jego klaczy, Dove piszczy i znowu kładzie uszy. Dlatego Tommy tylko macha do mnie jedną ręką, nie unosząc jej znad wodzy, i odjeżdża za innymi.

Zostaję sama, porywy wiatru zapierają mi dech. Jestem zła na Dove za jej płochliwość, ale jeszcze bardziej jestem wściekła na siebie. Nie ma znaczenia, jaka jestem albo jaka będę odważna w dniu wyścigu. Wystarczyło kilka minut, aby wszyscy obecni mogli się przekonać, że plaża to nie jest miejsce dla mnie.

Rozdział trzydziesty siódmy

Puck

Wieczorem Finn i ja urządzamy piknik w przybudówce Dove. Klacz jest wciąż wycieńczona i niespokojna. Obawiam się, że nie tknie siana, jeśli mnie przy niej nie będzie. A Finn twierdzi, że burza tak czy owak zatrzyma nas w domu przez kilka dni, więc równie dobrze możemy posiedzieć na zewnątrz, póki jeszcze się da. Poza tym pomysł pikniku wywołuje we mnie uczucie przyjemnej nostalgii. Przypominam sobie, jak mama wyganiała nas na dwór, żebyśmy urządzili sobie małe przyjęcie, kiedy wyjątkowo nieznośnie i głośno zachowywaliśmy się w domu.

Oczywiście robi się ciemno i chwilami mży, ale w przybudówce jest sucho, a lampa elektryczna daje wystarczająco dużo światła, abyśmy mogli trafić łyżkami do zupy. Rozrywam jedną z bel taniego siana i przykrywam nim nasze nogi. Siedzimy oparci o ścianę. Finn, wyczuwając mój grobowy nastrój, stuka na zdrowie brzegiem swojej miski o moją. Dove stoi do połowy w środku, do połowy na zewnątrz przybudówki i skubie siano. Widzę stąd dobrze zadrapanie na jej szyi i znowu słyszę swój krzyk na szczycie klifu. Nie mogę przestać myśleć o tym, co by się stało, gdybym po prostu pogalopowała z nimi, kiedy po raz pierwszy to zaproponowali. Cały czas mam przed oczami ich miny, gdy odciągali konie od Dove.

Przez kilka minut siedzimy w ciszy, siorbiąc zupę z ziemniakami, słuchając odgłosu gryzienia przez Dove drogiego siana i deszczu szepczącego na metalowym dachu przybudówki. Finn układa sobie na nogach więcej siana dla lepszej ochrony przed zimnem. Niebo na zewnątrz robi się niebieskawo-brązowe i czarne nad horyzontem.

– Już wydaje się szybsza – stwierdza Finn.

Wysiorbuje resztkę zupy, żeby mnie zirytować, a następnie jeszcze mlaszcze, aby się upewnić, że osiągnął swój cel.

Stawiam pustą miskę na beli siana i biorę kawałek chleba. Wciąż mam wrażenie, że mój żołądek jest pusty.

– Czy mógłbyś powtórzyć ten dźwięk? Chyba cię nie słyszałam.

– Jesteś w kiepskim nastroju – zauważa Finn.

Przychodzą mi do głowy trzy rzeczy, które mogłabym odpowiedzieć, ale w końcu tylko kręcę głową. Jeśli opowiem głośno o tym, co mi się przytrafiło, będzie mi jeszcze trudniej zapamiętać.

Finn jest istotą na tyle dyskretną, że nie próbuje zmuszać mnie do mówienia. Rozkłada siano cienką warstwą, a potem znowu grubą na nogach, starając się, żeby było w miarę równo.

– Jak sądzisz, co się stanie? – pyta po dłuższej chwili.

– Kiedy?

– Na wyścigu. I z Gabe'em. Co się stanie z nami?

Ciskam z wściekłością żdźbło siana w stronę Dove.

– Dove będzie jadła drogie siano, *eich uisce* będą jadły wołową wątróbkę i wszystkie notowania będą przeciwko nam, ale w dniu wyścigu będzie ciepło i wietrznie, a Dove pobiegnie prosto, podczas gdy inne konie zbczą w prawo; zostaniemy najbogatszymi ludźmi na wyspie, ty będziesz prowadził trzy samochody równocześnie, a Gabe postanowi zostać i nigdy więcej nie będziemy musieli jeść fasoli.

– Nie o to mi chodziło – mówi Finn, jakby prosił mnie o opowiedzenie bajki, a ja wybrałam niewłaściwą. – Co naprawdę się stanie?

– Nie jestem wróżką.

– Co, jeśli nie wygrasz? Nie, żeby nie wierzył w Dove. Ale co, jeśli nie wygra żadnych pieniędzy?

Zerkam na niego, żeby zobaczyć, czy szczypie się już w ramiona, lecz on tylko niszczy łożyskę siana.

– Stracimy dom. Benjamin Malvern nas wyrzuci.

Finn kiwa głową do swoich dłoni, jakby już wcześniej to odgadł. Gabe nas nie doceniał.

– A potem, myślę. – Próbuję sobie wyobrazić, jak to będzie wyglądało, jeżeli zawiodę. – Pewnie będę musiała sprzedać Dove. I trzeba będzie znaleźć jakieś mieszkanie. Może znajdziemy pracę z zakwaterowaniem, na przykład coś jak... sprzątanie. Albo coś we młynie. Są tam mieszkania.

Nikt nie chce mieszkać we młynie.

Próbuję wymyślić coś innego, co byłoby też prawdopodobne, ale nie tak tragiczne.

– Gratton powiedział, że nadawałbyś się na praktykanta. Wiem, że ty nie możesz, ale może przyjąłby mnie zamiast ciebie.

– Mogę tam iść – stwierdza Finn.

– Nie wytrzymałbyś.

Zupełnie rozgniół już siano.

– Ty też nie wytrzymałabyś wyścigu, a jednak startujesz. Myślę, że przyzwyczaiałbym się, gdybym musiał.

Lecz ja nie chcę, żeby musiał się przyzwyczajać. Chciałabym, aby mój słodki, niewinny braciszek pozostał taki, jaki jest, i chciałabym, żeby moja najlepsza przyjaciółka Dove została tutaj ze mną, i nie chcę zamieniać tego domu, w którym dorastałam, na ciasne mieszkanie i pracę we młynie.

– Ale tak się nie stanie – zapewniam. – Będzie tak, jak mówiłam za pierwszym razem.

Finn rozrywa na strzępy następną łożyskę siana. Dove robi to samo.

Nagle coś dziwnie trzeszczy.

Metalowy dach przybudówki ma swoje lata i może w nim skrzypieć mnóstwo rzeczy. Jedna ze ścian jest jednocześnie częścią ogrodzenia i ma prawo wydawać różne dziwne dźwięki na łączeniach z płotem, który też zresztą nie jest najnowszą konstrukcją na wyspie i tak naprawdę mógłby zgrzytać w dowolnym miejscu.

Lecz to nie jest dźwięk tego rodzaju.

To trochę jak skrzypnięcie z puknięciem. Niezupełnym puknięciem. Bardzo miękkim. Z pacnięciem może. Po pewnym czasie zaczynam się zastanawiać, jak udało mi się je w ogóle usłyszeć, ale patrzę na minę Finna, który zastygł w bezruchu, i zdaję sobie sprawę, że nie tylko je usłyszałam. Ja to *poczułam*.

Oboje odwracamy głowy i przyglądamy się ścianie, o którą się opieramy.

Już mam powiedzieć, że może to była Puffin, ale Dove przestała żuć i strzyże uszami w stronę, z której dochodzi dźwięk, chociaż oczywiście niczego tam nie widać. Raczej nie postawiłaby uszu z powodu kota.

Finn i ja siedzimy nieruchomo. Na zewnątrz szumi deszcz. Staramy się nie spoglądać na siebie, bo wtedy trudniej byłoby to usłyszeć. Nic nie słyhać. Zupełnie nic. Jedynie deszcz na dachu. Dove wciąż nasłuchuje. Nic. To tylko osiadanie przybudówki. Elektryczna lampa rzuca na sufit plamę żółtego światła. Jest cicho.

A potem:

Trach!

I zupełnie wyraźny odgłos kroków za ścianą.

Właściwie to nie są kroki.

To odgłos kopyt.

Patrzmy na siebie.

Znowu dobiega nas skrzypnięcie-pacnięcie i tym razem oboje wiemy, co to jest. Czuję lekkie wygięcie ściany naciśniętej od zewnątrz i mocno zagryzam wargę. Finn z pytającą miną kładzie palec na włączniku lampy. Kręcę głową jak szalona. Jedyną rzeczą, która wydaje mi się gorsza niż spotkanie twarzą w twarz z *each uisce* w tę deszczową noc, jest takie spotkanie w ciemności.

Zamiast gasić lampę, próbuję zagrzebać się pod przykryciem z siana, bardzo powoli, żeby nie szeleścić. Finn natychmiast robi to samo. Uszy Dove podążają za niewidzialnymi sygnałami zza ściany. Kiedy wyteżę słuch, dociera do mnie odgłos uderzającego o ziemię kopyta, następnie drugiego. I parsknięcie, nie głośniejsze niż szum deszczu na dachu.

Nie wiem, co tu robi *each uisce*. Może straci zainteresowanie. Może zniechęci go płot, który go od nas oddziela. W myślach przemierzam trasę, którą musielibyśmy przebyć, aby wrócić do domu: pod przeciwną ścianą przybudówki, wzdłuż dwóch odcinków ogrodzenia, przez bramę z metalowych prętów, a potem pięć metrów do drzwi.

Możliwe, że jednemu z nas udało by się przedostać. Jednak to nie wystarczy.

Noc jest ciemna i cicha. Wyteżam słuch, starając się wychwycić kolejny odgłos kopyta. Uszy Dove pozostają zwrócone w stronę, z której ostatnio dochodził jakiś dźwięk. Finn, prawie cały przykryty sianem, patrzy mi w oczy. Ma zaciśnięte zęby.

Deszcz szumi na blaszanym dachu. Z jego krawędzi kapie woda. Jedna kropla, dwie krople naraz. Kiedy lądują na ziemi, wydają miękkie, ledwo słyszalny odgłos. W oddali słyszę dźwięk, który brzmi trochę jak silnik samochodu. Wiatr porusza źdźbłami siana. Żadnych znaków życia zza ściany.

Dove wzdryga się i znowu nadstawia uszu.

Do szopy zagląda długi czarny pysk.

Diabeł.

Całą energię wkładam w to, żeby nie zacząć krzyżeć. Potwór jest czarny jak torfowisko o północy, wargi ma rozciągnięte w przerażającym uśmiechu. Jego uszy przypominają mi torebki z jajami rekina: są długie i dziwacznie zbliżone do siebie. To właśnie upodabnia go bardziej do demona niż do konia. Jego nozdrza są wąskie i wydłużone, żeby nie przedostawała się do nich woda, a czarne i śliskie oczy mogłyby być oczami ryby.

Wciąż cuchnie oceanem. Oceanem, który w czasie odpływu zostawia za sobą uwięzione na skałach stworzenia. Tego potwora nie można właściwie nazwać koniem.

Jest głodny.

Żeby zajrzeć zza płotu do przybudówki, *each uisce* musiał wyciągnąć szyję i mocno ją wygiąć. Od jego dziwnie oświetlonego uśmiechu oddzielają nas jedynie trzy deski, które sama przybiłam pod okiem mamy. Trzy gwoździe w każdej, nie dwa, bo kucyki, jak powiedziała mama, lubią wszystko testować.

A teraz ten koń, czarny jak noc, przyciska do nich pierś. Niezbyt mocno, tak samo, jak przed chwilą popychał ścianę szopy.

Deski skrzypią.

Słyszę swoje serce albo Finna, albo może oba. Biją tak szybko i głośno, że ledwo mogę oddychać. Ręce mam zaciśnięte na warstwie siana, paznokcie wbijają mi się w dłoń.

Jesteśmy ukryci, nie widzisz nas, odejdz.

Dove zastygła w bezruchu.

Each uisce patrzy na nią i otwiera szczękę, a potem wydaje dźwięk, który mrozi mi krew

w żyłach. To syczący wydech z niskim gdakaniem w tle, dobiegającym gdzieś z głębi jego gardła: „Ssssaaaaaaaaauu”.

Dove kładzie uszy, ale wciąż ani drgnie. Ileż to razy mówiono nam, że *eich uisce* szukają ruchomego celu? Że ruch oznacza śmierć?

Dove jest jak posąg.

Koń wodny znowu naciska. Deski znowu skrzypią.

Słyszę westchnienie Finna. Jest tak ciche, że z pewnością nikt poza mną nie mógłby go usłyszeć, a i ja słyszę je tylko dlatego, że przeżyłam całe życie wśród wszelkich możliwych dźwięków wydawanych przez moich braci. To miękki, pełen przerażenia, cichutki odgłos, którego nie słyszałam u niego od dawna.

A potem rozlega się wycie.

Dobiega z zewnątrz, z pastwiska. Dove i koń wodny strzygą uszami w tamtym kierunku.

Wycie rozbrzmiewa ponownie, a mój żołądek zamienia się w dziurę bez dna. Jeszcze jeden, przewrócił płot z drugiej strony, jest z nami na pastwisku, nie można już liczyć na to, że utrzymają nas przy życiu trzy gwoździe w każdej desce.

Czarny potwór znowu strzyże długimi uszami.

Znowu lament. Brzmi trochę jak płacz niemowlęcia; dopiero teraz dostrzegam, że Finn porusza ustami. To jedyne, co jestem w stanie zobaczyć.

Układa usta w przesadnie wyraźne nieme sylaby: „Puffin, Puffin”.

Lament się powtarza i tym razem rozpoznaję go natychmiast. Puffin, kotka stajenna, która zawsze chodziła za Finnem, wraca ze swoich wędrówek i zauważyła światło. Znowu się żali podobnym do płaczu dziecka miauknięciem, którym zawsze przywoływała Finna. Kiedy Finn ma dobry humor, naśladuje ten dźwięk, a ona podąża za nim jak za światłem latarni morskiej.

Ponownie miauczy, tym razem bliżej, a *each uisce* przestaje opierać się o płot.

Na tle szarej mgły unoszącej się nad ziemią widzę sylwetkę Puffin, która biegnie do nas truchtem z ogonem wygiętym w znak zapytania.

– Miau? – pyta.

Uśmiech konia wodnego się zbliża.

Kotka dostrzega *each uisce* dopiero wtedy, kiedy jest tuż obok niego. Płot zostaje rozdarty, jakby był z papieru, deski odpadają z hukiem przywodzącym na myśl zniszczenie świata.

Puffin ucieka, a *each uisce* rzuca się za nią w pogoń, która zaostrza jeszcze jego głód. Oboje znikają we mgle. Ostatnią rzeczą, którą słyszę, jest stukot rozszalałych kopyt, a potem wrzask kotki.

Finn zasłania twarz, siano opada z jego rąk i widzę, jak drżą mu ramiona.

Ale ja nie mogę myśleć o Puffin. Myślę wyłącznie o tym, że *each uisce* zaraz tu wróci i zabije mojego brata.

Chwytam go za ramię.

– Chodź.

Nie mam jeszcze planu, lecz wiem, że z pewnością nie możemy tutaj zostać.

Słyszac jakiś dźwięk, wzdrygam się tak gwałtownie, że aż czuję ból mięśni. Dopiero po upływie długiej sekundy odzyskuję trzeźwość umysłu – dociera do mnie, że to czyjś głos wołający mnie po imieniu.

– Puck!

To Gabe przechodzi po deskach płotu, który przed chwilą staranował koń. Chwyta mnie za ramię i syczy:

– Pospiesz się. Zaraz tu wróci.

Jestem tak zszokowana jego widokiem – tym, że pojawił się teraz, właśnie w tej chwili, że z początku nie mogę wydobyć słowa.

– Dove. Co z Dove?

– Zabierz ją – rzuca Gabe ledwo słyszalnie. – Finn. Ocknij się. Chodź. Co z tobą, Finn? Idziemy.

Chwytam Dove za ogłowie. Potrząsa łbem, szarpiąc mnie za ramię. Drży tak samo mocno jak wtedy na szczycie klifu.

– Puffin – mówię do Gabe’a.

– To tylko kot. Przykro mi, ale chodź już. – Gabe ciągnie Finna. – Tam są jeszcze dwa inne. Idą tutaj.

Gabe prowadzi nas z powrotem przez rozwalony płot. Kiedy podchodzę do niego z Dove, ona ciągnie mnie w tył, powstrzymywana wspomnieniem nieistniejącej już przeszkody, i przez krótką, straszną chwilę boję się, że będę ją musiała zostawić. Cmokam cicho i wreszcie przechodzi po połamanych deskach. Przed domem widać reflektory samochodu i profil Tommy’ego Falka. Chłopak szarpnięciem otwiera drzwi i daje Finnowi pośpieszne znaki, żeby wsiadał.

Gabe pojawia się obok mnie z uwiązem w ręce.

– Trzymaj to przez okno.

– Ale.

– Już!

I dokładnie w momencie, kiedy to mówi, słyszę takie samo cmoknięcie, jakim przed chwilą zachęcałam Dove, tylko że teraz dobiega z pastwiska, na którym przed sekundą byliśmy. W oddali, we mgle rozlega się odpowiedź, jak echo. Przypinam uwiąz do ogłowia Dove i gramolę się do auta. Tommy Falk już siedzi za kółkiem, a Gabe zatrząskuje za sobą drzwi.

Ruszamy wąską drogą, światła odbijają się od mgły i spadających na ziemię kropel deszczu. Dove truchta obok nas, potem cwałuje. Zasuвам szybę, zostawiając miejsce na linę. Tommy jest całkowicie skupiony na prowadzeniu samochodu – bez przerwy patrzy w lusterka, upewnia się, że nie jesteśmy ścigani, dba o to, żeby Dove mogła za nami nadążyć. Widząc jego wysiłki, przypominam sobie nagle nasze wcześniejsze spotkanie na klifie.

W aucie jest cicho i gorąco. Ogrzewanie cały czas działało i nikt nie pomyślał, żeby je wyłączyć. Cały samochód pachnie, nawet miło, jak wnętrze nowego buta. Przy mnie, na tylnym siedzeniu siedzi Finn, nieprzytomny z powodu Puffin.

– Do ciebie? – pyta Gabe Tommy’ego.

– Nie z kucykiem. Do Beecha – mówi Tommy.

Potem Finn chwyta mnie za rękaw i pokazuje na przednią szybę. Na drodze w świetle reflektorów widać martwą owcę. Jest poszarpana i rozciągnięta od rowu do środka jezdni.

Jeszcze długo mam przed oczami jej porozrywane szczątki. To mogliśmy być my. Tommy i Gabe nie komentują tego, co widzieliśmy. Właściwie nie komentują niczego. Siedzą w ponurej, pełnej zażyłości ciszy, Gabe wygląda przez okno i bez słów komunikuje Tommy’emu, że nic się nie zbliża.

Tommy nie skręca w drogę do Skarmouth, tak jak się spodziewałam, ale kieruje się do Hastoway. Zwalnia na skrzyżowaniach, lecz nie zatrzymuje się; obaj z Gabe’em zerkają nerwowo we wszystkie strony, dopóki znowu nie przyspiesza. Przyciskam twarz do szyby, żeby się upewnić, że Dove dotrzymuje nam kroku.

– Mogłabym jechać na niej za wami – proponuję.

Głos Gabe’a nie pozostawia miejsca na negocjacje:

– Nie wysiądziesz z tego samochodu, dopóki nie będziemy całkowicie bezpieczni.

Potem cisza, nic, tylko noc, kamienne murki i deszcz.

– Finn – odzywa się Gabe, przekrzykując warkot silnika. – Ta burza, która nachodzi, jak długo potrwa?

Oczy Finna się rozjaśniają. Tak bardzo się cieszy, że Gabe go o to pyta, że aż mnie to boli.

– Tylko dzisiaj i jutro.

Gabe patrzy na Tommy'ego.

– Jeden dzień – powtarza. – To niedługo.

– Wystarczająco długo – mówi Tommy.

Rozdział trzydziesty ósmy

Puck

Tommy Falk zawozi nas do domu Grattonów, w pobliżu Hastoway, chociaż nie jestem pewna, gdzie to dokładnie jest, bo w deszczu i ograniczonym świetle reflektorów trudno się zorientować. Wychodzi nam na spotkanie skulony Beech i pokazuje, gdzie mogę zostawić Dove. Macha dokoła latarką, ukazując małą stajnię podzieloną na cztery boksy, z niskim sufitem i bez elektryczności. Jeden z boksów jest zajęty przez wilgotne owce, drugi przez kurczaki, a trzeci przez siwego zaprzęgowego wałacha, który wyciąga głowę ponad niezaryglowanymi drzwiami stajni, kiedy wchodzimy do środka. Dove kładzie uszy, co ma oznaczać niezbyt entuzjastyczne „cześć”, ale i tak wprowadzam ją do zagrody obok niego. Chciałabym zostać z nią dłużej, ale byłoby to niegrzeczne w stosunku do Beecha, który cały czas tam stoi, oświetlając stajnię. Więc klepię ją tylko po szyi.

– Dzięki, Beech – mówię.

Chłopak chrząka i ponownie kieruje światło latarki w stronę domu.

W środku Gabe rozmawia swobodnie z Peg Gratton, podczas gdy Tommy Falk zagląda pod pokrywkę garnka na kuchence. Nie widzę Finna.

Kuchnia Grattonów wygląda zupełnie jak ich sklep, do którego ktoś wstawił meble kuchenne. Pomimo panujących na zewnątrz ciemności tu wszystko aż błyszczy: biel ścian, wyszorowane garnki i wiszące nad nimi noże. Wrażenia czystej bieli ani trochę nie przyćmiewa zdeptana podłoga. Na kilku półkach stoją bibeloty, całkiem inne niż te w naszym domu: surowe drewniane rzeźby, które mogłyby być końmi albo jeleniami, przewiązana czerwoną wstążką miotełka z trawy, kawałek wapienia z wypisanym na nim imieniem „Peg”. Nic, co by przypominało te malowane szklane figurki czy czarujące krajobrazy pełne owiec i roześmianych kobiet, które lubiła mama. Pomieszczenie pachnie intensywnie i apetycznie czymś, co gotuje się na kuchni.

– Będą spali w twoim pokoju – mówi Peg, kiedy tylko Beech wchodzi do środka. W pełnym świetle widzę, że chłopak wyrósł na wielkie, rumiane stworzenie, bardzo podobne do swojego ojca. Wygląda trochę tak, jakby był zrobiony z drewna, a ponieważ drewno jest mało elastyczne, dopiero po chwili zmienia wyraz twarzy. A kiedy już zmienia, maluje się na niej niezadowolone.

– Po moim trupie – odpowiada.

– A gdzie w takim razie chciałbyś, żeby nocowali? – pyta Peg Gratton. To dość dziwne widzieć ją w tym otoczeniu, nie w sklepie, gdzie mogłaby wykroić człowiekowi serce; nie w naszym ogrodzie, gdzie odradza mi udział w wyścigu; nie w dziwnym nakryciu głowy, kiedy nacina mi palec nożem. Jest jakaś mniejsza, bardziej schludna, chociaż jej rude loki są tak samo niesforne jak zawsze. Zdumiewa mnie, w jaki naturalny sposób ona, Beech i Gabe rozmawiają o tym, gdzie będziemy spali, i zaczynam rozumieć, że Gabe musiał tu spędzić część tego czasu, gdy nie było go w domu. Może nawet sporą część. Zdaję sobie sprawę, że przyjechaliśmy tu, bo to miejsce, w którym Gabe czuje się bezpiecznie. Jest mi smutno, jakbyśmy zostali zastąpieni przez inną rodzinę.

– Gdzie jest Finn? – przerywam im.

– Myje ręce oczywiście – mówi Gabe. – To może potrwać dekadę.

Czuję się jeszcze bardziej niezręcznie z powodu takiego swobodnego przyznania się do dziwactw Finna, bo zawsze myślałam, że to coś osobistego, coś, co zostaje wśród Connollych.

Gabe nie powiedział tego tak, jakby pokpiwał sobie z Finna, ale tak to brzmi.

– Gdzie jest łazienka?

Tommy – nie Peg ani Beech – wskazuje na schody po drugiej stronie kuchni. To trochę jak dom ich wszystkich, nie tylko Grattonów. Wychodzę z kuchni, lekko nadaśana. Na górze jest maleńki, ciemny korytarzyk, w którym znajduje się troje drzwi, lecz tylko spod jednych wydostaje się światło. Pukam. Nie ma odpowiedzi. Dopiero, kiedy wołam Finna po imieniu, drzwi po chwili się otwierają. Moim oczom ukazuje się małe pomieszczenie, w którym mieści się wanna, toaleta i umywalka – trudno uwierzyć, że można to wszystko upchnąć na tak małej powierzchni. Na zamkniętej muszli klozetowej siedzi Finn.

Na podłodze widnieją wielkie ślady męskich stóp.

Zamykam za sobą drzwi i upewniam się, że wanna jest sucha, po czym wchodzę do niej i siadam.

– Cały czas tu przychodził – mówi Finn.

– Wiem – odpowiadam. – To widać.

– To tutaj przesiadywał.

Powietrze jest gęste od poczucia zdrady. Chciałabym powiedzieć coś, żeby pocieszyć Finna, który ubóstwia Gabe'a, który zrobiłby dla niego wszystko, ale nic nie przychodzi mi do głowy.

– Myślisz, że Puffin nie żyje? – pyta Finn.

– Nie, uciekła – zapewniam.

Wpatruje się w swoje dłonie. Skóra jest na nich trochę spierzchnięta od ciągłego mycia.

– Tak, ja też tak myślę.

Odwracam głowę i patrzę na błyszczące uchwyty wanny, tak błyszczące, że przypominają mi przód samochodu ojca Mooneyhama. Nie mogę się nadziwić, jaki ładny i czysty jest dom Grattonów.

– Więc – mówię – dwa dni?

Finn poważnie kiwa głową.

– Dwa dni. Najgorzej będzie chyba jutro rano.

– Jasne. Skąd wiesz?

Wygląda na zniecierpliwionego.

– To widać. Gdyby ludzie umieli patrzeć, wszyscy by wiedzieli.

Jest mi naprawdę smutno.

Drzwi otwierają się bez pukania. Stoi w nich Gabe. Mam wrażenie, że od dawna nie widziałam go w tak dobrym nastroju.

– Urządziliście tu sobie imprezę?

– Tak – odpowiadam. – Zaczęła się w wannie, a potem przeniosła się na klozet. Została jeszcze umywalka, gdybyś chciał się przyłączyć.

– Wszyscy się zastanawiają, co się z wami dzieje. Zaraz będzie duszona jagnięcina, ale musicie wyjść z toalety.

Finn i ja wymieniamy spojrzenia. Zastanawiam się, czy myśli o tym samym co ja: że Gabe nie może sobie tak po prostu udawać, że nie było żadnego zgrzytu, że nie zauważyliśmy, iż gdzieś zniknął. Nic już nie będzie takie jak kiedyś. Dotąd sądziłam, że wystarczy mi, jeżeli się wreszcie odezwie, lecz teraz wiem, że będzie musiał zabiegać o moje względy. Dopóki nie padnie na kolana, bijąc się w piersi, nie chcę go widzieć.

W milczeniu opuszczamy łazienkę.

Kiedy schodzimy na dół, Gabe rzuca:

– Obawiam się, Finn, że przypadnie ci kanapa, bo jesteś najniższy.

– Zależy, kto mierzy! – protestuję.

Gabe wzrusza ramionami.

– Cóż, prawdę mówiąc, ty jesteś najniższa, ale Peg uważa, że nie powinnaś spać w salonie. Więc tobie i mnie został przydzielony pokój Beecha.

– A gdzie śpi Beech?

– On i Tommy śpią na materacach w salonie. Peg mówi, że tak może być.

W kuchni panuje rwetes, chłopcy przekrzykują się. Beech i Tommy coś sobie wrywają, a potem nie wiadomo skąd pojawia się owczarek collie i próbuje złapać przedmiot, którym rzucają. Peg w jednej ręce trzyma łyżkę, a w drugiej kota za skórę na karku. Przeklina.

– Wyrzuć go – mówi do Gabe’a, a on bierze od niej kota i wystawia go za próg. Peg patrzy na mnie gniewnie. – Nie będę gotowała w takich warunkach. Jeszcze kota tu brakowało.

Nie mam czasu nic na to powiedzieć, bo Gabe pyta:

– Gdzie jest Tom?

Dopiero po chwili zdaję sobie sprawę, że chodzi mu o Thomasa Grattona. Nigdy mi jakoś nie przyszło do głowy, że Thomas Gratton w domowym zaciszu zamienia się w Toma.

– Poszedł zobaczyć, czy chipsy czują się dobrze. Beech, wynocha. Wszyscy się stąd wynoście. Idźcie do salonu i nie pojawiajcie się tu, aż skończę. *Już!*

Beech i Tommy robią, co każe, i zabierają ze sobą hałas, a Finn idzie za nimi, zaintrygowany obecnością psa.

Odwracam się, żeby wyjść, ale przystaję w drzwiach i niepewnie oglądam się przez ramię. Peg Gratton nachyla się nad wielką czarną płytą kuchenną, żeby zamieszać w garnku, a Gabe stoi za jej plecami i coś jej szepcze na ucho. Wyłapuję słowa: „...wystarczająco silna”.

– Puck, łap! – krzyczy Tommy.

Odwracam się i obrywam skarpetę pełną fasoli.

Beech rechocze, ale Tommy jest zmieszany i mnie przeprasza. Collie łasi się po przyjacielsku do moich stóp. Bardzo mu zależy, żeby dostać skarpetę. To nią bawili się wcześniej Beech i Tommy.

– Wstydź się – mówię surowo do Tommy’ego, który stoi skruszony po drugiej stronie zniszczonej zielonej kanapy, mającej dzisiaj służyć Finnowi za łóżko. A potem ciskam w niego skarpetę.

Zadowolony, że tak łatwo mu wybaczone, śmieje się i rzuca ją niezwłocznie Beechowi, a on oddaje skarpetę psu. Tommy błaznuje na całego, ścigając sukę uciekającą radośnie z łupem, i nawet Finn zaczyna się śmiać. Łapię się na tym, że próbuję zrozumieć, co popycha Tommy’ego do opuszczenia Thisby. Nie jest ponury jak Gabe ani humorzasty jak Beech. Ile razy go widzę, zawsze wydaje się zadowolony; można odnieść wrażenie, że jest stworzony do życia na tej wyspie. Tommy przechwytuje wreszcie skarpetę, która trafia po kolei do wszystkich obecnych, nie wyłączając psa. W pewnym momencie Finn pyta:

– Gdzie jest Gabe?

Wtedy zauważamy, że został w kuchni.

Ruszam w tamtym kierunku, lecz Tommy zniemacka chwyta mnie za ramię.

– Ja pójdę.

Zagląda przez drzwi, ale nie słyszę, co mówi. Później odwraca się do nas z uśmiechem na twarzy.

– Dobre wieści. Jedzenie już jest.

Gabe staje w drzwiach i rzuca mu porozumiewawcze spojrzenie – kolejna próbka ich tajemnego języka. Cały ten ich męski świat doprowadza mnie do furii.

W końcu pojawia się Peg i woła nas wszystkich.

– Kto chce jeść, zapraszam. Jeżeli nie będzie wam smakowało, to wina Toma. On to zrobił.

W czasie posiłku nie rozmawiamy zbyt wiele – możliwe, że wszyscy, podobnie jak ja, przypominają sobie wydarzenia minionego wieczoru. Jednocześnie ta cisza wydaje się zupełnie naturalna. Burza nie robi aż tyle hałasu, jednak nie daje o sobie zapomnieć, i łatwo jest udawać, że wpadliśmy tu ze zwykłą towarzyską wizytą. Peg Gratton tylko raz zwraca się bezpośrednio do mnie, mówiąc, abym nie krępowała się dołożyć Dove więcej siana, jeśli będzie miała na nie ochotę, zanim burza przybierze na sile.

W kwestii burzy Peg ma rację. Gdy idziemy do swoich łóżek, wieje zmienny, gwałtowny wiatr, od którego drżą szyby w oknach. Chociaż pościel została zmieniona, w pomieszczeniu wciąż unosi się zapach Beecha, który kojarzy mi się z soloną szynką. Przed zgaszeniem światła stwierdzam, że w pokoju w ogóle nie ma rzeczy osobistych, niczego, co wskazywałoby na to, że mieszka w nim Beech. Stoi tu tylko łóżko i surowe biurko z pustym wazonem i kilkoma monetami na blacie. Jest jeszcze wąska komoda o zniszczonych rogach. Możliwe, że kiedyś było tu więcej Beecha, a teraz spakował rzeczy, żeby zabrać je ze sobą na stały ład.

Zastanawiam się nad tym, próbując zasnąć. Leżę po jednej stronie łóżka, a Gabe po drugiej, ale i tak mam jego łokieć gdzieś między żebrami, a jego ramię wciska się w moje. Poza tym jest tu cieplej niż w naszym domu, a Gabe dodatkowo grzeje, więc nie wiem, jak uda mi się zasnąć. Oddech Gabe’a też nie wskazuje na to, żeby spał.

Przez dłuższą chwilę leżymy w ciemności, słuchając bębnienia deszczu o dach. Myślę o połamanym płocie w naszym domu, o ostatnim krzyku Puffin i tym długim, długim czarnym pysku, który zaglądał do przybudówki.

Jestem zmęczona i dlatego walę prosto z mostu, bez krztyny taktu.

– Dlaczego po nas wróciłeś? – W tej małej sypialni mój szept brzmi zaskakująco donośnie.

– Szczerze, Puck, jak myślisz? – pyta chłodno Gabe po drugiej stronie łóżka.

– A jakie to ma dla ciebie znaczenie?

Teraz jest oburzony.

– A to co za pytanie?

– Dlaczego na wszystkie moje pytania odpowiadasz pytaniami?

Gabe próbuje się odsunąć, ale nie ma tyle miejsca. Łóżko jęczy i skrzypi jak okręt na morzu, tylko że morze jest gołą podłogą w pachnącym szynką pokoju Beecha.

– Nie rozumiem, co mam ci powiedzieć.

Nie chcę, żeby mi wytykał, że histeryzuję, więc ostrożnie i powoli dobieram słowa.

– Powiedz mi, dlaczego teraz się nami przejmujesz, skoro w przyszłym roku już cię tutaj nie będzie. W październiku oboje z Finnem możemy zostać zjedzeni, a ty się nawet o tym nie dowiesz.

W ciemności rozlega się ciężkie westchnienie.

– Przecież nie chcę was zostawiać.

Nienawidzę siebie za ten promyk nadziei, który pojawia się w moim sercu, kiedy to mówi. Ale taka jest prawda: wyobrażam sobie, jak z otwartymi ramionami ogłasza, że zmienił zdanie, a potem obejmuje Finna, Dove i mnie jednocześnie.

– To nie zostawiaj. Po prostu nie wyjeżdżaj.

– Nie mogę.

– Dlaczego?

– Po prostu nie mogę.

To nasza najdłuższa rozmowa od tygodnia i zastanawiam się, czy tego tak nie zostawić.

Gabe gotów zerwać się na równe nogi, zrzucić z siebie pościel i wybiec z pokoju w obawie przed dalszym przesłuchiowaniem. Tylko że gdyby chciał się przede mną ukryć, musiałby najpierw przekroczyć materace Tommy'ego Falka i Beecha Grattona, ominąć kanapę z Finnem, a następnie zaszyć się samotnie w kuchni. Nie podejrzewam go o taką determinację.

Więc nie odpuszczam.

– To nie jest powód.

Przez długi czas Gabe nie odpowiada. Słyszę tylko jego oddech. A potem mówi nie swoim, cienkim głosem:

– Nie mogę już tego znieść.

Jestem dziwnie wdzięczna za ten okruczeństwo szczerości, choć nie wiem, jak mam go rozumieć. Usiłuję wymyślić dobrą odpowiedź, zadać pytanie, które sprawi, że nie zakończy swojej wypowiedzi tak szybko. Jakby prawda była ptakiem, którego boję się spłoszyć.

– Czego nie możesz znieść?

– Tej wyspy – mówi Gabe. Po każdym wypowiedzianym słowie robi długą przerwę na oddech. – Tego domu, w którym siedzicie z Finnem. Tego, jak ludzie gadają. Ryb, tych cholernych ryb, będę nimi śmierdział do końca życia. Koni. Wszystkiego. Dłużej nie dam rady.

To brzmi, jakby był nieszczęśliwy, a przecież nie wyglądał na nieszczęśliwego, kiedy byliśmy w kuchni, gdy siedzieliśmy przy stole i jedliśmy. Nie wiem, co mu powiedzieć. Wymienił te rzeczy, które ja kocham, może z wyjątkiem zapachu ryb. On chyba rzeczywiście może obrzydzić całą resztę. Wątpię, czy to wystarczający powód, żeby zostawiać wszystko i zaczynać od początku.

Czuję się, jakby Gabe wyznał mi właśnie, że umiera na chorobę, o której nigdy nie słyszałam i której objawów u niego nie dostrzegam. Niezwykłość jego decyzji nie mieści mi się w głowie i wciąż mnie nurtuje, jakbym dopiero co się o niej dowiedziała.

Rozumiem tylko tyle, że jakaś dziwna, niepojęta, niewidzialna siła wygania mojego brata z Thisby. Niezależnie od tego, jak duży wpływ mielibyśmy na niego Finn i ja, to jest coś, co i tak ma dla niego większe znaczenie.

– Puck? – szepcze Gabe, a ja się wzdrygam, bo jego głos brzmi jakoś podobnie do głosu Finna.

– Tak?

– Chcę już spać.

Jednak nie śpi. Odwraca się na drugi bok, lecz jego oddech pozostaje płytki i czujny. Nie jestem pewna, jak długo nie śpi, ale wiem, że ja zasypiam pierwsza.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Sean

Wczesnym ciemnym rankiem budzi mnie burza.

Słyszę wycie wiatru nad głową, warkot silnika, odgłosy przyływu, zawroźnienie morskiego stwora. Moje oczy przyzwyczajają się do ciemności. Dostrzegam poruszające się na zewnątrz światła. Fale deszczu zalewają szyby, atakując z coraz większą wściekłością.

Teraz słyszę konie. Rżą cicho, nawołują się i łomoczą o ściany. Są zaniepokojone sztormem i dobiegającym z zewnątrz krzykiem. To właśnie ten krzyk mnie obudził, nie wiatr.

Siadam i w pierwszym odruchu chcę schodzić na dół, ale zaraz przychodzi wahanie. To moje konie, w tej stajni na dole, wśród przejmującej grozą nocy. A jednak one nigdy do mnie nie należały, zaś teraz, kiedy odszedłem, są jeszcze mniej moje niż kiedykolwiek przedtem. Powinienem tu zostać, nie reagować, pozwolić nocy, żeby robiła to, na co ma ochotę. Pozwolić, aby Malvern zobaczył w świetle dziennym powstałe spustoszenie i zrozumiał, że jestem niezastąpiony.

Zamykam oczy, podpieram czoło pięścią i słucham zawroźnienia na zewnątrz. Słyszę, że gdzieś bliżej, na dole przerażony koń kopie ścianę boksu, niszcząc mur albo kalecząc siebie.

„Przeceniasz swoje znaczenie dla tej stadniny, Seanie Kendrick?”

To nieprawda.

Nie mogę pozwolić, żeby choć jeden koń zginął z powodu gry, którą prowadzę z Malvernem.

Wkładam buty i chwytam kurtkę, a kiedy wyciągam rękę w kierunku klamki, ktoś puka do drzwi.

To Daly. Mokre włosy kleją mu się do twarzy, na rękawach koszuli ma krew. Trzęsie się bezsilnie.

– Malvern mówi, że mamy sobie poradzić bez ciebie, ale nie mamy szans. Nie musi o tym wiedzieć. Proszę.

Biorę kurtkę, aby mu pokazać, że i tak już schodziłem, i razem zbiegamy wąskimi ciemnymi schodami do stajni. Wszystko pachnie deszczem i oceanem, lecz bardziej deszczem.

Daly pędzi obok mnie.

– Nie mogą się uspokoić. Gdzieś na zewnątrz jest *each uisce*, ale nie wiemy, czy dostał się do koni, czy... nie wiemy, kto jest ranny, bo ten dźwięk... słyszysz go. One ciągle kopią; jak tak dalej pójdzie, to wszystkie okuleją. Jednego uspokoisz, a inne wpadają w szal.

– Nie uspokoją się, dopóki ten krzyk będzie trwał – odpowiadam.

Wszyscy stajenni i pomocnicy Malverna starają się opanować najcenniejsze zwierzęta. Żarówki nad naszymi głowami kiwają się na wietrze, który jakoś znalazł drogę do środka, i w błyskach rozhuśtanego światła czuję się, jakbym tracił przytomność. Mijam boks Mettle. Raz po raz staje dęba, a potem uderza kopytami o ścianę. Jeśli jeszcze nie jest osłabiona, to za chwilę będzie. Słyszę, że Corr gdać i śpiewa, doprowadzając zwierzęta w sąsiednich boksach do szaleństwa. Gdzieś za moimi plecami inny koń wali kopytem o mur, rytmicznie i bez czucia. Na zewnątrz wciąż słychać krzyk.

Daly idzie za mną do boksu Corra. Moja dłoń zaciska się wokół przewierconego na wylot kamienia, który trzymam w kieszeni. Gdyby Corr był jakimkolwiek innym koniem wodnym, tej nocy zawiesiłbym mu ten kamień na ogłowie, żeby zagłuszyć listopadowe morze. Ale Corr nie jest pierwszym lepszym *each uisce* i moje sztuczki tylko go dodatkowo zdenerwowały.

Zostawiam kamień w kieszeni.

– Trzymaj wszystkich z daleka – rzucam. – Niech mi zejną z drogi.

Otwieram drzwi boksu Corra, a on natychmiast wybiega. Przyciskam dłoń do jego piersi, a następnie poklepuję go, pchając do tyłu. Jeden z koni wyścigowych rży przenikliwie.

– Trzymaj ich z daleka – przypominam Daly’emu.

Biegnie powiedzieć wszystkim, żeby się nie zbliżali, a ja pozwalam Corrowi poprowadzić się przejściem do drzwi na podwórze.

– Nie tam – protestuje Daly zza moich pleców. – Tam jest Malvern.

Niedobrze. Więc Malvern dowie się, że wciąż się zajmuję jego końmi. Jednak żeby powstrzymać to, co dzieje się w stajni, muszę najpierw rozwiązać problem na zewnątrz.

Otwieram drzwi i wychodzę, a Corr szarpie się na końcu uwiązania. Trudno go opanować. Już po chwili jestem przemoczony do suchej nitki. Deszcz zalewa mi uszy, oczy, wlewa mi się do ust. Muszę otrzeć wodę z czoła i mrugać, żeby odzyskać wzrok. Wszędzie na podwórzu leżą rozrzucone kawałki gontów z dachu stajni. Wszystkie światła się świecą, a wokół nich tworzą się wodne aureole. Przy bramie stoją trzy konie i napierają na nią, rozpaczliwie próbując dostać się do środka. To klacze zarodowe z jednego z odległych pastwisk Malverna przy drodze do Hastoway. Skoro biegają luzem, to znaczy, że coś musiało się stać z ich ogrodzeniem, a teraz szukają swojego stada. Jedna z nich jest tak strasznie słaba, że serce mi się ścisza na jej widok. Największa z klaczy widocznie rozpoznaje mój chód, bo przestaje się szamotać i rży do mnie przeciągle, dramatycznie. Ufa mi, że obronię ją przed tym, co ją tu przygnało.

Jest tu i Malvern z Davidem Prince’em, głównym stajennym. Malvern trzyma rewolwer – co za naiwność. Wierzy, że uda mu się pokonać *eich uisce*?

Krzyk na zewnątrz brzmi tak, jakby dobiegał ze wszystkich stron naraz. Wibruje w każdej kropli deszczu, pulsuje w chmurach nad naszymi głowami. To skowyt, który działa jak jad, jak paralizująca obietnica. Ta burza doprowadziła wyspę do szaleństwa.

Corr szarpie się i ciągnie mnie za ramię. Widzę, że jego kopyta unoszą się nad kocimi łbami i opadają z powrotem, nie wydając żadnego dźwięku. Słyszę tylko ten krzyk, pulsujący tak głośno, jakby rozbrzmiewał w mojej głowie. To dźwięk, który może pokonywać ogromne odległości pod wodą.

Szarpię za uzdę Corra, żeby zwrócić na siebie jego uwagę, a potem ciągnę w dół jego łeb, trzymając go tuż przy swojej głowie. Wargi ma rozciągnięte w upiornym uśmiechu, to nie jest Corr, na jakiego lubię patrzeć. Serce mi przyspiesza. Pomimo wszystkich lat, które razem spędziliśmy, jest potworem. Jedną ręką odpycham jego wyszczerzone zęby, a drugą odwracam ucho w swoją stronę.

Z zamkniętymi ustami zaczynam zawodzić tuż przy jego uchu. To dźwięk niższy niż lament, który słyszymy. Który teraz rozlega się bliżej nas.

Corr jest roztargniony. Jego podwinięte wysoko wargi odsłaniają zęby. Nie przypomina konia. Wykręcam mu ucho tak mocno, aby poczuł ból, i mruczę do niego niskim głosem, który przechodzi w jęk.

Malvern podnosi broń wpatrzony w coś, czego ja nie dostrzegam w ciemności i mgle.

– Corr! – Deszcz zalewa mi usta, ledwo je otwieram. Znowu zawodzę.

Malvern strzela, ale krzyk zbliżającego się *each uisce* trwa nieprzerwanie. Nie może już być donośniejszy.

I wtedy wreszcie Corr zaczyna reagować na moją odpowiedź. Jego głos jest tak niski, że uwiąż drży mi w dłoni. Czuję go wyraźnie nawet w podszewkach butów.

Jednocześnie gdzieś pod powierzchnią tego jęku coś wzbiera i kipi. Dźwięk staje się głośniejszy, przechodzi w pomruk, warczenie, a potem w ryk, podobny do huku wiatru.

Wypełnia podwórze i toczy się wśród deszczu. To okrzyk bojowy w bitwie o terytorium, groźba, ostrzeżenie: „Ten teren należy do mnie. To moje stado”.

Drugi krzyk traci na sile, jakby przegrywał w potyczce z pieśnią Corra, która wypełnia coraz większą przestrzeń. Klacze przy bramie szaleją ze strachu i wiem, że konie w stajni mają się jeszcze gorzej. Czyste, donośne wycie Corra niczym się nie różni od tego, które teraz cichnie – poza tym, że mogę je przerwać.

Nasłuchuję, żeby się upewnić, że głos Corra jest jedynym, jaki słycać. W prawym uchu, tym bliżej niego, słyszę jedynie szum. Ale moje lewe ucho nie wychwytuje konkurencji.

Teraz trzymam Corra z całej siły za ołowie, przyciskając palce do jego żył. Zakreślam na jego skórze okrąg w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Krzyk Corra słabnie. Przyciskam usta do jego barku i szepczę do jego nasiąkniętej deszczem sierści.

Zapada cisza. W prawym uchu wciąż słyszę szum, jakby grało w nim radio nastawione na pustą częstotliwość. Malvern i Prince patrzą na mnie, na ich twarzach maluje się lęk i zdziwienie. Klacze przy bramie drżą i zbijają się w gromadę. Hałas w stajni cichnie.

Deszcz płynie strumieniami, nic na tym świecie nie zostało suche. Po drugiej stronie podwórza w kałuży mglistego światła stoi Malvern i daje mi jakiś znak.

Prowadzę Corra w tamtą stronę. Malvern patrzy to na mnie, to na zwierzę, którego mokra sierść w półmroku wydaje się czarna.

– Już zmieniłeś zdanie? – pyta Malvern.

– Nie.

– Ja też nie – mówi Malvern lekceważącym tonem. – To, co się wydarzyło, niczego nie zmienia.

Nie jestem pewien, czy mu wierzę.

Rozdział czterdziesty

Puck

Tak jak przepowiedział Finn, burza na Thisby trwa jedną noc i jeden dzień i pod koniec tego deszczowego dnia możemy wrócić do domu. To wielka ulga, bo wołałabym biec na bosaka w Wyścigu Skorpiona niż znowu spać z Gabe'em w pachnącym szynką wąskim łóżku Beecha. Tommy chce wracać do domu, bo zostawił swojego *each uisce* pod opieką rodziny z innej części wyspy i martwi się, czy sobie poradzą. Myślę, że chciałabym poznać rodzinę Tommy'ego, skoro to ludzie, którzy nie mają nic przeciwko temu, żeby zatroszczyć się o konia wodnego, podczas gdy ich syn rusza na ratunek sąsiadom. To niezupełnie to samo, co poprosić mamę, aby pod naszą nieobecność wyłożyła kotu kawałek posiekanego mięsa. Wiem, że musiałam już kiedyś spotkać rodziców Tommy'ego, tak samo jak musiałam już spotkać każdego mieszkańca Thisby, ale nie potrafię sobie przypomnieć ich twarzy. W mojej wyobraźni pan i pani Falk mają błyszczące niebieskie oczy Tommy'ego i jego śliczne usta. Skoro moje myśli powędrowały już w tym kierunku, dochodzę do wniosku, że Tommy powinien też mieć jakieś rodzeństwo. Dwóch braci i siostrę. Siostra jest brzydka. A bracia nie.

Pod wieczór jesteście gotowi do wyjazdu. Chłopcy są tacy męscy, że muszą wracać samochodem Tommy'ego. Ja robię prowizoryczne wodze, przeplatając uwiąz Dove dwukrotnie przez jej ogłowie. Zamierzam jechać na oklep za samochodem.

Słyszę trzaśnięcie drzwi wejściowych, a chwilę później dostrzegam Peg Gratton, która stoi obok z założonymi rękami i przygląda się w milczeniu, jak szczotkuję boki swojej klaczy.

– Jeszcze raz dziękuję – odzywam się w końcu, bo coś wypada powiedzieć.

Ona nie odpowiada, tylko unosi brwi, jakby kiwała głową, nie poruszając nią.

– Wiele osób wciąż nie chce cię widzieć na tej plaży.

Staram się nie mieć jej tego za złe.

– Mówiłam już, że nie dam się zniechęcić.

Peg się śmieje, a jej śmiech przypomina złowieszcze krakanie wrony.

– Nie miałam na myśli siebie. Mówię o facetach, którzy nie chcą widzieć dziewczyny w tym swoim męskim wyścigu.

Moje usta układają się w: „aaa”.

Ale mój głos nie.

– Po prostu uważaj na siebie. Nie pozwól nikomu zaciskać za ciebie popręgu. Nie pozwól, żeby ktoś inny karmił twoją klacz.

Kiwam głową. Zdaję sobie sprawę, że kogoś denerwuje mój udział w wyścigu, lecz nie mogę pojąć, że mógłby zrobić z tego powodu coś nikczemnego.

– A co z Seanem Kendrickiem? – pytam.

Zerkam na Peg Gratton, a ona uśmiecha się ledwo zauważalnie, tajemniczo, jak wtedy na plaży, pod ptasim nakryciem głowy.

– Zdecydowanie nie lubisz iść na łatwiznę.

– Kiedy się w to pakowałam, nie sądziłam, że będę miała aż tak pod górkę – mówię zgodnie z prawdą.

Peg wyciąga źdźbło słomy z grzywy Dove.

– Łatwo jest sprawić, żeby mężczyźni cię kochali. Wystarczy być górą, na którą muszą się wspinać, albo wierszem, który próbują zrozumieć. Czymś, dzięki czemu czują się silni albo mądrzy. To dlatego kochają ocean.

Nie byłam pewna, czy to właśnie dlatego Sean Kendrick kocha ocean.

Peg ciągnie:

– Kiedy stajesz się zbyt podobna do nich, czar pryska. Nie ma sensu szukać Świętego Graala, jeśli wygląda jak filiżanka do herbaty.

– Nie staram się, żeby mnie szukano.

Peg robi schodek ze splecionych dłoni, żeby pomóc mi wsiąść. A potem klepie Dove w zad, aby ruszyła za samochodem Tommy’ego. Kiedy oglądam się za siebie, Peg wciąż stoi i patrzy za nami, ale nie macha.

Mój nastrój poprawia się w miarę, jak rośnie odległość między nami a schludnym białym domkiem Grattonów. Po tak długim czasie w czterech ścianach powietrze wydaje się świeże i dobrze wymyte. Wyspa wygląda jak nasza kuchnia – za dużo rzeczy, za mało sprzątania. Kawałki drewnianych płotów porzucane daleko od linii ogrodzenia, gonty i dachówki na żywopłotach, gałęzie z odległych drzew na środku pól. Owce spacerują sobie po drodze, co może nie jest szczególnie niezwykle, ale dostrzegam też kilka lśniących kłaczy pasących się za swoim ogrodzeniem. Rozmyte wieczorne światło przypomina uśmiech przez łzy.

Nie ma śladu *eich uisce*, które wynurzyły się podczas sztormu. Zastanawiam się, czy wszystkie wróciły do morza. W tej chwili na wyspie panuje cisza, jakby sprawy związane z końmi albo pogodą w ogóle jej nie zaprzętały. Myślę, że gdyby to było jedyne oblicze Thisby, mielibyśmy tutaj zupełnie inny rodzaj turystów.

Wiem, że to nie jest prawdziwa Thisby. Prawdziwa Thisby ukaże się naszym oczom jutro o wschodzie słońca. Do wyścigów pozostało niewiele ponad tydzień. Chyba nie jestem na to gotowa. Trudno mi sobie wyobrazić, że nasza historia skończy się tak, jak opowiedziałam Finnowi. Szczęście nie było ostatnimi czasy zbyt łaskawe dla Connollych.

Gdy wracam do domu, twarz Finna promienieje z radości. Przy nim, w kuchni, siedzi Puffin, kotka ze stajni. Ma paskudnie odgryziony ogon, jest oburzona i rozczula się nad sobą, ale z całą pewnością żyje.

Ta wyspa jest bardzo przebiegła i zagadkowa. Nie wiem, co zaplanowała dla mnie.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Sean

Tego wieczoru, gdy bledną resztki światła, robię to, co kiedyś robił mój ojciec: wyruszam przez pola w kierunku plaży po zachodniej stronie wyspy. Kiedy słońce zachodzi, rzucając na fale czerwony blask, wchodzi do morza. Woda pamięta jeszcze sztorm, wciąż sięga wysoko, jest brązowa i mętna, więc jeśli coś się czai pod jej powierzchnią, nie będę o tym wiedział. Jednak niewiedza jest nieodłączną częścią tego wszystkiego. Tak samo jak gotowość na wszystko, co kryje się pod powierzchnią. W końcu to nie ocean zabił mojego ojca.

Woda jest tak zimna, że stopy drętwieją mi prawie od razu. Wyciągam ramiona na boki i zamykam oczy. Słucham plusku fal. Wrzasków rybitw i nurzyków na przybrzeżnych skałach, przenikliwych pytań zachrypniętych mew nad moją głową. Czuję zapach wodorostów, ryb i mdłą woń ptaków gnieźdzących się na brzegu. Na ustach mam sól, słony osad na powiekach. Zimno przenika mi ciało. Piasek przesuwają się i zasysa wodę pod moimi stopami. Nic nie słyszę; panuje całkowita cisza.

Pod powiekami mam czerwone słońce. Nie dam się ponieść falom, zimno nie ma do mnie dostępu. Niczym się nie różnię od kapłanów Thisby, którzy pięćset lat temu stawali w lodowatym, ciemnym morzu i oddawali się wyspie.

Staram się, żeby w mojej duszy zapanowała taka sama cisza jak wokół mnie. Nie mam więcej trosk niż krążąca nad moją głową mewa, skupiona na tym, żeby przetrwać tę chwilę, a potem następną.

Trzykrotnie wypowiadam życzenie.

Najpierw proszę, żeby Corr był łagodny i posłuszny, aby nie mieli powodu używać dzwonek i magii, której on tak nie znosi.

Jednak potem dwukrotnie proszę, żeby był nieposkromiony, aby błagali mnie, żebym wrócił.

Rozdział czterdziesty drugi

Puck

Ta wyspa jest szalona.

Ponieważ poprzedniego wieczoru jechałam na Dove z Hastoway, robię jej rano wolne i zachęcam, żeby zjadła trochę drogiego siana. Daję jej także ziarno. Niezbyt wiele, bo mogłaby się od niego rozchorować. Nie jest przyzwyczajona do takich rarytasów. A potem ją zostawiam i idę obserwować trening i robić notatki. Nie mam już ciastek listopadowych. Nie było nas w domu, nic nie mogłam upiec, więc muszę się zadowolić paroma zeschniętymi herbatnikami w kieszeni.

Teraz, kiedy skończył się festiwal i minęła burza, Thisby zupełnie się zmieniła. Wygląda tak, jakby wiatr zostawił na drodze nie tylko gałęzie i kawałki gontów, ale też ludzi i namioty. Droga ze Skarmouth, pusta aż do klifów, dalej jest obstawiona wszelkiego rodzaju budkami i stołami. Tam, gdzie pomagałam Dory Maud ustawić stragan, znajduje się teraz całe miasto zaludnione przez miejscowych, którzy próbują uwodzić turystów swoimi towarami. Część z nich to ci sami sprzedawcy, których Brian Carroll i ja widzieliśmy na ulicach Skarmouth podczas festiwalu. Ale są też nowi. Pojawiły się budki, na których można kupić barwy stajni wyścigowych, dokładnie takie same jak te używane przez jeźdźców, pośpiesznie namalowane i wciąż jeszcze mokre obrazki przedstawiające faworytów albo maty do siedzenia, żeby nie zamoczyć sobie tyłka, obserwując wyścig z klifów.

Nagle zdaję sobie sprawę, że zawody są naprawdę blisko. Nie da się ukryć, że już za kilka dni zaprowadzę Dove na plażę, a czuję się kompletnie nieprzygotowana. Nie wiem na ten temat nic. Zupełnie nic.

Z tchórzliwego zamyślenia wyrывa mnie Joseph Beringer, który tańczy za moimi plecami, wyśpiewując jakąś niezbyt błyskotliwą, za to nieprzyzwoitą piosenkę o moich szansach i o moich spódnicach.

– Nawet nie noszę spódnic – rzucam.

– Owszem – mówi – w moich marzeniach.

Z jakiegoś powodu sądziłam, że jako jeździec biorący udział w Wyścigu Skorpiona będę się cieszyć odrobiną szacunku, tymczasem nie przestaję się dziwić, iż pewne rzeczy w ogóle się nie zmieniają.

Ignoruję go i to trochę pomaga, choćby dlatego, że robiłam to już tyle razy. Przedzieram się przez tłum w stronę stoiska Dory Maud, w miarę możliwości omijając kałuże i Josepha. Słysząc już dobiegający z plaży tumult, nawet tutaj na górze, wśród tych wszystkich ludzi zagląających na stragany. Dziś te odgłosy brzmią jakoś inaczej niż zwykły hałas podczas treningu, może dlatego, że teraz, kiedy do wyścigu pozostało tak mało czasu, wszyscy są na dole jednocześnie.

– Puck! – Dory Maud dostrzega mnie pierwsza. Jest odświętnie ubrana w tradycyjną szarfę i gumowe buty. Zestawienie tyleż śmieszne, ile, niestety, charakterystyczne dla Thisby.

– Puck! – woła ponownie, tym razem potrącając sznur dzwoneczków listopadowych. W ten sposób przyciąga uwagę co najmniej dwóch osób w pobliżu mnie. Ostrożnie odkłada dzwoneczki na stół, tak żeby było widać kartkę z ceną.

– Cześć – rzucam. Od strony plaży dobiega przeraźliwy krzyk, który wydaje mi się dziwnie niepokojący.

– Gdzie twoja klacz? – pyta Dory Maud. – Zamierzasz trenować bez konia?

– Wczoraj wieczorem jechałam na Dove z Hastoway. Zrobiłam jej przerwę, idę popatrzeć na trening z klifów.

Dory Maud przygląda mi się badawczo.

– Chodzi mi o strategię – dodaje wścicka. – Opracowuję strategię. Wyścig to nie tylko jazda na koniu.

– Nie znam się na tym – odpowiada Dory. – Wiem tylko, że Ian Privett lubi wyprzedzać od lewej na samym końcu. Przynajmniej tak było w zeszłym roku.

Przypominam sobie, co Elizabeth mówiła o Dory Maud i jej skłonności do hazardu. Mama powiedziała kiedyś do taty, że ludzkie słabostki są słabostkami tylko wtedy, gdy patrzy się na nie w stereotypowy sposób. W słabostce Dory dostrzegam coś pozytywnego.

– Co jeszcze wiesz?

Dory Maud wyciąga rękę, żeby lepiej przymocować kawałek łopoczącego płótna namiotu, a potem mówi:

– Mogę powiedzieć ci więcej, jeżeli przyjdiesz i popilnujesz straganu, kiedy ja pójdę na lunch.

Przyglądam się jej ponuro. Znowu coś, czego nie spodziewałam się robić jako jeździec.

– Pomyślę o tym. Co to za harmider?

Dory Maud zerka z żalem na drogę, która prowadzi na plażę.

– Aaa, to Sean Kendrick.

Budzi się we mnie ciekawość.

– Co w związku z Seanem Kendrickiem?

– Zabierają tam na dół jego czerwonego ogiera. Mutt Malvern i kilku innych chłopaków.

– Z Seanem?

Dory Maud cierpi, ponieważ jest uwięziona przy swoim straganie i nie może iść na brzeg morza zobaczyć, co się dzieje.

– Nie widziałam go. Mówią, że nie będzie startował w wyścigu. Że on i Benjamin Malvern pokłócili się o tego ogiera i odszedł. To znaczy Kendrick odszedł.

– Odszedł?!

– Głucha jesteś? – Dory Maud dzwoni dzwoneczkami tuż przy moim uchu. Woła do kogoś za moimi plecami. – Dzwoneczki listopadowe! Najlepsza cena na wyspie! – Czasem bardzo przypomina swoją siostrę Elizabeth. I to, niestety, nie jest fajne. Potem dodaje: – Tak gadają. Mówią, że Kendrick chciał kupić tego ogiera, a Malvern mu odmówił, więc Sean odszedł.

Myślę o Seanie Kendricku, pochylonym nisko na grzbiecie czerwonego ogiera, kiedy galopował na oklep po szczycie urwiska. Widziałam, jak doskonale się rozumieli, gdy przyszłam obejrzeć *each uisce*. Przypominam sobie to, w jaki sposób Sean wymówił swoje nazwisko, a potem imię Corra, stojąc na zakrwawionej festiwalowej skale. Jakby przytaczał oczywiste fakty, jeden po drugim. To, jak mówił: „Niebo, piasek, morze i Corr”. Czuję palącą niesprawiedliwość, bo uważam, że pod każdym względem, oprócz aktu własności, Sean Kendrick już jest właścicielem Corra.

– Więc co z nim robią?

– Skąd mam wiedzieć? Widziałam tylko, jak tędy paradowali, a Mutt Malvern miał minę, jakby to były jego urodziny.

Teraz moje poczucie niesprawiedliwości osiąga poziom alarmowy. Nagle zmieniam plany. Zamiast iść obserwować trening z klifu, postanawiam zejść ścieżką pod urwiskiem i zobaczyć, co się dzieje na plaży.

– Idę tam.

– Nie wdawaj się w dyskusję z synem Malverna – ostrzega Dory Maud.

Już odeszłam kawałek, ale oglądam się przez ramię i pytam Dory Maud:

– Dlaczego?

– Bo może ci odszczeknąć!

Pędzę na dół, mijając resztę namiotów. Tam, gdzie droga stromo opada, nie da się już ustawić stołów, więc jest trochę ciszej. Na dole widzę czerwonego ogiera otoczonego przez czterech mężczyzn. Rozpoznaję kwadratową sylwetkę Mutta Malverna i mężczyznę trzymającego uwiąz, Davida Prince'a, bo kiedyś pracował na farmie Hammonda obok nas, ale nikogo poza tym. Corr podnosi głowę, szarpiąc ramię człowieka, który go trzyma, i posyła w morze wysoki, czysty zew.

Mutt się śmieje.

– Masz problem z utrzymaniem go, Prince?

– Ja go potrzymam! – krzyczy ktoś z zebranych wkoło osób. Znowu słychać śmiech.

Wyobrażam sobie, że ktoś zabiera mi Dove, i aż się we mnie gotuje ze złości.

Wiem, że Sean musi gdzieś tutaj być. Chwilę trwa, zanim udaje mi się go odnaleźć, lecz teraz już znam na to sposób: trzeba szukać miejsca, w którym nie ma ruchu, i postaci, która trzyma się na uboczu. Sean stoi plecami do klifu, jedną rękę trzyma na brzuchu i opiera na niej łokieć drugiej ręki. Pięść przyciska mocno do ust, ale jego twarz nie wyraża emocji. W jego pozie i wzroku jest coś przerażającego. Wydaje się, jakby zastygł w jakimś porywie.

Corr znowu lamentuje i Mutt zawiązuje mu wokół pęciny czerwoną wstążkę z dzwoneczkami. Koń wodny wzdryga się, jakby dźwięk dzwoneczków sprawiał mu fizyczny ból. Nagle zdaję sobie sprawę, że usiłuję powstrzymać łzy, które napływają mi do oczu.

Sean Kendrick odwraca głowę.

To wszystko wydaje mi się tak straszne, że po prostu nie mogę go tam zostawić samego. Łokciami toruję sobie drogę wśród turystów i miejscowych, którzy obserwują Corra. Serce łomocze mi w piersi. Przypominam sobie, jak Sean mówi, dosiadając czerwonego ogiera: „Trzymaj swojego kucyka z daleka od tej plaży”. Możliwe, że jestem ostatnią osobą, którą ma ochotę teraz oglądać.

Staję obok niego z założonymi rękami. Nie rozmawiamy. Cieszę się, że nie patrzy w stronę Corra, bo Mutt już go osiodłał i teraz zakładają mu napierśnik nabijany ćwiekami i obszyty dzwoneczkami. Ogier wzdryga się za każdym razem, kiedy żelazo dotyka jego skóry.

Po chwili Sean Kendrick pyta cicho, ze wzrokiem wbitym w ziemię:

– Gdzie jest twój koń?

– Zmęczyłam ją wczoraj wieczorem, kiedy przestało padać. A twój?

Przełyka ślinę.

– Jak mogą to robić? – zadaję pytanie.

Corr wydaje dziwny, oszalały dźwięk, który brzmi jak rzenie, urwane w połowie, zanim na dobre się rozlega. Stoi w miejscu, ale szarpie głową, jakby opędzał się od natrętnej muchy.

– Myślę – odzywa się Sean równie cicho jak przed chwilą – że mądrze postępujesz, startując na swoim własnym koniu, Puck, nawet jeśli jest tylko małym lądowym kucykiem.

– Myślałem, że jest większy – mówi Mutt Malvern.

Dosiadł Corra, chociaż Prince wciąż trzyma za uwiąz.

Jeden z pozostałych mężczyzn stoi między Correm a morzem z rękami wyciągniętymi na boki tak, jakby chciał utworzyć ogrodzenie. Mutt macha nogami i patrzy na ziemię jak dziecko na kucyku.

– To taki prezent Mutta Malverna dla mnie – stwierdza Sean. W jego głosie jest tyle gorzycy, że starczy dla nas obojga. – To moja wina.

Próbuję wymyślić coś, co mogłabym powiedzieć, żeby go pocieszyć. Chociaż nawet nie

wiem, czyby tego chciał. W sumie nie wiem, czy ja na jego miejscu chciałabym być pocieszana. Gdybym była zmuszona do jedzenia sadzy, chciałabym się dowiedzieć, że jest ktoś, kto też musiał kiedyś jeść sadzę i wie, że sadza ma wstrętny smak. Nie chciałabym, żeby ktoś mi wmawiał, że sadza jest dobra na trawienie. I oczywiście mówiąc o sadzy, tak naprawdę mam na myśli fasolę.

– Być może – odpowiadam. – Ale za dwadzieścia, trzydzieści minut, najdalej za godzinę Mutt Malvern się tym znudzi. A wtedy wróci na to nieszczęsne czarno-białe stworzenie, którego imię kazał wpisać obok swojego nazwiska na tablicy u rzeźnika. Moim zdaniem tamta klacz jest dla niego wystarczającą karą.

Wtedy Sean patrzy na mnie z błyskiem w oku, który sprawia, że czuję się mało komfortowo. Rzucam mu gniewne spojrzenie.

– Mówiłaś, że gdzie masz swojego konia?

– W domu. Trenowałyśmy wczoraj wieczorem. Mówiłaś, że dlaczego odszedłeś?

Odwraca wzrok z żalonym parsknięciem.

– To był hazard. Trochę jak z twoim kucykiem.

– Koniem.

– Jasne. – Sean znowu patrzy na Corra. – Mówiłaś, że dlaczego startujesz?

Oczywiście nie mówiłam. Przyznanie się do prawdziwych przesłanek stojących za moją decyzją kosztuje mnie bardzo dużo. Mogę sobie wyobrazić, że plotkuje się o tym w całym Skarmouth tym samym tonem, jakim Dory Maud powiedziała mi, że Sean odszedł z powodu Corra. Nie zwierzałam się z tego Peg Gratton, chociaż wydawało mi się, że ona jest po mojej stronie, ani Dory Maud, choć Dory Maud jest prawie rodziną. A teraz sama nie wierzę, że wypowiadałam te słowa:

– Jeśli nie wygram, stracimy dom moich rodziców.

Wtedy zdaję sobie sprawę, jak głupio robię, że to mu wyznaję. Nie dlatego, że podejrzewam Seana Kendricka o plotkarstwo. Ale dlatego, że teraz on wie, że startując w wyścigu, mam nadzieję zarobić pieniądze. A to straszne zwierzać się jemu, czterokrotnemu zwycięzcy Wyścigu Skorpiona, ze swoich urojeń. Sean milczy przez dłuższą chwilę ze wzrokiem utkwionym w Corrze i Mutcie na jego grzbiecie.

– To niezły powód, żeby zostać hazardzistą – stwierdza z pełnym przekonaniem, a ja jestem mu wdzięczna, że nie powiedział, że jestem głupia.

Wypuszczam powietrze.

– Twój też był dobry.

– Tak myślisz?

– Ten koń i tak jest twój, nieważne, że nie masz tego na papierze. Myślę, że Benjamin Malvern jest o to zazdrosny. Poza tym lubi pogrywać z ludźmi.

Sean patrzy na mnie tym swoim surowym wzrokiem. Chyba nie zdaje sobie sprawy, jaka to tortura.

– Dużo o nim wiesz.

Wiem, że Benjamin Malvern lubi pić herbatę z masłem i solą i że jego nos jest tak duży, że mógłby w nim trzymać żołądź. Wiem, że szuka rozrywki, ale niewiele rzeczy może mu jej dostarczyć. Tylko że nie wiem, czy to znaczy, że go znam.

– Wystarczająco dużo – odpowiadam.

– Nie lubię gier – przyznaje.

Oboje znowu patrzymy na Corra, który niespodziewanie się uspokoił. Stoi z postawionymi uszami, spoglądając na coś ponad tłumem. Co jakiś czas drży, ale poza tym się nie rusza.

– Może zobaczę, jaki jest szybki – rzuca Mutt. Odwraca się w siodle, żeby popatrzeć na Seana, który nadal stoi bez ruchu.

David Prince, trzymając uwiąz, zerka w naszą stronę z dziwnym wyrazem twarzy. Trochę z poczuciem winy, trochę przeprasza, a trochę jakby był podekscytowany.

– Ho, ho, Sean Kendrick! – woła, jakbyśmy my albo on dopiero co pojawili się na plaży. – Jakieś rady?

– Nie zapomnij o morzu – odpowiada Sean.

Mutt i Prince się śmieją.

– Zobacz, jaki jest oswojony – zwraca się Mutt do Seana. Rzeczywiście, Corr z zaciekawieniem postawił uszy. Obwąchuje swoje siodło i nogę Mutta, jakby się dziwił, że to nie to co zwykle, jakby był zaintrygowany takim obrotem wydarzeń. Dzwonki przy uździe dzwonią prawie niesłyszalnie przy każdym jego ruchu. – Bez słynnych zaklęć Seana Kendricka. Nie martwi cię, że jest taki niewierny?

Sean nie odpowiada. Oczy Mutta prześlizgują się po mnie z lekceważeniem. Chyba jeszcze nigdy nie widziałam, żeby ktoś czerpał tyle przyjemności z unieszczęśliwiania innych. Przypominam sobie wieczór, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam ich razem przed pubem, i tę nienawiść, która czaiła się w ich twarzach. Teraz nic z tego nie da się ukryć – to brzydka, otwarta rana. Mutt zwraca się do tłumu, głównie turystów:

– Co wy na to? Będę galopował na najszybszym koniu na wyspie. Jest legendą? Bohaterem? Skarbem narodowym? Kto nie zna jego imienia?

Ludzie klaszczą i pohukują. Sean stoi nieruchomo jak kredowa skała klifu.

– Ja je znam! – krzyczę wtedy, a mój głos jest tak donośny, że aż mnie to zaskakuje. Spojrzenie Mutta odnajduje mnie obok Seana. Wołam: – Ale jak ty się właściwie nazywasz?!

Serwuję mu najbardziej upiorny ze swoich uśmiechów, przetestowany na dwóch braciach.

Gdy patrzę, jak twarz Mutta płonie gniewem, i słucham śmiechu gapiów, przypominam sobie poniewczasie radę Dory Maud.

– A gdzie twój kucyk?! – rzuca Mutt. – Orze na polu?!

Jestem bardziej zażenowana z powodu uwagi, którą na siebie zwracam, niż obelgi. Między innymi dlatego, że prosto stąd pójść do budki Dory Maud sprzedawać świecidełka turystom. Przychodzi mi do głowy, że Mutt Malvern nie zna mnie wystarczająco dobrze, żeby powiedzieć coś, co sprawi mi prawdziwą przykrość.

Ale to nie mnie Mutt chce zrobić przykrość.

– Muszę przyznać, że cieszę się twoim szczęściem, Kendrick! – woła. – Lepsza jazda od tej, do której przywykłeś? – Udaje, że głaska Corra po zadzie. Czuję, że płoną mi policzki. Twarz Seana pozostaje niezmienną, a ja zastanawiam się, jak on to robi. Czy to kwestia praktyki? Czy chodzi o to, że słyszał te wszystkie rzeczy zbyt wiele razy, aby mogły zrobić na nim wrażenie?

Corr porusza się niezwykle niespokojnie. Zbliża pysk do Prince'a i trąca nosem jego pierś. Prince drapie go po czole i odpycha.

– Spokojnie, staruszkule, spokojnie – mówi. Podnosi głowę, żeby spojrzeć na Mutta. – Jedziesz? Zanim zaleje nas przypływ?

Corr znowu naciska, tym razem bardziej natarczywie, aż rozdzwaniają się dzwonki, a Prince się cofa.

– Taaak, słusznie – odpowiada Mutt. Macha wodzami, aby zwrócić uwagę Corra.

Each uisce wciąż trąca nosem i popycha Prince'a. Widzę dreszcz przebiegający po końskiej skórze pod nabijanym żelazem napierśnikiem.

– No dobra – ponagla Prince.

Pysk Corra jest teraz oparty o jego obojczyk. Dove też tak robi, kiedy drapię ją w szyję,

a ona chce mi okazać czułość. Prince kładzie rękę płasko na policzku Corra, a Corr parska w szyję Prince'a.

Sean natychmiast rzuca się w ich stronę, wzbijając za sobą tuman piasku.

– David! – krzyczy.

Prince podnosi wzrok.

Corr szybkim, wężowym ruchem miażdży mu szyję swoimi płaskimi zębami.

Nagle Mutt Malvern ściąga wodze, Corr staje dęba. Tłum rozprasza się wśród okrzyków paniki. Pozostali dwaj mężczyźni, którzy byli z Muttem, uykają do tyłu, niepewni, czy się bronić, czy pomagać Muttowi. Sean zatrzymuje się gwałtownie, odwracając twarz, kiedy piasek sypie mu w oczy. Prince leży na ziemi, wyginając plecy i przebierając stopami w piasku. Nie mogę oderwać od niego wzroku.

Koń znowu staje dęba i tym razem Muttowi nie udaje się utrzymać na grzbiecie. Wytacza się spod zasięgu kopyt Corra i wstaje zakrwawiony. To krew Prince'a, nie jego. Ogier kręci się w miejscu, przewracając oczami. Patrzy w morze. Wszystkie spojrzenia zwrócone są na Corra i na Seana, ale teraz żaden z nich się nie rusza.

Gdy *each uisce* znowu się obraca, biegnę do miejsca, w którym leży Prince. Nie wiem, jak poważne są jego obrażenia. Jest zbyt wiele krwi, żeby zobaczyć ranę. Obawiam się, że Corr go strątuje, ale nie wiem, czy mogę go ruszyć. Jedyne, co mogę zrobić, to stać pomiędzy nim a kopytami Corra, starając się panować nad własnym przerażeniem.

Corr obraca się i znowu woła, teraz brzmi to jak zdławiony szloch. Na jego łopatce pojawia się pajęczyna żył.

– Corr – mówi Sean.

Nie krzyczy. Mam wrażenie, że jego głos ginie wśród odgłosu kopyt, szumu morza i charkotu Prince'a, ale czerwony ogier uspokaja się. Sean wyciąga ręce i podchodzi do niego wolno. Na szczęście Corra jest krew, drżą mu wargi. Kładzie uszy płasko.

– Trzymaj się – szepczę do Prince'a.

Z bliska nie wydaje się taki młody, za jakiego go uważałam. Widzę bruzdy wyrzeźbione na jego twarzy wokół oczu i ust. Nie wiem, czy mnie słyszy. Chwyta rękami piasek i nie przestaje na mnie patrzeć potwornym, potwornym wzrokiem. Nie chcę go dotykać, lecz wyciągam rękę. Ścisną moją dłoń tak mocno, że sprawia mi to ból.

Sean, który zbliżył się do Corra, zrzuci kurtkę, a potem ściąga przez głowę koszulę. Jego skóra jest blada i pokryta bliznami. Nigdy nie zastanawiałam się, czy połamane żebra zrastają się prosto, czy nie, aż do teraz. Sean zaczyna przemawiać do Corra bardzo, bardzo cicho. Ogier drży, przewracając oczami w stronę oceanu.

Cała jestem we krwi Prince'a. Nigdy przedtem nie widziałam jej w takiej ilości. Tak zginęli moi rodzice. Nakazuję sobie przestać o tym myśleć, ale tak czy inaczej nie potrafiłabym sobie wyobrazić chwili ich śmierci. Żałuję, że mój umysł się przed tym broni, bo niezależnie od tego, jak straszna byłaby ta wizja, łatwiej byłoby ją znieść od rzeczywistości, w której David Prince ścisną mnie za rękę.

Sean powoli podchodzi do Corra, cały czas tak samo cicho do niego przemawiając. Dzieli ich metr. Pół metra.

Jeszcze mniej. Czerwony ogier podnosi głowę i odchyła ją do tyłu, szczerząc zakrwawione zęby. Trzęsie się tak samo jak Prince. Sean zgniata koszulę i przyciska ją Corrowi do pyska. Czeka dobrych kilkanaście sekund, aż *each uisce* poczuje wyłącznie jego zapach, a potem ociera mu z pyska krew. Kiedy ogier stoi już nieruchomo, Sean składa koszulę, następnie owija materiał wokół nozdrzy i oczu zwierzęcia.

– Daly! – woła. Nozdrza Corra wysysają materiał koszuli, ukazując zarys pyska, później go

nadmuchują. Jeden z mężczyzn, którzy przyszedli z Muttem, podskakuje, słysząc swoje imię. Jest przerażony. Sean odrywa wzrok od Daly'ego, rozczarowany tym, co zobaczył na jego twarzy, a potem znajduje mnie. – Puck.

Nie chcę zostawiać Prince'a, który tak mocno ściska moją dłoń, ale nagle zdaję sobie sprawę, że w ciągu kilku minut to się zmieniło. Teraz to ja ściskam jego dłoń, a nie na odwrót. Potwornie przestraszona, wypuszczam jego palce i podnoszę się z ziemi.

Sean wskazuje na wodze.

– Przytrzymaj to. Czy możesz to przytrzymać? Muszę... – Czerwony ogier nadal drży pod maską, którą zrobił Sean. Właściwie chyba nie czuję strachu. Jakby całe przerażenie odpłynęło gdzieś w głąb mnie. Ktoś musi przytrzymać tego konia. Ja mogę przytrzymać tego konia. Wycieram o spodnie zakrwawioną dłoń i podchodzę bliżej. Nabieram powietrza i wyciągam rękę.

Sean wkłada do mojej dłoni wodze i kłębek materiału, nie czekając, aż będę gotowa. Z bliska słyszę cichy dźwięk dzwonek przy uździe i na pęcinach Corra. Ogier drży delikatnie i nieprzerwanie, a kuleczki wewnątrz dzwonek brzęczą jak metalowe koniki polne.

Kendrick sprawdza mój uchwyt, a potem szybko i pewnie kuca i wślizguje się pod ogiera. Wyjmuje z kieszeni nóż i przesuwa dłonią po przedniej nodze Corra.

– Jestem tutaj – mówi, a ucho Corra trzęsie się i obraca, żeby wychwycić jego głos.

Sean zręcznie odcina wszystkie czerwone wstążki, ciskając je ze złością za siebie. Spadają z cichym brzękiem na piasek. Odskakuję, kiedy ogier się porusza. Teraz, gdy nogi ma wolne od dzwonek, podnosi i stawia je z powrotem, jakby szedł w miejscu. Sean gwałtownie wypuszcza powietrze i próbuje odpiąć napierśnik, ale Corr za bardzo się wierci. Nie wiem, na ile postępowanie z koniem ludojadem różni się od postępowania z Dove, więc po prostu zachowuję się podobnie jak przy niej. Pociągam wodze energicznie w dół, a ogier szarpie głową w górę. Mam wrażenie, że drży trochę mniej, lecz trudno to ocenić, skoro nie oznajmiają już tego dzwonek. Staram się nie myśleć o krwi Prince'a na mojej dłoni. Próbuję sobie przypomnieć, co robił Sean.

– Ciii, ciii – mówię do ogiera, naśladując ocean; Corr natychmiast strzyże uszami w moją stronę. Jego ogon po raz pierwszy zwisa nieruchomo. Nie jestem pewna, czy to dobrze, że zwrócił na mnie uwagę, nawet z opaską na oczach.

Sean zerka na mnie nad kłębem Corra z dziwnym wyrazem twarzy. Z aprobatą? Tylko przez chwilę. Potem odrzuca za siebie metalowy napierśnik, który ląduje na piasku, obok dzwonek.

– Wezmę go teraz.

– Co z tym człowiekiem? Prince'em? – pytam, nie wypuszczając wodzy, dopóki nie mam pewności, że Kendrick je trzyma.

– Nie żyje.

Oglądam się. W tym momencie, kiedy Sean uspokoił Corra, ktoś z tłumu odciąga martwego Prince'a w bezpieczne miejsce. Ale położyli mu kurtkę na twarzy. Wzdrygam się.

– Umarł! – Wiem, że to głupie, że to mówię, lecz nie mogę tego nie powiedzieć.

– Od początku był martwy, wiedział, że umiera. Nie widziałaś tego w jego oczach? Moja kurtka.

– Moja kurtka? – powtarzam z taką siłą, że Corr odskakuje. – A może: „Podaj mi, proszę, kurtkę”?

Sean Kendrick patrzy na mnie, zdumiony, i widzę, że nie ma pojęcia, dlaczego się zdenerwowałam. Nie mogę przestać się trząść, jakbym przejęła całe drżenie Corra.

– To właśnie powiedziałem – mówi po chwili.

- Nie to.
- A co powiedziałem?
- Powiedziałeś: „Moja kurtka”.

Sean wydaje się teraz trochę oszołomiony.

- Właśnie mówię, że to powiedziałem.

Wydaję pomruk wściekłości i idę po jego kurtkę. Gdyby istniała szansa, że zdąży po nią wrócić, zanim zabierze ją przyływ, zostawiłabym ją tutaj. Nie potrafię myśleć o niczym innym, tylko o tym, że tamten mężczyzna nie żyje, mężczyzna, który dopiero co trzymał mnie za rękę. Im dłużej rozmyślam nad tym, tym większy czuję gniew, chociaż nie wiem, kogo mam za to winić poza koniem wodnym, którego właśnie zgodziłam się przytrzymać. Teraz czuję się jakos w to zamieszana, a przez to jeszcze bardziej wściekła.

Kurtka Seana jest obrzydliwie brudna, pokryta skorupą zeschniętego piasku i krwi, w dodatku sztywna od słonej wody. Jest jak kawałek żaglowego płótna. Gdybym po prostu narzuciła ją Seanowi na gołe ramiona, musiałaby go obcierać.

- Wypiorę ją razem z derką Dove – proponuję. – Gdzie ci ją przynieść?
- Do stadniny Malverna – odpowiada. – Na razie.

Oglądam się na Prince’a. Leży rozciągnięty na ziemi.

Ktoś poszedł po doktora Halsala, żeby uznał go za nieodwołalnie i oficjalnie martwego. Mężczyźni szepczą obok jego ciała, jakby, ścisząc głosy, okazali mu respekt. Ale udaje mi się wychwycić strzępki ich rozmowy.

- Dziękuję – mówi Sean.
- Co?

Powoli dociera do mnie to, co powiedział. Mój mózg na nowo nawiązuje kontakt z rzeczywistością. Sean dostrzega to na mojej twarzy i przestaje na krótkim skinieniu głową. Ciągnie w dół wodze, szepcze coś do Corra, a potem przykładą dłoń do jego boku. Czerwony ogier wzdryga się, jakby dłoń Seana była gorąca. Lecz nie wierzga i Sean odprowadza go w stronę klifów.

Zatrzymuje się tylko raz, kilka metrów od Mutta. Bez koszuli z tej odległości wydaje się żyłasty i blady, zwykły chłopak z koniem czerwonym jak krew.

– Panie Malvern – zwraca się do niego. – Zechciałby pan zabrać swojego konia z powrotem do stajni?

Mutt patrzy na niego pustym wzrokiem.

Kiedy Sean odprowadza Corra z plaży, ja zwijam i rozwijam w rękach jego kurtkę. Nie potrafię przekonać samej siebie, że to wszystko zdarzyło się naprawdę. Że dziesięć minut temu trzymałam za rękę martwego człowieka. Że za kilka dni przyjdę na ten brzeg i będzie tu ponad dwadzieścia *eich uisce*. Że zaproponowałam Seanowi Kendrickowi, że wypiorę mu kurtkę.

- Co za syf!
- Odwracam się. To Daly.
- Słucham?

– Syf – rzuca Daly w bezsilnej potrzebie powiedzenia czegoś w chwili, gdy akurat najwyraźniej nic odpowiedniego nie przychodzi mu do głowy. – Co za cholernie syfiasta wyspa.

Nie odpowiadam. Nie mam nic do powiedzenia. Ściskam kurtkę Seana, żeby powstrzymać drżenie rąk.

- Idę do domu – mówi Daly nieszczęśliwym głosem. – Żaden sport nie jest tego wart.

Rozdział czterdziesty trzeci

Sean

Benjamin Malvern chce się ze mną spotkać w hotelu w Skarmouth. Miejsce spotkania jest elementem jego gry, bo przed wyścigami roi się tu od ludzi, wszystkie pokoje są zajęte przez turystów. Sklep rzeźnika stanowi centrum hazardu i wymiany informacji, do którego przychodzą jeźdźcy, tymczasem w hotelu przybysze ze stałego lądu wymieniają się uwagami na temat ostatniego treningu, drapią się po głowach i zastanawiają, czy ta klacz albo tamten ogier uspokoją się na tyle, żeby zostać faworytami. Dla mnie czekanie w hotelowym lobby, gdzie Malvern się ze mną umówił, jest równoznaczne z wystawieniem się na pożarcie.

Wchodzę więc co prawda do środka, bo na zewnątrz jest zimno, ale prześlizguję się przez hol tak szybko, jak to możliwe, i wymykam na klatkę schodową, aby tam poczekać. Wygląda, jakby prowadziła tylko do kilku pokoi, więc szanse, że ktoś mnie tu będzie niepokoił, są niewielkie. Próbuję się rozgrzać, bo hula tu przeciąg, i zerkam w górę schodów. Hotel jest największym budynkiem na wyspie, wszystko jest w nim tak zaprojektowane, żeby osoba ze stałego lądu czuła się w nim jak w domu. W wystroju wewnątrz nie mogło zatem zabraknąć kolumn i łuków, gzymsów i drewna na wysoki połysk. Pod stopami mam miękki perski dywan, na ścianie obok wisi obraz przedstawiający konia czystej krwi na tle uroczego krajobrazu. Wszystko w tym hotelu mówi, że ci, którzy się tu zatrzymują, to dżentelmeni, ludzie wykształceni, kulturalni i godni zaufania.

Zerkam ukradkiem do lobby, czy nie ma Malverna. Przybyli na wyścigi turyści stoją w grupkach po dwie, trzy osoby, palą papierosy i rozmawiają o treningu. Salę wypełniają ich wyraźnie obce akcenty. Z pomieszczenia przylegającego do holu dobiegają dźwięki fortepianu. Minuty mijają ospale. To dziwna, nierealna kraina zawieszona między festiwalem a wyścigami. Najbardziej zatwardziali entuzjaści wyścigów przybywają już na Festiwal Skorpiona, ale Skarmouth nie jest na tyle duże, żeby zapewnić im rozrywki na dłużej. Do samych wyścigów nie pozostaje im więc do roboty nic poza przyglądaniem się, jak żyjemy i umieramy tam, na piasku.

Wycofuję się na schody i splatam ramiona, kuląc się w przeciągu. Moje myśli nie dają się opanować, pamięć podsuwa mi kolejne obrazy i dźwięki. Mutt Malvern dosiadający Corra. Krzyk Corra. Pasemko rudych kręconych włosów na policzku Puck Connolly.

Wkraczam na grząski grunt.

Schody nad moją głową trzeszczą od czyichś kroków. Podnoszę głowę i widzę George'a Holly'ego, który zbiega na dół radośnie jak mały chłopiec. Na mój widok hamuje ostro i skręca w korytarz, w którym stoję, jakby od początku tam właśnie szedł.

– Witam, witam – mówi.

Wygląda, jakby się nie wyspał, jakby sztorm wyrzucił go na brzeg, pozwalając mu wybierać między morzem a lądem. To dziwna myśl, bo nie mam pojęcia o tym, co George Holly robi ze swoim czasem, kiedy nie ogląda koni. Z pewnością coś głośnego i entuzjastycznego, coś, co można robić w białym swetrze. To dość zaskakujące, bo czuję się zaprzyjaźniony z kimś, kto tak bardzo się ode mnie różni.

Kiwam głową.

– Sean Kendrick i jego słynne skinienie głową – komentuje Holly. – Pewnie czekasz na Malverna.

Nie dziwi mnie, że wie. Wieści o moim odejściu rozniosły się po wyspie w błyskawicznym tempie, a szept o brutalnym wyczynie Corra o poranku z pewnością jeszcze

szybciej. Znowu kiwam głową.

– I oczywiście spotyka się z tobą na klatce schodowej.

Znowu zaglądam do głównego holu. Zdaję sobie sprawę, że nie mogę się doczekać, kiedy Malvern przyjdzie i powie, co ma do powiedzenia, a zarazem mam nadzieję, że się spóźni, odwołując konieczność wysłuchania tego wszystkiego. Zaciskam pięści. Zdaję sobie sprawę, że zimno, które odczuwam, jest skutkiem zdenerwowania, a nie przeciągu.

– Potrzebujesz kurtki – mówi Holly, przyglądając mi się uważnie.

– Mam kurtkę. Niebieską.

Holly myśli przez chwilę.

– Rzeczywiście. Tę podszytą wiatrem?

– Tak, to ta. – Zaareztowana przez Puck Connolly. Może już tej kurtki nie zobaczę.

– Zastanawiałeś się kiedyś... – zaczyna Holly po chwili. – Nie, pewnie nie. Ty to prawdopodobnie wiesz. Jeżeli ktokolwiek coś na ten temat wie, to ty. Zastanawiam się od jakiegoś czasu, dlaczego konie wodne pojawiają się u wybrzeży Thisby i nigdzie więcej.

– Bo my je kochamy.

– Seanie Kendrick, jesteś starym człowiekiem. Palisz? Ja też nie. A w tym przeciągu pewnie moglibyśmy zapalić. Widziałeś już kiedyś tylu mężczyzn tak bardzo zajętych nicnierobieniem? Czy to jedyne wyjaśnienie?

Wzruszam ramionami.

– Konie zamieszkują tę wyspę od co najmniej tak dawna jak ludzie – mówię. – Na klifie, po drugiej stronie Thisby, jest namalowany czerwony ogier. Malowidło ma kilka tysięcy lat. Ile czasu trzeba spędzić w jakimś miejscu, żeby stało się domem? To jest ich dom na lądzie.

Znalazłem ten rysunek dawno temu, kiedy chciałem złapać konia wodnego. Podczas odpływu wszedłem do jaskini, która prowadziła daleko w głąb wyspy. Miałem wrażenie, że jeśli pójdę jeszcze dalej, to wyjdę na przeciwległym brzegu. A potem przyplływ wpadł do środka tak szybko i niespodziewanie, że zostałem w niej uwięziony. Spędziłem kilka godzin na maleńkiej ciemnej półce skalnej, a każda fala na nowo oblewała mnie wodą.

Gdzieś w jaskini słyszałem przeraźliwe wycie i gđkanie konia wodnego. W końcu, żeby nie spaść, położyłem się na plecach i wysoko nad głową zobaczyłem rysunek. To był ogier, jeszcze bardziej jaskrawy niż Corr. Pigment wyblakł tylko odrobinę, bo pozostawał poza zasięgiem słonecznego światła. U jego stóp namalowany był martwy człowiek z czarną kreską włosów i czerwoną linią zamiast klatki piersiowej.

Morze Skorpiona wyrzucało *eich uisce* na nasze brzegi na długo przed przyjściem na świat mojego ojca czy nawet jego ojca.

– Czy zawsze je tak szanowano? Nigdy nie próbowano ich jeść?

Rzucam mu miażdżące spojrzenie.

– Zjadłbyś rekina?

– W Kalifornii jemy rekiny.

– Cóż, to dlatego *eich uisce* nie przyplływają do Kalifornii. – Czeka, aż przestanie się śmiać, a potem dodaje: – Masz szminkę na kołnierzyku.

– Raczej końskie łajno – mówi Holly, ale próbuje coś dojrzeć. Znajduje plamę i wyciera ślad palcami. – Jest niewidoma. Celowała w ucho.

To w każdym razie wyjaśnia jego zmięty wygląd. Znowu się wychylam, żeby zajrzeć do lobby. Jest tam jeszcze więcej ludzi, niż było. Schodzą się w miarę, jak popołudnie chyli się ku końcowi i na zewnątrz robi się zimno. W tłoku nie widać Benjamin Malverna.

– Domyślasz się, co powie? – pyta Holly. – Jesteś taki spokojny.

– Jestem chory ze zdenerwowania.

– Nic nie widać.

Corr potrafi kryć w sercu tysiące uczuć, okazując tylko jedno z nich, tak jak to zrobił dzisiaj rano. Jesteśmy bardzo podobni do siebie.

Myśl o tym, w jakiej sprawie Malvern może chcieć się spotkać, jest jak ukłucie zimnej igły.

– Teraz widać – stwierdza Holly.

Marszczę brwi i znowu wyglądam zza węgła. Tym razem dostrzegam Malverna, który wchodzi do lobby i zamyka za sobą drzwi. Z rękami w kieszeniach swojego wielkiego płaszcza wkracza do hotelu, jakby był jego właścicielem. Możliwe, że jest. Z przygarbionymi ramionami i wysuniętym do przodu podbródkiem przypomina zawodowego boksera. Dotąd uważałem, że Mutt nie ma nic z Benjaminem Malverna, lecz w tym momencie wreszcie widzę podobieństwo.

Holly podąża za moim spojrzeniem.

– Lepiej będzie, jak sobie pójdę. Z pewnością nie ucieszy się, kiedy mnie zobaczy.

Nie mogę sobie wyobrazić, że stary Malvern mógłby być niezadowolony na widok jednego ze swoich klientów. A w każdym razie nie mogę sobie wyobrazić, że mógłby dać po sobie poznać, że jest niezadowolony.

– Pokłóciliśmy się – mówi Holly. – To mniejsza wyspa, niż sobie wyobrażałem. Bez obaw, dzięki moim rachunkom w dolarach nasza przyjaźń na pewno przetrwa.

Rozchodzimy się. Holly skrada się w stronę pomieszczenia, z którego dobiegają ciche dźwięki fortepianu, a ja schodzę do holu. Wystarczy chwila, żebym został rozpoznany przez obecnych. Doskonale się orientuję, kiedy to następuje, bo wszyscy nadzwyczaj dyskretnie odwracają wzrok, zdradzając się, że właśnie przed sekundą na mnie patrzyli.

Po chwili znowu widzę w tłumie Malverna, ale zaraz spostrzegam, że rozmawia z Colinem Calvertem z obsługi wyścigu. Calvert jest uprzejmiejszy od Eatona, tego anachronicznego despoty, z którym musiała rozprawić się Puck, ale on z kolei nie przyszedłby na festiwal. Jego żona zalicza się do szczególnego rodzaju chrześcijan uznających zgromadzenia, podczas których młode kobiety tańczą na ulicach, za niemoralne, choć nie mają nic przeciwko wyścigom, podczas których mężczyźni giną. Calvert dostrzega mnie i kiwa głową, a ja odpowiadam na jego pozdrowienie, chociaż moje myśli krążą już wokół czekającej mnie rozmowy. Malvern podchodzi do mnie bardzo powoli, jakby właściwie szedł zupełnie gdzie indziej.

– Seanie Kendrick – mówi.

Chcę Corra.

Nie jestem w stanie wykrztusić słowa.

Malvern pociera kciukiem ucho i patrzy na wiszący nad wielkim kominkiem obraz przedstawiający dwa konie wyścigowe czystej krwi.

– Ty jesteś kiepskim rozmówcą, a ja jestem kiepski w przegrywaniu, więc ujmijmy to tak: jeśli wygrasz, sprzedam ci go. Jeżeli jednak nie wygrasz, nie chcę o tym więcej słyszeć.

I słońce weszło nad oceanem.

Teraz zdaję sobie sprawę, że nie miałem już nadziei.

Wygrałem cztery razy. Mogę to zrobić jeszcze raz. Możemy to zrobić jeszcze raz. Przed nami rozciąga się plaża, dokoła nas pędzą konie, spod kopyt Corra bryzga lodowata morska woda, a na końcu tego wszystkiego czeka wolność.

– Ile? – pytam.

– Trzysta. – Ma chytrą minę. Moja pensja wynosi sto pięćdziesiąt rocznie i to on ją płaci, więc doskonale wie, że proponuje mi coś, co znacznie przekracza moje możliwości. Kiedy wygrywam wyścig, dostaję osiem procent wygranej. Odłożyłem, ile mogłem.

– Panie Malvern – mówię. – Chce pan, żebym wrócił, czy dalej bawimy się w kotka i myszkę?

– Chcieć i potrzebować to dwie różne rzeczy – odpowiada Malvern. – Dwieście dziewięćdziesiąt.

– Pan Holly zaproponował mi pracę.

Malvern wygląda, jakby cierpiał, chociaż nie jestem pewien, czy to na myśl, że mnie straci, czy na wzmiankę o Hollym.

– Dwieście pięćdziesiąt.

Zakładam ręce. Dwieście pięćdziesiąt to nadal wygórowana cena.

– Kto inny odważy się do niego zbliżyć po dzisiejszym dniu, panie Malvern?

– Wszystkie kogoś zabiły.

– Nie wszystkie kogoś zabiły, mając pana syna na grzbiecie.

Jego twarz przypomina rżnięte szkło.

– Podaj swoją cenę.

– Dwieście.

To drogo, ale tyle jestem w stanie zapłacić. Co prawda z trudem, ale jestem.

– W tym momencie odchodzę od stołu, panie Kendrick.

Jednak nie odchodzi. Ja stoję i czekam. Teraz, kiedy milczymy, zdaję sobie sprawę, że w lobby panuje cisza. I dopiero w tej chwili w pełni rozumiem, dlaczego nie spotykamy się w herbaciarni, w stajni czy w jego biurze. Tu Malvern może sobie zrobić najlepszą reklamę. Jego nazwisko jest teraz na ustach wszystkich.

Malvern wypuszcza powietrze.

– Dwieście. Miłych wyścigów, panowie.

Wkłada ręce do kieszeni i wychodzi. Calvert otwiera mu drzwi, wpuszczając snop oślepiającego popołudniowego światła.

Muszę wygrać.

Rozdział czterdziesty czwarty

Puck

– Kate, zdajesz sobie przecież sprawę, że to nie twoja wina – rozlega się zmęczony głos ojca Mooneyhama, ale mam wrażenie, że on zawsze mówi takim tonem, kiedy się spowiadam.

Przyglądam dłońmi tunikę. Żle się czułam, wkładając do kościoła spodnie; w sukience jednak nie mogłabym siedzieć w siodle. Doszłam do wniosku, że tunika to uczciwy kompromis.

– Tak, lecz mimo to czuję się winna. Ostatnia trzymałam go za rękę. Gdy ją puściłam, umarł.

– Ale z pewnością i tak by umarł.

– Może nie. Może gdybym tam została i dalej trzymała jego dłoń... Nigdy się tego nie dowiem. Zawsze będę się nad tym zastanawiała.

Patrzę na jasny witraż nad ołtarzem. Konfesjonał jest tak zbudowany, że widać z niego całe wnętrze świątyni. Najwyraźniej kościół pod wezwaniem Świętego Kolumbana pochodzi z czasów wcześniejszych niż spowiedź, księży czy grzech, bo nie od razu był w nim konfesjonał.

Zasłona znajduje się tylko między spowiednikiem a penitentem, którego nic nie odgradza od reszty świątyni. Sama kotara jest zresztą absurdalna. Po pierwsze, ksiądz może sobie po prostu patrzeć, jak penitent idzie w jego stronę między ławkami, a po drugie, ojciec Mooneyham tak dobrze zna głosy wszystkich mieszkańców wyspy, że wiedziałby, które grzechy są czyje, nawet gdyby był niewidomy. Jediną prawdziwą korzyścią z zasłony jest to, że pozwala dłużyć w nosie bez świątobliwej widowni. Widziałam, jak Joseph Beringer to robił.

W tym momencie ojciec Mooneyham wydaje się trochę zniecierpliwiony.

– To mi wygląda na egotyzm, Kate. Przypisujesz wielką moc czemuś, co jest w końcu tylko twoją ręką.

– Sam ksiądz zawsze mówi, że Bóg działa przez nas. Może chciał, żebym tam została i trzymała jego dłoń.

Na chwilę za kotarą zapada cisza.

– Nie wszystkim jest dane czynić cuda własnymi rękami. Gdyby tak było, balibyśmy się czegokolwiek dotknąć. Czy czułaś się powołana do tego, aby zostać przy jego boku? Nie? W takim razie zostaw swoje poczucie winy za sobą.

W jego ustach to brzmi jak coś, co mogę zawinąć w woskowany papier i zostawić przy drzwiach dla Puffin. Opadam na oparcie krzesła i patrzę w górę, na sklepienie kościoła.

– Poza tym jestem wściekła na swojego brata – dodaję po chwili. – Gniew jest grzechem, prawda? – Pamiętam, że Bóg czasami wpadał w słuszny gniew i to było w porządku. Czuję, że i mój gniew na Gabe'a za jego decyzję o wyjeździe z wyspy też jest do pewnego stopnia słuszny, więc może właściwie to wcale nie jest grzech.

– Dlaczego czujesz złość?

Ocieram łzę z policzka. To bardzo przebiegła łza, ponieważ nawet nie poczułam, że napłynęła mi do oka.

– Bo nas zostawia, choć nawet nie ma prawdziwego powodu. A ja nic nie mogę na to poradzić.

– Gabriel – mówi ojciec Mooneyham. Bo oczywiście wie, którego z braci mam na myśli.

Nie odzywa się przez kilka minut, tylko pozwala mi płakać. Pomarańczowe i niebieskie światło z witraża odnajduje drogę przez moje dłonie i pada mi na twarz. W kościele jest bardzo cicho. Wreszcie wycieram policzek rękawem tuniki.

Zasłona chwieje się odrobinę. Potem wyłania się zza niej ręka ojca Mooneyhama i podaje mi chusteczkę. Ocieram łzy, a jego ręka znika. Próbuję opanować płacz, lecz nie bardzo mi się to udaje.

– Nie mogę powtórzyć ci tego, co on powiedział mi tutaj, Kate. I nie wiem, czy poczujesz się lepiej, wiedząc, że siedział na tym samym krześle, na którym ty teraz siedzisz, i też płakał.

Próbuję sobie wyobrazić płaczącego Gabe'a, ale bez powodzenia. Nawet na pogrzebie rodziców patrzył suchymi oczami w dziurę w ziemi. Drżał tylko na wietrze, pozwalając Finnowi i mnie opierać się o niego i szlochać. Mimo to obraz Gabe'a szlochającego w konfesjonale zakrada się do mojej głowy i sprawia, że mięknę. To nie w porządku, że ten hipotetyczny Gabriel wywiera na mnie taki magiczny wpływ.

– Ale on nawet nie musi jechać.

– Hm. Zdradzę ci tylko jedną rzecz, którą powiedział twój brat, Kate. Powiedział, że ty nie musisz startować w wyścigach.

– Oczywiście, że muszę! Potrzebujemy pieniędzy.

– I wyścig jest twoją odpowiedzią na ten problem. Tak według ciebie można go rozwiązać. Gabe ma także pewien kłopot i wyjazd jest dla niego rozwiązaniem.

Takie okropnie logiczne spojrzenie na sprawę bardzo mnie denerwuje.

– Czy opieka nad wdowami i sierotami nie jest rzeczą świętą? Czy nie powinien się nami opiekować? – Ale w tej samej chwili przypominam sobie, gdy mówił: „Nie mogę już tego znieść”. Opiekował się nami. Od tamtego pogrzebu, na którym miał suche oczy i był dla nas oparciem w żalu, aż do ostatnich dni, kiedy pracował do późna w porcie, chcąc nas uchronić przed eksmisją. Nagle czuję, że po prostu egoistycznie zazdroszczę mu jego ucieczki. Wzdycham. – Dlaczego to musi być wyjazd? Czy on nie może znaleźć innego rozwiązania? Nie może zmienić zdania?

Ojciec Mooneyham zastanawia się nad tym.

– To, że wyjeżdża, nie znaczy, że nie wróci. Nie zaszkodziłoby, gdybyś trochę pomedytowała nad historią o synu marnotrawnym.

To jest mniej więcej tak pocieszające jak pusty dom, gdy jest się samotnym. Wpycham chusteczkę ojca Mooneyhama z powrotem pod zasłonę, a potem spoglądam gniewnie na witraż nad ołtarzem. Jest tam trzynaście czerwonych szybek pośrodku. Mama (a może to był ktoś inny?) powiedziała mi kiedyś, że miały przedstawiać krople krwi Kolumbana. Tutaj poniósł męczeńską śmierć. Działo się to, zanim jeszcze mieszkańcy Thisby zrozumieli, że spowiedź, księża i odpuszczenie grzechów są dla nich dobre, więc zabili Kolumbana i zrzucili go z zachodnich klifów. Pewnego października jego ciało wypłynęło razem z *eich uisce*. Ponieważ nie zaczęło się rozkładać, nawet po bardzo długim czasie w oceanie, uznano go za świętego. Zdaje się, że za ołtarzem wciąż jeszcze jest fragment kości jego szczęki.

To mi nagle przypomina, że Gabe w wieku piętnastu lat postanowił zostać księdzem. Przez dwa tygodnie nie było z nim żadnej zabawy. To on opowiedział mi historię Kolumbana. Pamiętam, że siedziałam z nim wtedy w ławce. Włosy zaczesywał do tyłu, bo uważał, że to mu nada bardziej uduchowiony wygląd. Czuję tęsknotę za tamtym głupio poważnym Gabe'em i tą ufną, choć wiecznie niezadowoloną Puck, którą wtedy byłam.

– Nie zada mi ksiądz pokuty? – pytam.

– Kate, musisz mi jeszcze wyznać swoje grzechy.

Wracam myślą do minionego tygodnia.

– W poniedziałek zamierzałam wezwać imię Pana nadaremno. No, może niezupełnie: „O Boże!”. Miałam zamiar powiedzieć: „Jezu Chryste!”. I zjadłam całą pomarańczę, a potem nie przyznałam się Finnowi, bo wiedziałam, że będzie zły.

– Idź do domu, Kate – mówi ojciec Mooneyham.

– Naprawdę byłam okropna. Tylko że nie mogę sobie teraz nic konkretnego przypomnieć. Nie chciałabym, żeby ksiądz myślał, że jest inaczej.

– Poczujesz się lepiej, jeżeli zmówisz dwa razy *Zdrowaś, Maryjo* i *Wyznanie wiary Świętego Kolumbana*?

– Tak, dziękuję.

Rozgrzesza mnie. Czuję się rozgrzeszona.

Kiedy wstaję, widzę, że ktoś czeka w ławce po przeciwnej stronie kościoła, żeby się wyspowiadać. To Annie, najmłodsza siostra Dory Maud. Ma trochę rozmazaną szminkę, ale powiedzenie tego niewidomej kobiecie wydaje mi się okrutne, więc nic nie mówię. Dopiero po chwili dostrzegam Elizabeth na końcu tej samej ławki, z upiętymi wysoko włosami i rękami złożonymi na piersi. Ciężko stwierdzić, która z nich przyszła do spowiedzi. Annie wydaje się rozmarzona, lecz ona zawsze tak wygląda, bo nie widzi dalej niż na metr. Elizabeth jest chyba trochę zła, ale ona też zawsze tak wygląda, bo widzi zupełnie wyraźnie.

– Dzień dobry, Puck – odzywa się Elizabeth.

Annie pozdrawia mnie swoim miękkim głosem.

– Dokąd idziesz? – pyta Elizabeth.

Robi mi się trochę lżej.

– Muszę oddać kurtkę.

Rozdział czterdziesty piąty

Puck

Zanim jeszcze wchodzę w ciemną o zmierzchu aleję, która prowadzi do stajni Malverna, bliskość wielkiej hodowli zwiastują pasące się stada i zapach dobrego nawozu wytwarzanego przez dobre konie z dobrego siana. Koński nawóz w pewnym sensie przypomina zadrapanie kota. Ani jedno, ani drugie nie jest bardzo przykre, jeśli nie ma tego zbyt dużo i nie jest zbyt świeże. Nie ma też nic nieprzyjemnego w woni trawy, siana i nawozu w stajni Malverna. To był długi dzień, który jeszcze wcale się nie skończył, więc pozwalam sobie na niewinne, lecz niezwykle miłe wyobrażanie sobie, że te pochyłe łąki i błyszczące klacze po obu stronach alei są moje i że spaceruję teraz po swojej stadninie, przepelniona pogodnym zadowoleniem płynącym z pewności tego, co się posiada, i świadomości, że na obiad będzie się jadło coś, co kiedyś było krową.

Na torze po lewej stronie dostrzegam wychudzonego mężczyznę dosiadającego czystej krwi wałacha. Strzemiona ma przypięte krótko jak dżokej, którym zapewne jest, a gdy jedzie klusem, wygląda, jakby unosił się nad grzbietem konia. Inny facet przygląda mu się, oparty o ogrodzenie, i gdybym miała duszę hazardzisty, jak Dory Maud, obstawiałabym, że nie jest stąd. Choćby dlatego, że ma na nogach białe buty, a nie wydaje mi się, żeby gdziekolwiek na Thisby sprzedawano białe buty. Bliżej głównego budynku inny stajenny prowadzi siwego konia o mokrej sierści w kierunku jednego z pastwisk. Zwierzę wydaje się czystsze, niż ja się czuję, i znacznie lepiej odżywione. Potem przez otwarte drzwi stajni dostrzegam kasztanowatego konia uwiązanego w przejściu. Chłopak właśnie go szczotkuje. Wieczorne światło wlewa się do środka, malując na podłodze purpurową kopię zwierzęcia i stajennego. Na podwórzu rozlega się ciche rżenie, na które odpowiada ze stajni inny koń.

Właśnie tak wyobrażałam sobie znaną hodowlę koni wyścigowych i zabawnie się przez to czuję. Nie należę raczej do osób ambitnych i nigdy nie poświęcałam czasu na marzenia o posiadaniu własnej stajni. Ogólnie mam niezbyt dobre wyobrażenie o ludziach, którzy tracą czas na wzdychanie, biadolenie i rozdzieranie szat z powodu rzeczy, których nie mają i nigdy nie będą mieli. To wina taty, którego życiowa filozofia polegała na odróżnianiu tego, czego się chce, od tego, czego się potrzebuje. A jednak, stojąc tutaj i zaglądając w serce stajni Malverna, czuję niewielkie, ale bolesne ukłucie smutku.

Zastanawiam się, czy warto byłoby być Benjaminem Malvernem i wieść takie życie jak on.

– W czym mogę pomóc?

Patrzę z rozdrażnieniem na swój cień, a potem lokalizuję głos. To stajenny ze świeżo wykąpanym siwym koniem czystej krwi. Cóż to za świat, w którym konie się kąpią? Jak koń w ogóle może się pobrudzić w miejscu takim jak to? Mężczyzna zatrzymał się w połowie drogi przez podwórze. Siwy koń go popycha, jednak on go ignoruje.

– Szukam Seana Kendricka.

Dziwnie brzmi, kiedy mówię to głośno. Wyciągam rękę z jego kurtką, jakby to było zaproszenie. Czuję, że serce zaczyna mi szybciej bić.

– Gdzie jest Kendrick?! – woła stajenny do chłopaka, który właśnie wychodzi z jednego z mniejszych budynków. Naradzają się. Wiercę się nerwowo. Nie spodziewałam się, że zostanę potraktowana tak poważnie.

– W środku – mówi stajenny. – Powinien być w głównej stajni.

Nie pytają, czego od niego chcę, ani nie mówią, żebym sobie poszła, chociaż mają te

swoje ciekawskie, pomocne miny, jakby tylko czekali na to, co teraz zrobię. Dziękuję im i wchodzę na podwórze. Nie zapominam o dokładnym zamknięciu za sobą bramy, tak jak ją zastałam, ponieważ mam świadomość, że niedomknięcie wrót to najgorsze przestępstwo, jakie można popełnić na terenie stadniny.

Udaję, że nie czuję na sobie wzroku stajennych, kiedy wchodzę do budynku. Trudno o nim myśleć jak o stajni, mimo obecności koni, bo jego zadziwiające wnętrze bardziej przypomina kościół Świętego Kolumbana ze swoim wysokim sklepieniem, kamiennymi rzeźbami i odbijającym się od nich echem. Brakuje tylko konfesjonału z bezsensowną zasłonką. Stajnia z jakiegoś powodu przywodzi mi na myśl skałę, na której jeźdźcy rozlewali krew podczas festiwalu.

Z wielkim wysiłkiem odrywam wzrok od sklepienia. Chłopak w przejściu wciąż szcztokuje kasztanowego konia, więc staram się nie wyglądać jak Finn, kiedy gapi się poządlawie swoimi ogromnymi oczami. Zarówno stajenny, jak i koń wyglądają czysto i profesjonalnie, a ja czuję się brudna i nie na miejscu w swoich spodniach, tunice i swetrze z kapturem. Wskazuję miejsce, gdzie uwiąz jest przymocowany do ściany, co jest równoznaczne z zadaniem pytania: „Czy mogę pod tym przejść?”, a chłopak kiwa głową. Ma taką samą surową, ciekawską minę jak pozostali. Jestem przekonana, że ich zainteresowanie bierze się po prostu stąd, że jestem tu obca. Aż do chwili, kiedy go mijam.

– Wiesz, myślę, że masz jaja, żeby startować w wyścigu na tej swojej klaczy – mówi w taki sposób, że biorę to za komplement, chociaż nie jestem pewna, czy rzeczywiście miał nim być.

– Dzięki – odpowiadam na wszelki wypadek. – Gdzie mogę znaleźć Seana Kendricka? – Znowu pokazuję jego kurtkę.

Wydaje mi się bardzo ważne, aby wszyscy wiedzieli, że mam powód, żeby go szukać. Chłopak wskazuje głową w głąb przejścia z rzędem pięknych, lśniących drzwi zwieńczonych kamiennymi łukami, jakby każdy boks był świątynią, a konie w ich wnętrzach bogami. Idę do końca, gdzie zauważam zagrodę z jasnymi słupkami z kamienia zamiast żelaznych prętów i charakterystyczny kształt głowy czerwonego ogiera za nimi.

Podchodzę cicho do boksu i z początku wydaje mi się, że Seana tutaj nie ma. Nie wiadomo, dlaczego mnie to irytuje, ale wtedy dostrzegam go wśród cieni tuż nad podłogą. Kuca przy nogach Corra, owijając je nad kopytami. Robi to bardzo powoli – najpierw jeden raz przekłada owijkę wokół pęciny Corra, potem spluwa na palce i dotyka jego skóry. Następnie okrąży końską nogę ponownie i znowu spluwa. Szyja Corra cały czas jest wygięta; koń wygląda przez małe okienko swojego boksu. Widzi przez nie gołą skałę z odrobiną murawy, uczeplonej jej brzegów. Według mnie to raczej nudny widok, ale ogier sprawia wrażenie, jakby przyglądał mu się z przyjemnością. Pewnie lepsze to niż ściany.

Przez chwilę tylko obserwuję Seana – jak poruszają się jego ramiona, kiedy nie są ukryte pod kurtką, jak pochyla głowę, pochłonięty pracą. Albo nie zauważył mojego przyjścia, albo udaje, że nie zauważył. Tak czy inaczej, to mi nie przeszkadza. Przyjemnie jest patrzeć na dobrze wykonywaną pracę lub przynajmniej na pracę, w którą ktoś wkłada wiele starań. Próbuje sobie przypomnieć, jak to się dzieje, że Sean Kendrick wydaje się tak niepodobny do innych ludzi, co w nim takiego jest, że sprawia wrażenie skupionego i spokojnego zarazem, i w końcu dochodzę do wniosku, że to ma coś wspólnego z wahaniem. Najczęściej ludzie wahają się, zanim zrobią kolejny krok, albo coś ich przed tym powstrzymuje, albo działają jakoś nierównomiernie. Nieważne, czy chodzi o owijanie nóg konia, jedzenie kanapki czy po prostu przeżywanie życia. Tymczasem Sean chyba nigdy nie wykonuje żadnego ruchu, którego nie byłby pewien, nawet jeśli miałyby to oznaczać, że w ogóle nie będzie się poruszał.

Corr odwraca głowę, żeby spojrzeć na mnie lewym okiem, i wtedy Kendrick podnosi wzrok. Nic nie mówi, a ja wyciągam rękę z kurtką, aby mógł ją zobaczyć.

– Nie udało się sprać całej krwi.

Sean pochyla się z powrotem. Zastanawiam się, czy zostawić kurtkę przed wejściem do boksu, czy czekać, aż on się odezwie. Wtedy Sean kończy owijanie i staje przede mną. Przyciska palcami bok szyi Corra.

– To bardzo miło z twojej strony – mówi.

– Wiem – odpowiadam. Derka Dove właściwie nie musiała być jeszcze prana, ale i tak ją uprałam, skoro miałam kurtkę Kendricka. Szorowałam ją, aż pomarszczyła mi się skóra na palcach, a moja dobra wola zamieniła się w irytację. – Co robisz?

– Owijam mu nogi wodorostami.

Nigdy nie słyszałam o owijaniu koniom nóg wodorostami, lecz Kendrick podchodzi do tej czynności bardzo poważnie, więc musi istnieć ku temu jakiś powód.

Wskazuję kurtkę.

– Gdzie ci ją zostawić? – pytam tylko z uprzejmości.

Wcale nie chcę, żeby odpowiedział. Nie wiem, co właściwie chciałabym, aby powiedział, ale pragnę, żeby to było coś, co da mi pretekst, aby tu zostać i przyglądać mu się jeszcze przez kilka minut. Przyznanie się do tego przed sobą poważnie rani moją dumę, bo, nie licząc dziecięcego marzenia o poślubieniu doktora Halsala, zawsze sądziłam, że fascynacja kimkolwiek oprócz siebie samej mi nie grozi, że jestem ponad tym.

Sean zerka w alejkę, jakby rozglądał się za miejscem, gdzie mogłabym powiesić kurtkę, jednak potem patrzy na mnie ze zmarszczonym czołem, jakby wcale niczego nie szukał.

– Prawie skończyłem. Możesz zaczekać?

Próbuję nie patrzeć na jego rękę na szyi czerwonego ogiera. Jego palce na skórze zwierzęcia są ostrzeżeniem – w ten sposób Sean przekazuje Corrowi, żeby zachował dystans, ale też uspokaja go. Tak dotknęłabym Dove, chcąc jej przypomnieć, że jestem obok. Różnica polega na tym, że Corr wczoraj zabił człowieka.

– Z minutę czy dwie chyba mogę – odpowiadam.

Sean omiata mnie spojrzeniem w ten swój charakterystyczny sposób, z góry do dołu i z powrotem; odnoszę wrażenie, że zagląda do najgłębszych zakamarków mojej duszy, wyciągając z nich niecne zamiary i nikczemne uczynki. To gorsze niż spowiedź u ojca Mooneyhama.

– Jeżeli mi pomożesz, to na pewno pójdzie szybciej – proponuje.

Nieznaczne zmrużenie oczu, kiedy to mówi, podpowiada mi, że to rodzaj testu. Jestem czy nie jestem na tyle odważna, żeby wejść do boksu z Correm po tym, co się stało wczorajszego ranka, teraz, gdy już miałam czas to sobie przemyśleć. Serce mi zamiera. Zdaję sobie nagle sprawę, że tu nie chodzi o to, czy ufam Corrowi. To kwestia zaufania do Seana.

– A jak miałyby wyglądać ta pomoc? – pytam i dostrzegam, że twarz Seana rozjaśnia się jak pogodny dzień nad Skarmouth.

Jeszcze raz spluwa na palce i popycha Corra w stronę tylnej ściany boksu, żeby zrobić miejsce na otwarcie drzwi. Wchodzę do środka.

– Nie powinnaś mu ufać – mówi.

– A tobie? – Mrużę oczy.

Wyraz twarzy Kendricka się nie zmienia.

– Ja nie zrobię ci krzywdy. Wiesz, jak się owija nogi?

– Od urodzenia owijam koniom nogi – odpowiadam oschle, bo czuję się urażona.

– Nie miałaś lekko jako niemowlę – zauważa Sean i wskazuje wiadro pod ścianą.

W środku jest czarne jak smoła. – To się daje pod owijkę. Musi być równo rozsmarowane.

Nie spuszczałem oka z Corra, cały czas jestem czujna; podnoszę wiadro.

– Uwważaj, żeby wodorosty były gładko rozłożone.

– W porządku.

– Zostaw trzy centymetry pod kolanem.

– Dobrze.

– Powinno być tyle luzu, aby swobodnie dało się włożyć palec od góry.

– Seanie Kendrick – mówię tak dobitnie, że ogier strzyże uszami w moją stronę.

Wolałam, kiedy mnie nie dostrzegał. Jego zainteresowanie przypomina mi o czarnym *each uisce*, który odwiedził Finna i mnie w szopie.

Sean wcale nie zamierza się usprawiedliwiać.

– Może jednak będzie lepiej, jeżeli sam to zrobię.

– To ty chciałeś, żebym tu weszła – przypominam mu. – A teraz mi nie ufasz.

– Nie tylko tobie – odpowiada.

Patrzę na niego gniewnie.

– Coś ci powiem. Ja go przytrzymam, a ty owijaj. Przynajmniej nie będziesz mógł zwalić na mnie, jeśli coś będzie nie tak. I bierz swoją kurtkę. Nie chce mi się jej dłużej trzymać.

Sean przygląda mi się, jakby mnie oceniał, jakby nie mógł się zdecydować, czy dam sobie radę.

– W porządku – mówi. Wyciąga rękę przed nosem Corra jak ostrzeżenie. Wymieniamy się: on bierze kurtkę, a ja uwiąz. Narzuca kurtkę na siebie, w jednej chwili przeistaczając się w Seana Kendricka, którego zobaczyłam u rzeźnika.

– Trzeba patrzeć na zęby – ostrzega.

– Widziałam. – Mój głos brzmi niezamierzenie gorzko.

– Nie był wtedy sobą – zaczyna Sean. – *Eich uisce* trzeba poznać i robić z tej wiedzy użytek. Nie można po prostu powiesić wszystkich dzwonek, jakie się ma, na wszystkich koniach, które żyją w morzu. Reagują różnie. To nie są maszyny.

– Chcesz powiedzieć, że David Prince żyłby dzisiaj, gdybyś to ty siedział na Corrze? – To jest pytanie, na które oboje znamy odpowiedź, więc pytam: – Dlaczego?

Sean schyla się i przechodzi pod nogą Corra, przesuwając dłoń po jego brzuchu, tak żeby ogier wiedział, że wciąż tam jest.

– A ty nie wiesz, kiedy twoja klacz się denerwuje?

Oczywiście, że wiem. Dorastałam na jej grzbiecie.

Wiem, gdy jest nieszczęśliwa, tak samo jak ona z pewnością wie, kiedy mnie coś trapi.

– Wróciłeś do Malverna? – pytam.

Podnoszę głowę, bo w budynku zapalają się światła, wypełniając wnętrze żółtawym blaskiem, niezupełnie sięgającym podłogi. Owijanie idzie teraz Seanowi znacznie szybciej. Pracuje jednostajnie, bez przerw na płucie, widać, że wcześniej, gdy nikt Corra nie trzymał, skłonienie go, aby stał bez ruchu, musiało być trudne. Czy w tej bajeranckiej stajni nie ma nikogo, kto przytrzymałby konia wodnego, kiedy Sean pracuje? Corr stoi potulny jak baranek, chociaż zdaję sobie sprawę, że jego oczy są przebiegłe jak u lisa.

– Malvern powiedział, że będę mógł odkupić od niego Corra, jeżeli wygram – mówi Sean, nie podnosząc głowy.

– Czy to oznacza powrót?

– Tak.

– A co, jeśli nie wygrasz?

Sean patrzy na mnie.

– A co, jeśli ty nie wygrasz?

Nie chcę odpowiadać, więc zamiast tego pytam:

– Co zrobisz, jeżeli wygrasz?

Skończył już owijanie, jednak wciąż kuca przy nodze Corra.

– Zabiorę Corra, przeniosę się do domu swojego ojca na zachodni klif i tylko wiatr będzie mógł zmieniać moje plany i decyzje.

Jestem sceptyczna. Może dlatego, że właśnie odkryłam onieśmielające piękno stajni Malverna.

– Nie brakowałoby ci tego wszystkiego?

Sean znowu zerka na mnie. Kiedy patrzę na niego pod tym kątem, wygląda, jakby ktoś rozsmarował mu węgiel pod oczami.

– Czego miałoby mi brakować? Tutaj nic nigdy do mnie nie należało. – Wzdycha ciężko. Odnoszę wrażenie, że ze wszystkiego, co od niego słyszałam, te słowa najbardziej przypominają szczere wyznanie. Wstaje. – Co z tobą, Kate Connolly? Puck Connolly?

Domyślam się, że pomylił moje imię celowo; powtarza je, jakby podobało mu się brzmienie mojego nazwiska, i to sprawia, że czuję przyjemne ciepło połączone ze zdenerwowaniem.

– Co ze mną?

Znowu się wymieniamy, wiadro za uwiąz, i robię jeden krok do tyłu.

– Co zrobisz, jeżeli wygrasz Wyścig Skorpiona?

Zaglądam do kubła.

– Hm, nakupię sobie kiecek, wybuduję drogę i nazwę ją swoim nazwiskiem, a potem spróbuję po jednym z każdego rodzaju ciastek u Palssona.

Chociaż nie podnoszę wzroku, wciąż czuję na sobie jego spojrzenie. Ciężkie do udźwignięcia.

– A naprawdę? – pyta.

Ale kiedy próbuję sformułować prawdziwą odpowiedź, przypominam sobie ojca Mooneyhama, który mówił, że Gabe siedział w konfesjonale i płakał, i uświadamiam sobie, że bez względu na to, co wydarzy się podczas wyścigu, najlepsza wersja wydarzeń i tak jest równoznaczna z wyjazdem Gabe'a. Więc rzucam:

– Myślisz, że wszystkim opowiadam o swoich sprawach osobistych?

Nie wygląda, jakby się przejął.

– Nie wiedziałem, że to sprawa osobista – tłumaczy się. – Inaczej bym nie pytał.

Czuję się przez to małoduszna, zważywszy na to, że on odpowiedział tak szczerze.

– Przepraszam – mówię. – Moja mama twierdziła, że wyszłam z butelki octu zamiast z jej łona i że potem moczyli mnie z ojcem trzy dni w cukrze, żeby zabić kwaśny smak. Próbuję się zachowywać przyzwoicie, ale ocet jakoś zawsze wylazi. – Kiedy tacie zdarzyło się być w nastroju do fantazjowania, opowiadał gościom, że chochliki zostawiły mnie na progu, bo za często gryzłam je w palce. Jednak najbardziej lubię historyjkę, którą opowiadała mama: zanim się urodziłam, padało przez siedem dni z rzędu, a gdy mamusia wyszła na podwórze, żeby zapytać niebo, dlaczego szłocha, spadłam spomiędzy chmur prosto pod jej nogi i wtedy wyszło słońce. Zawsze podobała mi się myśl, że sprawiałam aż tyle kłopotu, że miałam nawet wpływ na pogodę.

– Nie przepraszaj. Byłem zbyt bezpośredni – mówi do mnie Sean.

Teraz czuję się jeszcze gorzej, ponieważ wcale nie to miałam na myśli.

Corr gwałtownie przestępuje z nogi na nogę, poruszając łbem w sposób, który wydaje się bardziej wilczy niż koński. Widząc to, Sean spluwa na palce i znowu przyciska Corra do ściany.

Boję się, że zaraz każe mi wyjść z boksu, więc pytam pośpiesznie:

– Dlaczego plujesz? Robiłeś to już wcześniej. – Nie muszę udawać zainteresowania. W głębi ducha chciałabym poznać to, co dorośli przez lata tak starannie przede mną ukrywali.

Sean przygląda się swoim palcom, jakby zamierzał splunąć na nie demonstracyjnie, a potem po prostu zaciska i otwiera dłonie. Patrzy na Corra, jakby się spodziewał, że to on odpowie na moje pytanie.

– Chodzi o... ślinę. Jest jak sól. Ślina jest częścią mnie, to sposób, żeby być tam, gdzie reszta mnie nie może się znaleźć.

Przypominam sobie, że wtedy na plaży ogier uspokoił się w obecności Seana, chociaż nie chciał tego zrobić przy nikim innym.

– Coś mi mówi, że moja ślina nie znaczy dla niego tak wiele jak twoja.

– Może jeszcze nie – odpowiada po dłuższej chwili.

Jeszcze! Chyba nigdy nie słyszałam tak ładnego słowa.

– A kiedy do niego szepczesz, co mu mówisz?

Sean staje przy barku Corra i po raz pierwszy się do mnie uśmiecha. To ledwo widoczny uśmiech; nie wydaje mi się, żeby coś go bawiło albo śmieszyło, więc nie jestem pewna, jak go zinterpretować. Z tym uśmiechem wygląda młodziej, łatwiej spojrzeć mu w oczy i chyba właśnie dlatego go unika. Opiera policzek o bok Corra i mówi:

– To, co chciałby usłyszeć.

Jedno ucho Corra odwraca się szybko w stronę Seana. Drugie pozostaje nachylone w moim kierunku. Nie mam ochoty odrywać oczu od Kendricka opartego o Corra. Ten widok coś w sobie ma – masywny czerwony gigant, który z łatwością zabił człowieka, i drobny ciemny chłopak obok niego, jak dobrzy przyjaciele – to mnie fascynuje i przeraża.

Sean widzi, że mu się przyglądam.

– Boisz się go? – pyta.

Nie chcę odpowiedzieć twierdząco, bo nie boję się go w tej chwili, gdy bardziej przypomina konia niż demona, ale nie zaprzeczam, bo wczorajszego ranka na plaży byłam przerażona. Zaprzeczyłabym, tak czy owak, lecz jestem pewna, że Sean Kendrick ze swoim przeszywającym spojrzeniem przejrzałby mnie na wylot, wychwytyjąc wszystkie niejednoznaczności ukryte w tej odpowiedzi. Dlatego mówię tylko:

– Sam powiedziałeś, że mu nie ufasz.

– Nie ufam też morzu, bo prędzej czy później by mnie zabiło. Ale to nie znaczy, że się go boję.

Marszczę czoło. Znowu przypominam sobie Seana, który pochylony na grzbiecie czerwonego ogiera, galopuje na oklep szczytami klifów. Seana, który nie może znieść widoku Mutta Malverna na grzbiecie Corra. Pierwszy raz nie uciekam przed spojrzeniem jego zmrużonych oczu.

– Ale to nie znaczy też chyba, że się w ogóle nie boisz. Kochasz je, prawda? Kochasz Corra.

Sean Kendrick wzdryga się, jakbym go przestraszyła. Milczy tak długo, że dobiegają mnie dźwięki z zewnątrz, wołania, rżenie koni, szum wody, trzaskanie drzwi.

– A ty kochasz tę wyspę. Czy to nie to samo? – pyta w końcu.

Wiem, że nie mogę zaprzeczyć. Oczywiście to prawda, że na tej wyspie mam takie same szanse zginąć jak przeżyć, i prawdą jest, że kocham ją mimo to. A może właśnie dlatego.

– Jakoś nie mam ochoty się z tobą sprzeczać – stwierdzam. – To żadna uciecha.

Wygląda przez okno, jak gdyby w odpowiedzi na moje słowa, i studiuje beznadziejny krajobraz na zewnątrz tak uważnie, że podążam za jego spojrzeniem, pewna, że musiał zobaczyć

coś szczególnego. Dopiero po chwili, i tylko dlatego, że dorastałam z braćmi, zdaję sobie sprawę, że utkwiał wzrok w jakimś punkcie wewnątrz pomieszczenia. Wygląda, jakby ze sobą walczył. Wiem, że pozostaje mi jedynie czekać.

– Chcesz się na nim przejechać? – pyta wreszcie.

Mam wrażenie, że się przesłyszałam. Nie mogę zapytać „słucham?”, bo jeśli słyszałam dobrze, to brzmiałoby, jakbym nie chciała, a jeżeli się przesłyszałam, to brzmiałoby, jakbym go nie słuchała.

– Wsiądę razem z tobą – dodaje.

W głowie kłębią mi się najróżniejsze myśli. Że zaledwie wczoraj widziałam, jak ten ogier przegryzł komuś gardło. Że to najszybszy koń na wyspie. Że nie powinnam tego robić ze względu na pamięć o rodzicach. Że się boję, że to pokocham. Że się boję, że będę się bała. Że nie chcę, żeby Sean Kendrick się mną rozczarował. Że nie wiem, co będę czuła w nocy, leżąc w łóżku i rozmyślając o tym, co robiłam tego dnia.

– Na klifach – mówię.

Przyływ sięga już tak wysoko, że tylko tam da się jeździć konno. Przypominam sobie, jak klacz *each uisce*, na której jechał Sean, rzuciła się z urwiska.

Przygląda mi się długo.

– Możesz odmówić.

Jednak wie, że nie odmówię.

Rozdział czterdziesty szósty

Sean

Kiedy miałem dziewięć lat, październikowy wiatr przyniósł ze sobą burzę i morze wokół Thisby zawirowało. Kilka dni przed tym, jak spadł deszcz, chmury objęły horyzont, a ocean wczołgał się wysoko na skały w poszukiwaniu ciepła naszych domów. Gonty na dachu dzwoniły jak zęby, a moja matka płakała i zasłaniała oczy. Słyszałem, jak jej łzy uderzają o szyby, jeszcze zanim zachmurzyło się niebo. A potem nadeszła wiosna i kolejny październik, później odpływ zabrał ją na stały ląd, a w zamian przyływ przyniósł mojemu ojcu Corra.

Pewnej nocy tato otworzył drzwi i wyprowadził mnie z domu w słoną ciemność. Księżyc był okrągły, pełny i śmiały. Plaża, na którą zaprowadził mnie ojciec, była płaska i przypominała tafelę szkła, bo mokry piasek odbijał światło księżyca. Ocean wydawał się bezkresny, moje serce tęskniło za jego widokiem.

Tato zabrał mnie do rozpadliny w klifie. Żeby dostać się do jej końca, musieliśmy się wspinać na coraz większe skały. W końcu znaleźliśmy się we wnęce, w której dawno temu rozszalałe morze zostawiło piękną, białą jak śmierć konchę i ludzki piszczel. Panowała tam nieprzebrana ciemność; księżyc nie mógł nas dojrzeć, chociaż my go widzieliśmy. W dole rozciągała się plaża.

Nie pamiętam, żeby ojciec kazał mi być cicho, ale i tak byłem. Księżyc wędrował po niebie, a przyływ powoli zakradał się do środka, posyłając nam gniewne, spienione fale.

Pojawiły się wraz z przyływem. Długie smugi piany w świetle księżyca wyglądały, jakby fale zbierały się w pewnej odległości od brzegu. Dokładnie w chwili, kiedy się przełamywały, *eich uisce* wpadły wraz z nimi na brzeg. Z trudem unosiły głowy, próbując uwolnić się z objęć morskiej wody. Gdy wynurzały się z oceanu, tato zbielełymi palcami złapał mnie za ramię.

– Nie ruszaj się – powiedział.

Ale ja i tak się nie ruszałem.

Eich uisce rzuciły się galopem po plaży, sprzecząc się i wierzgając, strząsając pianę z grzyw i Atlantyckich kopyt. Krzyczały do tych, które pozostały w wodzie, a ich lament sprawiał, że dostawałem gęsiej skórki. Konie wodne były szybkie i śmiertelne, dzikie i piękne. Giganty. Połączenie wyspy i oceanu. Wtedy właśnie je pokochałem.

Teraz, pod ciemnoniebieskim niebem, Puck i ja prowadzimy Corra na klify. Na jej twarzy maluje się determinacja i upór, dzielność małej łódki na niepewnym morzu. Nad nami wisi ten sam księżyc w pełni, który oświetlał ocean tyle nocy temu.

Przypominam sobie rękę ojca, która trzymała mnie za ramię zbielełymi palcami. „Nie ruszaj się”. Puck przygląda się Corrowi. Chciałbym, żeby go kochała.

Rozdział czterdziesty siódmy

Puck

Czerwony ogier jest niespokojny. Jego rozszerzone nozdrza chwytają morski wiatr, który rozwiewa mi włosy na czole. Kiedy byłam mała i jeździłam na koniu na oklep, bez uzdy, brudna jak nieboskie stworzenie, wchodziłam na płot wokół padoku albo na wystający z ziemi kamień, żeby wspiąć się na grzbiet Dove. Dzisiaj z Correm jest zupełnie tak samo, tylko że głaz, przy którym stoimy, jest większy niż te, których potrzebowałam, aby dosiąść Dove. Sean podprowadza do niego Corra.

– Spokojniejszy już nie będzie – mówi.

Moje serce już zerwało się do galopu. Nie mogę uwierzyć, że naprawdę dosiądę *each uisce*. I to nie jakiegoś konia wodnego, ale tego, którego imię jest wypisane u samej góry na tablicy u rzeźnika. Tego *each uisce*, który cztery razy wygrał Wyścig Skorpiona. Tego, który wczoraj zmiażdżył gardło Davida Prince'a. Chwytam się grzywy zwierzęcia i usiłuję nie dać się ściągnąć ze skały podczas jego tańca. W końcu udaje mi się wdrapać na grzbiet; ściskam grzywę obiema rękami.

– Teraz dam ci wodze – oznajmia Sean. – Postaraj się go przytrzymać, żebym mógł wsiąść, inaczej musiałabyś radzić sobie sama. Dasz radę?

Słyszając ton jego głosu, zdaję sobie sprawę, jak wiele sam ryzykuje, pozwalając mi dosiąść swojego konia, powierzając mi wodze.

– Czy inni dawali radę go utrzymać?

Jego twarz pozostaje niezmieniona.

– Nikt inny nie próbował. Tylko ty.

Przełykam ślinę.

– Utrzymam go.

Sean rysuje stopami półokrąg przed Correm i spluwa do niego. A potem szybko przerzuca wodze nad głową ogiera i podaje je mnie. Gdybym nigdy nie widziała ani nie dotykała Corra, to byłby moment, w którym uświadomiłabym sobie, jaki jest wielki, jak niepodobny do Dove. Poprzez wodze jakoś wyczuwam jego siłę. Są jak pajęczyny, którymi przycumowano statek do nabrzeża. Corr sprawdza mój uchwyt, a ja sprawdzam jego. Nie chcę jednak, aby testował mnie dalej.

Sean szybko siada za mną, zaskakując mnie nagłą bliskością. Czuję jego ciepło na plecach, nacisk jego bioder.

Odwracam się, żeby go o coś zapytać, a on gwałtownie odsuwa twarz.

– Och, przepraszam.

– Wszystko w porządku z wodzami? – W tym świetle jest cały czarno-biały – jego oczy ukryte w cieniu brwi.

Kiwam głową. Ale Corr nie chce iść do przodu, cofa się, kręcąc łbem. Kiedy się go naciska, unosi odrobinę przednie nogi. Nie staje dęba, lecz ostrzega. Sean mówi coś, co ginie na wietrze.

– Co?

– Półokrąg – powtarza Sean. Czuję w uchu jego ciepły oddech. Drzę, chociaż wiatr nie stał się ani trochę chłodniejszy. – On go nie przekroczy. Musisz go obejść.

Gdy uwalniamy się z półokręgu, Corr zachowuje się jak ptak podczas wichury. Nie potrafię powiedzieć, czy idzie, czy biegnie klusem, wiem jedynie to, że się przemieszczamy i że

wszystkie kierunki wydają się możliwe. Kiedy ogier szarpie na boki, przyciskam go nogą, żeby go naprowadzić, a Sean otacza mnie ramionami, aby dosięgnąć jego grzywy.

Wiem, że Sean chciał w ten sposób uspokoić Corra, nie mnie, ale dzięki temu czuję się bezpieczniej. Odwracam głowę, a on znowu się odsuwa, żeby zrobić mi miejsce. Tylko że nie wiem, co chciałam powiedzieć.

– Co... – Odczytuję słowa z ruchu jego warg, bo właściwie ich nie słyszę. – ...się dzieje?
– Zaczyna cofać ręce, a ja kręcę głową. Kosmyki włosów łaskoczą mnie po twarzy, a Sean się krzywi, gdy zaczynają dokuczać jemu. Znowu coś mówi i znowu wiatr kradnie jego głos.

Kiedy spostrzega, że go nie słyszę, nachyla się ponownie do mojego ucha. Nie mogę sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz byłam tak blisko drugiej osoby. Czuję, jak wraz z oddechem unosi się i opada jego pierś. Czuję w swoim uchu ciepło jego słów:

– Boisz się?

Nie wiem, co teraz czuję, ale to nie jest strach.

Kręcę przecząco głową.

Sean, muskając palcami skórę na moim karku, chwytając mój koński ogon i upycha mi go za kołnierz, gdzie nie rozwieje go wiatr. Unika mojego wzroku. A potem otacza mnie ramionami i przyciska łydkę do boku Corra.

Ogier daje susa do przodu.

Kiedy Dove przechodzi z galopu do cwału, czasem poznaję to tylko po tym, że jej kopyta wybijają rytm na cztery zamiast na trzy.

Jednak gdy Corr zaczyna cwałować, mam wrażenie, że to zupełnie nowy rodzaj chodu, który dopiero co został odkryty. Jest tak wyraźnie szybszy od innych, że powinien mieć zupełnie nową nazwę. Wiatr wyje mi dziko w uszach. Na polach tu i ówdzie czają się głązy, ale dla Corra nie stanowią przeszkody. Ledwo unosi kolana, a one już zostają w tyle. Czuję, jakby każdy jego krok przenosił nas o kilometr dalej. Skończy nam się wyspa, a on nawet nie zdąży się zmęczyć.

Na jego grzbiecie jesteśmy gigantami.

– Poproś go o jeszcze – mówi Sean do mojego ucha.

I kiedy ja ściskam Corra nogami, on znowu wyrывa do przodu, jakbyśmy do tej pory jedynie spacerowali. Nie mogę uwierzyć, że którykolwiek z koni na plaży mógłby być szybszy od niego. Nie mogę uwierzyć, że na świecie w ogóle istnieje koń szybszy od niego. I to z dwojgiem ludzi na grzbiecie. Jak mógłby nie wygrać wyścigów, niosąc tylko Seana?

Fruniemy.

Fruniemy z Seanem.

Czuję na nogach gorąco, które bije od skóry Corra, i dziwne, niesamowite przyciąganie, jak wtedy, kiedy morze wciska człowiekowi stopy głębiej w piasek. Czuję bicie jego serca wraz z moim, jego energią połączoną z moją i wiem, że to właśnie musi być ta tajemnicza, przerażająca moc *eich uisce*, która potrafi obezwładnić i otumanić jeźdźca, tak że ani się obejrzy, a już jest w wodzie. Jednak Sean pochyla się, opierając się o mnie mocno, żeby dosięgnąć grzywy Corra, i zawiązuje na niej supły. Trzy. Potem siedem. Potem znowu trzy. Próbuję skupić uwagę na tym, co robi Sean, zamiast myśleć o jego ramionach wokół mnie, o jego policzku przyciśniętym do moich włosów.

Puszczam wodzę na szyję Corra, a on galopuje w lewo, oddalając się od urwiska. Sean nadal ciasno mnie obejmuje, przyciskając palcami jednej ręki żyłę na karku ogiera, podczas gdy drugą ręką trzyma jego grzywę. Magia płynie przeze mnie jak wzburzona rzeka. Całe ciało ostrzega mnie przed niebezpieczeństwem *eich uisce*, którego dosiadam, ale jednocześnie krzyczy, że żyje. Pełnią życia.

Wracamy tą samą drogą, którą przyjechaliśmy. Wciąż czekam, aż Corr zwolni, zacznie

zdradzać oznaki zmęczenia, lecz słyszę tylko tętent kopyt, jego parskanie przez wędzidło, świst wiatru w uszach.

Wyspa znika pod kopytami, galopujemy równolegle do krawędzi klifu, ponad którą w świetle księżycy dostrzegam stado białych ptaków starających się nadążyć za nami. Może to mewy wlatują i ślizgają się na prądach powietrza, które posyłają je wysoko w górę. To właśnie Thisby, myślę, to wyspa, którą kocham. Nagle czuję, że wiem wszystko o niej i o sobie samej. Ale wiem także, że to uczucie minie, kiedy zsiądę z ogiera.

Wreszcie wracamy do miejsca, z którego wyruszyliśmy, i niechętnie ściągamy wodze. W uszach słyszę własne oszalałe serce, które galopuje nawet teraz, kiedy Corr już się zatrzymał.

Ześlizguję się z jego grzbietu, odchodzę kilka kroków i odwracam się; patrzę, jak zsiada Sean. Sięga do kieszeni i wyjmuję z niej garść soli albo piasku, a potem rzuca w okrąg narysowany wokół Corra i spluwa do niego. Spogląda na mnie w ten sam sposób, w jaki przypatrywał mi się na festiwalu, a ja znowu wytrzymuję jego spojrzenie. W moim wnętrzu wiruje coś dzikiego i pradawnego, lecz nie znam słów, którymi mogłabym to nazwać.

Sean wyciąga rękę i chwyta mnie za nadgarstek. Sprawdza kciukiem mój puls. Moje serce zwalnia, a potem gwałtownie przyspiesza. Czuję się unieruchomiona jego dotykiem, który działa na mnie jak magia.

Stoimy i stoimy, czekam, aż mój puls zwolni, ale tak się nie dzieje.

Wreszcie on puszcza mój nadgarstek i mówi:

– Do zobaczenia jutro na klifach.

Rozdział czterdziesty ósmy

Puck

Kiedy docieram do domu, wszystko w nim łśni. Od śmierci rodziców nie panował tu taki porządek. Stoję w drzwiach, zdumiona i skonsternowana, gdy nagle z przedpokoju wybiega Finn. Wygląda jak ktoś, kto zajął się od ognia, a potem zdołał go ugasić. Jest wykończony, jeszcze bardziej niż zwykle. Wychodzę z siebie, aby odgadnąć, o co chodzi.

– Co się stało? – pytam.

Finn raz po raz próbuje coś powiedzieć, jednak wygląda, jakby mógł mówić tylko rękami. W końcu udaje mu się wykrztusić:

– Tak sobie pomyślałem, skąd bym wiedział, gdyby coś ci się stało?

– Dlaczego coś miałoby mi się stać?

– Puck, jest noc. Gdzie byłaś? Myślałem.

Powoli zaczynam rozumieć. Widział mnie, kiedy szłam do kościoła, i widocznie spodziewał się, że niedługo wrócę.

– Przepraszam – mówię.

Finn krąży jak wicher po pokoju i zdaję sobie sprawę, że posprzątał wyłącznie dlatego, że się o mnie martwił.

– Dom wygląda wspaniale – zaczynam ostrożnie.

– Oczywiście, że tak! – warczy. – Wysprzątałem wszystko! Nawet nie wiem, ile czasu musiałyby minąć, zanim dowiedziałbym się, że nie żyjesz. Kto by mnie o tym poinformował?

– Przepraszam. Straciłam poczucie czasu.

To sprawia, że Finn wpada w jeszcze większą wściekłość. Nigdy nie widziałam go w takim stanie. Jest jak ojciec, kiedy się dowiedział, że mama kupiła od jakiegoś farmera siwego wałacha. Gotował się w środku jak burza zamknięta w czterech ścianach, ściskając oparcia krzeseł i wpatrując się w sufit, aż mama w końcu zgodziła się sprzedać konia.

– Straciłaś poczucie czasu – mówi wreszcie Finn.

– Mogę powtórzyć jeszcze parę razy, że mi przykro, tylko że nie wiem, co to zmieni.

– Na pewno niczego nie zmieni na lepsze!

– W takim razie czego ode mnie chcesz? – Prawda jest taka, że dotąd miałam wyrzuty sumienia, ale teraz moja cierpliwość się skończyła. Przecież nie mogę cofnąć czasu i wszystkiego odkręcić.

Finn ścisną oparcie fotela taty, aż bieleją mu palce.

– Dłużej tego nie wytrzymam – zaczyna i nagle widzę w nim Gabe'a. – Nie zniosę tego, że nie wiem, co się stanie, nie zniosę.

Podchodzę ostrożnie do fotela i kucam. Splatam ramiona, opieram się łokciami o siedzenie i patrzę w twarz Finna. Nie jestem pewna, dlaczego wydaje mi się teraz młodszy. Czy to bezradność ujmuje mu lat, czy może to przez to, że patrzyłam w twarz Seana Kendricka.

– To już prawie koniec. Wszystko będzie dobrze. Nic mi się nie stanie. Nawet jeśli nie wygram, wszystko będzie dobrze, jasne?

Twarz Finna jest ponura i straszna, chyba nie wierzy moim słowom.

– Puffin wróciła, prawda?

– Bez połowy ogona. Ty nie masz ogona, którego mogłabyś się pozbyć.

– Dove ma. A po tej drogiej paszy szybko jej rośnie.

Nie wiem, czy zdołałam go pocieszyć, ale już nie protestuje. Później przyciąga sobie

materac do mojego pokoju i dopycha go do przeciwległej ściany. To mi przypomina dzieciństwo. Zanim ojciec dobudował do naszego domu dodatkowy pokój dla siebie i mamy, Finn i ja dzieliiliśmy sypialnię z Gabe'em.

Po zgaszeniu światła leżymy w ciszy przez kilka długich chwil.

– Co ci zadał ojciec Mooneyham? – pyta Finn.

– Dwie *Zdrowaś, Maryjo* i jednego *Kolumbana*.

– Jezu – odzywa się Finn w ciemności. – Zasłużyłaś na znacznie więcej.

– Próbowałam mu to powiedzieć.

– Ja mu to jeszcze powiem, jak pójdę jutro. Już je zmówiłaś?

– Oczywiście. To tylko dwie *Zdrowaś, Maryjo* i jeden *Kolumban*.

Finn wierci się w ciemności.

– Mówisz jeszcze przez sen? – pytam.

– A skąd mam wiedzieć?

– Jeżeli się odezwiesz, rzucę w ciebie poduszką.

Finn znowu przewraca się na drugi bok, uklepując sobie poduszkę.

– To przecież nie na zawsze. Tylko do wyścigu.

– W porządku – mówię. Za oknem widzę zarys księżyca, który przypomina mi o dłoni Seana wokół mojego nadgarstka. Zatrzymuję ten obraz ostrożnie, bo chcę nad nim chwilę pomedytować, skoro Finn przestał gadać. Ale okazuje się, że czekając na sen, mimo woli zaczynam myśleć o tym, co Finn powiedział o mojej śmierci. Że nie wie, jak długo potrwa, zanim się o tym dowie, albo kto mu o tym powie. Uświadamiam sobie, że nie pamiętam, jak dowiedzieliśmy się o śmierci rodziców. Przypominam sobie tylko, że wypłynęli razem na łodzi, co zdarzało się niezwykle rzadko, a potem, że wiedziałam, że nie żyją. Nie tylko nie potrafię odtworzyć twarzy osoby, która nam o tym powiedziała, lecz nawet nie pamiętam chwili, kiedy nam to mówiono. Leżę z zaciśniętymi powiekami, starając się przywrócić ostrość tamtego momentu, ale jedyne, co udaje mi się przywołać, to twarz Seana i wrażenie ziemi uciekającej spod kopyt Corra.

Myślę, że na tym właśnie polega łaskawość tej wyspy: nie pozostawia nam koszmarnych wspomnień na zawsze, a te dobre pozwala zatrzymać tak długo, jak chcemy.

Rozdział czterdziesty dziewiąty

Sean

W dniu aukcji źrebiąt Malverna świt okazuje się wyjątkowo ładny, za ładny jak na październik. Straciłem zbyt dużo snu po rozstaniu z Puck wczorajszego wieczoru, więc próbuję ukraść dodatkowe pół godziny, żeby nabrać sił na to, co mnie czeka. W końcu ubieram się i schodzę na dół. Nie będzie dziś rano jazdy konnej ani zwykłych prac w stajni. Dobra pogoda, w czasie której na plaży byłoby znośnie, zmarnuje się na aukcję.

Podwórze tętni życiem, pełno tu mężczyzn ze stałego ładu z kieliszkami szampana w dłoniach o dziewiątej rano, niezwracających uwagi na żony ubrane w absurdalne futra, za ciepłe na tę temperaturę. Co jakiś czas ponad głowami obecnych rozlega się rżenie konia. Przybyli na aukcję turyści należą do bardziej schludnego gatunku niż ci, którzy przypływają bezpośrednio na Wyścig Skorpiona. Bliżej im do dżentelmenów z hotelu niż do kogokolwiek z Thisby. Wszyscy pracownicy Malverna stawili się dzisiaj w komplecie, bo aukcja utrzymuje stadninę przez resztę roku.

Ledwo zdążyłem wyjść na zewnątrz, a już George Holly chwyta mnie za łokieć.

– Sean Kendrick. Myślałem, że będziesz dzisiaj tam, między bestiami.

– Nie tym razem. – Tak naprawdę wolałbym tam być i razem ze stajennymi wyprowadzać konie na arenę, żeby mogli je oglądać kupujący. Tymczasem mam stać w zasięgu słuchu Benjamina Malverna i kiedy da mi znak spojrzeniem albo przechyleniem w moją stronę kieliszka, wychwalać pod niebiosa konia, który akurat będzie licytowany. – Dzisiaj będę sprzedawał siebie, nie konie. Sam jestem atrakcją.

– Aaa, stąd ten szykowny strój. Prawie cię nie poznałem w tym garniturze.

– Kupiłem go sobie do trumny.

George Holly poklepuje mnie po ramieniu.

– Więc zamierzasz chodzić schludnie ubrany albo umrzeć młodo. Taki młody, a taki mądry. Jeżeli twoja Kate Connolly nie widziała cię w tym ubraniu, z pewnością powinna.

Bardzo wątpię, czy na Puck zrobiłoby wrażenie moje ubranie, do którego brakuje mi tylko kieszonkowego zegarka. Jeżeli wolałaby mnie w tej wersji, byłoby to niefortunne pod każdym względem. Kładę rękę płasko na kamizelce i przyglądam guziki.

– To naprawdę duża rzecz: Sean Kendrick zakłopotany – żartuje Holly. – Kate Connolly wyraźnie zamieszała ci w głowie! A teraz powiedz mi, przyjacielu, którego konia mam kupić.

„Zamieszała” to niewłaściwe słowo. Nie mogę się skupić. Chcę siedzieć na grzbiecie Corra, zamiast dusić się w tym garniturze.

– Mettle i Finndebar.

– Fin-nde-bar? Nawet nie potrafię powtórzyć tego imienia, a tym bardziej zapamiętać. Czy Malvern mi ją pokazywał?

– Pewnie nie. To jest klacz zarodowa. Zaczyna się starzeć, więc ją sprzedaje.

Podnoszę wzrok w samą porę, żeby zobaczyć Benjamina Malverna przybywającego z grupą kupców. Chyba podoba im się pogoda na wyspie, te konie wyścigowe i ich dziwny właściciel. Malvern dostrzega mnie i widzę, że odnotowuje moje położenie celem wykorzystania w przyszłości.

George Holly i Malvern wymieniają niezbyt serdeczne spojrzenia.

– Och, nie szukam koni zarodowych.

– Ona rodzi samych zwycięzców. Co to za spojrzenie?

Holly marszczy czoło, kiedy stajenny wprowadza rocznego źrebaka.

– To moje spojrzenie na klacze zarodowe.

– Nie, chodzi mi o to, jak patrzyłeś na Malverna. O co się pokłóciliście?

Pociera dłonią kark i odmawia szampana podsuwanego mu na tacy.

– Przydarzyła mi się przygoda z jedną z jego dawnych miłości. Nie wiedziałem, że coś ich łączyło. Chyba teraz uważa mnie za playboya. – Holly wygląda na urażonego.

Postanawiam mu nie mówić, że podzielam zdanie Malverna.

– Można by pomyśleć, że skoro jesteś na aukcji, to wszystko już jest w porządku.

– Będzie wręcz cudownie, jeżeli tylko coś kupię – zauważa Holly, zerkając przez ramię. – Mettle i dzieciorób. Nie zamierzam kupować klaczy zarodowej. Mam ich całe pola. Może mógłbyś ją skrzyżować ze swoim czerwonym ogierem, a w przyszłym roku sprzedać mi owoc tego szczęśliwego związku?

– Sprawienie, żeby *each uisce* zrobił to, czego my chcemy, nie jest takie proste – odpowiadam. – Czasami klacz lądowa jest dla niego klaczą, a czasami po prostu obiadem. – Jeżeli istnieje jakaś reguła rządząca tym, kiedy ogier *each uisce* akceptuje klacz lądową albo klacz *each uisce* ogiera lądowego, to jeszcze jej nie odkryłem. Malvern ma konie, w których żyłach płynie krew *each uisce*, ale jest już bardzo rozrzedzona i daje o sobie znać w dziwny sposób. Są konie, które kochają pływać, jak Fundamental, młode klacze o piskliwym rzeniu, źrebięta o długich, wąskich uszach.

– No to zupełnie jak z ludźmi – mówi gorzko Holly.

Zastanawiam się, czy to oznacza, że jego niewidoma kochanka go porzuciła, czy też odwrotnie, jednak moją uwagę odwraca widok Mutta Malverna między kupującymi. Rozmawia z nimi, wskazując młodą klacz na arenie, jakby cokolwiek wiedział na jej temat, a odziani w pióra i futra przybysze ze stałego lądu słuchają i kiwiają głowami, bo on jest synem właściciela, więc oczywiście wie, co mówi. Holly podąża za moim spojrzeniem i przez chwilę stoimy ramię w ramię.

– Dzień dobry! – woła Holly nadzwyczaj radośnie, a kiedy dostrzegam, kogo pozdrawia, cieszę się, że nie skomentowałem zachowania Mutta. Benjamin Malvern stoi tuż za nami.

– Dzień dobry, panie Holly. Witam, panie Kendrick – odpowiada Malvern. – Panie Holly, mam nadzieję, że znalazł pan coś, co pana interesuje.

Przygląda mi się.

Uśmiech Holly'ego jest szeroki i ostentacyjnie amerykański. Niekończące się rzędy nieskazitelnie białych błyszczących zębów.

– Tyle rzeczy na Thisby mnie interesuje.

– A coś z czworonożnych?

– Przyglądam się Mettle i Finndebar – oznajmia Holly. Pomimo wcześniejszych protestów wymawia imię Finndebar bez zająknięcia.

– Finndebar rodzi tylko zwycięzców – mówi Malvern.

Dopasowuję usta do dźwięku własnych słów wypowiedzianych przez kogoś innego.

Holly kiwa głową w moim kierunku.

– Tak słyszałem. W takim razie, dlaczego decyduje się pan ją sprzedać?

– Ma już swoje lata.

– Z wiekiem przybywa rozumu – zauważa Holly. – Ale pan zapewne o tym wie, ha! Ach, cóż za wspaniały kraj, pełen wspaniałych ludzi. O, widzę, że mamy tu Malvernów w komplecie. Matthew, wykapany ojciec.

Ostatnie zdanie wypowiedzi dlatego, że Mutt Malvern znajduje się w pobliżu, pochłonięty rozmową z nieznanym mężczyzną o jakiejś młodej klaczy. Pewnie chce się wydawać

pożyteczny mnie albo swojemu ojcu. Słyszę, co mówi, i brzmi to idiotycznie, ale kupujący grzecznie kiwa głową.

Benjamin Malvern stoi ze spojrzeniem utkwionym w Mutcie. Trudno rozszyfrować wyraz jego twarzy, jednak z pewnością nie jest to nic, co można byłoby nazywać dumą.

– Muszę przyznać – zaczyna Holly – że jestem pod wrażeniem pana Kendricka. Ma pan w jego osobie prawdziwą prawą rękę.

Spojrzenie Malverna szybko przesuwa się na mnie, a potem na Holly'ego. Malvern unosi brew.

– Słyszałem, że czynił pan niemałe wysiłki, żeby go podkupić.

– Cóż, jest zbyt lojalny – stwierdza Holly. Uśmiech, który kieruje do mnie, jest wręcz brutalny w swojej szczerości. – Strasznie mnie to rozczarowało. Pewnie dobrze go pan traktuje.

Stojący nieopodal Mutt zerka w moją stronę spod zmrużonych powiek i widzę, że słyszy, o czym mówimy.

– Pan Kendrick jest z nami już prawie od dziesięciu lat – odpowiada Malvern. – Odkąd umarł jego ojciec i wziąłem go do siebie.

Tym zdaniem odmalowuje obraz sieroty przy jego kuchennym stole, wychowywanego wraz z Muttem, pławiącego się w przywilejach bycia jednym z Malvernów.

– A więc jest dla pana jak syn – zauważa Holly. – To wyjaśnia tę więź. Te wszystkie konie wyszły spod jego ręki, prawda? Wydaje się, że jest naturalnym dziedzicem stajni Malverna.

Benjamin Malvern spogląda właśnie na swojego syna, a Mutt patrzy na niego, ale kiedy Holly kończy zdanie, stary Malvern milczy. Jego oczy prześlizgują się po mnie i moim garniturze.

– W pewnym sensie, panie Holly, myślę, że ma pan rację. – Znów przypatruje się Muttowi i dodaje: – Pod wieloma względami.

Nie sądzę, żeby mówił szczerze. Myślę, że to część gry, którą prowadzi z Hollym. Albo może chce, aby usłyszał go Mutt, i to z pewnością mu się udaje.

George patrzy na mnie porozumiewawczo i widzę, że jest tak samo zaskoczony jak ja.

– Niestety – przyznaje Malvern, odwracając się plecami do Mutta – nie wszystko można przekazać dzieciom w genach.

Patrzy na mnie, a ja nagle zdaję sobie sprawę, że nigdy nie miałem pojęcia, co tak naprawdę dzieje się w jego głowie, za tymi mądrymi, głęboko osadzonymi oczami. Nic o nim nie wiem, znam tylko jego konie i to małe zimne mieszkanko nad stajnią. Wiem, że większa część Thisby jest jego własnością, ale nie wiem która. Wiem, że kiedyś jeździł konno, ale teraz już tego nie robi, i wiem, że jego syn jest bękartem, ale nie wiem, czy jego matka wciąż mieszka na wyspie. Wiem, że wygrywam dla niego wyścigi, a on każdego roku bierze dziewięć dziesiątych mojej wygranej, tak jak zrobiłby to, gdyby chodziło o każdego innego pracownika.

– Pan Kendrick urodził się na koniu i umrze na koniu. Może to nie jest coś, do czego można człowieka wychować – zauważa Malvern. – Jest jednym z tych wyjątkowych ludzi, którzy potrafią sprawić, że koń robi dla niego to, co on zechce, lecz nigdy nie prosi o więcej, niż zwierzę może z siebie dać. Jeśli on mówi panu, żeby zainwestować w Mettle i Finndebor, to byłby pan głupcem, gdyby pan tego nie zrobił. Miłego dnia, panie Holly.

Malvern kiwa głową do Holly'ego, a potem odchodzi. Pod jego nieobecność Holly mówi do mnie coś, co mi umyka, bo patrzę na Mutta. Na jego twarzy wypisana jest wściekłość, zawód i niedowierzanie. W tej jednej chwili nie ma znaczenia, że i on, i ja ciężko zapracowaliśmy na słowa wypowiedziane przez Malverna. Liczy się tylko to, że były raniące.

Gdy na niego patrzę, spojrzenie Mutta coraz bardziej przepelnia lęk. Jest w nim coś

bezwzględnego i bezkompromisowego. Mutt przepycha się w kierunku domu.

– Seanie Kendrick – odzywa się Holly. – O czym myślisz?

– Że to nie jest łatwe – odpowiadam.

Holly wpatruje się w miejsce, w którym przed chwilą stał Mutt.

– Gdybym był na twoim miejscu, zaryglowałbym drzwi dziś wieczorem.

Rozdział pięćdziesiąty

Puck

Rano, przed wyruszeniem na klify na trening i być może spotkanie z Seanem, jedziemy razem z Finnem do Dory Maud – on na rowerze, ja na Dove. Mój brat ma nadzieję, że Dory znajdzie dla niego jakąś dorywczą pracę, a ja wierzę, wbrew wszystkiemu, że Dory sprzedała więcej dzbanków do herbaty, bo została nam jedna kostka masła i żadnego chleba, na którym można by ją rozsmarować, a także żadnej mąki, żeby upiec chleb.

Dojeżdżamy do Skarmouth. Prowadzę przez chwilę Dove, aby nie skrzyła nogi na nierównym bruku, a Finn prowadzi rower, żeby móc swobodnie gapić się na wystawę piekarni Palssona.

Oboje patrzymy tęsknie w okna sklepu, chociaż przysięgałam sobie, że się powstrzymam. Nic tak głośno nie krzyczy: „Sieroty!”, jak widok dwójki dzieciaków, które wykręcają szyje w stronę tac z ciasteczkami listopadowymi i kruchymi ciastkami o najróżniejszych kształtach albo świeżutkich chrupiących bochenków chleba, od których szyba pokrywa się parą. Oboje wzdychamy jednocześnie i wlecemy się do Fathom i Synowie. Przywiązuję Dove przy wejściu, a Finn zostawia rower. Nie wiadomo, czy sklep będzie otwarty, bo Elizabeth i Dory Maud mogą równie dobrze być teraz na swoim stoisku przy ścieżce na klifach.

Jednak drzwi się otwierają i kiedy wchodzimy do środka, jestem zaskoczona na widok Dory Maud i Elizabeth w towarzystwie przystojnego blondyna, podekscytowanego z powodu płaskiego kamienia, który Martin Devlin znalazł w zeszłym roku na swoim polu, gdy kopał ziemniaki.

– Naprawdę kładli na tym głowę zmarłego! – wykrzykuje nieznajomy.

Finn patrzy na mnie znacząco. Przyglądam się facetowi. Jest obcokrajowcem, może po trzydziestce, ale w najkorzystniejszym możliwym wydaniu. Myślę, że odpowiednie określenie to „szykowny”, „wytworny” albo coś w tym rodzaju. W rękach trzyma czerwony kaszkiet.

– Och, Puck! – woła Dory Maud. – Puck Connolly!

Finn i ja wymieniamy spojrzenia.

– Miło mi pana poznać – zwracam się do obcego.

– Ach, bo wy się jeszcze nie znacie – odzywa się Dory Maud. – Panie Holly, to jest Puck Connolly. Puck, to jest pan George Holly.

– A więc teraz miło mi pana poznać – mówię z rozdrażnieniem. – Podrzucałam właśnie Finna i...

Elizabeth podchodzi do mnie i zaciska swoje pazury na mojej skórze.

– Chwileczkę! Muszę ją porwać – szczebiocze. Czym prędzej wciąga mnie na zaplecze i zamyka za nami drzwi. Jesteśmy same w towarzystwie czterech krzeseł i stołu większego niż podłoga. Do tego widownia pełna pudeł z listami miłosnymi Dory Maud od żeglarzy. Stoimy twarzą w twarz, a Elizabeth pachnie jak statek pełen angielskich róż. – Puck Connolly, bądź dla tego człowieka absolutnie najmiłsza, jak potrafisz.

– Byłam miła.

– Nie, nie byłaś. Widziałam twoją minę. Nie jestem głupia! Musimy go zachęcić. Ten Amerykanin jest bogatszy od królowej i przypuszczamy, że zamierza zabrać ze sobą kawałek Thisby.

Mam nadzieję, że zabierze statuetkę bogini płodności.

– A co konkretnie próbujesz mu wepchnąć?

Elizabeth opiera się o drzwi, żeby się upewnić, że nikt nam nie przeszkodzi.

– Annie.

– Annie!

– Jeżeli będziesz powtarzała wszystko, co mówię, zapakuję mu jeszcze twój język.

– Czy Annie o tym wie?

– Gdybyż twój rozum nadażał za twoją urodą! – Elizabeth zdaje sobie sprawę, że wciąż trzyma mnie za ramię, i w końcu je puszcza. – A teraz wracaj tam i bądź czarująca. Jak tylko potrafisz.

Krzywię się i idę za nią z powrotem do głównego pomieszczenia. Wszystkie oczy kierują się na mnie. Kamień jakimś sposobem wylądował w rękach Finna.

– Skończyłyście, miłe panie? – pyta Dory Maud. Nie przypominam sobie, kiedy ostatnim razem użyła określenia „miłe panie”, zwracając się do kogoś innego niż do kur. – Pan Holly właśnie o ciebie pytał, Puck.

Widocznie mam przerażenie wypisane na twarzy, bo Holly dodaje szybko:

– Sean Kendrick o pani mówił.

– Nie wspominał pan o tym wcześniej – dziwi się Dory Maud, patrząc na mnie. – Puck, wiesz co? Byłoby cudownie, gdybyś zabrała pana Holly’ego na śniadanie.

– Och... – on i ja jednocześnie protestujemy.

– Uwiązałam Dove przed wejściem – tłumaczę się.

Holly zerka na mnie znacząco i mówi:

– A ja właśnie zamierzałem pójść popatrzeć na trening.

Dochodzę do wniosku, że go lubię. Jego elegancja trochę w tym pomaga, a inteligencja stawia kropkę nad „i”.

– Więc powinnaś zabrać go do Palssona na ciastko listopadowe. Oczywiście Annie piecze równie dobre, a nawet lepsze niż Palsson – zachwala Dory Maud. – Dopiero co wspominała, że zamierza je dla pana upiec, panie Holly, ale oczywiście nie było czasu. Jeśli kupicie je u Palssona, możecie wziąć śniadanie ze sobą.

Uśmiech Holly’ego rozjaśnia pokój, oślepiając Dory Maud i Elizabeth swoim blaskiem.

– Czy mógłbym panią zaprosić na ciastko listopadowe, panno Connolly? – zwraca się do mnie niezwykle szarmancko Holly. – I pani brata również?

Mam wrażenie, że umrę od piekącego, wyczekującego spojrzenia Elizabeth. To spojrzenie pod tytułem: „A nie mówiłam, że jest bogatym Amerykaninem, który chce wydać pieniądze?”. Piorunuję wzrokiem ją i Dory Maud.

– Oczywiście. Dory, jeśli dasz mi trochę drobnych, kupię kilka ciastek, dla Annie.

Przez chwilę toczymy wojnę na spojrzenia, a potem Dory Maud się poddaje i daje mi kilka monet. I tak dwoje triumfujących Connollych wyprowadza George’a Holly’ego z Fathom i Synowie – Finn z jednej strony, ja z drugiej. Amerykanin przygląda się z wielkim zainteresowaniem, jak odwiązuję Dove, a ja z jeszcze większym zainteresowaniem przyglądam się temu, jak on przygląda się nam. Widząc, jak przesuwają wzrok od pęciny do stawu kolanowego Dove, a następnie wzdłuż jej grzbietu do nachylenia barku, nie mam wątpliwości, że nie jest przypadkowym turystą. Zastanawiam się, jak dobrze zna Seana.

– Wie pan – mówi Finn w drodze do Palssona, uradowany perspektywą dostania czegoś do jedzenia – że Annie jest niewidoma, prawda?

– Niezupełnie – poprawia go Holly. – To znaczy niezupełnie niewidoma.

– Tak panu powiedzieli! – krzyczy Finn.

Wpatruję się w nich. Kim jest ten człowiek, który potrafi sprawić, że Finn od razu robi się taki głośny?

– Tak – odpowiada ciepło Holly. Pochyla głowę w stronę Finna i dodaje: – A teraz powiedz mi, co to właściwie jest ciastko listopadowe.

Pyta z tak szczerą ciekawością, że Finn rozkręca się na całego. Może teraz gadać bez końca, opisując wilgotne okruszyny, krem, który sączy się z wnętrza smakołyku, polewę, która wsiąka w ciastko, zanim uda się ją zlizać. To chyba najbardziej uprzejmy człowiek, jakiego w życiu widziałam: George Holly, który wypytuje mojego brata o tutejsze wypieki. Kiedy Holly zerka na mnie, rzucam mu surowe spojrzenie i od razu zdaję sobie sprawę, że może nie należało ono do zestawu najbardziej czarujących, na jakie mnie stać. Ale nie jestem pewna, czy mądrym, miłym George'em Hollym można tak łatwo manipulować, jak się wydaje Dory Maud i Elizabeth.

Razem wchodzimy do piekarni Palssona. Staram się, jak mogę, zachowywać z godnością, lecz bardzo trudno jest udawać obojętność wobec zapachu, którym wypełnione jest wnętrze sklepu. Pachnie tu cynamonem, miodem i drożdżami. Sklep znajduje się na rogu, jest tu dużo okien i światła. Wzdłuż ścian i szyb wystawowych zamontowano półki z surowego drewna bez tylnej ścianki, więc słońce bez przeszkód zagląda do środka i rozlewa się na podłodze wielkimi kwadratami złota. Na wszystkich półkach piętrzą się bochenki chleba, kruche ciasteczka, cynamonowe świderki, ciastka listopadowe, babeczki i inne pyszności. Tylko tylna ściana za ladą nie dostąpiła takiego zaszczytu. Leżą wzdłuż niej prozaiczne worki mąki w oczekiwaniu na to, aż staną się chlebem. Mąki jest tyle, że nawet ona wydaje się mieć słodki zapach i smaczny wygląd. Wszystko jest tutaj złote i białe, miodowe i kremowe. Myślę, że mogłabym zamieszkać w tym budynku i sypiać między workami mąki. I chłonąć ten niezwykle aromat, i nigdy nie czuć głodu.

U Palssona jest dzisiaj tłoczno, jak zwykle. Wśród klientów nie brakuje gospodyń domowych, którym lepiej się rozmawia przy cudzych wypiekach. George Holly przyciąga spojrzenia i szepty, kiedy razem z Finnem przesuwają się między półkami, a potem idą na koniec długiej kolejki. Holly świetnie komponuje się kolorystycznie z tym wnętrzem: ze swoimi blond włosami sam wygląda jak ciastko listopadowe.

– Pani ciotka to silna kobieta – mówi do mnie.

– Dory Maud?

– Właśnie.

Jeśli Dory Maud powiedziała mu, że jesteśmy spokrewnione, to chyba zaraz znowu zacznę prychać.

– Ona nie jest moją ciotką.

– Och, przepraszam. Wydawałyście się takie zżyte. Zagalopowałem się.

– Wszyscy na Thisby są zżyci – odpowiadam. – Proszę tu spędzić miesiąc, a będzie i pana ciotką.

Finn uśmiecha się do podłogi.

– Ojej – zauważa Holly. – To dopiero obiecujące.

Posuwamy się do przodu. Mój brat rozpatruje zalety różnych ewentualności, z kim warto się zżyć na tej wyspie, a z kim nie, a głowa przeskakuje mu to w prawo, to w lewo, jak u sowy.

– Pan Kendrick wspominał mi, że pani kucyk jest dość szybki – mówi Holly swobodnym tonem. Słyszę czyjś głos za ladą: „...jasnoczerwonej czapce”.

– Koń.

– Hm?

– Ma sto pięćdziesiąt dwa centymetry w kłębie. Koń. On tak powiedział?

– Och, przepraszam panią – rzuca Holly, bo Mary Finch właśnie przeciska się między nim a półką, próbując dostać się do okna, i w rezultacie szczęśliwego dla niej wypadku jej ręka wędruje w jakieś niestosowne okolice jego ciała. Mężczyzna przesuwa się w stronę lady, starając się pozbierać z powrotem swoją godność, po czym wraca do naszej rozmowy.

– Na plaży mówią, że on powiedział, że jeśli pani kucyk... koń... pobiegnie prosto, podczas gdy *eich uisce* będą skręcały w prawo, może to pani pomóc i nawet dać przewagę nad pozostałymi zawodnikami.

Ciekawe, czy Sean rzeczywiście w to wierzy. Zastanawiam się, czy ja rzeczywiście w to wierzę. Muszę, bo inaczej, po co bym to wszystko robiła?

– Taki jest plan. Skoro my już się znamy, to jak dobrze zna pan Seana Kendricka?

Mary Finch przeciska się z powrotem obok George'a Holly'ego, a on przewraca oczami, doświadczając kolejnych dowodów gościnności Skarmouth. Próbuję się nie roześmiać.

– Och – zaczyna. – Och. Cóż, przyjechałem tutaj, aby obejrzeć konie Malverna, i tak się poznaliśmy. To prawdziwy indywidualista, mówię to ze szczerą sympatią.

Finn klepie w kontuar, żeby zwrócić uwagę Holly'ego na ciastka, które właśnie wykładają za szkłem. Przez chwilę na ich twarzach pojawia się ta sama chłopięca tęsknota; tęsknota, której nie umniejsza świadomość, że tylko dwa metry kolejki pozostały do chwili, kiedy dostaną smakołyki.

– Dla dobra naszej znajomości – mówi Holly. – Jak dobrze pani go zna?

Robię się purpurowa, co doprowadza mnie do furii. Cholera by wzięła te rude włosy i wszystko, co się z nimi wiąże. Tata powiedział kiedyś, że gdybym nie miała rudych włosów mojej matki, nie czerwieniłabym się i nie przeklinała tak często. Uważam, że to było nie w porządku. Prawie nigdy nie przeklinam ani się nie rumienię, chociaż nie brakuje mi powodów do jednego i drugiego. Zważywszy na okoliczności, naprawdę uważam się za osobę powściągliwą.

Finn wytrzeszcza oczy z ciekawości, co odpowiem.

– Trochę. Przyjaźnimy się.

– Jak pani i pani ciotka? – dopytuje Holly. Kiedy rzucam mu gniewne spojrzenie, dodaje:

– Jak kuzynostwo? Jak rodzeństwo?

– Nie znam go tak dobrze, jak Mary Finch zna pana – rzucam. Widząc dezorientację na jego twarzy, robię gest naśladujący uszczyptnięcie, a on krzywi się, jakby jego majtki jeszcze raz odczuły zainteresowanie Mary.

– W porządku – stwierdza Holly.

Stoimy przy ladzie, gdzie Bev Palsson wymienia ciastka na gotówkę. Finn kupuje nieprzyzwoitą liczbę cytrynowych świderków za pieniądze Dory Maud. Kiedy już mamy je w rękach i stoimy na zewnątrz, gdzie przywiązana jest Dove, Finn namawia George'a, żeby odpakował jedno z ciastek, i obserwuje jego reakcję.

Miód ścieka mu z ust, a on zamyka oczy z tak widoczną przyjemnością, że trudno powiedzieć, czy nie przesadza ze względu na Finna.

– Podobno – mówi Holly – jedzenie lepiej smakuje we wspomnieniach. Nie wiem, czy to możliwe, żeby wspomnienie tego ciastka mogło być lepsze niż jego smak w tej chwili.

Finn jest tak szczęśliwy, jakby chodziło o jego własne wypieki. Na twarzy Holly'ego pojawia się jakiś słodko-gorzki wyraz. Przychodzi mi do głowy, że być może ta wyspa zaczęła go chwytać w swoje szpony, a to sprawia, że jeszcze bardziej go lubię. Ktoś, kogo Thisby postanawia uwieść, nie może być zły.

– Finn, byłbyś tak uprzejmy i poprosił ich o drugą torbę, żebyśmy mogli je podzielić? Ja dałbym ci trochę tych, a ty dałbyś mi w zamian jeszcze jednego świderka, żebyśmy mogli go sobie zabrać do pokoju, co? I weź może jeszcze jednego dla siebie, żeby twoja druga ręka nie czuła się samotna.

Kiedy Finn znika w piekarni, George Holly zwraca się do mnie:

– Puck, możliwe, że teraz zagalopuję się tak bardzo, że nie będę mógł zawrócić. Ale jest

sporo ludzi, którym nie podoba się pani obecność na plaży. Nie jestem pewien, czy pani zdaje sobie z tego sprawę.

Myślę o Peg Gratton, która mówiła mi, żebym nie pozwalała nikomu zaciskać sobie popręgu. Tracę ochotę na swoje lepkie śniadanie.

– Nabrałam pewnych podejrzeń.

Na twarzy George'a Holly'ego maluje się szczerza troska.

– Jest pani pierwsza, prawda? W Wyścigu Skorpiona nie startowały dotąd kobiety?

To dziwne uczucie zostać nazwaną kobietą, ale kiwam potakująco głową.

– Tam na dole nie wygląda to najlepiej – mówi. – Nie wtrącałbym się, ale uważam, że to niebezpieczne.

George Holly naprawdę szybko stał się jednym z nas, skoro uważa, że ścigając się z dwudziestoma paroma końmi wodnymi, to mężczyzn powinnam się obawiać.

– Wiem, że nie powinnam nikomu ufać – zaczynam. – Z wyjątkiem.

Holly studiuje moje spojrzenie.

– On się pani podoba, prawda? Cóż to za dziwne, cudowne, hermetyczne miejsce.

Patrzę na niego ze złością, a jednocześnie z ulgą, że tym razem chyba się nie czerwienię, albo może ciągle jestem purpurowa i po prostu nie mogę już przybrać ciemniejszej barwy.

– Przynajmniej nie pozwalam sobą manipulować trzem dziwnym siostram.

Holly śmieje się, zachwycony.

– Bardzo słusznie.

Dove czai się na moje ciastko listopadowe, więc odpycham ją łokciem.

– Annie jest w porządku – mówię. – Uważa pan, że jest ładna?

– Tak.

– Myślę, że dla niej pan też jest do przyjęcia. – Zerkam na niego z wrednym uśmiechem. – Skoro nie widzi dalej niż na wyciągnięcie ręki. Ale nie liczyłabym, że upiecze takie ciastko. Nie bez powodu u Palssona jest pełno kobiet. Kobiety na Thisby są leniwe.

– Tak leniwe jak pani?

– Mniej więcej.

– Myślę, że mógłbym to jakoś znieść. – Podnosi wzrok. Finn właśnie otwiera drzwi piekarni i idzie do nas, rozpromieniony, niosąc dwie torby. – Oczywiście życzę pani szczęścia, panno Connolly. I mam nadzieję, że nie będzie pani czekała, aż Sean Kendrick zrozumie, że jest samotny – mówi Holly.

Chcę go zapytać „czekała, aż co?”, ale Finn właśnie podchodzi, a to nie jest kwestia, którą chciałabym roztrząsać w obecności kóregokolwiek z moich braci.

Więc wymieniamy tylko uprzejmości. Holly idzie w swoją stronę oglądać trening na plaży, ja idę z Dove na klify, a Finn zbiera się, żeby poprosić o jakieś zajęcie u Dory Maud.

– Słyszałaś jego akcent? – pyta Finn.

– Nie jestem głucha.

– Gdybym był Gabe'em, pojechałbym do Ameryki zamiast na stały ład.

To stwierdzenie rujnuje dobry nastrój, który właśnie zaczynał kiełkować w mojej duszy.

– Gdybyś był Gabe'em, dałabym ci w twarz.

Na Finnie nie robi to żadnego wrażenia. Klepie Dove po przyjacielsku w zad, a potem odchodzi.

– Hej! – Zatrzymuję go i wyjmuję z torby dwa ciastka. – Teraz możesz iść.

Radośnie gna ulicą. To niesamowite, jak szybko poprawił mu się humor wraz z pojawieniem się słodyczy. Trzymając w jednej ręce wypieki, biorę do drugiej wodze Dove i prowadzę ją w stronę klifów. Myślę o tym, co powiedział Holly na temat jedzenia, które lepiej

smakuje we wspomnieniach. Uderza mnie, jaki to dziwny, luksusowy sposób myślenia, który zakłada, że będzie się miało nie tylko tę chwilę, kiedy dane nam jest spróbować czegoś pysznego, ale też wystarczająco wiele momentów przed sobą, żeby ten kęs mógł stać się wspomnieniem. Moja przyszłość nie jest tak pewna. Zresztą teraz ciastko listopadowe wydaje mi się wystarczająco słodkie.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Sean

Nie mogę się doczekać, kiedy Puck pojawi się na klifie. Nie jestem sam: ponad dwudziestu turystów poroziadało się na skałach tak blisko nas, jak tylko odważyli się podejść. Teraz siedzą na kamieniach jak na grzędach, przyglądając się Corrowi i mnie. Puck częstuje ich spojrzeniem tak wrogim, że niektórzy wzdrygają się, zdziwieni. Nie jestem pewien, czego się po niej spodziewać po wczorajszym wspólnie spędzonym wieczorze, jak się do niej zwracać. Nie wiem, czego ona oczekuje ode mnie ani czego sam od siebie oczekuję.

Na powitanie rzuca mi bezgłośnie „cześć” i wkłada do ręki ciastko listopadowe. Zjadamy w milczeniu wypieki od Palssona na oczach uważnej widowni, a potem wycieramy lepiałe dłonie o trawę.

Puck krzywi się z powodu gapiów.

– Dove boi się koni wodnych.

– Ma rację.

Świdruje mnie swoim morderczym wzrokiem.

– To może być problem w czasie wyścigu, prawda?

Patrzę na jej bułaną klacz. Jest bardzo spięta w obecności Corra, ale nie wydaje się przerażona.

– Nie musi ich kochać – mówię. – Respekt przed nimi doda jej prędkości. Oczywiście dopóki ty nie będziesz się bała, że ona się boi.

Widzę, że Puck się nad tym zastanawia. Zbiera myśli i mruży oczy, przyglądając się ogierowi. Ciekawe, czy wspomina naszą jazdę po klifach.

– Sobie mogę zaufać – odpowiada. Patrzy na mnie, jakby to było pytanie, lecz nawet jeśli tak jest, to i tak tylko ona może na nie odpowiedzieć.

– Gotowa do pracy? – pytam.

Zaczynamy trening.

Corr nie wydaje się ani trochę zmęczony po wczorajszym galopie, a koń Puck jest świeży i pełen energii. Zataczamy okręgi, jedziemy jedno za drugim, galopujemy i staczamy krótkie potyczki. Wysuwam się na prowadzenie, a potem Corr się rozprasza i Puck nagle jest już koło nas, a jej bułana klacz mądrze strzyże uszami. Wyrównujemy kroki, ale nie ścigamy się, po prostu galopujemy dla samej przyjemności biegu.

Zapominam, że to praca, zapominam, że wyścig jest za parę dni, zapominam, że ona jedzie na lądowym kucyku, a ja dosiadam *each uisce*. Jest tylko świst powietrza w uszach, wąski księżyc jej przelotnego uśmiechu rzuconego w moją stronę i znajomy ciężar Corra.

Nie zauważam, kiedy mija godzina i muszę dać Corrowi odpocząć. Nie chcę go przemęczyć. Puck też ściąga wodze Dove. Przez chwilę wygląda, jakby zamierzała coś powiedzieć, naciska językiem na zęby. Jednak w końcu pyta tylko moimi własnymi słowami: – Do zobaczenia jutro na klifie?

Puck

Sean czeka następnego dnia i następnego, i jeszcze następnego. Nie spodziewam się, że zobaczę go w niedzielę, bo nigdy nie widziałam go w kościele, i nie wiem, co robi, kiedy go tam nie ma. Ale gdy po mszy idę na klif, on już tam siedzi i wpatruje się w plażę.

Obserwujemy trening w dole, zamieniając tylko kilka słów, a potem, kolejnego dnia

znowu dosiadamy koni. Czasem się sprzeczymy, czasem jeździmy w odległości kilkuset metrów, pozostając jednak w zasięgu wzroku. Czasem myślę o jego dłoni obejmującej mój nadgarstek i marzę o tym, żeby znowu mnie dotknął. Lecz przede wszystkim myślę o tym, jak na mnie patrzy – z szacunkiem – i chyba to liczy się bardziej niż wszystko inne.

Tylko że im dłużej przyglądam się jemu i Corrowi razem, tym więcej rozmyślam o tym, jak trudne byłoby dla Seana rozstanie z nim. A przecież nie możemy wygrać oboje.

Sean

Przez tydzień jeździmy razem, aż moje codzienne treningi na plaży wydają się bardzo odległe. Brakuje mi tych samotnych wczesnych poranków na piasku, ale nie aż tak, żebym chciał zamienić na nie towarzystwo Puck. W niektóre dni prawie nie rozmawiamy, więc nie wiem, dlaczego właściwie to dla mnie taka różnica. W końcu Corr i ja też nigdy nie potrzebowaliśmy słów.

Zatem to tylko godziny konnej jazdy, wydobywania z Corra drzemających w nim możliwości i godziny obserwowania, jak Puck wymyśla nowe gry dla Dove, żeby utrzymać jej zainteresowanie pracą. Brzech, który klacz miała od siana, już zniknął, może dzięki regularnemu ujeżdżaniu, a może dzięki lepszej paszy. Puck jest teraz spokojniejsza. Widzę w jej ruchach więcej pewności, mniej skrępowania i rozdrażnienia. Odkąd po raz pierwszy zobaczyłem w wodzie ją i Dove, obie przeszły zaskakującą przemianę. Już się nie zastanawiam, dlaczego z nią trenuję.

Nie jestem pewien, w którym dokładnie momencie uświadomiłem sobie, że Corr zaczął się starać. Może nie ze wszystkich sił, ale niewątpliwie się stara, a Dove dotrzymuje nam tempa. Chociaż powinna być już zmęczona. Chociaż Corr jest *each uisce*.

Ściągam wodze Corra. Potyka się, popisując się przed klaczą, a ja poruszam wodzami, żeby przypomnieć mu, że tu jestem. Puck dopiero po chwili zdaje sobie sprawę, że się zatrzymaliśmy. Zawraca. Boki Dove falują, jej nozdrza są rozszerzone, lecz uszy ma wciąż ochoczo postawione do góry.

– Może ci się udać – rzucam.

Puck jednocześnie się uśmiecha i marszczy czoło. Nie słyszała, co powiedziałem. Powtarzam. W momencie, kiedy moje słowa do niej docierają, jej uśmiech znika.

– Nie wiem, czy mówisz poważnie.

– Mówię poważnie. Jutro powinnaś ją zabrać na plażę, aby się upewnić, że dacie sobie radę przy nich wszystkich. Żeby ją przyzwycząić.

Teraz zmarszczone brwi Puck zdecydowanie biorą górę nad uśmiechem.

– Dwa dni to za mało, żeby Dove zdążyła się oswoić.

– To dla niej ważne. Dla ciebie też. Jeden dzień, nie dwa – przypominam. Corr tańczy, więc staram się go uspokoić. – Ostatniego dnia plaża jest zamknięta dla koni. Jutro jest ostatni dzień na piasku.

Dove drapie się po brzuchu tylnym kopytem jak pies. Nie wygląda przy tym na faworyta, a Puck chyba zdaje sobie z tego sprawę, bo jest poirytowana i kopie Dove, aby przestała.

– I na pewno nie mówisz tego wszystkiego, dlatego że dałam ci ciastko?

– Nie, to jest napisane w regulaminie, odkąd startuję w wyścigach.

Przygląda się mojej twarzy, żeby wy badać, czy mówię serio, a potem robi zabawną minę.

– Chodziło mi o to, że mamy szansę.

Corr wygina się niecierpliwie wokół mojej nogi, nudząc się staniem w jednym miejscu. To mi przypomina, że muszę zamienić jego boks z boksem Edany. Edana jest coraz bardziej niespokojna, odkąd nie jest wyprowadzana na plażę, a jej zagroda, jedna z siedmiu na tyłach

stajni, nie ma okna. Widok z boksu Corra to niewiele, ale może pomóc jej zachować spokój do końca wyścigów, kiedy znowu będę miał dla niej czas.

– Nie powiedziałbym tego, gdybym tak nie myślał. – Puck marszczy brwi.

– Chodzi mi o to, czy naprawdę mam szansę. – Odwraca wzrok, jakby się obawiała obrazić mnie myślą, że oboje chcemy zająć pierwsze miejsce.

– Za drugie i za trzecie miejsce też przyznają nagrody pieniężne – odpowiadam. Puck grzebie palcami w suple na grzywie Dove. – Czy to by ci wystarczyło?

Jej głos jest niepewny.

– Pomogłoby. – A potem jej ton zmienia się raptownie. – Powinieneś wpaść do nas na kolację. Będzie fasola albo coś równie pysznego.

Waham się. Zwykle jem w swoim mieszkaniu, na stojąco, przy otwartych drzwiach, ze świadomością, że stajnia czeka, aż wrócę dokończyć pracę. Nie przywykłem do siedzenia z nogami wsuniętymi pod stół, próbując znaleźć odpowiedzi na uprzejme pytania. Kolacja z Puck i jej braćmi? Zostały ostatnie dni do wyścigu. Muszę wyczyścić siodło i buty. Muszę wyprać bryczesy i znaleźć rękawice na wypadek, gdyby padało albo gdyby wiał ostry wiatr. Muszę zamienić Corra z Edaną i wyczyścić im boksy. Powiniennem iść do rzeźnika zobaczyć, czy mają coś, co by dobrze zrobiło Corrowi.

– W porządku – mówi Puck. Szybko ukrywa rozczarowanie. Jeśli się nie patrzy uważnie, można się nie zorientować, że w ogóle pojawiło się na jej twarzy. – Jesteś zajęty.

– Nie – zaprzeczam. – Nie, nie o to... pomyślę nad tym. Nie jestem pewien, czy uda mi się wyrwać.

Nie wiem, co właściwie sobie myślę. Nie znajdę czasu, żeby się wyrwać. Nie jestem dobrym towarzyszem przy kolacji. Ale źle się z tym czuję. Żałuję, że nie odezwałem się szybciej, zanim zobaczyłem jej rozczarowanie.

Puck szybko dochodzi do siebie.

– Jeżeli ci się nie uda, to do zobaczenia jutro na plaży?

Tego jestem pewien. Na grzbiecie konia znacznie łatwiej być pewnym.

– Tak.

Rozdział pięćdziesiąty drugi

Puck

Gabe wraca do domu z kurczakiem i z Tommym Falkiem, który ma zostać na kolacji. Nie mogę powiedzieć, że bym była zmartwiona na widok ich wszystkich: Gabe'a, z którym już od tak dawna nie jedliśmy posiłku, kurczaka, który nie jest fasolą, i Tommy'ego, w którego obecności Gabe staje się radosny i skory do wygłupów. Rzucają do siebie oskubanym ptakiem nad moją głową, aż odwija się z papieru i ląduje na podłodze.

– Jeżeli wszyscy poumieramy na zarazę albo cokolwiek innego, co jest na tej podłodze, chcę, żebyście wiedzieli, że to nie moja wina – oznajmiam.

Do pomarszczonej skóry na grzbiecie kurczaka przykleiło się trochę piasku.

– Po prostu to zeskrob. Trochę brudu jeszcze nikomu nie zaszkodziło – odzywa się Tommy Falk. – Gabe mówi, że przyrządzasz całkiem zjadliwe kurczę.

Finn, który siedzi przy kominku, produkując mnóstwo dymu, po raz pierwszy się odzywa:

– Hm, to raczej niepotwierdzone pogłoski.

– Możesz się zamknąć lub zrobić go sam. – Okazuje się, że brudny kurczak to najmniejsze z moich zmartwień. Moje ręce są tak czarne, że nawet po długim i dokładnym szorowaniu, kiedy mniej więcej wracają do swojego dawnego koloru, wciąż mają podejrzaną zapach, coś jakby mieszanka woni Dove i Corra.

Gabe kuca przy radiu, próbując złapać jedną ze stacji ze stałego łądu, która odbiera tylko wtedy, gdy pogoda jest ładna i złożono odpowiednie zwierzęta w ofierze. Ze względu na brak muzyki Tommy śpiewa kawałek piosenki, którą udało się usłyszeć w radiu przed burzą. Dom pierwszy raz od miesiąca wydaje się pełen ludzi.

– Te wszystkie kapele, Gabe – mówi Tommy. Siedzi obok Finna, pomagając mu zamienić dym w ogień. Sięga po koncertynę taty, która leżała porzucona obok fotela. Gra tę samą melodię, którą przed chwilą śpiewał, tyle że na koncertynie brzmi to jakoś smutniej. – Wyobrażasz sobie? Koncerty.

Mówi oczywiście o stałym łądzie. Bo nie tylko od wyścigu dzieli nas kilka dni.

– I samochody – dodaje podekscytowany Gabe. – I pomarańcze codziennie.

– I kapele – powtarza Tommy.

Finn wpatruje się w ogień.

Ja wpatruję się w kurczaka.

– Nie martw się – mówi Tommy, zrywając się na nogi na widok mojej miny. – Przecież nie jedziemy na zawsze. I będziemy przysyłać pieniądze. Nie widziałaś ciuchów Esther Quinn? Jej brat jest na stałym łądzie, coś tam komuś sprzedaje i przysyła do domu kasę. Dlatego Esther wygląda jak z żurnala. Kiedy byłby dobry czas na przyjazd, Gabe? Może Wielkanoc? Wielkanoc to niezła pora, żeby wrócić. Podrzucimy więcej kurczaków.

Gabe bierze koncertynę taty i wydobywa z niej melodię. Zapomniałam już, jak dobrze potrafi grać. Tommy chwyta mnie w tali i obraca. Ociągamy się, bo nie przepadam, jak ludzie mnie dotykają, kiedy się tego nie spodziewam. Poza tym trzeba trochę więcej niż taniec, żeby mnie rozweselić.

– No już, umiesz ruszać się zwawiej! Wszyscy mówią, że dzisiaj na klifach byłaś jak spitfire – rzuca Tommy.

Na to pozwalam mu się obrócić.

– Naprawdę?

– Mówią, że ty i Sean Kendrick wznieciliście ogień. – Tommy znowu mnie obraca i śmieje się ze mnie. – A kiedy mówię „ty i Sean Kendrick”, to mam na myśli *tyyy i Sean Keeendrick*. Akiedy mówię „ogień”, mam na myśli o o o g i e ń .

Zatrzymuję się gwałtownie i teraz ja obracam nim. Udaję, że mówi o wyścigach.

– Martwi cię to?

– To Gabe powinien się martwić – stwierdza Tommy. Bierze mnie za rękę i okręca z takim rozmachem, że boję się o rzeczy poustawiane na szafkach. – Bo jego mała siostrzyczka wyrosła na ładną dziewczynę.

Mama mówiła mi, że nie powinnam robić niczego pod wpływem czyichś słodkich słówek, ale Tommy Falk nie wygląda, jakby chciał mnie do czegośkolwiek namówić, więc przyjmuję jego komplement z uśmiechem. Jest mi całkiem przyjemnie i nie pogardziłabym następnym.

Gabriel przerywa grę w środku taktu, trzymając koncertynę w rozłożonych rękach, jakby trzymał otwartą książkę.

– Nie zmuszaj mnie, żebym dał ci w szczękę, Tommy. Kiedy ten kurczak będzie gotowy, Kate?

– Uuu, Kate – piszczy Tommy, ale Gabe nie chce połknąć haczyka.

– Dwadzieścia minut – mówię. – Może trzydzieści. Może dziesięć.

Wtedy rozlega się pukanie do drzwi. Patrzymy po sobie, Tommy Falk tak samo niepewnie jak pozostali. Nikt się nie rusza, więc w końcu wycieram ręce o spodnie i idę otworzyć.

Za drzwiami stoi Sean, z jedną ręką w kieszeni, w drugiej trzyma bochenek chleba.

Nie jestem przygotowana na to, że zobaczę Seana, dlatego mój żołądek robi swoją sprytną sztuczkę przypominającą uczucie głodu albo paniki. Widok Seana stojącego w ciemności na naszym progu jest szokujący.

Wychyłam się na zewnątrz. Noc robi się chłodna.

– Wyrwałeś się ze stadniny.

– Czy to wciąż aktualne?

– Aktualne. Jest Gabe, Finn i Tommy Falk.

– Przyniosłem to. – Wyciąga rękę z chlebem od Palssona; pieczywo wciąż jest tak świeże, że czuję jeszcze jego ciepło. Musiał przynieść je prosto z piekarni. – Czy tak się robi?

– Tak zrobiłeś, więc tak się robi.

– Puck, kto to jest? – pyta Gabe.

W odpowiedzi otwieram szeroko drzwi. Wszyscy patrzą na Seana, który stoi z bochenkiem chleba, i kiedy tak na niego spoglądają, przemyka mi przez głowę, że Sean wygląda trochę, odrobinę, jakby się zalecał. Nie mam czasu czegośkolwiek wyjaśniać, bo Tommy wybucha śmiechem i zrywa się na nogi.

– Sean Kendrick, stary diable. Jak się masz?

Wciągamy go do domu, a Gabe zamyka drzwi, bo ja w przypiływie radości o tym zapominam. Mój brat próbuje rozdzielić Seana z jego kurtką, a Tommy mówi coś o pogodzie i jest dosyć głośno, choć zupełnie nie wiadomo dlaczego, bo tylko Gabe z Tommym i czasem Finn coś mówią. Sean jak zawsze potrafi wyrazić to, co ma do powiedzenia, jednym słowem, podczas gdy inni potrzebują pięciu czy sześciu. W samym środku zamieszania Sean zdejmuje kurtkę, ogląda się przez ramię i uśmiecha się do mnie, z ukosa, niewyraźnie, a potem z powrotem odwraca się do Tommy'ego.

Cieszę się z tego uśmiechu, bo tata powiedział kiedyś, że powinno się być wdzięcznym za dary, które są szczególnie rzadkie.

Po kilku minutach Tommy i Gabe zaczynają grać w karty przy kominku, bo nie ma nikogo, kto by im zabronił. Finn tylko się przygląda, bo nie zdecydował jeszcze, czy to grzech, czy nie. Sean dołącza do mnie, gdy stoję przy kuchennym blacie. Kiedy podchodzi, czuję zapach siana, słonej wody i kurzu.

– Daj mi coś do roboty – rzuca.

Daję mu nóż do ręki.

– Pokrój coś. Chleb.

Zaczyna kroić z determinacją i oddaniem.

– Gdy poszłaś, spotkałem Iana Privetta – mówi cicho. – Wziął Pendę i kiedy na plaży zrobiło się pusto, porządnie go zmęczył. Kiedyś był szybki i teraz znowu trzeba na niego uważać.

– Słyszałam, że lubi na samym końcu wyprzedzać z zaskoczenia od lewej.

Sean zerka na mnie z uniesioną brwią.

– To by się zgadzało. Privett stracił go cztery lata temu, gdy spadł podczas wyścigu. Wcześniej dwa razy mnie na nim pokonał.

– W tym roku cię nie pokona – stwierdzam.

Sean nic nie odpowiada. Nie musi. Wiem, że myśli o utracie Corra. Obracam kurczaka. Jest gotowy, ale nie mam jeszcze ochoty siadać do stołu.

– Tak sobie myślałem – mówi po chwili. – Nikt nie będzie chciał jechać po prawej stronie, bo pierwszego morze będzie wzburzone.

– Więc ja powinnam przytulić się do oceanu, bo dla Dove to nie ma znaczenia.

Sean skończył kroić chleb, lecz przekłada kromki, jakby wciąż był nim zajęty.

– Myślałam też, że może powinnam trzymać się z tyłu. Zachować siły Dove na koniec.

– A może zrobi się miejsce? – zastanawia się Sean. – Nie czekałbym za długo ani nie zostawałbym za bardzo z tyłu. Nie jest wystarczająco silna, żeby wysunąć się na przód, jeśli będzie za daleko.

– Chcę się trzymać z dala od srokaty, a ona będzie z przodu – mówię. – Widziałam, jak Mutt na niej jedzie.

Sean mruży oczy. Uświadamiam sobie, że jest zadowolony, że to zauważyłam, a ja jestem zadowolona, że on jest zadowolony.

– Blackwell to kolejny – ciągnie Sean. – To ten, którego ogier próbował cię zrzucić, ale ma teraz innego konia. Ten nowy to szybka bestia – mówi to bez złośliwości.

Oczywiście jest jeden koń, z którym na pewno będę musiała rywalizować. Jednak nigdy nie widziałam go w prawdziwym wyścigu, a jego jeździec nigdy nie dał mi najmniejszej wskazówki co do tego, jaką zamierza przyjąć strategię.

– Gdzie będziesz ty i Corr? – pytam.

Sean przyciska dwa palce do blatu przy jego krawędzi, zmiatając okruchy na kupkę. Zauważam, że jego palce są permanentnie brudne, jak moje.

– Zaraz obok ciebie i Dove.

Patrzę na niego.

– Ale nie możesz ryzykować, że nie wygrasz. Nie z mojego powodu.

Sean nie podnosi wzroku znad blatu.

– Zrobimy nasz ruch, kiedy wy zrobicie swój. Ty po prawej, ja od lewej. Corr potrafi wysunąć się na prowadzenie z samego środka; robił to już wcześniej. O to nie będziesz musiała się martwić.

– Nie zamierzam być twoim słabym punktem.

Teraz patrzy na mnie.

– Na to już za późno, Puck – mówi bardzo cicho.

Niesie chleb na stół, zostawiając mnie przy blacie.

Wpatruję się w zlew, próbując sobie przypomnieć, co miałam teraz zrobić.

– Puck! – rzuca Gabe. – Twój rosół!

Makaron gotuje się jak szalony i przez chwilę wygląda na to, że możemy mieć na obiad płomienie, lecz udaje mi się chwycić garnek i zdjąć go z ognia.

Teraz chłopcy zwietrzyli jedzenie i otoczyli stół.

– Masz rację, Gabe, ona rzeczywiście robi zjadliwego kurczaka – mówi Tommy. – Próbował ją dziobnąć.

– Taak, ale Puck mu się odgryzła – odpowiada Gabe.

Finn rozdziela makaron do misek, a ja wycieram to, co wykopiało. Tommy paple o tym, jak jego klacz pozwala się odpychać innym koniom, ale zaczyna strzyc uszami, kiedy widzi ich zady. Gabe bez pytania nalewa każdemu szklanekę wody. Cały czas próbuję się powstrzymać od zerkania w kierunku Seana, bo jestem absolutnie pewna, że nikomu przy stole nie umknie to, jak na niego patrzę i jak reaguję, gdy on patrzy na mnie.

Rozdział pięćdziesiąty trzeci

Sean

Budzi mnie płacz. Wróciłem za późno, za długo czekałem, aż przyjdzie sen. Przez chwilę po prostu leżę. Jestem wyczerpany i nie chcę się budzić, a jednak niewątpliwie słyszę płacz.

Głos zamienia się w przepełniony bólem lament i teraz jestem już rozbudzony. Po chwili mam na sobie kurtkę i buty i stoję z latarką na schodach.

W stajni jest ciemno, ale w boksach słyszę ruch. Konie nie śpią. Albo obudził je ten dźwięk, albo ktoś tutaj jest. Idę po omacku, trzymając wyłączoną latarkę.

Jęk staje się coraz głośniejszy, w miarę jak skradam się głównym przejściem. Dochodzi ze starej zagrody Corra, tej, w której właśnie umieściłem Edaną.

Przemykam w tamtą stronę tak szybko, jak to możliwe, zachowując ciszę. Płacz umilkł; teraz jestem pewien, że to była Edana. W ciemności ledwo dostrzegam jej boks, lecz noc na zewnątrz rzuca trochę ciemnoniebieskiego światła do wnętrza, dokładnie tyle, żebym mógł coś zobaczyć, gdy zajrzę do środka.

Kiedy Edana znowu się skarży, odskakuję. Jest tuż przy mojej twarzy. Opiera łeb o kraty, a szyję o ścianę, nos ma skierowany w sufit, a szczękę rozchyloną.

Szeptę jej imię, a ona w odpowiedzi wydaje cichy jęk. Przesuwam wzrok wzdłuż jej karku, kłębu i linii grzbietu, która jest pochyla, bo jej zad znajduje się nisko nad ziemią. Nigdy nie widziałem, żeby jakiś koń stał w ten sposób. Jest mi niedobrze, gdy otwieram drzwi boksu i wchodzę do jego wnętrza. Kontur jej ciała jest teraz widoczny w świetle padającym z okna. Edana opiera głowę i szyję o ścianę, przysiadając na zadzie niczym pies. Jej tylne nogi rozjeżdżają się, jakby ziemia była śliska.

Dotykam jej łopatki; drży. Gdzieś w moim sercu wzbiera okropne przeczucie. Przesuwam dłoń od jej kłębu w dół kręgosłupa, a potem kucam, wciąż szukając wzdłuż jej trzęsącego się zadu i niżej, w stronę ścięgien stawu skokowego.

Edana cicho jęczy.

Moja ręka jest mokra. Podnoszę ją do oczu, ale nie muszę zbliżać jej bardziej, żeby poczuć zapach krwi. Wyciągam z kieszeni latarkę i włączam.

Obydwa ścięgna są przecięte.

Górny brzeg rany zawija się do góry jak koszmarny uśmiech, a wokół pęcin zbiera się krew.

Zbliżam się do łba Edany, a ona szamocze się, usiłując utrzymać się na nogach. Głaszczę jej grzywkę i szepczę:

– Spokojnie. Nie bój się.

Czekam, aż jej oddech się uspokoi, aż mi uwierzy.

Już nigdy nie będzie chodziła.

Nie mogę tego zrozumieć. Nie mogę zrozumieć, kto mógł okaleczyć Edaną, konia, który nie bierze udziału w wyścigu, konia, który nikomu nie zagrażał. I to w taki sposób, z tak dzikim okrucieństwem. Chodziło o to, żebym to ja ją znalazł i poczuł oburzenie. Przychodzi mi do głowy tylko jedna osoba, która tak bardzo chciałaby mnie zranić.

Wydaje mi się, że słyszę szelest gdzieś w głębi stajni.

Wylączam latarkę.

W ciemności, w boksie Corra, gniada maść Edany jest bardzo podobna do jego krwistoczerwonej sierści. Bardzo łatwo byłoby je pomylić, gdyby ktoś spodziewał się znaleźć tu

Corra, szczególnie jeśli wchodził do środka skupiony na tym, żeby nie dać sobie zrobić krzywdy.

Znowu słyszę ruch w innej części stajni.

Wychodzę z zagrody. Stoję i nasłuchuję. Moje serce już pognało naprzód. Jedyne, co mnie obchodzi, to, czy dźwięk, który słyszę, dobiega z jednego z siedmiu boksów na tyłach budynku. Chcę tylko, żeby Mutt Malvern poszedł szukać Corra z niewłaściwej strony. Jest pięć innych zagród przystosowanych dla *eich uisce*. Mógł pójść go szukać w każdej z nich, kiedy zorientował się, że Edana to niewłaściwy koń.

Ponownie słyszę ruch.

W którymś z ostatnich siedmiu boksów.

Teraz biegnę.

Gdy skręcam za róg przy wejściu do stajni, włączam światła. Jeżeli Malvern zorientuje się, że tu jestem, na pewno zrezygnuje.

– Mutt! – krzyczę. Teraz, kiedy lampy się świecą, widzę krew na podłodze, ślady buta odcisnięte na czerwono w równych, metrowych odstępach. Biegnę po nich. – Posunąłeś się za daleko! Mutt!

Mój głos rozlega się echem pod sklepieniem stajni, pozostając bez odpowiedzi. Może już go tu nie ma.

Corr krzyczy.

Biegnę szybciej niż kiedykolwiek w życiu. Przed oczami mam obraz Edany opartej o ścianę, z głową nienaturalnie uniesioną w stronę sufitu. Edany, która nawet nie zdaje sobie sprawy, że to już koniec.

Jeżeli tknął Corra, zabiję go.

Wyskakuję zza następnego rogu. Drzwi do boksu Corra są otwarte na oścież. Mutt Malvern stoi z ostrzem w jednej ręce, w drugiej trzyma trójzęb, jakiego używa się do kłusowania na ryby czy ptaki. Żelazne groty trójzębu są przyciśnięte do barku Corra, spychają go do ściany. Widzę, jak skóra zwierzęcia drży i pręży się pod wpływem metalu.

– Zabieraj się od niego – mówię. – Każda kropla jego krwi to dziesięć kropli twojej.

– Seanie Kendrick – odpowiada Mutt. – To wredne z twojej strony tak zamieniać boksy.

Corr wydobywa z głębi gardła niski ryk, bardziej wyczuwalny pod stopami niż słyszalny. Ale jest obezwładniony trójzębem, jego trzema metalowymi końcami.

– Gdybyś miał jakiegokolwiek pojęcie o koniach, które mieszkają pod tym dachem, umiałbyś je rozpoznać nawet po ciemku.

Mutt patrzy na mnie wystarczająco długo, żeby zauważyć, że odległość między nami się zmniejszyła. Wskazuje głową na trójzęb.

– Nie zbliżaj się do boksu, koński rzeźniku.

Powoli wycieram zakrwawioną dłoń o kurtkę i wyciągam z kieszeni nóż sprężynowy. Pokazuję mu go.

Mutt spogląda na mnie z pogardą.

– Sądziś, że mnie powstrzymasz tą zabaweczką?

Ostrze nagle wyskakuje z trzaskiem. Mutt nie byłby największym stworzeniem, które straciło życie od pchnięcia tego noża.

– Nie sądzę, że cię powstrzymam – mówię. – Ale jeśli zranisz mojego konia i będziesz chciał wyjść z boksu, użyję tego, żeby wyciąć ci serce. A potem ci je dam.

Jestem chory. Jeśli spojrzę w oko Corra, nie będę w stanie się uspokoić.

– Naprawdę wydaje ci się, że możesz coś mi zrobić, kiedy trzymam to w ręce? – Ale wie, że mogę. Widzę to w jego oczach.

– Co chcesz tym udowodnić? Że jesteś lepszym jeźdźcem? Że konie cię bardziej kochają?

Chcesz zasłużyć na uznanie swojego ojca, okaleczając wszystkie *eich uisce* na tej wyspie?

– Nie – rzuca Mutt. – Tylko tego jednego.

– To ci wystarczy? – pytam. – Co będzie potem?

– Nic nie będzie potem – odpowiada Mutt. – To jedyne stworzenie, na którym ci zależy.

Patrzy mi w oczy, ale jednak nie jest pewien. Nie przewidział, że przy tym będę. Miałem się zjawić rano i znaleźć Corra tak, jak znalazłem Edanę. A może po prostu patrzy na mnie i marzy o tym, żeby móc zranić mnie jeszcze bardziej.

Musi być coś, co sprawiłoby Muttowi więcej satysfakcji niż kaleki Corr. Musi istnieć coś takiego. Myślę o jego wykrzywionej twarzy podczas aukcji i mówię:

– Jeżeli naprawdę chcesz coś udowodnić swojemu ojcu, musisz z nami wygrać. Pokonać nas na piasku.

Jego wzrok się zmienia. Ta piekielna srokata klacz go zafascynowała. Mutt zerka na mnie, a potem znowu na końcu trójzębu na barku Corra.

Wiem, co mu chodzi po głowie, bo myślę o tym samym. Benjamin Malvern, który mówi Geroge'owi Holly'emu, że jestem prawowitym dziedzicem tej stajni. Imię Skata wypisane na tablicy u rzeźnika. Zapierająca dech prędkość srokatej klaczy.

Słyszy obezwładniający śpiew *eich uisce*.

Mutt wycofuje się z boksu. Corr zajmuje zwalniającą się przestrzeń. Jego oczy są dzikie. Dostrzegam kropelki krwi pozostawione przez trójzęb na jego barku, a kiedy Mutt zasuwą drzwi, rzucam się na niego i przyciskam swoje małe ostrze do jego wielkiej nabrzmiałej szyi. Widzę, w którym miejscu jego skóra zapada się wraz z pulsem. Mój nóż jest tuż obok. Mutt odzywa się:

– Powiedziałeś, że chcesz walczyć na piasku.

Corr wali kopytami o ścianę boksu.

Mój głos syczy zza krat zębów:

– Powiedziałem też: dziesięć kropel twojej krwi za każdą kroplę jego. – Chcę zobaczyć wokół niego taką samą kałużę krwi, jaką widziałem pod nogami Edany. Chcę, żeby opierał się o ścianę i jęczał jak ona. Chcę, żeby tak jak ona wiedział, że nigdy już nie stanie na nogach. Chcę, żeby przypomniał sobie twarz martwego Davida Prince'a, gdy sam będzie umierał.

– Seanie Kendrick.

Głos dobiega zza moich pleców. Pochylam głowę, chociaż Mutt patrzy mi w oczy.

– Nie za późno na takie rozrywki?

Bardzo niechętnie zabieram ostrze i odsuwam się od Mutta. On trzyma ręce przy sobie, tę z trójzębem i tę z nożem do krojenia mięsa, wciąż ciemnym od krwi. Obaj stoimy twarzą w twarz z jego ojcem, który przyszedł z Dalym i zatrzymał się na początku przejścia. Ma na sobie koszulę, w której musiał spać, ale wygląda w niej nie mniej potężnie niż zazwyczaj. Daly, trochę zawstydzony, unika mojego wzroku.

– Matthew, twoje łóżko czuje się opuszczone – głos Benjamina Malverna brzmi serdecznie, chociaż jego poza temu przeczy.

Stary Malvern spogląda na syna i przez chwilę nic się nie dzieje. Potem twarz Benjamina tężeje, a Mutt przechodzi obok niego bez słowa, nie oglądając się w moją stronę.

Malvern patrzy teraz na mnie. Nadal się trzęsę pod wrażeniem tego, co Mutt mógł zrobić Corrowi, i tego, co ja byłem gotów zrobić jemu.

– Panie Daly – mówi Malvern, nie odwracając głowy. – Dziękuję panu za pomoc. Może pan wrócić do łóżka.

Daly kiwa głową i znika.

Benjamin Malvern stoi w odległości dwóch metrów, ze wzrokiem nieruchomo utkwionym we mnie.

– Masz coś do powiedzenia? – pyta.

– Chybabym... – zamykam na chwilę oczy. Muszę się opanować. Muszę znaleźć w sobie spokój. Nie mogę go znaleźć; jestem zdruzgotany. Stoję w oceanie, wyciągam ręce do nieba. Nie pozwalam, żeby prąd mnie porwał. Otwieram oczy – ...nie żałował.

Malvern przekrzywia głowę. Spogląda długą chwilę na mnie, na nóż w mojej ręce, na moją twarz. A potem splata ręce za plecami.

– Panie Kendrick, proszę szybko uwolnić tę klacz od jej męczarni.

Odwraca się i wychodzi ze stajni.

Rozdział pięćdziesiąty czwarty

Sean

Następny dzień jest bolesny i bezlitosny. Wiatr świszcze wokół końskich kopyt i sprawia, że zwierzęta stają się dzikie. Chmury umykają przed zimnem jak urywany oddech. Nad nami i pod nami rozciąga się szary ocean.

Spotykam się z Puck na drodze biegnącej szczytem klifów. Na mój widok marszczy brwi. Wiem, że po ostatniej nocy moja twarz przypomina krajobraz po burzy. Włosy Puck są schowane pod krzywą czapkę zrobioną na drutach, ale kilka kosmyków płącze się po jej twarzy. Sprzedawcy usiłują uchronić namioty przed porwaniem przez wiatr. Jeźdźcy schodzący ścieżką na plażę starają się uchronić przed tym samym swoje wierzchowce.

Puck naciąga głębiej czapkę. Niedaleko nas coś trzeszczy i skrzypi pod naporem wiatru. Dove odrzuca głowę. W jej szeroko otwartych oczach maluje się przerażenie.

– Zabierz Dove do domu – proponuję. – Ten dzień nie nadaje się do treningów na dole.

– To ostatnia okazja – odpowiada. – Mówiłeś, że powinna oswoić się z plażą. Nie ma już czasu.

Muszę przekrzykiwać wiatr. Otwieram puste dłonie w stronę nieba.

– Widzisz, żebym prowadził tam Corra? To nie jest plaża, z którą chciałabyś się oswoić.

Mordercze piaski. Tak mój ojciec nazywał plażę w dni takie jak ten. Zginęłyby dzisiaj obie, zabiłaby je niewiedza, desperacja albo brawura.

Puck marszczy czoło, patrząc na drogę na klifach. Widzę niepewność w tej bruździe między jej brwiami.

– Jeżeli ufasz mi chociaż trochę, nie ryzykuj dzisiaj. Jesteś wystarczająco dobrze przygotowana – przekonuję ją. – Pozostali też stracili ten dzień.

Przygryza wargę z ponurą irytacją, patrzy przez chwilę w ziemię, a potem, tak po prostu, godzi się z moimi argumentami.

– Trudno, co ma być, to będzie. Czy Tommy Falk jest tam, na dole?

– Nie wiem. Nie interesuje mnie Tommy Falk.

– Przytrzymaj Dove – prosi, kiedy nie udzielam satysfakcjonującej odpowiedzi. – Idę po niego.

Nie chcę, aby szła na plażę, na koniu czy bez niego.

– Ja go poszukam. Zabierz ją do domu.

– Pójdziemy razem – mówi Puck. – Zaczekaj. Poproszę Elizabeth, żeby ją uwiązała za straganem. Nie ruszaj się.

Patrzę, jak Puck podchodzi do stoiska Fathom i Synowie i wdaje się w ożywioną dyskusję z jedną z siostr, które go pilnują.

– To kiepska partia, Seanie Kendrick. – Słyszę jakiś głos obok mnie. Druga z właściolek Fathom i Synowie podąża za moim spojrzeniem w stronę Puck. – Żadne z was nie jest gospodynią domową.

Nie odrywam wzroku od Puck.

– Myślę, że za bardzo wybiega pani w przyszłość.

– Z pewnością nie za bardzo – odpowiada Dory Maud. – Pożerasz ją wzrokiem. Aż dziwne, że my możemy ją jeszcze zobaczyć.

Odwracam się do niej. Dory Maud jest kobietą o surowym spojrzeniu, mądrą i pracowitą, i nawet dla kogoś, kto mieszka w kurniku nad stacją Malverna, jest jasne, że potrafiłaby

obedrzeć najsilniejszego faceta na wyspie z ostatniego pensa.

– Kim w takim razie ona jest dla pani?

Dory Maud ma chytry wyraz twarzy.

– Tym, kim ty jesteś dla Benjamin Malverna, tylko że cieszy się mniejszą pensją i większą sympatią.

Oboje patrzymy znowu na Puck, która wygrała bitwę z Elizabeth i przywiązuje Dove z tyłu straganu. Oszalały wiatr szarpie we wszystkie strony jej włosy i grzywę klaczy. Przypominam sobie włosy Puck w dotyku i ciepło jej skóry, kiedy wsuwałem je za jej kołnierz.

– Ona też nie wie, co robi – dodaje Dory Maud. – Dziewczyna taka jak ona potrzebuje mężczyzny, który twardo stąpa po ziemi i będzie dla niej oparciem. Nie wie jeszcze, że ktoś taki jak ty lepiej wygląda w pojedynkę niż w parze.

Po jej głosie poznaję, że nie chce być okrutna.

– Chciałaby pani, żeby Puck miała w życiu oparcie, jakie pani miała?

– Sama jestem dla siebie oparciem – rzuca Dory Maud. – Oboje wiemy, co kochasz, a wyścigi to zazdrosna i bezwzględna wybranka.

Gorycz w jej głosie świadczy o tym, że doświadczyła tego na własnej skórze. Ale źle mnie oceniła, bo to nie wyścigi kocham.

Puck podchodzi do nas w tej samej chwili, wciąż ze złośliwym uśmieszkiem po wygranej bitwie z Elizabeth.

– Dory!

– Uważaj na siebie na tej plaży – woła Dory Maud, a potem zostawia nas, mamrocząc coś pod nosem.

Puck napomyka coś o złych humorach.

– Zmieniłaś zdanie? – pytam.

– Nigdy nie zmieniam zdania – odpowiada.

Na brzegu jest dokładnie tak fatalnie, jak się tego spodziewałem. Niebo wisi nisko nad głowami, deszcz smaga nas po twarzach jak rozpryskujące się fale. Z góry widać rozbijający się o skały ocean, *eich uisce* rozbiegające się po mokrym piasku, kłótnie między końmi i czerwone smugi na plaży. Martwy, ciemny koń wodny leży płasko na piachu, fale obmywają jego nogi, ale nie ruszają go z miejsca. Nie tylko na ludzi czyha tu niebezpieczeństwo.

– Widzisz gdzieś Tommy’ego? – odzywa się Puck.

Nie widzę, ale to dlatego, że na dole cały czas panuje zamieszanie. Deszcz szumi mi w uszach.

Puck dalej schodzi ścieżką i nie pozostaje mi nic innego, jak pójść za nią. Na plaży stoi kilku stłoczonych widzów i ktoś z obsługi wyścigu. To chyba jeden z Carrollów, wujek Briana i Jonathana. Wciskam głowę w kołnierz i zatrzymuję się, żeby z nim zamienić kilka słów. Wiatr uderza w twarz bez opamiętania.

– Co się tutaj dzieje? – pytam ze wzrokiem utkwionym w martwym koniu wodnym.

– Walczą. Konie ze sobą walczą. Morze doprowadza je do szaleństwa.

– Czy Tommy Falk tu jest? – pytam.

– Falk?

– Czarna klacz!

– One wszystkie są czarne, kiedy są mokre.

– Tommy Falk? – powtarza jak echo jeden z gapiów. Sądząc po granatowym garniturze i krawacie, które ma na sobie nawet tutaj, na plaży, musi być ze stałego lądu. – Taki przystojny chłopak?

Nie mam pojęcia, czy jest przystojny, czy nie.

– Może i tak.

Pokazuje na szczelinę w ścianie klifów. Pracownik obsługi odzywa się po chwili, jakby coś sobie przypomniał:

– Ktoś pana szukał, panie Kendrick.

Czekam, aż powie kto, jednak nie dodaje nic więcej, więc odchodzę. Przez to wszystko zgubiłem Puck. Gdy jest taka paskudna pogoda, wszyscy wyglądają identycznie. Jeśli każdy *each uisce* wydaje się czarny, kiedy jest mokry, to z ludźmi jest tak samo. Plaża jest zamieszкана przez ciemne nieczułe bestie i równie ciemne mniejsze stworzenia na ich grzbietach. Nie ma sensu jakiegokolwiek nawoływanie, żadnego dźwięku nie słyhać dalej niż na półtora metra, bo zlewa się z rykiem wiatru. Wyteżam wzrok i przeszukuję brzeg.

Wreszcie odnajduję wzrokiem nie Puck i nie Tommy'ego, tylko jego klacz. Jest czarniejsza niż węgiel, a ponieważ jest świetnie zbudowana, nie można jej pomylić z innym koniem. Stoi jakieś piętnaście metrów ode mnie w załomie klifów, przywiązana obok innego *each uisce*, z głową przy ziemi. Klacz wciąż ma na sobie uprząż, ale nigdzie nie widzę śladu Falka. Przychodzi mi do głowy, że Puck też może ją zobaczyć, więc podchodzę do wierzchowca, stąpając po drobnych kamyczkach, którymi pokryta jest górna część plaży.

Zanim udaje mi się pokonać połowę odległości, dostrzegam Puck. W niszy pod zakrętem drogi biegnącej z klifów, częściowo osłonięte przed pogodą, równolegle jedno przy drugim leżą cztery ciała – ofiary poranka, ciemne kontury na bladym piasku. Puck kuca przy jednym z ciał, nie dotykając go ani nawet nie patrząc na nie. Zgarbiona dla osłony przed wiatrem wpatruje się w ziemię między stopami.

Podchodzę do niej i patrzę w dół na poturbowaną twarz Tommy'ego Falka.

Rozdział pięćdziesiąty piąty

Puck

Ostatni dzień przed gonitwą to jednocześnie dzień pogrzebu Tommy'ego Falka. Myśl o jutrzejszym wyścigu doprowadza mnie do szaleństwa, bo wydaje mi się, że to wszystko jest nie w porządku wobec Tommy'ego. Ale kiedy próbuję przekonać samą siebie, że Tommy Falk przecież nie żyje, staje mi przed oczami on i Gabe rzucający po naszym domu kurczakiem.

Gdy wychodzę, żeby wyprowadzić Dove na pastwisko, Gabe wciąż leży w łóżku. Drzwi jego pokoju są uchylone, więc widzę, że wpatruje się w sufit. Kiedy wracam do domu, zastaję go wbijającego gwoździe w deski płotu zniszczonego przez *each uisce*. Okazuje się, że usunął już kamienie, które ułożyłam w miejscu zawalonego ogrodzenia. Nie mogę zostać w domu, bo ciągle myślę o tym, że jutro jest wyścig i że dzieli mnie od niego już tylko jedna noc. Dlatego idę z Finnem do Dory Maud, aby jej pomóc przygotować do wysyłki nową partię katalogów. Gdy wracamy, okazuje się, że Gabe przeobraził podwórze – powyrywał wszystkie chwasty i ułożył je razem z połamanymi deskami na stosie za przybudówką – ale najwyraźniej nie pomogło mu to zapomnieć, że Tommy Falk nie żyje. Kiedy wchodzimy na podwórze, przygląda się nam przez minutę, a potem twarz mu się zmienia, jakby właśnie nas rozpoznał. Ręce mu drżą. Namawiam go, żeby coś zjadł. Wygląda, jakby cały dzień pracował bez przerwy. Gdy popołudnie powoli zamienia się w wieczór, przyjeżdża Beech Gratton i razem z Gabe'em wymieniają ponure pozdrowienia. Przebieramy się i idziemy na zachodnie klify.

Gabe nie mówi wiele na temat pogrzebu Tommy'ego, tylko tyle, że Falkowie to „stara Thisby”, a to oznacza, że na ceremonii nie będzie ojca Mooneyhama ani nie odbędzie się ona w kościele Świętego Kolumbana, lecz na skałach nad morzem. Finn wygląda na zdenerwowanego, mam wrażenie, że wszystko, co wiąże się z nieśmiertelnością jego duszy, wytrąca go z równowagi, ale Gabe prosi go, żeby zachowywał się przyzwoicie, że to tak samo dobra religia jak ta, którą wyznawali nasi rodzice, a Falkowie są najlepszymi ludźmi, jakich można spotkać. Mówi to wszystko nieobecny głosem. Wyczuwam, że tonie, lecz nie mam pojęcia, jak go ratować.

Idziemy szczytami poszarpanych klifów na zachodnią plażę, która jest bardziej skalista i nierówna niż ta, na której odbywają się wyścigi. Ocean błyszczy w złotym wieczornym świetle, a na piasku, poza zasięgiem wody, płonie ognisko. Dołączamy do niewielkiej grupy żałobników, wśród których rozpoznaję wielu rybaków, przyjaciół mojego ojca.

– Dziękuję, że przyszedłeś, Gabe – mówi matka Tommy'ego Falka.

Teraz widzę, że to po niej Tommy odziedziczył cudne usta, ale nie potrafię powiedzieć, czy pozostała część jej twarzy jest równie piękna, bo oczy ma zaczerwienione i opuchnięte.

Bierze Gabe'a za rękę.

– Tommy był moim najbliższym przyjacielem na tej wyspie. Zrobiłbym dla niego wszystko.

Gabe mówi tak poważnie, że nagle, pomimo tego, jak bardzo mnie zawiódł, jestem z niego szalenie dumna.

Kobieta coś odpowiada, ale nie słucham jej, bo tak bardzo jestem zaskoczona, że Gabe płacze. Wciąż całkiem spokojnie z nią rozmawia, lecz jednocześnie z każdym mrugnięciem po jego policzkach spływają łzy. Nagle zdaję sobie sprawę, że nie mogę na nie patrzeć, więc zostawiam Gabe'a i Finna z panią Falk i przesuвам się w kierunku ognia.

Po chwili uświadamiam sobie, że to nie jest zwykłe ognisko, tylko stos pogrzebowy.

Dymi i strzela, robiąc na plaży mnóstwo hałasu. Pomarańczowe i białe płomienie kontrastują z granatowym kolorem wieczornego nieba, a mokry ubity piasek odbija je jak lustro. Odbicie jest zabierane, a potem przywracane przez kolejne fale. Ogień płonie już od bardzo długiego czasu, pod spodem zebrał się stos żaru i popiołu. Szokuje mnie widok zachowanego jakimś sposobem skrawka kurtki Tommy'ego Falka na kawałkach drewna. „Dopiero co siedział w tej kurtce przy naszym stole” – myślę.

– Puck, prawda?

Patrzę w lewo i widzę jakiegoś mężczyznę, który stoi z rękami złożonymi przed sobą jak w kościele. Oczywiście wiem, że to Norman Falk, teraz, kiedy na niego patrzę, bo przypominam sobie, że stał w naszej kuchni dokładnie w ten sam sposób, rozmawiając z moją matką. Pierwsza rzecz, jaka przychodziła mi zawsze na myśl na widok jego twarzy, to „rybak”, a nie „ojciec Tommy'ego Falka”. Obok niego stoi dziecko, pewnie któreś z rodzeństwa Tommy'ego. Norman Falk w ogóle nie przypomina Tommy'ego z wyglądu. Pachnie jak Gabe, to znaczy rybami.

– Przykro mi z powodu tego, co się stało – wypowiadam słowa, które mówili mi ludzie po śmierci rodziców.

Oczy Normana Falka są suche, gdy wpatruje się w stos. Chłopczyk opiera się o jego nogę, a Norman Falk kładzie mu rękę na ramieniu.

– I tak byśmy go stracili.

To dziwny rodzaj pocieszenia. Nie mogę sobie wyobrazić, że mogłabym tak myśleć o Gabie. Martwy Gabe, na zawsze. Gabe szczęśliwy gdzieś daleko. Gabe, którego nigdy więcej bym nie ujrzała. Wyjazd i śmierć to przecież nie to samo.

– Był bardzo odważny – dodaję, bo wydaje mi się, że to brzmi uprzejmie. Płomienie parzą mnie w twarz, powinnam się odsunąć, ale nie chcę, żeby to wyglądało, jakbym unikała rozmowy.

– Tak, to prawda. Wszyscy zapamiętają go na tej klaczy. – W głosie Normana Falka słychać szczerą dumę. – Poprosiliśmy Seana Kendricka, żeby zwrócił ją morzu, a on się zgodził. Robimy to dla Tommy'ego.

Pytam najuprzejmiej jak umiem, udając, że nazwisko Seana Kendricka mnie nie zainteresowało:

– Zwrócił ją morzu?

Norman Falk spluwa za siebie, mocno, żeby nie opluć chłopca u swego boku, i znowu obraca się do ognia.

– Tak, wypuścić ją, bo tak należy. Okazać umarłym szacunek, tak jak robiono to dawniej. Okazać szacunek *each uisce*. Nie chodzi o turystów, którzy tu przyjeżdżają, ani o napychanie sobie kieszeni, ani o te wszystkie rzeczy, które zamieniają wyścigi w brudny sport. Chodzi o *eich uisce* i o nas. – Potem najwyraźniej przypomina sobie, z kim rozmawia, ponieważ dodaje: – Nie ma dla ciebie miejsca na tej plaży, Puck Connolly. Dla ciebie i twojej klaczy. Nie powinno być. Znałem twojego ojca i lubiłem go, ale uważam, że to, co robisz, jest złe.

Jest mi wstyd bez żadnego powodu, a na dodatek czuję się źle, że pozwoliłam sobie na to uczucie.

– Nie chciałam okazać braku szacunku.

Głos Normana Falka jest dość miły.

– Oczywiście, że nie. Po prostu nie ma przy tobie mamy i taty, którzy by tobą pokierowali. Ten twój koń to tylko zwykły koń. Jeżeli Wyścig Skorpiona to zwykłe wyścigi konne, to w takim razie to wszystko – Norman Falk wskazuje głową na płomienie – jest tylko cholerną stratą, niczym więcej.

Jeszcze dwa tygodnie temu pomyślałabym, że oszalał, że oczywiście chodzi tylko

o gonitwę, o pieniądze, o dreszczyk. Gdybym jedynie przyglądała się treningom na plaży, pewnie też bym tak sądziła. Ale ponieważ spędziłam trochę czasu z Seanem Kendrickiem i siedziałam na grzbiecie Corra, czuję, że moja reakcja na słowa pana Falka nie jest taka oczywista. Wciąż nie jestem pewna, czy warto było Tommy'emu za to umierać, lecz rozumiem urok stania jedną nogą w morzu. Nigdy nie poznałam Thisby tak dobrze jak podczas tych ostatnich kilku tygodni.

Chłopiec mówi coś do Normana Falka, a on odpowiada, jakby coś mu tłumaczył:

– Teraz ją sprowadza. Patrz.

Oboje odwracamy głowy. Jedną ze ścieżek, które wiodą z klifu na plażę, idzie Sean. Jest już w połowie drogi. Prowadzi czarną klacz Tommy'ego, która w porównaniu z Correm wydaje się delikatna. Sean nie jest ubrany w jakiś szczególny czy rytualny strój – ma tę samą co zwykle niebiesko-czarną kurtkę z postawionym kołnierzem. Na jego widok gwałtownie ściska mi się serce, czuję coś w rodzaju dumy, chociaż nic, co wiąże się z Seanem, nie jest moją zasługą. Prowadzi czarną klacz w naszą stronę, przystając tylko wtedy, gdy ona omal nie staje dęba, wydając z siebie pisk, cichy jak krzyk ptaka.

Żałobnicy zbierają się przy stosie, żeby patrzeć, jak Sean odprowadza zwierzę nad wodę. Dopiero wtedy zauważam, że jego stopy są bosc. Woda obmywa mu kostki, mocząc nogawki jego spodni. Klacz unosi wysoko kopyta, kiedy woda obmywa jej pęciny; potem woła w stronę morza. W jej oczach już można dostrzec coś niezupełnie końskiego. Gdy kłapie zębami na Kendricka, on po prostu odskakuje, nawija sobie na palce jej grzywkę, ciągnąc w dół jej łeb. Widzę, że porusza ustami, lecz nie mogę dosłyszeć, co do niej mówi.

– Z morza, do morza – szepcze ojciec Tommy'ego obok mnie.

Nagle zdaję sobie sprawę, że te słowa pasują do ruchu ust Seana.

Zastanawiam się, ile razy już miała miejsce ta scena. Nie z Seanem wypowiadającym to zakłęcie, ale z kimkolwiek. Jest jak wtedy, kiedy na zakrwawionym kamieniu ogłosiłam Dove swoim wierzchowcem. Czuję, że coś przyciąga moje nogi do Thisby, że wokół moich kostek ciąży niewidzialna obecność tysięcy rytuałów.

Sean patrzy na zebranych i woła:

– Prochy!

Inny chłopiec – być może też któryś z rodzeństwa (ten jest trochę podobny do Tommy'ego) – spieszy przez piaski w stronę Seana. Światło szybko blednie, więc nie widzę, w czym niesie prochy – musiały zostać właśnie zabrane ze stosu. Kendrick wyciąga ręce nad naczyniem, jakby sprawdzał temperaturę, a potem ostrożnie sięga do środka. Klacz odrzuca łeb i znowu jęczy, a Sean wyrzuca garść popiołów w powietrze ponad nią. Wiatr zagłusza głos Seana, zdmuchuje go, jakby był pyłem, ale Norman Falk mu wtóruje:

– Niech ocean zachowa naszą odwagę!

Sean staje plecami do nas, następnie zdejmuje klaczy uzdę. Ona wierzga, a Sean po prostu, jakby nigdy nic, schodzi jej z drogi. Koń potrząsa grzywą i daje wielkiego susa do wody. Brnie przez fale, a później zaczyna płynąć. Zwykły czarny koń w głębokim błękitnym morzu pełnym prochów wielu nieżyjących chłopców.

Potem, tak nagle i szybko, że nawet nie wiem kiedy, znika, pozostawiając za sobą tylko lekkie zawirowanie na powierzchni wody.

Sean stoi na brzegu, wpatrzony w morze. Na jego twarzy maluje się ciekawość i tęsknota, jakby on też chciał dać susa do oceanu i odpłynąć. Wtedy właśnie przychodzi mi do głowy, że to dlatego Norman Falk poprosił Seana o przyście. Nie dlatego, że tylko on mógł przeprowadzić ten rytuał, ale dlatego, że Sean Kendrick, ze wzrokiem utkwionym w morzu, jest symbolem wyścigu, nawet gdyby żadna gonitwa nigdy się nie odbyła. Jest pamięcią o tym, co *eich uisce* oznaczają dla tej wyspy, mostem łączącym miejsce, w którym stoimy, z tą częścią Thisby, której

wszyscy pragniemy, ale nie możemy dotknąć. Gdy Sean tam stoi, nie wydaje się bardziej cywilizowany niż którykolwiek z *eich uisce* i to wywołuje mój niepokój.

Mam wrażenie, że moje serce jest pełne wszystkich początków i końców, a zarazem puste. Jutro wyścig, z całym swoim niebezpieczeństwem, nadzieją i strachem, a potem Gabe wsiadający na łódź, opuszczający nas. Czuję się jak Sean, który patrzy w morze. Przepelnia mnie tyle nienazwanych pragnień, że nie mogę tego znieść.

Rozdział pięćdziesiąty szósty

Sean

Po wypuszczeniu klaczy Tommy'ego Falka zostaję wciągnięty między żałobników. W blasku ognia twarze obecnych są tajemnicą, dopóki nie stanie się wprost przed nimi. Zaglądam w nie kolejno, odnajduję Gabriela Connolly'ego i Finna, ale nie Puck.

Pytam Finna stojącego w pozie stracha na wróble, czy jego siostra przyszła z nimi, a on mówi tylko: „Oczywiście”. Chodzę między uczestnikami ceremonii, dotykając łokci i wypytując o Puck. Cały czas mam świadomość, że zachowując się w ten sposób, wykrzykuję głośno, co do niej czuję. Nikt jej nie widział.

Jutro wyścig, zrobiłem to, co miałem zrobić dla Tommy'ego Falka, i powinienem wracać do stadniny, lecz czuję pustkę, wiedząc, że ona gdzieś tutaj jest, a ja jej nie znalazłem. Muszę się z nią zobaczyć, choć ta potrzeba mnie niepokoi.

Przez chwilę stoję na skałach, zastanawiając się, gdzie ona może być, a potem wspinam się ścieżką na klify. Ziemia jest ciemna, ale tu, bliżej nieba, wieczorne chmury są wciąż czerwone. Na całej wyspie musi już panować mrok, tylko tutaj wciąż dociera do naszych uszu szept słońca zachodzącego daleko nad zachodnim morzem. Puck siedzi na szczycie klifu, wpatrzona w horyzont. Przyciągnęła kolana pod brodę i objęła je ramionami. Wygląda, jakby wyrosła ze skał i ziemi dokoła niej. Chociaż słyszy moje kroki, nie odrywa wzroku od morza.

Wchodzę na górę, staję obok niej i patrzę na jej profil, zupełnie swobodnie, bo jedynie ona mnie widzi. Wieczne słońce otula jej szyję i kości policzkowe. Jej włosy koloru trawy na wzgórzach unoszą się na wietrze i opadają na twarz, która wygląda teraz mniej surowo niż zazwyczaj, mniej powściągliwie.

– Boisz się? – pytam.

Jej wzrok jest wciąż daleko na linii horyzontu, w miejscu, gdzie słońce zniknęło, ale pozostał jeszcze jego blask. Gdzieś tam są moje *eich uisce*, Ameryka George'a Holly'ego i mnóstwo wody, po której pływają statki.

Puck nie odwraca wzroku od pomarańczowego lśnienia na końcu świata.

– Opowiedz mi o tym. O wyścigu.

Wyścig jest jak bitwa. Chaos koni, ludzi i krwi. Najszybsi i najsilniejsi, którzy pozostali po kilku tygodniach przygotowań na piasku. To morska woda na twarzy, śmiertelna magia listopada na skórze, bębny Skorpiona zamiast serca. Jeśli ma się szczęście, to również prędkość. To życie, to śmierć albo jedno i drugie, i nic innego nie może się z tym równać. Kiedyś, dawno temu ten moment – to ostatnie światło wieczoru na dzień przed gonitwą – był dla mnie najpiękniejszą chwilą w roku. Oczekiwanie nadchodzącej gry. Ale to było wtedy, gdy miałem do stracenia wyłącznie własne życie.

– Na tej plaży nie będzie nikogo odważniejszego od ciebie, Puck.

– To nie ma znaczenia – mówi lekceważąco.

– Ma. Na festiwalu mówiłem poważnie. Ta wyspa nie troszczy się o miłość, ona daje fory odważnym.

Teraz patrzy na mnie. Jest groźna, czerwona, niezniszczalna i zmienna, ma wszystkie te cechy, które sprawiają, że Thisby jest tym, czym jest.

– Czy ty czujesz się odważny? – pyta.

Bogini klacz kazała mi wypowiedzieć jeszcze jedno życzenie. Teraz mam wrażenie, że to darowane życzenie jest jak cienka nić. Pamiętam lata, kiedy wydawało mi się obietnicą.

– Nie wiem, co czuję.

Puck rozkłada ręce, aby utrzymać równowagę, i pochyla się w moją stronę. Gdy się całujemy, zamyka oczy.

Odsuwa się i spogląda na mnie uważnie. Nie poruszyłem się ani o centymetr, a ona tylko odrobinę, ale świat pode mną stał się obcy.

– Powiedz mi, czego mam sobie życzyć – mówię. – Powiedz mi, o co mam prosić morze.

– Żeby być szczęśliwym. O szczęście.

Zamykam oczy. Myślę o Corrze, o oceanie, o dotyku ust Puck Connolly na moich ustach.

– Nie wiem, czy coś takiego można znaleźć na Thisby. A jeśli tak, to jak można to zatrzymać.

Wiatr dmucha w moje zamknięte powieki, niosąc zapach morza, deszczu i zimy. Ocean szumi u brzegów wyspy niczym nieustająca kołysanka.

– Szepczesz do niego. To, co pragnie usłyszeć. – Słyszę w uchu głos Puck. – Nie tak przypadkiem powiedziałaś?

Przechylam głowę, żeby jej usta dotykały mojej skóry. Pocałunek jest zimny, wiatr owiewa mój policzek. Jej czoło opiera się o moje włosy.

Otwieram oczy i słońca już nie ma. Czuję się, jakbym miał w sobie ocean, dziki i nieprzewidywalny.

– Tak powiedziałem. Ale co ja pragnę usłyszeć?

– Że jutro Wyścig Skorpiona będzie należał do nas, jakbyśmy byli królem i królową Skarmouth – szepcze Puck. – Że ja uratuję dom, a twój ogier będzie tylko twój. Dove będzie jadła złoty owies do końca swoich dni, ty co roku będziesz siał postrach w wyścigu, a ludzie będą przyjeżdżali ze wszystkich wysp na świecie, żeby dowiedzieć się, jak to się dzieje, że konie cię słuchają. Srokata zanieś Mutta Malverna do morza, a Gabe postanowi zostać na wyspie. Ja będę hodowała konie, a ty przyniesiesz mi chleb na kolację.

– To właśnie pragnąłem usłyszeć – przyznaję.

– Czy teraz już wiesz, czego sobie życzyć?

Przełykam ślinę. Nie mam muszelki spełniającej życzenia, którą mógłbym wyrzucić do morza, kiedy to mówię, ale wiem, że ocean i tak mnie usłyszysz.

– Chciałbym dostać to, czego pragnę.

Rozdział pięćdziesiąty siódmy

Puck

Kiedyś, gdy tata wsiadał do łodzi, w domu panował ruch. Nawet jeśli wy pływał wcześniej rano albo późną nocą, w ślad za ławicami ryb i odpływem, mama nie spała, bo piekła mu coś na drogę, Gabe sprawdzał w pokoju rodziców, czy tata spakował maszynkę do golenia, a Finn i ja czepialiśmy się ojca nóg, wspinaliśmy się do jego torby lub wślizgaliśmy mamie do mąki. W dniu, kiedy wypłynęli razem, to ja dla nich piekłam, Gabe sprawdzał, co zapakowali, a Finn patrzył na nich w milczeniu, nieszczęśliwy z powodu ich wyjazdu.

Dzisiaj, w dniu Wścigu Skorpiona, czuję się, jakbym to ja miała wypłynąć na łodzi. Finn nerwowo sprawdza mój plecak, Gabe poleruje mi buty, a ja związuję włosy w koński ogon i myślę: „Czy to naprawdę już?”. Mamy dużo czasu. Rano odbywają się krótsze, mniej ważne gonitwy, ja muszę być z Dove na plaży dopiero późnym popołudniem.

Gdy wreszcie wyruszamy, Finn mówi, że przyniesie mi lunch. Nie spodziewam się, żeby udało mi się cokolwiek przełknąć. Moje wnętrzności są kłębowskiem węży, przez które raczej nie zdoła się przedostać żaden kęs. Gabe wychodzi za mną z domu.

– Puck – mówi. – Nie rób tego.

Nachyla się nad płotem i przygląda się, jak przerzucam popręg nad siodłem Dove. W tym świetle, po nieprzespanej nocy, z podkrążonymi oczami, bardzo przypomina tatę. Zaczyna wyglądać trochę jak rybak, ze zmarszczkami w kącikach oczu.

– Teraz już chyba trochę za późno. – Patrzę na niego nad grzbietem Dove. – Powiedz mi, co innego mogę zrobić, żeby zachować dom, a zostanę.

– Czy opuszczenie tego domu byłoby aż tak straszne?

– Lubię go. Przypomina mi mamę i tatę. Zresztą nie chodzi nawet o dom. Wiesz, z czym przede wszystkim będę musiała się rozstać, jeśli nie będziemy mieli domu? Z Dove. Nie mogę. – Przerzywam i zajmuję się ścieraniem plamy z siodła.

– Ale przecież to tylko koń – stwierdza Gabe. – Nie patrz tak na mnie. Wiem, że ją kochasz. Jednak możesz bez niej żyć. Możesz znaleźć tu pracę, ja będę przysyłał pieniądze i wszystko będzie dobrze.

Przebieram palcami w grzywie Dove.

– Nie, nie będzie dobrze. Nie chcę po prostu znaleźć pracy i pracować. Chcę Dove, chcę przestrzeni, żebym mogła oddychać, i nie chcę, aby Finn pracował we młynie. Nie chcę się zestarzeć, mieszkając w Skarmouth w schowku na szczotki, nie chcę, żeby Finn mieszkał w tym schowku.

– W przyszłym roku będę miał już tyle pieniędzy, że ty też będziesz mogła przyjechać na stały łąd. Tam jest łatwiej, można znaleźć lepszą pracę.

– Nie chcę jechać na stały łąd. Nie chcę lepszej pracy. Nie rozumiesz? Tu jestem szczęśliwa. Nie każdy chce stąd wyjeżdżać, Gabe! Tu chciałabym zostać. Gdybym mogła mieć Dove, własny kąt i worek fasoli, powiedziałabym, że mi to wystarczy.

Gabe patrzy na swoje stopy i porusza ustami, tak jak kiedyś, kiedy kłócił się z tatą i nie podobało mu się, że został przyparty do muru.

– I za to warto umierać?

– Tak. Myślę, że tak.

Porusza luźną drzazgą w desce.

– Nawet się nad tym nie zastanawiałaś.

– Nie muszę. Co ty na to: ja nie będę startowała, a ty zostaniesz na wyspie. – Ale kiedy to mówię, już wiem, że on się nie zgodzi, a ja i tak wezmę udział w wyścigu.

– Puck – zaczyna Gabe. – Nie mogę.

– Cóż – odpowiadam, po czym popycham bramę i wyprowadzam Dove, mijając go. – Sam widzisz.

Nie ma już we mnie złości. Jest tylko stara zadra, ale żadnego gniewu. Czuję się, jakbym od zawsze, od dziecka wiedziała, że on kiedyś wyjedzie, i tylko udawała, że tak się nie stanie. I Gabe też chyba wiedział, zaczynając tę rozmowę, że nie ma sposobu, żeby powstrzymać mnie i Dove przed zejściem na plażę. Po prostu oboje musieliśmy to wszystko powiedzieć. Kiedy przechodzę obok Gabe’a chwytam mnie za ramię. Dove uprzejmie się zatrzymuje, a on przyciąga mnie, aby mnie uściskać. Nic nie mówi. To jak jeden z jego niezliczonych uścisków z czasów, kiedy dorastał, gdy sześć lat różnicy wieku było przepaścią między mną, dzieckiem, a nim, dorosłym.

– Będę za tobą tęskniła. – Wtulam się w jego sweter. Po raz pierwszy nie czuć od niego rybami. Pachnie sianem, które przrzucił dla mnie poprzedniego wieczoru, i dymem ze stosu pogrzebowego.

– Przepraszam, że tak wszystko sknociłem – mówi. – Powinienem być bardziej wam ufać.

Szkoda, że nie powiedział tego wcześniej, zanim zrobił się smutny i przerażony. Ale lepiej późno niż wcale.

Gabe wypuszcza mnie z objęć.

– Pójdę się dowiedzieć, gdzie przydzielają barwy wyścigowe. – Patrzy na mnie, trochę zaskoczony. – Wyglądasz teraz zupełnie jak mama.

Rozdział pięćdziesiąty ósmy

Sean

Jest pierwszy dzień listopada, więc ktoś dzisiaj umrze.

Słyszę pukanie, a potem moje popękane drzwi się otwierają.

– Jak się czuje bohater Skarmouth w dniu wyścigów? Otwieram oczy i odwracam głowę. W drzwiach stoi George Holly. Rozgląda się po moim maleńkim mieszkanku, w którym nie ma nic poza łóżkiem, zlewem i małą kuchenką pod pochyłym sufitem. W słabym porannym świetle wszystkie sprzęty i ściany pokoju mają lawendowy kolor.

Kiwam głową, jednocześnie go pozdrawiając i zapraszając do środka.

– Nędznie tu – mówi. – I ty też wyglądasz nędznie. Po chwili wysuwa spod zlewu skrzynkę pełną puszek i siada na niej z kolanami pod brodą. Kładzie na nich swój czerwony kaszkiet i drapie go, jakby był jakimś zwierzątkiem.

– Nie mogę się uspokoić – przyznaję. Zamykam oczy. – Nie mogę w tym stanie wejść do boksu Corra, bo on to wyczuje i równie dobrze mógłbym w ogóle nie iść na plażę.

– Chodzi o wyścig? – pyta Holly. – Boisz się go?

– Nigdy się nie bałem – odpowiadam, nawet nie otwierając oczu.

– Czy to dlatego, że tym razem stawką jest Corr? Czego tak naprawdę chcesz, Sean?

Przyciskam dłoń do twarzy, szukając w sobie spokoju. Musi gdzieś tam być. Pewność, którą czułem każdego roku przed każdym wyścigiem. Każdego ranka, zanim dosiadłem jakiegokolwiek konia.

– Wolności? To nie zawracaj sobie głowy wyścigiem. Jedź ze mną do Stanów, zostaniesz moim partnerem. Nie głównym stajennym. Nie głównym trenerem. Możesz tu przyjeżdżać i wyjeżdżać, kiedy ci się będzie podobało.

Gdy nadal milczę, Holly kontynuuje:

– No widzisz? Okłamywałeś mnie i samego siebie, mówiąc mi, że chcesz wolności. Odkryliśmy, że wcale nie chodzi o wolność. Zawsze to jakiś postęp.

Odwracam głowę. Na dole słychać ruch, jaki zwykle panuje w stajni w dzień wyścigu. Tylko mnie tam nie ma.

– Twierdzisz, że to z powodu tego czerwonego ogiera? Boisz się, że nie wygrasz wyścigu i stracisz go za jednym szybkim pociągnięciem sprawiedliwości Malverna? Wygrałeś przecież cztery z sześciu wyścigów, a więc i tym razem twoje szanse są duże, prawda? O to też chyba nie chodzi.

Podnoszę powieki. Holly porusza się, kiedy dostrzega mój wzrok, wbity w niego. Skrzynka pod nim trzeszczy.

– Dwa razy przegrałem z Ianem Privettem, który dosiadał Pendę. Trzeciego roku spadł i stracił Pendę, a w tym roku ma go znowu. Blackwell ma Margot.

– ...a to szybka bestia – zauważa Holly. Moje słowa.

– ...i jest jeszcze ta srokata. Nie wiem, czego się po niej spodziewać. Myślę, że wszyscy powinniśmy się jej obawiać. Myślę, że mogę wszystko stracić.

Holly drapie się po karku i wpatruje w cień pod moim wąskim łóżkiem.

– Mam wrażenie, że twoje „wszystko” jest sednem twojego problemu. Czy mówiąc „wszystko”, nie masz aby przypadkiem na myśli Kate Connolly? Aaa, widzę, że tak jest.

– Siebie jestem pewien – stwierdzam.

– Hm.

– Nie mów do mnie „hm”. Nie możesz tak sobie przychodzić w swojej głupiej czerwonej czapce i tych swoich butach i zgrywać mądrego człowieka.

– Powiedział człowiek bez butów – rzuca Holly. Wstaje i robi krok do przodu. Stoi teraz przy mojej kuchence. – Jak ty tu mieszkasz, Sean? Jak ci się udaje zrobić herbatę, nie przypiekając sobie wacka? Jeżeli przewrócisz się na drugi bok na tym łóżku, wylądujesz w zlewie. Codziennie jesz śniadanie w łóżku, bo nie ma tu przyzwoitego kawałka podłogi.

– Ujdzie.

– Hm – mruczy znowu Holly. – „Ujdzie” może opisywać szeroką gamę sytuacji. Do tego właśnie wrócisz, jeśli wygrasz?

– Dom mojego ojca stoi na północno-zachodnim klifie. Jeżeli mógłbym mieszkać, gdzie chcę, właśnie to miejsce bym wybrał. – Nie bardzo pamiętam dni, które tam spędziłem, ale przejeżdżam czasem tamtędy. Moje wspomnienia są fragmentaryczne: ja w łóżku, ja przy oknie, mama w fotelu. Dom jest teraz trochę zaniedbany. Wciąż do mnie należy, lecz jest za daleko, żebym mógł tam mieszkać i pracować dla Malverna.

– To tam trzymałbyś tę klacz, którą właśnie kupiłem, aż doczeka się ślicznego czerwonego źrebaka z twoim wspaniałym ogierem?

Sięgam po skarpetki suszące się na grzejniku i buty, które stoją pod nim.

– Nie powiedziałem, że otworzę stajnię.

– Nie musiałeś. Wrócę tu w przyszłym roku, a ty będziesz miał stadko koni za oknem, Puck Connolly w swoim łóżku, a ja będę kupował konie od ciebie zamiast od Malverna. To jest twoja przyszłość.

– Z twoim akcentem „przyszłość” brzmi jakoś przyjaźniej – wzdycham i sięgam po kurtkę.

– Dokąd idziesz? Jeszcze nie skończyłem swoich przepowiedni.

Narzucam kurtkę na ramiona.

– Na plażę. Nie będziesz miał tego swojego źrebaka, jeżeli dzisiaj nie wygram Corra.

Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty

Puck

W ciągu nocy ja się skurczyłam, a wszyscy inni na wyspie urosli. Ludzie mają po trzy metry wzrostu, a ja niewiele ponad metr i jestem dzieckiem. Dove wydaje się zabawką albo może psem, kiedy prowadzę ją przez tłum. Droga na klify już się roi od gapiów; pierwsze gonitwy rozpoczęły się kilka godzin temu i na dole trwają krótkie potyczki. Słyszę pomruki i śmiech widzów na górze. Wiatr nami szarpie.

Podnoszę wzrok, ale na niebie widać tylko ten nijaki rodzaj chmur, które pojawiają się na chwilę, nie na cały dzień. Czuję ulgę. Bałam się, że będzie tak strasznie jak wtedy, kiedy znalazłam Tommy'ego martwego na plaży. Jest zimno, ale w końcu to listopad. Zresztą spodziewałam się zimna.

Wszyscy na mnie patrzą, wciąż słyszę swoje imię albo wciąż wydaje mi się, że je słyszę. Ktoś pluje pod nogi Dove, a może pod moje. Słyszę okrzyki z twardym akcentem ze stałego lądu, a także komentarze z urywanym miejscowym akcentem na temat mojego wychowania.

Czuję się dziwnie, jakbym była obca, jakbym była turystką, która przyjechała zwiedzić nieprzyjazną wyspę. Wszyscy dotykają Dove, a ona zachowuje się niespokojnie i niepewnie. W którymś momencie podnosi głowę i rzy cicho, chociaż w tej części wyspy nie ma nikogo, kto by jej odpowiedział. W dole, na plaży krzyczy jakiś *each uisce*. Dove drży i wlecze mnie na końcu uwiąz. Dopiero jakiś metr dalej wreszcie udaje mi się znaleźć oparcie dla stóp.

Słyszę śmiech; ktoś pyta, czy nie przydałoby mi się pomoc, tonem, w którym nie słychać sympatii.

– Nie, ale twojej matce przydałoby się więcej rozumu na dziewięć miesięcy przed twoim urodzeniem – odburkuję, wściekła.

– Ona gryzie – mówi inny facet.

Sznuruję usta i pcham się dalej. Gdzieś w tym bałaganie może być Gabe z moimi barwami startowymi i Finn z moim lunchem.

– Kate Connolly, czy rzeczywiście zamierzasz zmienić odwieczny porządek?

Mrugam i robię krok do tyłu. Dokładnie przede mną stoi jakiś mężczyzna w brązowym garniturze, który wygląda, jakby kosztował więcej niż nasz dom. W ręce ma notes. Za nim stoi fotograf z wielką lampą błyskową. Za mną i Dove zaczyna się morze ludzi. Odnoszę wrażenie, że jestem przyparta do muru.

– Nie próbuję zmienić niczego poza swoją własną sytuacją – mówię.

– Więc nie zainspirował pani ruch sufrażystek?

Wykręcam szyję w poszukiwaniu braci albo Dory Maud, albo kogokolwiek, kogo bym знаła. Nigdy w życiu nie widziałam tylu meloników. Próbuję torować sobie i Dove drogę, lecz to coraz trudniejsze.

– Jestem tylko kimś, kto jeździ konno, zresztą jak każdy na tej wyspie. Ma pan coś przeciwko temu? Płoszy mi pan konia.

– Co powiedziałyby pani tym mieszkańcom wyspy, którzy uważają, że nie ma dla pani miejsca w Wyścigu Skorpiona? – pyta reporter.

– Nie mam dla pana mądrej odpowiedzi – mówię ze złością.

– Jeszcze jedno, panno Connolly. Jak pani zdaniem to się skończy? Czy ma pani szansę ukończyć gonitwę? – Ruszają za mną truchtem, kiedy przeprowadzam Dove przed ich nosami. Czuję się dziwnie wytrącona z równowagi przez dziennikarza i fotografa, bardziej niż przez

wszystko, z czym dotąd miałam do czynienia. Nie myślałam o zwróconych na mnie oczach, a już szczególnie o oczach ludzi ze stałego lądu.

Rzucam mu gniewne spojrzenie.

– Proszę zapytać u Grattona. Tam wszystko wiedzą.

Znowu próbuję wyprowadzić Dove, odepchnąć ich wszystkich od siebie.

– Puck!

Serce podchodzi mi do gardła. Rozglądam się i dostrzegam Seana. W przeciwieństwie do mnie nie musi przepychać się między ludźmi. Sami robią mu miejsce, choć wyglądają, jakby nawet nie zdawali sobie z tego sprawy. Ma na sobie białą koszulę i nie może złapać tchu, aż trudno uwierzyć, że to rzeczywiście on.

Podchodzi blisko, stając tyłem do reportera, i nachyla głowę nade mną. Cały czas myślę o zwróconych na nas oczach, ale Sean chyba się tym nie przejmuje.

– Gdzie twoje barwy startowe? – pyta.

– Gabe po nie poszedł.

– Rozdają je na plaży.

– Masz swoje?

– Tak. Potrzymam ci Dove, a ty idź na dół.

Dove drży, kiedy ktoś dotyka jej zadu. Dla niej jest tu za głośno i za tłoczno. Martwię się, że przez to straci całą energię tu, na klifach, jeszcze zanim w ogóle zejdziemy na plażę. Przypominam sobie, że Peg Gratton ostrzegła, żebym nikomu nie pozwalała dociągać swojego popręgu w dzień wyścigu. Uznaję, że Sean nie jest nikim.

– Możesz coś zrobić, żeby zostawili ją w spokoju?

Kiwa szybko głową.

– Dziękuję – mówię cichutko, tak że musi się pochylić, żeby mnie usłyszeć.

Sean sięga do kieszeni i wsuwa mi na wolną rękę bransoletkę z czerwonej wstążki. Unosi moją dłoń i przyciska usta do nadgarstka. Jestem całkowicie spokojna. Czuję, że mój puls uderza kilka razy o jego usta, a potem on puszcza moją rękę.

– Na szczęście – mówi. Zabiera ode mnie uwiąz Dove.

– Sean! – wołam, a on się odwraca.

Ujmuję w dłonie jego podbródek i całuję go mocno w usta. Nagle, ni stąd, ni zowąd przypominam sobie tamten pierwszy dzień na plaży, kiedy wyciągnęłam go z wody.

– Na szczęście! – Patrzę na jego zaskoczoną twarz.

Błyska flesz i słyszę pełne aprobaty pohukiwanie.

– W porządku – stwierdza Sean, jakbyśmy właśnie dobili targu i wszystko już zostało uzgodnione. Odwraca się do tłumu.

– Jeżeli chcecie mieć wyścig, to zróbcie temu koniowi trochę miejsca. Już.

Kiedy oni rozpierzchają się na boki, ja przepycham się w stronę ścieżki, która prowadzi na plażę. Przed zejściem na dół oglądam się przez ramię, żeby odnaleźć Seana. Wokół niego i Dove jest teraz szeroki pas wolnego miejsca. Sean wciąż na mnie spogląda. Czuję Thisby pod stopami, usta Seana na swoich ustach i zastanawiam się, czy szczęście będzie dzisiaj po naszej stronie.

Rozdział sześćdziesiąty

Puck

Plaża jest mniej zatłoczona, niż się spodziewałam. Trafiłam na przerwę między dwiema pomniejszych gonitwami i są tu teraz tylko te *eich uisce*, które startują w następnej. Wszyscy widzowie, wcześniej stojący na dole, tłoczą się na szczycie klifów, tak blisko krawędzi, jak tylko mają odwagę podejść. Niebo nad nimi jest czyste i ma teraz niezwykle głęboki kolor błękitu, jaki zdarza się jedynie w listopadzie; ocean po mojej prawej stronie jest z kolei ciemny jak noc.

Jeśli będę myślała o czekającym mnie wyścigu, nie dam rady się ruszyć.

Szybko odnajduję w załomie klifu stół pracowników obsługi. Dwaj mężczyźni w melonikach siedzą za stołem jaskrawych barw wyścigowych. Szybko do nich podchodzę i nachylam się, żeby nie krzyknąć.

– Chciałabym odebrać swoje barwy – mówię. Rozpoznaję faceta po prawej. Siada obok nas w kościele.

– Nic już dla pani nie zostało – odpowiada drugi urzędnik. Jego ręce opierają się o górę barw.

– Słucham? – pytam uprzejmie.

– Nic nie zostało. Do widzenia. – Odwraca się do kolegi obok. – Co myślisz o tej pogodzie? Ciepło, prawda?

– Proszę pana – zaczynam.

– Ja tam na ciepło nie narzekam, tylko że rozmnożą się muszki – mówi drugi urzędnik.

– Nie możecie tak po prostu udawać, że mnie tu nie ma – rzucam.

Ale widocznie mogą. Znaczącym tonem ucinają sobie pogawędkę, ignorując moją obecność; przełykam gniew i upokorzenie i się poddaję. Wyzywam ich od bydlaków, bo i tak mi nie odpowiedzą, i wracam, skąd przyszłam. Na drodze z klifów spotykam Gabe'a. Wiatr rozczochrał mu włosy.

– Gdzie twoje barwy? – pyta.

Nie mam ochoty się przyznawać, jednak nie mam wyjścia; rozdrażniona odpowiadam:

– Nie chcą mi ich wydać.

– Nie chcą!

Staję z rękami założonymi na piersiach.

– Nic nie szkodzi. Pojadę bez nich.

Ale trochę szkodzi.

– Idę do nich – proponuje Gabe. Miło widzieć jego słuszną złość, nawet jeśli zdaję sobie sprawę, że nic nie pomoże. Czasami wystarczy, że dzieli się z kimś swoją wściekłość, żeby poczuć się lepiej. – To głupie.

Patrzę, jak schodzi na dół i idzie do stolika, ale widzę po minach obserwujących go urzędników, że odpowiedź będzie taka sama. Tłumaczę sobie, że to i tak nie ma znaczenia. Nie muszę wyglądać jak jedna z nich. Nie muszę być jedną z nich.

– Chrzań ich – rzuca Gabe, kiedy ponownie zjawia się przy mnie. – Stare miejscowe dziadygi.

Obok ktoś krzyczy, że wszyscy oprócz startujących w finałowym wyścigu mają opuścić plażę. Na plaży mogą pozostać wyłącznie uczestnicy finałowej gonitwy.

To znaczy naszej.

Rozdział sześćdziesiąty pierwszy

Sean

Popołudnie jest bardzo słoneczne, choć na plaży jest zimno. Wiatr rozwiewa czarnogranatową powierzchnię wody na tysiące białych grzyw. Na klifach widać zarys tłumu widzów obserwujących jasną wstęgę piasku, która dzieli ich od oceanu.

Z wody, daleko od brzegu, co chwilę wyłania się głowa jakiegoś *each uisce*, którego znosi w stronę plaży listopadowy prąd. Te, które wcześniej złapaliśmy, szarpią teraz wodze obwieszone dzwoneczkami i czerwonymi wstążkami, żelazem i listkami ostrokrzewu, stokrotkami i modlitwami. Konie wodne są głodne i gniewne, agresywne i piękne, nienawidzą nas i kochają.

To pora Wyścigu Skorpiona.

Czuję, że żyję.

Dosiadam Corra, potężnego i niespokojnego. Morze śpiewa do niego tak, jak nie śpiewało jeszcze wczoraj, i kiedy inny *each uisce* przesuwa się obok nas, Corr kłapie na niego zębami. Wcześniej, zanim Puck postanowiła startować w wyścigu, nigdy nie zdawałem sobie sprawy, ilu nas tutaj jest. Konie wodne wszelkiej maści tłoczą się, przepychają, gryzą, parskają, kopią. Północny kraniec plaży jeszcze nigdy nie wydawał mi się taki odległy.

Nieco ponad trzy i pół kilometra, pięć minut – i będzie po wszystkim.

Odnajduję w tłumie Puck. W przeciwieństwie do innych nie obwiesza konia błyskotkami i świecidełkami. Pochyla się nad szyją Dove z policzkiem przyciśniętym do jej grzywy.

– O, Sean Kendrick!

Rozpoznaję głos Mutta, zanim jeszcze odwrócę głowę. Siedzi metr za mną na grzbiecie srokatej. Kiedy klacz potrząsa głową, wplecione w jej grzywę dzwoneczki wydzwaniają fałszywy akord. Nie bardzo rozumiem – chce, żeby była szybka, a każe jej dźwigać cały ten złom, który pozawieszał na jej napierśniku i zadzie.

– Nie rozmawiam z tobą – odpowiadam.

– Ten wyścig będzie dla ciebie piekłem – mówi Mutt. Corr kładzie uszy, a srokata klacz odpowiada mu w podobny sposób.

– Nie jesteś w stanie mnie przestraszyć na tej plaży.

Mutt Malvern wycofuje się, a łaciata brzęczy i parska.

Mutt podąża za moim spojrzeniem w stronę Puck.

– Wiem, na czym ci zależy, Seanie Kendrick.

Puck

Usiłuję, bezskutecznie, udawać, że to jedynie kolejny sprint. Próbuję nie patrzeć, jak długi dystans musimy przebiec. Staram się pamiętać, że mam nie tylko przeżyć, ale też dobrze się spisać. Muszę wygrać. Przez chwilę czuję wyrzuty sumienia, że jeśli ja zdobędę to, czego pragnę, nie zdobędzie tego Sean, ale może nie musi tak być. Jeżeli ja wygram, to na pewno wystarczy, żeby zachować dom i kupić Corra.

– Puck. Zsiądź na chwilę. – Z zamyślenia wrywa mnie głos Peg Gratton. Peg stoi przy Dove i patrzy na mnie, podnosząc głowę. Jej włosy są potargane na wietrze, ale minę ma poważną. Posłusznie zsiadam z konia. Trzyma swój ptasi kostium z Festiwalu Skorpiona. Nie mam pojęcia, co chce z nim zrobić. – Jak się czujesz?

– W porządku – odpowiadam.

– To okropne – zaczyna. – Gabe powiedział mi, że nie przyznali ci barw wyścigowych. Nie pozwalam, żeby moja twarz cokolwiek zdradziła.

– Okej. Zdejmuj siodło – mówi Peg.

Zdumiona, ale pełna zaufania, odpinam siodło i obserwuję uważnie, jak Peg rozkłada kostium. Teraz widzę, że został pozbawiony przerażającej ptasiej głowy. Została tylko pokryta piórami peleryna. Peg kładzie ją na grzbiecie Dove w miejscu, gdzie zwykle umieszcza się czaprak w barwach wyścigowych jeźdźca, potem bierze siodło i sprawdza, czy nie będzie ocierało Dove.

– Teraz startujesz w barwach Thisby – oznajmia.

– Dziękuję.

– Nie dziękuj mi. Pokaż im, kim jesteś.

Przełykam ślinę. Ktoś, kim jestem, przycupnął wewnątrz dziewczyny zwanej Puck Connolly i modli się o przeżycie najbliższych kilku minut.

– Jeźdźcy na start!

Jak to możliwe, że już czas? Przecież dopiero co się tu znalazłam, nie zdążyłam jeszcze odszukać Seana. Dosiadam Dove i rozglądam się wśród wielu *eich uisce*. Jeśli go tylko...

Dostrzegam go na drugim końcu linii startu, unosi brodę i też się rozgląda. Corr w ciemnoniebieskich barwach już jest zroszony potem. Sean wciąż szuka mojej twarzy, więc podnoszę nadgarstek, żeby zobaczył zawieszoną na nim wstążkę.

– Jeźdźcy na start!

Chciałabym być obok Seana i Corra, ale nie ma czasu. Trzech mężczyzn z obsługi wyścigu spycha nas za linię wyznaczoną wielkimi drewnianymi żerdziami. Szereg dzwoni i brzęczy setkami dzwoneczków na dziesiątkach kopyt. *Eich uisce* kłapią zębami i parskają, grzebią kopytami i drżą. Trzymam Dove tak daleko od sąsiadów, jak to tylko możliwe. Klacz kładzie uszy płasko. Otaczają ją drapieżniki.

Each uisce obok nas potrząsa głową, po jego szyi i piersi spływa piana.

Zaczęło się odliczanie.

– Ciii, ciii – szepcze ocean.

Zabierają żerdzie.

Rozdział sześćdziesiąty drugi

Puck

Rzucamy się do przodu bez ładu i składu. Pamiętam tylko, że mam się trzymać prawej. Inni nie będą chcieli się zbliżyć do listopadowego morza, chyba że nie będą mieli wyjścia. Kopyta Dove uderzają w wodę, słona mgielka zrasza mi twarz. Między palcami i na wodzach czuję drażniące kryształki soli.

Coś mocno przygniata mi nogę, aż sprzączka od paska przytrzymującego strzemień wbija się w moją kość. Odwracam głowę i widzę, że przyciska mnie wielki gniady *each uisce*. Szarpię Dove i uciekam głębiej w wodę dokładnie w chwili, gdy gniady wygina szyję i kłapie na nią zębami. Dove kładzie uszy całkiem płasko. To Finney. Zaciska ręce na wodzach, aż bieleją mu palce, i nie ogląda się na mnie. Drżenie siodła, które wyczuwam, nieomylnie świadczy o tym, że Dove rozpoznaje jego konia. Spinam ją nogami. Nie bój się, Dove. Przed nami jeszcze długa droga.

Przypominam sobie, zbyt późno, że miałam oszczędzać siły Dove i kontrolować jej szybkość. Obok migają zielone barwy Iana Privetta, jasnoniebieskie Blackwella, złote srokatej klaczy. Jednak brak czerwonego ogiera w ciemno-niebieskich barwach. Nie mam bladego pojęcia, czy jest tak daleko przed nami, że znikł mi z oczu, czy został z tyłu.

Sean

Próbuję odnaleźć Puck, ale w tej kotłowaninie nic nie widzę. Corr rwie się do przodu, przemęczone ramiona już mnie bolą od utrzymywania go w ryzach. Nie wiem, jak długo jeszcze dam radę ściągać wodze, żeby szukać Puck. Tyły są najbardziej niebezpieczne. Konie obok mnie biegną na końcu, nie dlatego, że są powolne, ale dlatego, że walczą ze sobą nawzajem albo toczą bój z morzem. Piasek spod kopyt przede mną pryska mi prosto w twarz. Oczy mnie pieką, lecz nie mogę ich obetrzeć, bo mam zajęte ręce.

Po mojej lewej pędzi siwy koń, szarpiąc kasztanowatego. Próbują wciągnąć w tę potyczkę Corra. Przytrzymuję go prosto i naciskam, aby przyspieszył, co prawda, nie za bardzo, bo Puck jest za mną, a nie chcę zostawić jej w tyle. Ręce mam zanurzone w spoconej grzywie na kłębie Corra; czuję, że mięśnie mu drżą pod wpływem bliskości listopadowego morza. Szepczę do niego, żeby był spokojny.

Zerkam pod łokciem, szukając Puck z prawej strony, lecz widzę tylko siwego *each uisce* po kolana w wodzie. Jest już morskim stworzeniem. Jego oczy zamieniły się w szparki w wyciągniętym do przodu łbie. Siwy wierci się i otrząsa, bardziej zajęty jeźdźcem na swoim grzbiecie niż wyścigiem. Skądś pryska morska woda, czuję zimne uderzenie w twarz.

Jakaś klacz spycha mnie na lewo. Rzucą się i kaleczy mi nogę, zanim dżokejowi udaje się ją odciągnąć. Nie mogę tu zostać. Wydostanę się na otwartą przestrzeń i znajdę Puck. Jeżeli jeszcze nie wyprzedziła tego motłochu, może już nie żyć.

Nachylam się nad szyją Corra, żeby do niego szepnąć, ale po raz pierwszy nie wiem, co mam mu powiedzieć.

To nie ma znaczenia. Corr i tak wie, czego chcę, niczego nie muszę mu mówić. Przyspiesza gwałtownie, wybiegając ze zbitego stada na tyłach.

Po prawej otwiera się wąski korytarz do samego czoła wyścigu, gdzie toczy się walka między trzema jeźdźcami. W zeszłym roku wykorzystałbym tę dziurę, a oni do końca wyścigu liczyliby długości między Correm a pozostałymi końmi.

Ale teraz tego nie robię.

Czekam.

Puck

Już po minucie Dove zostaje ugryziona, a po kolejnych kilku sekundach kaleczy mnie jakaś ostra jak brzytwa krawędź, która raczej nie może być zębem konia. Nie mam czasu oglądać rany ani zgadywać, co ją zadało. Jesteśmy uwięzione w kotłowaniu ludzi i koni. Pomimo huku wiatru słyszę piski i ryki, gdakanie i pomruki walczących ze sobą *eich uisce*.

Czuję niepokojące ciepło krwi spływającej z mojego uda. Na razie żadnego bólu. Cokolwiek mnie skaleczyło, było na tyle ostre, że rana jest równa.

Dove zaczyna wpadać w panikę. Widząc ruch po prawej stronie, szarpie głową tak mocno, że wodze rozdierają jeden z pęcherzy na mojej dłoni. Z oczu Dove wyzierają białka. Jest potwornie przerażona.

Muszę się stąd wydostać. Kiedy kombinuję, jak wysunąć się naprzód, dostrzegam po prawej *each uisce*, który pędzi do oceanu, potykając się o fale, wijąc się, a potem zrzucając jeźdźca.

To Finney. Na sekundę spotykają się nasze oczy, jego ręce rozgarniają wodę, a chwilę później tępe zęby gniadego rumaka zaciskają się na jego kości policzkowej.

I zaraz ich mijam, już ich nie ma, jest tylko kotłująca się woda, która spryskuje sierść Dove, tworząc na niej ciemny wzór. Jest mi niedobrze, bardzo niedobrze, okropnie niedobrze.

W miejscu, gdzie do tej pory był gniady *each uisce*, tworzy się wąska przestrzeń. Jeżeli uda mi się precyzyjnie przycisnąć prawą stronę, wykorzystując trochę cennych sił Dove, możemy im uciec.

Na nic się zda oszczędzanie jej energii, jeżeli umrzemy w tej potyczce. Przyciskam łydki do jej gorących boków i nagle wszystko zaczyna się układać. Dove odnajduje właściwy rytm i uwalniamy się od awanturycznej bandy. Dostrzegam trzymającego się tuż za liderami czerwonego ogiera w niebieskich barwach i Seana Kendricka, pochylonego nisko nad jego grzywą.

Ocieram krew z rany na grzbiecie Dove. Nie jest głęboka, ale i tak mam poczucie winy. Przepraszam ją, a ona wywija do tyłu drżące ucho. Popuszczam wodze o centymetr. Nadal jest przerażona, lecz na chwilę udaje mi się przyciągnąć jej uwagę.

Skup się. Przypominam sobie jazdę po klifach, kiedy udawało mi się utrzymać spokojne, równe tempo. Przypominam sobie klacz *each uisce*, która dała susa z krawędzi wzgórze. Sekret tkwi w tym, żeby pamiętać o wyścigu, podczas gdy inni będą myśleli wyłącznie o morzu.

Ja mogę zachować spokój.

Sean

Ktoś nowy wylania się z prawej strony i Corr, którego dotyk morza doprowadza do szaleństwa, wygina szyję, żeby go ugryźć. Powstrzymuję go i chociaż koń obok nas się szarpie, jeźdźcowi udaje się go opanować. Czarne końcówki uszu. Mniejszy niż Corr. Mniejszy niż którykolwiek z koni na plaży. Zwykle mięśnie poruszające się rytmicznie pod skórą.

To Dove, dogania nas, łopocząc piórami pod siodłem. Zerkam raz po raz na Puck i na klacz. Dove została ugryziona, na szczęście niezbyt głęboko. Puck też krwawi. Ale w przeciwieństwie do poszarpanej rany Dove skaleczenie Puck jest czyste i długie, a materiał jej bryczesów przecięty. To cięcie noża, nie zębów. Zrobił to ktoś, kto nie może ścierpieć, że Puck jest z nami na plaży. Myśleć o tym zbyt długo znaczy wpaść w furję, a wpaść w furję to stracić zdolność koncentracji. Nie mogę sobie na to pozwolić.

Bo przed nami panuje chaos. Najgorszy jest hałas – dyszenie *eich uisce*, ich pomruki

podczas walki, ciągle dudnienie kopyt, szum morza. Piski i krzyki, a w tle tego wszystkiego wrzaski tłumu. Już same te dźwięki doprowadziłyby konia wodnego do szaleństwa, jeśli wcześniej nie sprawiłoby tego listopadowe morze.

Each uisce przed nami wykręca się i ciągnie w prawo, podczas gdy jego jeździec za wszelką cenę stara się uniknąć oceanu. Kolejne dwa przepychają się i sprzeczą, zwalniając na tyle, że udaje się je wyprzedzić. To ściana pęcin, kolan i kopyt, krwi i kości, zębów przeciwko zębom. Próbują nas w to wciągnąć, ale Corr ich powstrzymuje, jest jak drżący mur, który odgradza od nich Dove, podczas gdy Dove jak mur odgradza Corra od niebezpiecznego morza.

Pokonaliśmy ponad połowę drogi, ponad tysiąc osiemset metrów. W pierwszej połowie wykuszają się ci, którzy nie byli gotowi, nieposkromione jeszcze *eich uisce*. To rytuał przejścia. Patrę na Puck, ona patrzy na mnie, z determinacją na twarzy.

Piasek rozmywa się pod nami; ocean wydaje się cichy w porównaniu z dźwiękami wydawanymi przez nasze walczące o oddech płuca. Jesteśmy sami na plaży.

Wierzchowce Blackwella i Privetta sprzeczą się na przedzie. Szarpią się to w jedną, to w drugą stronę, błyskają zębami, ścierają się szyjami i barkami. Zaraz za nimi pędzi Mutt Malvern, który bez przerwy bije Skatę, srokatą klacz. A spokojna Puck posuwa się za nimi, miarowo i równo. Stopniowo zrównuję Corra z Dove i z każdym krokiem zyskujemy przewagę.

Corrowi została już tylko siła. Przed nami jest wolna przestrzeń, mógłbym nią przemknąć, wyprzedzając Blackwella, a potem Privetta. Mutt się nie liczy, odpada od czoła wyścigu i jesteśmy coraz bliżej niego. Mógłbym teraz prowadzić i sięgnąć po wygraną równie łatwo jak w zeszłym roku. Za trzy minuty Corr mógłby być mój.

Wszystko, o czym w życiu marzyłem. Dach nad głową, wodze w dłoniach i koń pode mną. Corr.

Czuję oddech bogini klaczy na twarzy.

Powiedziałem Puck, że będę powstrzymał Corra, aż ona zrobi swój ruch. Może nie ma już sił, żeby wyprzedzić liderów. Może, czekając, niweczę wszystko. Mówię sobie, że mam czas, jeszcze mam czas, żeby popchnąć Corra do przodu.

Dove zaczyna przyspieszać.

Wtedy zdaję sobie sprawę, że Mutt Malvern powstrzymał Skatę celowo.

W ogóle nie miał zamiaru wygrać.

Puck

Nagły atak srokatej klaczy jest dla mnie zupełnym zaskoczeniem.

Skata jest teraz między mną a morzem, staje dęba, jakby chciała dać susa, ale potem spada na Dove. Jej zęby zaciskają się na potylicy Dove, tuż za uszami.

Dove chwieje się na nogach.

Odwracam głowę i widzę upiorny uśmiech Mutta Malverna.

Słyszę pełen furii krzyk Seana:

– To jest sprawa między mną a tobą, Mutt!

Staram się utrzymać Dove w strzemionach, pochylam się nad jej spoconym karkiem i chwytam łacią za ucho. Jej skóra jest śliska w dotyku, nie przypomina skóry żadnego konia, jakiego w życiu dotykałam. Kręgosłup Dove wbija mi się w brzuch, bolą mnie odciski na dłoni, ale ignoruję to wszystko i gwałtownie wykręcam ucho srokatej. Piszczy i puszcza Dove.

Ledwo dociera do mnie wołanie Seana:

– Z drogi, Puck!

Dove rozumie nawet wtedy, kiedy ja nie rozumiem. W chwili, gdy Corr nas dogania, ona wystrzeliwuje do przodu pomiędzy niego i łacią klaczy. W ostatnim momencie opadam

z powrotem w siodle, śliskim od krwi albo wody.

Skata wije się i wierzga z Muttem na grzbiecie, jednak udaje nam się od niej uwolnić. Oglądam się za siebie i widzę, że Corr uderza barkiem srokatą klacz. Spojrzenie Seana na sekundę przeskakuje w moim kierunku. Upewnia się, że posuwamy się naprzód.

Chcę na niego poczekać. Wiem, że wygrał ten wyścig cztery razy z rzędu, ale nie chcę go zostawiać.

Słyszę jego głos:

– Jedź!

Popuszczam wodze Dove.

– Jedź, Puck!

Sean

Nie możemy uciec.

Corr mógłby zdystansować Skatę, gdyby udało nam się od nich oderwać, ale Mutt Malvern złapał moje wodze. Ciągnie pysk Corra do siebie, jesteśmy w zasięgu zębów łaciatej. Corr nie widzi na jedno oko i szaleje ze strachu, ponieważ nie może zobaczyć, co się dzieje. Przewraca oczami. Raz po raz szarpie łbem w górę. Skata kłapie zębami, kalecząc mu bok pyska. Walcząc o wodze Corra, uderzam kolaniem o kolano Mutta, kością o kość. Czuję piekący ból.

Skata i Corr galopują łeb w łeb, a z każdym krokiem jesteśmy głębiej w morzu. Czuję smak słonej wody. Moje siodło jest od niej śliskie. Każdy mięsień Corra trzęsie się i drży. Zerkam na Mutta i widzę, że z trudem utrzymuje się w siodle.

Zbyt późno dostrzegam jego nóż.

Podnoszę rękę, choć nie mam szans ochronić siebie ani Corra.

Jednak Mutt nie atakuje nas. Podcina gardło łaciatej. Klacz szaleje z bólu.

– Powodzenia, Kendrick – syczy Mutt.

Skata wpada na nas.

Puck

Najpierw doganiamy Blackwella na Margot. Jest dużą, chudą, gniadą klaczą, długą jak wagon pociągu, i zaciekle walczy ze swoim jeźdźcem. Pysk ma rozchylony, jakby się śmiała, tak samo jak ten czarny *each uisce*, który zaskoczył nas w przybudówce. Dotąd była szybka jak wiatr, ale teraz Blackwell zmuszony jest ściągnąć wodze. Kiedy tylko próbuje je popuścić, ona gwałtownie szarpie się w stronę oceanu.

Dove nie przejmuje się morzem. Pochylam się nisko nad jej grzywą – szyję ma mokrą od potu, moje ręce też są spocone, więc ciężko mi utrzymać wodze – i proszę ją o jeszcze. Przemyka obok Blackwella.

Przed nami jeszcze tylko Privett na Pendzie. Utrzymuje dobrą odległość od wody i mogłabym go wyprzedzić po prawej, przyspieszając między nimi a oceanem. Lecz gdybym zepchnęła Pendę bliżej listopadowej wody, może udałoby mi się na tyle rozproszyc jego uwagę, żeby utrzymać się na prowadzeniu. To wymagałoby galopowania niebezpiecznie blisko *each uisce* bez planu ucieczki, a Dove i tak jest już przerażona.

Jesteśmy niedaleko mety. Może sześćset metrów. Boję się mieć nadzieję, ale czuję, jak we mnie rośnie.

Tylko... że powinien tu teraz być Corr. Nie powinnam być z Pendą sama na czele.

Oglądam się za siebie, lecz nigdzie go nie ma. Widzę jedynie Margot, która błyskawicznie nas dogania, i szaleńczo łopoczące na wietrze pióra zastępczych barw wyścigowych Dove.

Słyszę głos Seana, który mówi, że to możliwe. I Peg Gratton, która mówi, żebym pokazała im, kim jestem. Wiem, że tak naprawdę tu nie chodzi o odwagę Dove. To ja muszę być odważna, aby ona mogła dać z siebie wszystko. Pochyłam się nad szyją Dove – Dove, mojej najbliższej przyjaciółki – i proszę ją o jeszcze jeden, ostatni zryw.

Sean

Ściągam wodze Corra, ale nad niczym już nie panuję. Skądś dobiega wysoki, czysty krzyk, potem spadam.

Gdzieś pomiędzy grzbietem Corra a falami przyboju myślę o dziesiątkach koni za nami i o tym, w jaki sposób zginął mój ojciec.

Będę miał szansę, jeśli uda mi się przed nimi uciec. Jeżeli po tym, jak uderzę o piasek, uda mi się wytoczyć spod ogromnej masy nadciągających kopyt. Jeśli będę przytomny, mogę przeżyć.

Przez jedną chwilę widzę wszystko bardzo wyraźnie: Corr z czerwoną krwawą maską na pysku, rozdartym jednym z nozdrzy, w oddali nieosiągalny horyzont, nad nami błękitne listopadowe niebo.

Srokata wierzga, uderzając mnie kolanem w głowę. Kiedy ląduję na piasku, wszystko załamuje się jak fala. W ustach mam morską wodę, piasek pode mną dudni od kopyt, nade mną tylko czerwień, czerwień, czerwień.

Rozdział sześćdziesiąty trzeci

Puck

W chwili kiedy wyprzedzamy Iana Privetta na Pendzie, patrzę mu w oczy i dostrzegam w nich niedowierzanie.

Wtedy wyścig się kończy.

Nawet gdy widzę, że pierwsze przekroczyliśmy linię mety, kiedy po upływie pół sekundy przemyka Margot, a kolejną sekundę później na metę wpadają Ake Palsson i doktor Halsal, nadal nie wierzę.

Zwalniam, poklepując Dove po szyi, śmiejąc się i ocierając łzy wierzchem zakrwawionej dłoni. Cały mój ból zniknął. Nie czuję go. Drżąc, staję w strzemionach i schodzę z drogi następnym koniom wodnym, które przekraczają metę.

Siwe i czarne, kasztanowe i gniade.

Nie dostrzegam nigdzie Seana.

Nie przestaje szumieć mi w uszach. Dopiero po kilkunastu sekundach zdaję sobie sprawę, że to ryk tłumu na klifach.

Krzyczą imię, moje i Dove. Wydaje mi się, że słyszę wśród tych głosów Finna, ale może to sobie wyobrażam.

Kręci mi się w głowie. Do tego dochodzą jeszcze kolejne kończące wyścig *eich uisce*, które kłębią się, stają dęba i wykręcają szyje.

Ale nie widzę Seana.

Podchodzi do mnie pracownik obsługi wyścigu z ręką wyciągniętą w kierunku uzdy Dove. Nie przestają trząść mi się ręce, gdzieś w moim wnętrzu wzbiera potworne przecucie.

– Gratulacje – mówi urzędnik.

Patrzę na niego, czekając, aż to, co powiedział, nabierze sensu, a potem pytam:

– Gdzie jest Sean Kendrick?

Kiedy on nie odpowiada, zawracam i pędzę w stronę, z której przybiegłyśmy. Na mecie kotłują się spocone *eich uisce* i zmęczeni jeźdźcy. Plaża przedstawia zupełnie inny widok niż wtedy, kiedy galopowałyśmy w przeciwnym kierunku. Teraz przed nami jest tylko piaszczysta przestrzeń; przemierzamy ją klusem. Ocean to tylko fala za falą, a nie głodny ciemny stwór. Jadąc, obserwuję mokry piasek kawałek po kawałku. Mijamy smugi krwi – ślady walk i potyczek. Przy linii wody leży martwy kasztanowaty koń wodny. Gdzieś dalej od brzegu przykrywają czyjeś ciało. Na ten widok czuję ścisk w żołądku, ale zmarły mężczyzna jest za duży, żeby mógł być Seanem.

I wtedy dostrzegam stojącego nad samą wodą Corra i jego czerwone odbicie na mokrym piasku. Unosi nieco jedną z tylnych nóg, opierając ją na koniuszku podkowy. Ma nisko zwieszoną głowę; kiedy podchodzę bliżej, widzę, że drży. Siodło mu się zsunęło i zwisa teraz niemal do góry nogami.

Obok jego kopyt dostrzegam ciemny, wąski kształt, cały zaplątany w wodze. Rozpoznaję mocno ubrudzoną niebiesko-czarną kurtkę. A czerwień, którą wzięłam za odbicie Corra, to krew powoli zmywana przez fale.

Nagle przypominam sobie, jak Gabe powiedział, że nie może tego znieść. Nie wierzyłam mu, bo przecież można znieść wszystko, na co się człowiek zdecyduje.

Jednak właśnie teraz czuję, że rozumiem go bardzo dobrze, bo jeśli Sean Kendrick nie żyje, ja tego nie zniosę. Nie po tym wszystkim, co już się stało. Nie po tych wszystkich ludziach,

którzy już zginęli. Wystarczająco koszmarny jest widok Corra, który prawdopodobnie ma złamaną nogę. Ale Sean nie może zginąć.

Ześlizguję się z Dove. Podchodzi jakiś pracownik obsługi, a ja wciskam mu wodze do ręki. Brnę przez piasek w stronę Corra.

– Sean.

Podchodzę bliżej i odskakuję raptownie na widok nagłego ruchu. To Sean – wyciąga rękę i po chwili znajduje strzemię. Podnosi się z jego pomocą. Stoi chwiejnie jak żreback, który właśnie przyszedł na świat.

Zarzucam mu ręce na szyję. Nie potrafię powiedzieć, które z nas drży.

Głos Seana jest zachrypnięty.

– Udało ci się? – pyta.

Nie wiem, jak mu to powiedzieć, przecież to tylko połowa tego, co miało się zdarzyć.

Odsuwa się i patrzy mi w twarz. Nie jestem pewna, co tam widzi, ale mówi:

– Tak.

– Penda był drugi. Gdzie ty byłeś? Co się stało?

– Mutt – zaczyna Sean. Spogląda w morze spod zmrużonych powiek. – Widziałaś go?

Nie, chyba nie. Zabrała go ze sobą. Srokata go zabrała.

Wszystkie rany nagle zaczynają mnie boleć, mam ściśnięty żołądek.

– Nie chodziło mu o wygraną. Chciał tylko, żebyś...

– Corr cały czas tu jest – zauważa Sean ze zdumieniem. – Inaczej bym zginął. Nie musiał tu zostać. – Przez chwilę nie ma dla niego znaczenia, że nie wygrał. Lojalność Corra stanowi dla Seana zdecydowanie więcej niż posiadanie go na własność.

Potem widzę, jak ogląda sylwetkę Corra, jak dostrzega jego opuszczoną głowę, krew na nozdrzach, wykręconą tylną nogę. Wygląda to tak strasznie, że żołądek podchodzi mi do gardła. Sean robi krok do przodu, ostrożnie dotyka nogi Corra i przesuwa po niej ręką. Dokładnie zauważam moment, kiedy ręką Seana się zatrzymuje i ramiona mu opadają; już wiem, że noga Corra rzeczywiście jest złamana.

Przypominam sobie życzenie Seana. Chciał dostać to, czego pragnie.

W tej chwili nie potrafiłabym wierzyć w jakiegokolwiek boga, jakąkolwiek boginię ani w samą wyspę. A nawet gdyby mi się to udało, uznałabym, że mogą być wyłącznie okrutni.

Sean odsuwa się i szarpie za popręg, aż przekrzywione siodło spada na ziemię. Przesuwa dłoń po ciemnoczerwonej, zwichrzonej i spoconej sierści Corra w miejscu, gdzie było siodło.

Nawija pasmo grzywy Corra na dłoń i przyciska czoło do jego barku. Nie musi mi mówić, że Corr już nigdy nie będzie biegał.

Rozdział sześćdziesiąty czwarty

Puck

Reszta dnia mija w pośpiechu. Ceremonia wręczenia nagród, pieniędzy, dziennikarze i turyści. Są gratulacje, uściski dłoni i tyle głosów, że żadnego z nich nie słyszę. Opatrywanie mojej rany: „Rety, wygląda paskudnie, Puck Connolly, jak mógł ci to zrobić jakiś koń, masz szczęście, że nie jest głęboka”, i rozpieszczanie Dove. Wszystko ciągnie się godzinami, a przed żadną z tych rzeczy nie mogę uciec, żeby poświęcić czas temu, co naprawdę ważne. Kiedy słońce już zachodzi, dowiaduję się, że Corr dostał prowizoryczne schronienie w jednej z grot na plaży, bo nie był w stanie wrócić na górę do stajni Malverna. Udaje mi się uciec przed tłumem i zejść kawałek ścieżką prowadzącą na plażę. W półmroku dostrzegam Seana, który siedzi na piasku, oparty o ścianę klifu. Śpi. Chcę do niego podejść, ale jasnowłosa George Holly już nim potrząsa i nakłania go do powrotu. Chcę, aby Sean wiedział, że przyszedłam go szukać. Kiedy mnie dostrzega, zostawiam go z George'em Hollym i prowadzę Dove do domu.

Rozdział sześćdziesiąty piąty

Puck

Mama zawsze powtarzała, że kiedy jest się w złym humorze, powinno się wkładać najlepsze ubranie, bo to budzi respekt.

Następnego dnia po wyścigu nie jestem w złym nastroju, ale chcę wyglądać groźnie i dokładam starań, żeby osiągnąć cel. Spędzam godzinę w pokoju mamy przed jej lustrem, układając włosy na szczotce i skręcając loki palcami. Cały czas mam przed oczami fryzurę Peg Gratton. Okazuje się, że moich włosów jest o wiele mniej, gdy nie sterczą każdy w inną stronę, a kiedy upinam je z tyłu, widzę w zwierciadle twarz mamy.

Podchodzę do szafy i patrzę na jej sukienki, jednak żadna nie wygląda, jakby mogła kogoś przestraszyć. Znajduję za to koszulę z kołnierzykiem. Wkładam też bryczesy i buty, z których zmyłam już zaschnięte ślady wczorajszego wyścigu. Pożyczam bransoletkę z koralami i naszyjnik mamy.

Patrzę na swoje odbicie w lustrze, a potem wychodzę na korytarz.

– Kate – mówi Gabe, zaskoczony. Siedzi przy kuchennym stole i spogląda na mnie. Słyszałam, jak poprzedniego wieczoru się pakował.

– Dokąd idziesz?

– Do stajni Malverna.

– Ładnie wyglądasz.

Otwieram drzwi. Delikatny pastelowy ranek pachnący dymem palonego drewna wydaje się bardzo łagodny w porównaniu z wczorajszym dniem.

– Wiem.

Zakładam swój szkolny plecak i biorę rower, bo uważam, że Dove zasłużyła sobie na wolne.

Stajnia Malverna tętni życiem, tak jak w dniu mojej pierwszej wizyty. Stajenni wyprowadzają zwierzęta na pastwisko, jeźdźcy zabierają konie wyścigowe na tor, żeby mogły pobiegać, inni zamiatają bruk.

– Dzień dobry, Kate Connolly – zwraca się do mnie jeden ze stajennych. – Seana tu nie ma.

Nie spodziewałam się go zastać, ale i tak przykro mi to słyszeć.

– Właściwie szukam Benjamin Malverna – mówię.

– Jest w domu na górze. Oczekuje pani?

– Tak – odpowiadam, bo jeśli nie oczekiwał mnie dotąd, to będzie mnie oczekiwał, kiedy wejdem.

– Proszę więc mi pozwolić. – Chłopak owiera bramę, żebym mogła wejść do środka.

Dziękuję mu i prowadzę rower pod sam dom Malverna – duży, wręcz okazały, stary budynek za stajnią. Co ciekawe, podobnie jak jego właściciel robi wrażenie i wygląda potężnie, dostojnie, choć nieszczególnie ładnie. Opieram rower o murek, podchodzę do drzwi frontowych i pukam.

Przez długą chwilę nikt się nie pojawia, a potem nagle otwiera drzwi sam Benjamin Malvern.

– Dzień dobry – rzucam i mijając go, wchodzę do wysokiego głównego holu. Nie licząc małego stolika pod ścianą, korytarz jest pusty. W głębi widać wejście do salonu i pojedynczą filiżankę ustawioną na środku przykrytego białym obrusem stołu.

- Właśnie piłem herbatę – zaczyna.
- Więc przyszedłam w samą porę – przerywam mu.

Nie czekając, aż mnie zaprosi, przechodzę do salonu. Podobnie jak hol jest prawie pusty. Pośrodku wysokiego pokoju stoi tylko okrągły stół, a na ścianach wiszą mosiężne kinkiety. Pomieszczenie wydaje się opuszczone. Być może Benjamin Malvern siedział tu właśnie, zastanawiając się, czy ocean kiedykolwiek wyrzuci na brzeg srokatą albo Mutta. Wybieram krzesło naprzeciwko tego, które stoi odsunięte.

Usta mężczyzny się poruszają:

- Mleko i cukier?

Opieram na stole splecione ręce i przyglądam się Malvernowi.

- Napiję się takiej samej jak pan.

Unosi brew, a potem przygotowuje mi filiżankę swojego dziwnego napoju. Przesuwa ją w moją stronę i siada naprzeciwko, zakładając nogę na nogę i odchylając się na oparciu krzesła.

– Co sprawiło, że wpadłaś do mojego domu jak huragan, Kate Connolly? To niezbyt uprzejme.

– Tak przypuszczam. Sprowadzają mnie do pana właściwie trzy rzeczy – wyjaśniam. Unoszę filiżankę do ust. Malvern mnie obserwuje. Mrużę jedno oko. Czuję się, jakbym piła napój z ciepłej bułeczki albo lizała dywan. – Trzy sprawy, które chcę załatwić.

- To całkiem sporo chcenia.

Sięgam do szkolnego plecaka i kładę na stole stosik banknotów.

- Po pierwsze, chciałabym spłacić wszystko, co się należy za dom.

Malvern spogląda na pieniądze, lecz ich nie dotyka.

- A po drugie?

Wypijam kolejny spory łyk herbaty dla podkreślenia tego, co zamierzam powiedzieć. Wymaga to heroizmu, ale jakoś daję radę.

- Chciałabym, żeby dał mi pan pracę.

Malvern odstawia swoją filiżankę.

- A co takiego mogłabyś robić?

– Myślę, że na początek mogłabym czyścić boksy, układać konie i pchać taczki. Mam wrażenie, że byłabym w tym dobra.

Malvern mi się przygląda.

- Na tej wyspie niełatwo o pracę.

- Tak słyszałam – odpowiadam.

Benjamin Malvern pociera palcami usta i spogląda na sufit. W jego gipsowej powierzchni jest niewielkie pęknięcie i widząc je, Malvern marszczy brwi.

- Myślę, że to da się zrobić. A co to za trzecia sprawa, którą chciałabyś załatwić?

Odstawiam filiżankę i patrzę na niego surowo. To jest właśnie ten moment, kiedy miałam wyglądać groźnie.

– Chciałabym, żeby sprzedał pan Corra Seanowi Kendrickowi, mimo że nie wygrał wyścigu.

Malvern się krzywi.

- Zawarliśmy umowę, on i ja, i on o tym wie.

- Ten koń jest dla pana bezużyteczny. Obaj to wiecie. Co zamierza pan z nim zrobić?

Otwiera dłoń wnętrzem do góry.

– Więc równie dobrze może pan go sprzedać. Chyba że po prostu lubi pan zatruwać życie Seanowi Kendrickowi. – Rozważam dodanie „podobnie jak pana nieżyjący syn”, ale dochodzę

do wniosku, że taka podłość nie jest konieczna.

– Czy to on cię poprosił, żebyś ze mną porozmawiała?

Kręcę przecząco głową.

– On nie wie, że tu jestem. I pewnie dziwnie by się czuł, gdyby o tym wiedział.

Malvern wpatruje się w swoją herbatę.

– Dziwna z was para. Jesteście parą, prawda?

– Wdrażamy się.

Malvern patrzy na mnie.

– Dobrze. Sprzedam go. Ale cena się nie zmieni tylko dlatego, że koń chodzi teraz na trzech nogach zamiast na czterech. Czy to już wszystko?

– Powiedziałam, że mam trzy sprawy, i właśnie wszystkie je omówiliśmy.

– W rzeczy samej. Cóż, proszę mnie teraz zostawić z moją herbatą i przyjść w poniedziałek, to porozmawiamy o twoich taczkach.

Wstaję, zostawiając na stole nietknięte banknoty, i wychodzę na podwórze. Wiatr wieje nisko – omiata morze, trawę na wyspie, siano i konie. Tak powstaje najpiękniejszy zapach na świecie.

Rozdział sześćdziesiąty szósty

Sean

Listopadowy ocean jest jak ciemny wieczorny klejnot połyskujący zza czerwonych skał. Corr i ja schodzimy z klifów. Prowadzę go w stronę wody. Tak jak wtedy, kiedy wyciągnąłem go z morza, ma założoną tylko uzdę ze sznura. Już dawno zdjąłem bandaż z jego tylnej nogi. Nie uleczy go. Holly mówi, że w Kalifornii mają sposoby na to, żeby nastawić koniowi kość, choć z pewnością nigdy więcej nie będzie mógł się ścigać. Uważa, że kupić Corra jedynie po to, aby wypuścić go do oceanu, to najgłupsze, co mógłbym zrobić.

Jednak żeby się znaleźć w Kalifornii, Corr musiałby nauczyć się latać, zresztą nie wiem, co by przyszło koniowi wodnemu z takiego życia. On kocha galop i morze. Dopóki mogłem mu zapewnić jedną z tych rzeczy, byliśmy szczęśliwi.

Podprowadzam go powoli do brzegu. Dotykam sierści na jego szyi. W słonej wodzie Corr poczuje się lżejszy, nie będzie mu tak bardzo przeszkadzało, że jedna z jego nóg nie jest taka jak kiedyś.

Nie chcę się żegnać.

Na klifie stoją Puck Connolly i George Holly, oboje z założonymi rękami, w identycznych pozach. Jestem im bardzo wdzięczny za to, że w takiej chwili zostawili mnie samego.

Pomimo bólu, jaki sprawia Corrowi chodzenie, strzyże uszami w kierunku morza. Listopadowy ocean śpiewa do niego słodko, wabi go, pieści jego uszy, sprawia, że jego krew szybciej krąży. Wchodzimy razem do lodowatej wody. W tym świetle Corr jest czerwony jak słońce przed nocą, wygląda jak gigant albo bóg. Kiedy ocean bawi się jego zranioną nogą, kładzie uszy płasko, a potem znowu strzyże nimi w stronę horyzontu. Tam, w oddali, morze wydaje się czarne i pozbawione głębi, ale kryje w sobie wiele cudów, może nawet więcej niż wody wokół Thisby.

Jeszcze nie tak dawno Corr i ja chlapaliśmy się w tej wodzie, u podnóża tych samych klifów. Teraz trudno mu zrobić krok.

Przesuwam dłońmi po jego szyi, kłębie, barkach. Jego obecność była dla mnie czymś oczywistym. Opieram policzek o jego bok, zamykam oczy zaledwie na sekundę, a potem szepczę do niego:

– Znajdź szczęście.

Nie mogę tu stać ani chwili dłużej. Mrugam, żeby odzyskać ostrość widzenia, i wyciągam rękę. Zdejmuję mu uzdę ze sznura.

Obserwuję Corra i wycofuję się z wody. Jego uszy nadal są postawione i zwrócone w stronę horyzontu, nie w moją. Ocean to jego miłość. Teraz wreszcie będzie go miał.

Stawiam kołnierz, odwracam się i idę w stronę podnóża klifów. Chyba nie będę mógł patrzeć, jak znika w wodzie. To mi złamie serce.

Puck zawzięcie trze oczy, jakby coś jej do nich powpadało. George Holly przygryza wargę. Nade mną wznosi się skała. Próbuje się jakoś pocieszyć. Znajdę innego *each uisce*, będę na nim jeździł, przeniosę się do domu mojego ojca i będę wolny. Ale czuję tylko pustkę.

– Ciii, ciii – szepcze ocean za moimi plecami.

Słyszę cichy, przeciągły jęk. Nie zatrzymuję się. Moje boscie stopy wolno pokonują kamienistą część plaży.

Lament się powtarza, niski i żalorny. Puck i Holly stoją ze wzrokiem utkwionym gdzieś

za moimi plecami. Odwracam się. Corr zauważył moje odejście i stoi tam, gdzie go zostawiłem, oglądając się na mnie. Wyciąga głowę w moim kierunku i zawodzi.

Ocean, któremu tak trudno mu się oprzeć, zagarnia jego kopyta. Jednak on wciąż patrzy na mnie i raz po raz się żali. Włosy mi się jeżą, kiedy słucham jego wołania. Wiem, że chce, żebym do niego przyszedł, lecz ja nie mogę mu towarzyszyć tam, dokąd musi iść.

Kiedy nie przychodzę, Corr w końcu milknie. Znowu patrzy na nieskończony horyzont. Kątem oka widzę, jak unosi kopyto i z powrotem je stawia. Ponownie sprawdza swój ciężar.

A potem niespodziewanie odwraca się i wychodzi z wody. Odrzuca głowę do góry, gdy dotyka ziemi zranioną nogą, ale mimo to idzie. Znowu mnie przywołuje. Kolejny krok oddala go od listopadowego morza. A później jeszcze jeden.

Idzie bardzo wolno. Morze śpiewa do nas obu, lecz Corr wraca do mnie.

Od autorki

Jako młoda dziewczyna zawsze z zacięciem czytałam o pisarzach, którzy miesiącami rozmyślają nad koncepcją powieści, zanim w końcu zdecydują, jaki powinna ona przybrać kształt. Nastoletniej autorce, która przelewała swoje pomysły na papier natychmiast, kiedy tylko zaświtały jej w głowie, wydawało się to dziwne i niezrozumiałe. „Jak można nie wiedzieć, jak napisać swoją własną historię?” – zastanawiałam się, produkując w ciągu miesiąca kolejną koszmarną powieść.

No i proszę, oto sama stałam się jedną z tych pisarek o dziwnych zwyczajach. Już od bardzo dawna chciałam napisać o koniach wodnych. Właściwie kilkakrotnie usiłowałam zacząć: najpierw podczas studiów, potem zaraz po ich ukończeniu. W końcu byłam gotowa się poddać, jednak kilka lat temu, po opublikowaniu trzech pierwszych powieści, kiedy wiedziałam już trochę więcej o warsztacie, porwałam się na tę legendę po raz kolejny... i znowu poniosłam klęskę.

Jedyna różnica polegała na tym, że tym razem nie była to już spektakularna kłapa, lecz prozaiczna porażka.

Problem tkwił w samej legendzie o koniach wodnych – złożonej, a zarazem pozbawionej głównego wątku, narracji, która mogłaby poprowadzić zniechęconego już do tematu autora. Miałam do dyspozycji sporo różnych wariantów tego samego mitu: opowieści z wyspy Man, mówiące o stworzeniach zwanych *capall uisge*, *cabyll ushtey* i *augh-isky*, a także ich odmiany szkockie, w których te istoty nazywano *each uisge* lub *kelpie*. Poza tym, że na każdej z wymienionych nazw można połamać sobie język (tę, która mi odpowiadała – *capall uisce* – wymawia się CAPple ISHka), wspólnym elementem wszystkich podań były niebezpieczne baśniowe konie mieszkające w wodzie.

Podobało mi się wiele szczegółów tych mitów: konie pojawiały się w listopadzie, żywiły się mięsem, a zwabione w głąb łądu, stawały się najwspanialszymi wierzchowcami, jakie tylko można sobie wyobrazić, dopóki znowu nie zbliżyły się do słonej wody.

Był też inny, niesamowity element legendy, związany ze zmianą postaci. Niektóre wersje mówiły o koniach wodnych wyglądających jak przystojni młodzieńcy o kasztanowych włosach. Po przemianie przechadzali się brzegiem morza, wabiąc dziewczęta – bo czyż może być coś bardziej pociągającego niż nieznajomy rudowłosy chłopak, który z lekka trąci rybą? – i wciągając je w głąbiny, żeby następnie je pożreć. Morze wyrzucało potem na brzeg płuca i wątrobę ofiary. Ta druga część mitu śmieszyła mnie do łez. Za każdym razem, kiedy próbowałam opisać istotę będącą zarazem młodym mężczyzną i koniem, dochodziłam do wniosku, że wcale nie o tym chciałam opowiedzieć. Dopiero, kiedy dla potrzeb trylogii *Drzenie* zmodyfikowałam opowieści o wilkołakach, zdałam sobie sprawę, że zamiast przyjmować konie wodne z całym dobrodziejstwem inwentarza, mogę przecież i ten mit potraktować wybiórczo.

Wyrzuciłam więc z legend o koniach wodnych wszystko, co nie było mi potrzebne, i tak powstał *Wyścig Śmierci*, historia, która właściwie wcale nie jest opowieścią o koniach wodnych czy innych duchach.

Tym, którzy chcieliby dowiedzieć się czegoś więcej o osobliwych rudych młodzieńcach z morskimi krasnorostami we włosach, polecam *An Encyclopedia of Fairies: Hobgoblins, Brownies, Bogies and Other Supernatural Creatures* autorstwa Katharine Briggs – znakomity punkt wyjścia do zgłębiania tego tematu.

Kto wie, może pewnego dnia wykorzystam i drugą połowę legendy?

Nie, jednak nie. To raczej niemożliwe.

Podziękowania

Właściwie to, co chcę powiedzieć, mogłabym zawrzeć w kilku zwięzłych słowach: „Dziękuję tym, którzy przez ostatnie półtora roku pomagali mi odwiedzać klify”.

Ale to chyba byłoby lenistwem, poza tym każda z tych osób zasługuje na to, żeby ją wymienić z nazwiska. Dziękuję zatem: mojej pierwszej specjalistce od reklamy w wydawnictwie Scholastic – Samancie Grefe, która zmieniła moje plany, umożliwiając mi zobaczenie klifowych wybrzeży Kalifornii. Członkom mojego cudownego zespołu ds. wydań zagranicznych – Rachel Horowitz, Janelle DeLuise, Maren Monitello i Lisie Mattingly, za to, że zaplanowali moje podróże zagraniczne tak, żebym mogła odwiedzić klify w Normandii. Moim specjalistkom od reklamy w wydawnictwie Scholastic w Wielkiej Brytanii: Alyx Price i Alex Richardson, które stanęły na głowach, żebym dotarła na klifowe wybrzeże na południu Anglii. Moim drogim przyjaciółom: Erin i Richardowi Hillom, którzy znosili trudy wypraw na brytyjskie klify nie jeden, ale dwa razy: odwiedzając ze mną południowe i wschodnie wybrzeże.

Jestem również winna podziękowania tym, którzy byli zaangażowani w powstawanie samej książki: Davidowi Levitanowi, mojemu wydawcy, który zwykł cierpieć w milczeniu i nie wpadł w panikę nawet wtedy, kiedy oznajmiłam mu, że moja następna książka będzie o koniach-ludojadach. Mojej oddanej agentce, Laurze Rennert, za wyprostowanie zbyt krętych ścieżek, którymi podążała intryga. Tessie Gratton i Brennie Yovanoff, za udział w krytycznej analizie i zabawie w wyszukiwanie fragmentów niezamierzenie komicznych. Carrie Ryan, Natalie Parker (znanej jako pani Słuszna Uwaga), Jacksonowi Pearce i Kate Hummel za komentarz do fabuły oraz historie z szatni dla dżokejów.

Ponadto jestem niezmiennie i nieustająco wdzięczna mojej rodzinie za „dogłądanie gospodarstwa”, podczas gdy ja usiłuję kończyć teksty w terminie, szczególnie kiedy „gospodarstwo” składa się z wielu różnych spraw, a terminy wymagają pracy w dni świąteczne.

Dziękuję rodzicom, którzy choć protestowali, kiedy jeździliśmy konno na oklep, robili to niezbyt stanowczo.

Jednak przede wszystkim muszę podziękować Edowi, mojemu mężowi, który wspina się ze mną na wszystkie klify.

¹ *Each uisce* (czyt. agh-iski), lm. *eich uisce* – w języku irlandzkim nazwa stworzenia, które według podań celtyckich nawiedza morza i jeziora, przybierając czasem postać pięknego, lśniącego konia. Ten, kto ulegnie pokusie i go dosiądzie, zostaje porwany w głąbiny i tam pożarty [wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki].

² *Puck* (ang.) – elf, duszek.

³ *Miracle* (ang.) – cud.